JANG JIN-SUNG

Drogi Przywódca



OD ZAUFANEGO CZŁONKA ELITY DO WROGA PAŃSTWA
UCIECZKA Z KOREI PÓŁNOCNEJ

O książce

Relacja człowieka, który choć wyrwał się z totalitarnego systemu, wciąż nie może czuć się bezpiecznie.

W głodzie nie ma poezji.
Korea Północna to naród bez poezji.

„Życie w Korei Północnej opiera się na złożonej, dysfunkcyjnej relacji między systemem a ludźmi, których usidlił. Jang Jin-Sung jest tego wyjątkowym świadkiem. Nie tylko żył w samym sercu tej rzeczywistości, ale z niej uciekł”.

fragment ze Wstępu

Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto łamie przepisy ruchu drogowego!
Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto gromadzi zapasy jedzenia!
Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto marnuje prąd!
Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto plotkuje!

Śmierć nie zwalnia jednak z obowiązku dochowania wierności Drogiemu Przywódcy nawet – a raczej zwłaszcza – członków jego najbliższego otoczenia, którzy u kresu życia są zobowiązani przysięgać, że ich szczere oddanie nie ustanie po śmierci.

JANG JIN-SUNG

Drogi Przywódca

Z angielskiego przełożył
RAFAŁ LISOWSKI



Wydanie elektroniczne

Jang Jin-Sung

Wyższy urzędnik północnokoreańskiej machiny propagandowej, cieszył się szczególnymi względami Kim Dzong Ila. Jako utalentowany poeta został jednym z niewielu Dopuszczonych – ludzi, których Przywódca wezwał przed swoje oblicze i spędził z nimi co najmniej 20 minut!

Przypadkowe zdarzenie, zgubiona książka, która dostała się w niepowołane ręce… I wygodne życie uprzywilejowanego Jang Jin-Sunga się zawaliło, a jego ucieczka przez Chiny postawiła na nogi cały aparat bezpieczeństwa sięgający swymi mackami daleko poza granice Korei Północnej.

Tytuł oryginału:
DEAR LEADER

Copyright © Jang Jin-Sung 2014
All rights reserved
First published by Rider, an imprint of Ebury Publishing.
A Random House Group Company
Jang Jin-Sung has asserted his right to be identified as the author of this Work
in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Rafał Lisowski 2015

Redakcja: Anna Kubalska

Konsultacja koreanistyczna: Edyta Matejko-Paszkowska

Zdjęcia na okładce: © Chung Sung-Jun/Getty Images (*maszerujący żołnierze*),
Attila JANDI/Shutterstock (*pomnik*), skydie/Shutterstock (*kwiat*)

ISBN 978-83-7985-276-5

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com


Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub

w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie
w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

Spis treści

Słowniczek

Nota od polskiego wydawcy

Publikowanie tekstów, w których występują koreańskie nazwy własne, nastręcza pewne trudności, zwłaszcza jeśli książkę tłumaczy się nie z języka oryginalnego, ale z przekładu – w tym wypadku angielskiego.

Nie istnieje bowiem jeden ogólnie przyjęty system łacińskiej transkrypcji języka koreańskiego. Najpopularniejszy jest system opracowany w 1937 roku przez amerykańskich uczonych George'a M. McCune'a i Edwina O. Reischauera.

W 2000 roku w związku z igrzyskami olimpijskimi w Seulu Ministerstwo Kultury, Sportu i Turystyki Republiki Korei przyjęło system tak zwanej „transkrypcji poprawionej", o tyle wygodniejszy, że nie wymaga wprowadzania znaków diakrytycznych, i jest coraz szerzej używany w prasie. Z tego względu zdecydowaliśmy się na zastosowanie go w niniejszej książce. W sytuacjach, w których odtworzenie oryginalnego zapisu było niemożliwe, pozostawiliśmy transkrypcję zgodną z angielskim przekładem.

Wyjątek stanowią niektóre nazwy własne, które w języku polskim zwyczajowo brzmią inaczej.

Koreańskie nazwiska są jednosylabowe i zgodnie z tradycją zapisuje się je przed imieniem.

Przedmowa od tłumaczki wydania angielskiego

Pana Janga poznałam w czerwcu 2012 roku. Przyjechał do Londynu, żeby wziąć udział w festiwalu Poetry Parnassus zorganizowanym przez Southbank Centre w ramach letnich igrzysk olimpijskich. Jako Koreankę studiującą w Anglii poproszono mnie o tłumaczenie przedstawicieli Korei Północnej i Południowej. Czekając na niego w hali przylotów na lotnisku Heathrow, zerknęłam do telefonu na jego fotografię, którą znalazłam w Internecie. Ubrany był na niej w ciemny garnitur, lekko się uśmiechał i spoglądał w obiektyw spod czarnych loków.

Kiedy pojawił się w hali przylotów, pchając wózek z bagażem, włosy miał w nieładzie, a sam zdawał się tonąć w granatowym garniturze. Białe mankiety wystawały nierówno spod rękawów marynarki, a jasnoróżowy krawat wisiał krzywo. Przywitaliśmy się po koreańsku, ukłoniliśmy się i uścisnęliśmy dłonie. W drodze do samochodu to ja pchałam wózek. On otworzył mi drzwi czarnej furgonetki i wyciągnął rękę, żeby mnie przytrzymać, kiedy wchodziłam po schodkach.

Gdy ruszyliśmy w stronę Southbank Centre, zawiesił na szyi aparat fotograficzny, a ja próbowałam zabawiać go rozmową. Wskazywałam atrakcje turystyczne Londynu, a on podziwiał je i robił zdjęcia. Wśród budynków, na które zwróciłam jego uwagę, była również centrala MI6 przy Vauxhall Cross, więc skorzystałam z okazji, żeby przełamać lody: „Podobno właśnie tutaj kręcą się kobiety chcące poznać mężczyznę w typie Jamesa Bonda”. Nagle dość oficjalna atmosfera, która panowała między

nami, prysła i pan Jang parsknął śmiechem. Odparł, że gdyby odkryły, że prawdziwi szpiedzy wyglądają tak jak on, przestałyby czekać i poszłyby poszukać porządnego mężczyzny.

Zanim jego pobyt dobiegł końca, zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Rozmawialiśmy swobodnie, a nie w oficjalny sposób właściwy przedstawicielom sąsiadujących ze sobą państw, którzy po półwieczu braku kontaktu stali się sobie obcy. Nawet dziś mieszkańcom Korei Północnej nie wolno swobodnie się komunikować z nikim ze świata zewnętrznego – ani przez e-mail, ani telefonicznie, ani osobiście.

Wcale nie pomaga, że medialne spojrzenie na Koreę Północną, widzianą z perspektywy osób z zewnątrz, skupia się na nieprzenikniononości tamtejszego systemu: na osobliwej dynastii Kimów, marszowym kroku niekończącego się pochodu ciężkich butów i niepokojącym widmie arsenału nuklearnego. Mieszkańcy tego kraju to coś więcej niż tylko publiczne demonstracje masowego posłuszeństwa i histeryczne łzy. Doświadczenie życia w Korei Północnej opiera się na złożonej, dysfunkcyjnej relacji między systemem a ludźmi, których usidlił. Pan Jang jest tego wyjątkowym świadkiem. Nie tylko żył w samym sercu tej rzeczywistości, ale z niej uciekł.

W niniejszej książce kończy swój opis na 2004 roku. Od tamtego czasu w Korei Północnej pewne rzeczy się zmieniły. Nieformalny i nielegalny oddolny trend urynkowienia, zrodzony na gruzach załamania gospodarczego w połowie lat dziewięćdziesiątych, wywiera znaczny wpływ na charakter transakcji społecznych między jednostką a państwem. Czystka oraz egzekucja Jang Song Thaeka w grudniu 2013 roku, wuja aktualnego przywódcy Kim Dzong Una, trafiły na czołówki gazet całego świata. Drastyczne oskarżenia pod jego adresem ogłoszono publicznie w państwowej telewizji i prędko trafiły one do zagranicznych odbiorców. Zwraca się uwagę, że ów epizod pod wieloma względami stanowił zerwanie z przeszłością.

Wydarzenia te nie rozegrały się jednak w historycznej próżni. Żeby rozumieć teraźniejszość Korei Północnej, trzeba znać jej

przeszłość. W szczególności należy rozpoznać trwałą dwoistość między słowami a czynami, propagandą a rzeczywistością oraz między tym, jak ową dwoistość odbiera człowiek z zewnątrz, a jak ktoś z wewnątrz. Bez tego Korea Północna pozostanie niezgłębiona, a nasze dyskusje utkną w miejscu.

Pan Jang nie był politykiem, ale poetą, i właśnie dlatego gruntownie zna prawidła działań mitotwórczych reżimu, a jego wspomnienia opowiadają o demontażu fasady. Podejście świata zewnętrznego do Korei Północnej opiera się na wielu oszustwach, za które odpowiadają wszystkie strony i od których zależy status quo. Ucieczka pana Janga z Korei Północnej tak naprawdę zaczęła się wtedy, gdy zrozumiał, że: „Nie dawało mi spokoju pragnienie, by pisać realistyczną poezję o tym, co widziałem, a nie lojalistyczną poezję o tym, co kazano nam wszystkim widzieć”.

Ktoś z zewnątrz nadal nie jest w stanie poznać zasad wewnętrznego funkcjonowania państwa, nawet jeśli prowadzi interesy z Koreą Północną albo uda się do tego kraju z wycieczką. Nie tylko istnieją tam warstwy ścisłej kontroli oraz ukryte struktury władzy, ale pełnomocnicy i agenci celowo udają ważne osoby z wewnątrz, ilekroć Korea Północna ma do czynienia z obcokrajowcami albo pokazuje się światu. Długo uważano, że żaden uciekinier nie może mówić z przekonaniem o działaniu systemu ze względu na jego wysoce rozczłonkowaną naturę. Pod tym względem pan Jang stanowi wyraźny wyjątek.

Z początku byłam bardziej podejrzliwa niż sceptyczna. Zapytałam, jak to możliwe, że świat zewnętrzny wciąż nie wie tego co on, na co odpowiedział, że właśnie dlatego nieco ponad rok przed naszym spotkaniem postanowił odejść z wywiadu. Oboje rozumieliśmy, że jego wiedza musi dotrzeć do szerokiej publiczności. Jak sam mówi: „Jeśli Korea Północna ma kłamstwa i broń jądrową, ja mam prawdę i słowo pisane”.

Pan Jang nigdy nie wyolbrzymiał swojej wiedzy ani swych doświadczeń. Wręcz przeciwnie, był zbyt skromny i dopiero pisząc tę książkę, zrozumiał, iloma ważnymi spostrzeżeniami

może się podzielić. Przyznaje się do frustracji tym, że często ukrywał swoją wiedzę lub był do tego zmuszony. Szanuję jego decyzję i rozumiem okoliczności, ale mimo to żałuję, iż nie mógł wyjawić więcej.

W tej książce nie można było powiedzieć wielu rzeczy. Być może upływ czasu pozwoli rzucić na różne sprawy więcej światła. Mam nadzieję, że tymczasem niniejsze świadectwo posłuży za podstawę, która pozwoli nam zweryfikować nasze rozumienie Korei Północnej.

Fałszowanie rzeczywistości przez północnokoreański reżim oraz jego nieprzejrzystość to dwa najważniejsze filary jego władzy. Bez względu na to, czy świat nie potrafi przejrzeć tej fasady, czy też nie chce tego zrobić, wspomnienia pana Janga pokazują, że zrozumienie przeszłości Korei Północnej oraz jej trwałej dwoistości to klucz zarówno do rozszyfrowania teraźniejszości, jak i uwolnienia przyszłych zmian.

Shirley Lee

Prolog

maj 1999

Nieco po północy, gdy właśnie kładę się do łóżka, odzywa się telefon. Postanawiam, że nie odbiorę przed piątym sygnałem, i liczę na to, że przestanie dzwonić wcześniej. Kiedy dzwoni po raz szósty, wyobrażam sobie, że moi rodzice zbudzą się ze złością, więc odbieram, w pełnej gotowości, by powiedzieć do słuchu osobie po drugiej stronie.

– Halo? – W cichym domu mój głos jest jeszcze bardziej natarczywy niż dzwonek telefonu.

– Mówi pierwszy sekretarz. – Na te słowa odruchowo się podrywam i uderzam czaszką w wezgłowie. – Ogłaszam nadzwyczajne wezwanie. Macie się stawić do pracy na pierwszą w nocy. Włóżcie garnitur. Nikogo nie powiadamiajcie.

Chociaż w tym kraju przyzwyczajono nas do rutynowego wykonywania nawet najdziwniejszych rozkazów, to czuję się niespokojny, bo właśnie otrzymałem polecenie od pierwszego sekretarza. To łącznik naszego komitetu z centralą partii. W normalnych okolicznościach, zgodnie z moją pozycją w hierarchii partyjnej, powinienem otrzymać polecenia od sekretarza Wydziału 19 albo Sekcji 5. Poza tym użył określenia „nadzwyczajne wezwanie”.

Zwykle odnosi się ono do mobilizacji wojsk. Kiedy Stany Zjednoczone i Korea Południowa prowadzą wspólne manewry na Półwyspie Koreańskim, nasze państwo odpowiada mobilizacją w całym kraju. Nakaz uczestnictwa nazywany jest właśnie „nadzwyczajnym wezwaniem”. Zazwyczaj jednak

zostajemy o tym poinformowani z wyprzedzeniem za pośrednictwem umyślnych przecieków. Wobec silnej presji, żeby zdystansować rywali, poszczególne sekcje i jednostki Partii Pracy zawsze usiłują zdobyć przewagę: pracownicy tych, które dzięki koneksjom są dobrze poinformowane, w określony dzień nie ruszają się z pracy, więc meldują się na służbę wcześniej od nieświadomych ludzi, którzy na wieczór rozeszli się do domów.

Gdyby jednak chodziło o rutynowe wojskowe wezwanie mobilizacyjne, nie kazano by mi włożyć garnituru. W przeciwieństwie do zwykłych Północnokoreańczyków zrzeszonych na regionalnych i wydziałowych szczeblach partii, my, członkowie aktywu należący do partyjnej centrali, wiemy, że „nadzwyczajne wezwanie” może również doprowadzić do spotkania z Kim Dzong Ilem, naszym Drogim Przywódcą.

Kiedy ktoś zostaje do niego wezwany, nie jest zawiadamiany wcześniej. Nawet najwyżsi rangą generałowie nie poznają szczegółów operacyjnych takich spotkań. Zaproszenie na spotkanie z Kimem przekazuje pierwszy sekretarz, wezwany do pokoju w gmachu Komitetu Partii zamkniętego przez osobistą straż Drogiego Przywódcy. Pod jej czujnym okiem pierwszy sekretarz otrzymuje listę nazwisk i oddzielnie wzywa każdą z osób. Od strony logistycznej spotkanie zostaje przeprowadzone w ścisłej tajemnicy. W takiej sytuacji termin „nadzwyczajne wezwanie” to szyfr uruchamiający ów poufny proces.

To samo sformułowanie może jednak mieć jeszcze trzecie, bardziej niepokojące znaczenie. Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego używa go, gdy przeprowadza tajne czystki wśród wysoko postawionych oficjeli. Otrzymawszy nadzwyczajne wezwanie, członek kadry może opuścić dom sam, dbając przy tym, żeby nie obudzić rodziny, a potem zniknąć w obozie pracy albo zostać stracony.

Na szczęście jestem pewien, że ten trzeci scenariusz mi nie grozi. Co więcej, nie mogę się doczekać wyjścia z domu. Zaledwie kilka dni wcześniej pierwszy sekretarz subtelnie napomknął o czekającym mnie zaszczycie.

Zgodnie z poleceniem wkładam swój najlepszy garnitur i krawat. W Pjongjangu po północy nie jeżdżą taksówki, a pojazdy mechaniczne wymagają specjalnej nocnej licencji, żeby poruszać się po tej godzinie. Chociaż na dworze panują nieprzeniknione ciemności, wskakuję na rower i pedałuję do pracy. Rowery to jeden z głównych środków transportu, ale w przeciwieństwie do większości mój błyszczy nowością. Przysłał mi go krewny rezydujący za granicą.

Na ulicach nie palą się latarnie. Cisza stolicy jest tak absolutna, że tylko wyczuwam obecność przechodniów, zanim zamajaczą przede mną ich mroczne sylwetki. Dostawy prądu są stale zagrożone, mimo że miasto obsługują dwie elektrownie. Starzejącą się Pjongjańską Elektrownię Termoelektryczną zbudowano w 1961 roku przy wsparciu ZSRR, a Wschodniopjongjańska Elektrownia Termoelektryczna powstała w 1989 roku, ale żadna nie produkuje dość energii, żeby jednocześnie zasilić więcej niż jedną dzielnicę. Dlatego prąd niczym wędrowny duch zatrzymuje się w poszczególnych częściach Pjongjangu na około cztery godziny dziennie.

Jeden rejon miasta jest jednak zawsze oświetlony: Joong-gu, usytuowany w sercu Pjongjangu. To tam mieszczą się biura centrali partii, osiedla mieszkaniowe dla wysokich urzędników oraz budynki przeznaczone dla obcokrajowców, takie jak hotel Koryo. Moje miejsce pracy, Biuro 101 Departamentu Zjednoczonego Frontu (DZF), leży w sercu tej rozświetlonej dzielnicy. Kiedy zbliżam się do budynków, widzę, że jest tam jaśniej niż zwykle. Oświetlono teren, a także zwykłe stróżówki. Przekraczając bramę, wołam w duchu: Tak! Spotkam się z Generałem!

Na dziedzińcu stoi co najmniej trzydziestu żołnierzy w ciemnomusztardowych mundurach osobistej straży Drogiego Przywódcy. Noszą charakterystyczne skórzane szelki w kształcie litery X, na których z obu stron zawieszono po pistolecie. Trzy beżowe furgonetki marki Nissan z zasłoniętymi szybami stoją jedna za drugą. Każda zmieści dwunastu pasażerów. Osobiście

wita mnie sekretarz partii do spraw południowokoreańskich. Przy nim blednie prestiż pierwszego sekretarza, który dzwonił do mnie wcześniej. Sekretarz prowadzi mnie do dwugwiazdkowego generała z notatnikiem w dłoni, chyba nadzorującego operację. Pozostali żołnierze mówią do niego „towarzyszu wicedyrektorze”.

Generał przelotnie mierzy mnie wzrokiem, po czym burczy:

– Postawić go tam!

Kiedy patrzę we wskazane miejsce, widzę ustawionych gęsiego najwyższych oficjeli w kraju z dziedziny stosunków międzykoreańskich: sekretarza partii do spraw południowokoreańskich Kim Yong Suna, pierwszego wicedyrektora DZF Im Tong Oka, dyrektora do spraw polityki DZF Chae Chang Guka, wicedyrektora do spraw polityki DZF Park Young Su oraz dwóch innych urzędników z Departamentu do spraw Pokojowego Zjednoczenia Ojczyzny. Atmosfera jest napięta. Widząc sześciu wpływowych ludzi ustawionych w rządku jak dzieci w szkole, czuję się niezręcznie na myśl o przywitaniu się z nimi. Staję na końcu kolejki.

– Spotkamy się z Generałem?

Kiedy szepcę te słowa do mężczyzny przede mną, rozlega się okrzyk:

– Nie gadać! Zrozumiano?!

Patrzę z oburzeniem na żołnierza i zamierzam zażądać, żeby odnosił się do mnie z większym szacunkiem, ale zły błysk w jego oczach szybko sprowadza mnie na ziemię.

Towarzysz wicedyrektor kolejno sprawdza nasze dokumenty na swojej liście. W milczeniu wsiadamy do środkowego samochodu zgodnie z naszą pozycją na liście. Zajmujemy wskazane miejsca. Żołnierz, który nakrzyczał na mnie za szeptanie, wsiada jako ostatni. Myślałem, że potraktował mnie z góry, bo nie skończyłem jeszcze trzydziestki, teraz jednak słyszę, jak odzywa się grubiańsko nawet do oficjeli centrali partyjnej dwukrotnie starszych od siebie.

– Nie odsuwać zasłon! Nie ruszać się z miejsc! Nie rozmawiać! – warczy.

Jeszcze bardziej niepokojące niż jego zuchwałość jest to, że moi towarzysze pokornie przytakują. Wobec osobistej straży Drogiego Przywódcy nawet Kim Yong Sun i Im Tong Ok, dwaj z najwyżej postawionych urzędników w państwie, nic nie znaczą.

Przez otwarte drzwi furgonetki patrzę, jak reszta żołnierzy wsiada do pozostałych samochodów. Wkrótce drzwi zostają zasunięte i włącza się silnik. Kiedy auto rusza, z nerwów skręca mnie w żołądku, ale wiem, że spotkanie z Drogim Przywódcą to cudowne, doniosłe wydarzenie.

Grube brązowe zasłony zakrywają okna i odcinają nas od kierowcy. Nie mogąc wyjrzeć na zewnątrz, odczuwam lekką chorobę lokomocyjną. Po dwóch godzinach jazdy w milczeniu czuję ulgę, gdy wreszcie docieramy na stację kolejową. Dochodzi czwarta nad ranem. Wysiadamy. Kiedy odzyskuję orientację, uświadamiam sobie, że to Yongsung, stacja pierwszej klasy. W ponaddwudziestomilionowym państwie było dotąd tylko dwóch obywateli pierwszej klasy: Kim Il Song i Kim Dzong Il. Stacje pierwszej klasy przeznaczono wyłącznie do ich użytku. Po całym kraju są ich rozsiane dziesiątki. Dachy zakamuflowano na zielono, żeby trudno je było wykryć na zdjęciach satelitarnych. Na ziemi budynki są nieoznaczone, otaczają je natomiast wysokie mury i patrolują silnie uzbrojeni strażnicy.

Stacja Yongsung znajduje się na północnych obrzeżach Pjongjangu. Zwykle droga z miejsca, z którego wyruszyliśmy, zajmuje niecałe pół godziny. Poznaję okolicę, ponieważ kilkakrotnie mijałem to miejsce. Z początku nie rozumiem, dlaczego podróż trwała tak długo, ale potem nie umiem powstrzymać uśmiechu, kiedy dociera do mnie, że furgonetki celowo jechały okrężną drogą, żeby nas zdezorientować. Przesiadając się z auta do pociągu, przechodzimy kolejne kontrole tożsamości.

Pociąg specjalny przeznaczony na tę okazję różni się od zwykłych pociągów. Boki pomalowano na kolor trawy, a dach na biało. Z zewnątrz wagon wygląda na wykonany w Chinach: nad klamkami widnieje napis „Pekin” wymalowany jaskrawoczerwonymi chińskimi symbolami. Wewnątrz jednak zauważam rzucające się w oczy logo Mitsubishi, które zdradza, że tak naprawdę wagon pochodzi z Japonii. Fotele zastąpiono pojedynczymi łóżkami, a cały wagon nie ma ścian działowych, zapewne po to, żeby strażnicy mogli nas pilnować.

Gdy rozpoczynamy podróż, żołnierz wyszczekuje zasady:

– Nie dotykać zasłon. Koce są pod łóżkami. Przez całą podróż leżeć w łóżkach. Spać, dopóki pociąg się nie zatrzyma. Jak ktoś chce do ubikacji, to niech da nam znać. Kto złamie którąś z tych zasad, zostanie usunięty z pociągu. Natychmiast!

Szczególny nacisk kładzie na to ostatnie słowo. Czuję, że jeśli wykonam jeden niewłaściwy ruch, zostanę wyrzucony z pociągu oraz z życia pełnego przywilejów. Przez długą nocną podróż nikt nie odzywa się ani słowem, nawet żeby pójść do toalety. Słychać tylko terkot kół na torach. Zamykam oczy, liczę rytmiczne uderzenia i bardzo staram się zasnąć.

Pociąg specjalny wysłany po zaledwie siedmiu cywili zatrzymuje się około szóstej rano. Przyjechaliśmy do Galma, stacji pierwszej klasy w prowincji Gangwon. Gdy wysiadam z wagonu, powiew porannego powietrza na mojej twarzy jest odświeżający. Dociera do mnie, jak bardzo spięty byłem w obecności żołnierzy. Wyprzedza mnie dyrektor do spraw polityki DZF Chae Chang Guk, a przy tym trąca mnie łokciem i rzuca uśmiech. Jak małe dziecko nie umie ukryć podniecenia.

Ponownie się przesiadamy – do kolejnej czekającej furgonetki. Po godzinie jazdy, i tym razem w milczeniu, wysiadamy na niewielkiej przystani ze wszystkich stron otoczonej betonowym murem, gdzie czeka na nas motorówka. Fale łagodnie chlupoczą, lecz słona woń morskiej wody jest oszałamiająca.

Silnik ożywa. Motorówka rusza z mocnym szarpnięciem i ogłuszającym rykiem. Po chwili dociera do mnie, że po raz

pierwszy w życiu płynę łodzią. Przyśpiesza szaleńczo, jakby chciała wyrzucić mnie do wody. Pochylam się, żeby chwycić się poręczy, lecz nagle żołnierz obejmuje mnie od tyłu i przytrzymuje mi dłonie. Po plecach przebiega mi dreszcz. Mówię sobie, że im bliżej jesteśmy Drogiego Przywódcy, tym silniej musimy okazywać naszą wiarę w niego. Rozglądam się i widzę, że każdego z pozostałych sześciu mężczyzn również przytrzymują żołnierze zachowujący się jak ludzkie pasy bezpieczeństwa. Spoglądam daleko wstecz, gdzie dwie smugi białej piany zlewają się za nami w ciągły strumień, i wołam na całe gardło, przekrzykując warkot silnika:

– Czy to łódź marynarki wojennej?!

Mój strażnik marszczy czoło, usiłując dosłyszeć, co mówię, a potem uśmiecha się pod nosem.

– Marynarki wojennej?! Ha! Marynarka nie ma takich prędkich łodzi! Ona jest nasza! Należy do Dowództwa Gwardii! Szybka, prawda?!

Dowództwo Gwardii odpowiada za ochronę rodziny Kima. Liczy sto tysięcy żołnierzy piechoty, marynarki i lotnictwa.

Chociaż mój stróż jest zmuszony krzyczeć, dostrzegam, że porzucił ton służbisty i rozmawia swobodnie, być może dlatego, że nie mamy już publiczności. Od razu czuję się trochę lepiej. Ma rację, łódź jest bardzo szybka: wiatr zrywa jednemu z gwardzistów czapkę z głowy, niesie ją w morze i rzuca na wodę. Patrzę na czapkę malejącą pośród fal i znikającą w dali.

Po około dwudziestu minutach zwalniamy nieopodal wyspy porośniętej drzewami. Zastanawiam się, czy pływaliśmy w kółko po niewielkiej przestrzeni tak jak w drodze na stację Yongsung. Dziób łodzi opada na wodę i wyspa staje się wyraźnie widoczna. Od czyściutkiej kei po wypielęgnowany lasek po obu stronach chodnika wszystko jest nieskazitelnie czyste. Wygląda tak, jakby całość ukończono wczoraj. Dociera do mnie, że spodziewałem się zastać Drogiego Przywódcę czekającego na nas na pomoście z rozwartymi ramionami, jak to robi w filmach rewolucyjnych. To trochę zaskakujące, że nikt nas nie wita.

Strażnicy prowadzą nas do dużego domu, gdzie zajmujemy miejsca w sali o powierzchni około tysiąca metrów kwadratowych. Każą nam milczeć. Wszystko jest białe: krzesła, podłoga, ściany. Nie ma okien. Zamiast nich świecą wmontowane w ściany zielonkawe panele.

O wpół do pierwszej, ponad cztery godziny po przybyciu na wyspę, nagle wokół nas zaczyna się ruch. Strażnicy w białych rękawiczkach spryskują czymś krzesło, na którym usiądzie Drogi Przywódca.

Towarzysz wicedyrektor każe nam znowu stanąć gęsiego. Dla bezpieczeństwa mamy zdjąć i oddać zegarki. Każdemu z nas wręczają niedużą kopertę. Znajduje się na niej japoński nadruk. Wewnątrz jest mała bawełniana szmatka, która pachnie alkoholem.

– Musicie zdezynfekować dłonie, zanim podacie rękę Generałowi – poucza nas towarzysz wicedyrektor. Potem podchodzi i właśnie do mnie kieruje kolejną, surową instrukcję: – Nie wolno patrzeć Generałowi w oczy. – Wskazuje na drugi guzik swojego munduru i mówi: – Macie patrzeć tutaj. Zrozumiano?

Zastanawiam się, czy chodzi o to, żeby mi uzmysłowić moją niższość wobec Drogiego Przywódcy, ale ta myśl prędko mija. Czekamy dalej, tymczasem towarzysz wicedyrektor podejmuje ostatnie decyzje związane z przydziałem miejsc. Znowu trafiłem na koniec. W pomieszczeniu znajduje się siedmiu cywili i ponad dwudziestu gwardzistów. Przez kolejne dziesięć minut stoimy sztywno, wpatrując się w zamknięte wrota. Są duże, białe, ozdobione pozłacanymi kwiatami.

Gdy w końcu się otwierają, wchodzi przez nie gwardzista w randze pułkownika i staje na baczność.

– Teraz do pomieszczenia wejdzie Generał – oznajmia.

Wszyscy i wszystko zastyga jak kamień. Nie ruszając głową, zawieszam wzrok w połowie wysokości łuku, gdzie wkrótce pojawi się twarz Kim Dzong Ila.

Mija kolejna minuta. Niespodziewanie do sali wtacza się mały biały szczeniak. To maltańczyk o kręconej sierści. Za nim pojawia się stary człowiek, który goni swego pieska. Wszyscy chórem witamy Drogiego Przywódcę:

– Niech żyje Generał! Niech żyje Generał!

Od naszego wspólnego okrzyku bolą mnie bębenki, ale szczeniak na nic nie zwraca uwagi. Pewnie przywykł do takiej pompy. Natomiast Drogi Przywódca chyba jest zadowolony, że jego piesek wykazał się taką odwagą, bo schyla się, żeby go pogłaskać. Potem mruczy mu coś do ucha.

Czuję się rozczarowany, widząc Drogiego Przywódcę z bliska, ponieważ mam przed sobą starego człowieka, który w niczym nie przypomina znajomej postaci Wodza Ludu. Chociaż głośno klaszczemy i wiwatujemy, nie odpowiada, chyba w ogóle nas nie zauważa. Dalej bawi się ze szczeniaczkiem; zdaje się rozżalony, że otaczają go ludzie młodsi od niego. Podnosi wzrok, jak gdyby czytał mi w myślach, a wtedy na moment staje mi serce. Wołamy jeszcze głośniej, jakbyśmy wszyscy czekali na tę chwilę:

– Niech żyje Generał! Niech żyje Generał!

On rozgląda się po sali, a potem rusza w moją stronę.

Przygotowuję się na wspaniałe spotkanie, ale mija mnie i zatrzymuje się przed hasłem, które widnieje na ścianie za nami. Żółtymi literami na czerwonym tle napisano: Służmy Wielkiemu Przywódcy Towarzyszowi Kim Dzong Ilowi, oddając mu swe życie!

– Kim Yong Sun! – woła. Sekretarz partii Kim Yong Sun podbiega do niego błyskawicznie. – To jest ręcznie malowane? – pyta go Kim Dzong Il. – Czy drukowane?

Z bliska jego głos zaiste należy do wielkiego przywódcy. W każdej sylabie rozbrzmiewa najwyższy autorytet.

Widząc, że Kim Yong Sun się waha, odpowiada za niego towarzysz wicedyrektor:

– Ręcznie malowane, Generale.

– Dobrze wygląda – mówi Kim Dzong Il. – W zeszłym tygodniu pojechałem gdzieś, gdzie hasła wydrukowali na emalii. Ale

ręcznie malowane wyglądają dużo lepiej, nie sądzicie?

Tym razem Kim Yong Sun ma gotową odpowiedź:

– Tak jest, Generale, zgadzam się. Już się o to dowiadywałem. Poinformowano mnie, że będziemy dalej produkować hasła emaliowane, bo ręcznie malowane wymagają drogich materiałów z importu.

Kim Dzong Il nie zwraca na niego uwagi. Cofa się o parę kroków, jeszcze przez kilka sekund ogląda slogan, a potem z szybkim ruchem ręki wydaje polecenie:

– Wymienić istniejące egzemplarze tego hasła w całym kraju na ręcznie malowane.

Próbuję policzyć to w myślach. Ile będzie kosztował taki projekt? Właśnie w tym momencie Generał obraca się i odzywa się do mnie znienacka:

– Ty, chłopcze! – huczy. – Czy to ty napisałeś ten wiersz o lufie karabinu?

Wyszczekuję starannie sformułowaną odpowiedź:

– Tak, Generale! Być w waszej obecności to dla mnie zaszczyt!

Podchodzi do mnie, uśmiechając się pod nosem.

– Ktoś napisał go za ciebie, prawda? Niech ci nie przyjdzie do głowy kłamać. Każę cię zabić. – Kiedy wpadam w panikę, Drogi Przywódca parska śmiechem i szturcha mnie w ramię. – To komplement, głuptasie. Ustanowiłeś nowy standard dla całej ery *Songun*.

Nie potrafię się odezwać i wcale mi nie pomaga, że Kim Yong Sun świdruje mnie wzrokiem. Zanim Generał zdąży zająć miejsce, Kim Yong Sun znajduje okazję, żeby mnie skarcić.

– Głupi gnojku. Powinieneś był mu podziękować. Powinieneś obiecać, że będziesz mu pisał wiersze lojalności nawet zza grobu – syczy mi do ucha.

Potem ponownie przybiera radosny wyraz twarzy i goni za Kim Dzong Ilem. Wraca na swoje miejsce i łagodnie przesuwa dłońmi po pośladkach, zanim dotkną krzesła, tak jak kobieta, która siadając, przygładza sukienkę. Reszta oficjeli zachowuje się nie mniej uroczyście. Wydaje się, że zamiast prawdziwych ludzi

posadzono tu rzeźby niezdolne do ruchu. Najaktywniejszą istotą w sali jest maltańczyk Drogiego Przywódcy. Skomli podniecony i biega wokół nóg swojego pana.

Kim Dzong Ila nie interesują rozmowy towarzyskie. Jego uwagę skupia biały szczeniaczek. Generał koncentruje się na tym, co robi piesek, co może myśleć. Raz po raz woła jednak: „Hej, Im Tong Ok!” albo „Hej, Chae Chang Guk!”, a wtedy przywołany mężczyzna biegnie do niego na rozmowę. To osobliwa scena, w której Drogi Przywódca wyżej ceni szczeniaczka niż każdego ze swych najlojalniejszych ludzi.

Po dziesięciu, może piętnastu minutach otwierają się podwójne drzwi. Pojawiają się mężczyźni w białych smokingach i czerwonych muszkach, wysoko niosąc tace. Na drugim końcu sali technicy zgięci wpół pokornie uwijają się na scenie, ustawiają mikrofony oraz światła. Orkiestra zajmuje miejsca i zaczyna grać. Zaraz rozpocznie się uczta. Czuję się trochę rozczarowany, ponieważ spodziewałem się usłyszeć z ust Drogiego Przywódcy nowy wzniosły aforyzm albo złotą myśl. Wkrótce jednak jedzenie i muzyka pozwalają mi o wszystkim zapomnieć. Jestem urzeczony.

Ilekroć obsługa wnosi kolejne danie, światła w panelach ściennych przybierają nowy niesamowity kolor. Kiedy na stół trafiają warzywa, jaskrawa trawiasta zieleń zmienia się w jasny fiolet, a gdy wniesione zostaje mięso, fiolet przechodzi w głęboką czerwień. Odkrycie, że światła mogą być częścią sposobu podania posiłku, oszałamia mnie. Półmisek z rybą lśni tak bardzo, że nie czuję smaku potrawy. Rozmieszczone wokół niego maleńkie światła punktowe sprawiają, że rybie łuski migoczą.

Wino jest nieco cierpkie. Mój kelner, który jak cały personel Kim Dzong Ila również należy do Dowództwa Gwardii i ma stopień wojskowy, wskazuje napis *Baedansul* na etykiecie butelki. Zawartość opisuje jako czterdziestoprocentowy alkohol opracowany w Instytucie Nauk Fundamentalnych. To ciało naukowe zajmuje się badaniem zdrowia Drogiego Przywódcy, dlatego również podlega Dowództwu Gwardii. Pracuje tam trzy

tysiące naukowców, którzy tworzą i przygotowują leki mające przedłużyć życie Kim Dzong Ila. Aby sprawdzić działanie różnych lekarstw i pokarmów, posługują się grupą doświadczalną złożoną z mężczyzn z całego kraju o tych samych chorobach i budowie ciała co Drogi Przywódca. Z dumą mogę powiedzieć, że wiem o tej ważnej pracy więcej niż większość ludzi, ponieważ w Instytucie pracuje starszy brat mojego kolegi.

Kulminacją bankietu jest deser. Otrzymuję puchar z dużą kulką lodów, które kelner polewa przejrzystym alkoholem, a potem podpala. W naczyniu tańczy dziki błękitny płomień. Gdy nabieram trochę lodów na małą łyżeczkę, ogień unosi się wraz z nią. Kim Yong Sun trąca mnie w ramię i radzi:

– Najpierw zdmuchnij, dopiero potem jedz. Ale nie za dużo. Bardzo mocne – dumnie dzieli się tą informacją.

Na moment zatracam się w sprzecznych odczuciach ciepła i chłodu w ustach. Potem Kim Dzong Il przywołuje mnie ruchem dłoni.

Kiedy odwiedza się dom lub miejsce pracy członka aktywu, który dostąpił zaszczytu uczestniczenia w bankiecie zorganizowanym przez Drogiego Przywódcę, na honorowym miejscu w gablocie zawsze stoi kieliszek, którym się z nim stuknął. Rozumiem, że Drogi Przywódca chce obdarować mnie takim skarbem. Kelner, stojący właśnie z tego powodu w pobliżu, prędko wręcza mi duży kieliszek. Nieprzygotowany, pośpiesznie niosę naczynie do Kim Dzong Ila, a ten napełnia je ciemnoczerwonym winem i mówi: „Oby tak dalej”.

Zgięty wpół w głębokim ukłonie widzę pod stołem jego stopy. Zdjął buty. Nawet Generał nie jest wolny od przekleństwa obolałych stóp! Zawsze wyobrażałem go sobie jako boską istotę, która nie chodzi nawet do toalety. Tak nas uczono w szkole i tak mówi partia: żywot naszego Generała to nieustająca seria cudów; a my wszyscy, śmiertelnicy, nie dorównalibyśmy mu przez całe życie. Otrzymawszy wspaniałe zaproszenie do jego kręgu, sądziłem, że wkroczę w boski wymiar czasu.

Oto jednak stoję i zaglądam w jego buty z wysokimi obcasami i wewnętrznym koturnem grubości co najmniej sześciu czy siedmiu centymetrów. Te buty zwodzą jego lud. Chociaż rzadkie ondulowane włosy pozornie dodają mu wysokości, boso Drogi Przywódca nie może mieć więcej niż metr sześćdziesiąt centymetrów wzrostu.

Po jego wcześniejszych majestatycznych rozkazach jestem zdezorientowany również tym, jak Generał wysławia się przy stole. Używa ordynarnego slangu. We wszystkich książkach i na wszystkich wykładach, które czytałem i których słuchałem od dziecka, jego słowa przytaczane są nie tylko jako przykłady idealnego języka, ale również mówią prawdę o naszej ojczyźnie. Mowa Drogiego Przywódcy jest zawsze elegancka, piękna, a przede wszystkim uprzejma wobec ludu. Dziś jednak Kim Dzong Il miesza podmiot z orzeczeniem. Nie nazywa nawet nikogo towarzyszem, tylko woła członków aktywu per ty albo chłopcze. To nie ma sensu.

Pod koniec deseru barwne światło przygasa. Na scenie pojawia się kobieta ubrana w białą sukienkę w zachodnim stylu z odsłoniętymi ramionami. Orkiestra gra instrumentalny wstęp, a potem kobieta zaczyna śpiewać rosyjską pieśń ludową.

Kiedy śpiewa, Kim Dzong Il zaczyna drżeć. Chociaż światła są skierowane na artystkę, protokół nakazuje nam skupiać uwagę wyłącznie na nim. Patrzymy, jak wyjmuje lśniącą białą chustkę. Mrugam, a wtedy członek aktywu siedzący obok mnie również sięga po chusteczkę. O dziwo pozostali robią to samo. Potem Generał nieco pochyla głowę i ociera kąciki oczu. Nie wierzę w to, co widzę. Oto oglądam jego łzy! Cóż się ze mną stanie po tym, gdy patrzyłem na coś tak intymnego?

Mocno zaciskam powieki z podziwu i przerażenia.

Kiedy je otwieram, widzę najdziwniejszą scenę w swoim życiu. Moi towarzysze, którzy niedawno promienieli radością podczas uczty z Drogim Przywódcą, zaczęli płakać. Jak to się stało? Czy ujdę z tego bankietu z życiem? Zanim jednak zdążę pomyśleć o czymś jeszcze, mnie też pieką oczy i łzy płyną mi po

policzkach. Tak, muszę płakać. Żyję w lojalności wobec Generała. Nie tylko lojalności w myśli i czynie, ale także lojalności duszy. Gdy powtarzam w sercu te słowa: „muszę płakać, muszę płakać”, moje łzy są coraz gorętsze, z głębi mego jestestwa wyrywa się okrzyk bólu.

Nie umiem opanować drżenia, a tymczasem pieśń się kończy. Nie ma braw, salę wypełnia zawodzenie. Powoli zapalają się światła, a nasz płacz prędko słabnie, przeradzając się w ciche pochlipywanie, jakbyśmy wcześniej to przećwiczyli.

Ocieram oczy i rozglądam się wkoło, patrzę na twarze członków aktywu. Jeszcze przed chwilą płakali, lecz teraz bacznie wpatrują się w Drogiego Przywódcę, wyczekując komendy do kolejnego aktu synchroniczności. Po raz pierwszy w życiu żenuje mnie lojalne posłuszeństwo.

W drodze powrotnej do domu prześladuje mnie niepokojące pytanie. Dlaczego Drogi Przywódca płakał? Zdaję sobie sprawę z tego, że północnokoreański Departament Propagandy i Agitacji postanowił pokazać go we łzach po śmierci jego ojca Kim Il Songa w 1994 roku, kiedy w całym kraju zawalił się państwowy system dystrybucji. Na początku 1995 roku pogłoski, że na prowincji ludzie umierają z głodu, zaczęło uwiarygadniać to, co działo się w samym Pjongjangu.

Kiedy centra dystrybucji żywności zamknięto, a ucieczki z pracy w poszukiwaniu jedzenia rozprzestrzeniały się niczym wirus, partia wprowadziła slogan: „Jeśli przeżyjesz tysiąc mil cierpienia, czeka cię dziesięć tysięcy mil szczęścia”. Stan niedoboru żywności oficjalnie nazwano Żmudnym Marszem, a ludność zachęcano do pójścia za przykładem naszego Generała, który stał na czele zmagań.

Na dowód tego stale grano w telewizji pieśń pod tytułem *Kulki ryżowe Generała*. Opowiadała o tym, że Drogi Przywódca co dnia przemierza setki mil, niosąc wsparcie mieszkańcom całego kraju, a żywi się tylko jedną kulką ryżu. Przed rozpoczęciem Żmudnego

Marszu telewizja zawsze pokazywała naszego Wodza uśmiechniętego, bo prowadził nas do zwycięstwa socjalizmu. Kiedy ludzie po raz pierwszy zobaczyli na ekranach łzy naszego boskiego Drogiego Przywódcy, wybuchali masowo spontanicznym, nieopanowanym płaczem.

Gdy jadę do domu, dogłębnie porusza mnie moja reakcja na widok prawdziwych łez Kim Dzong Ila. Towarzyszy mi niepokojąca myśl, z której trudno się otrząsnąć: to nie były łzy współczującego bóstwa, ale zrozpaczonego człowieka.

Część pierwsza
DYKTATOR

1

Wojna psychologiczna

Byłem lojalny i nieustraszony. Nie musiałem żyć w strachu przed konsekwencjami spóźnienia się do pracy ani jak inni członkowie aktywu schylać głowy i nie rzucać się w oczy na posiedzeniach partyjnych, żeby nie zostać następnym celem krytyki. Miałem immunitet dzięki Drogiemu Przywódcy, który mnie pochwalił, poruszony moim wierszem na jego cześć.

Świat może potępiać Koreę Północą jako bezwzględny reżim zabijający własnych obywateli, twierdzić, że to opresyjny system oparty na fizycznej przemocy. Ale jest to tylko cząstkowe spojrzenie na sposób kierowania tym państwem. Przez całe życie Kim Dzong Il podkreślał, że rządzi przez muzykę i literaturę. Chociaż był zwierzchnikiem sił zbrojnych Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej (KRLD) i przewodniczącym Narodowej Komisji Obrony, nie miał doświadczenia wojskowego. Co więcej, swą karierę zaczął w zawodzie twórczym, a drogę do sukcesji rozpoczął od pracy w partyjnym Departamencie Propagandy i Agitacji (DPA).

Wyrażając to językiem „dyktatury” rozumianym przez świat zewnętrzny, Kim Dzong Il władał za pomocą obosiecznego miecza: owszem, był dyktatorem posługującym się fizyczną kontrolą, ale również dyktatorem w sensie subtelniejszym i bardziej wszechobecnym: dzięki całkowitej władzy nad kulturową tożsamością swojego ludu. W sposób charakterystyczny dla socjalizmu, gdzie ideologia jest ważniejsza od dóbr materialnych, zmonopolizował media i sztukę jako kluczowy element swej władzy absolutnej. To dlatego każdy pisarz w Korei Północnej tworzy w ramach hierarchii mającej

początek w Komitecie Centralnym Związku Pisarzy przy Departamencie Propagandy i Agitacji partii.

Każdy, kto stworzy dzieło niezlecone mu zgodnie z tym porządkiem, z definicji jest winny zdrady stanu. Wszystkie utwory literackie w Korei Północnej muszą powstać w odpowiedzi na konkretny wniosek z Partii Pracy. Kiedy pisarz złoży tekst, musi on zostać prawnie zaakceptowany, zanim uzna się go za nowe dzieło. Oczywiście autorzy wyróżniających się utworów spełniających te standardy zostają nagrodzeni. Rolą północnokoreańskiego twórcy przy każdym przydzielonym zadaniu jest jak najdoskonalej dać wyraz określonej idei zgodnie z szeregiem z góry ustalonych wymogów estetycznych w konsultacji z Partią Pracy. Nie do pisarza należy artykułowanie nowych idei ani eksperymentowanie z estetyką według własnych zachcianek.

W ten oto sposób literatura odgrywa centralną rolę nie tylko w północnokoreańskiej sztuce, ale również w strukturze społecznej państwa. Przed 1994 rokiem, kiedy żył Wielki Wódz Kim Il Song, najpopularniejszym gatunkiem była powieść. Niemal wszystkie najważniejsze odznaczenia państwowe, takie jak Medal Kim Il Songa, Order Heroicznego Wysiłku i tytuł Współtowarzysza Kim Il Songa, zgarniali państwowi powieściopisarze. Powieść zapewniała idealną formę narracji pozwalającą wychwalać wspaniałe czyny Wielkiego Wodza.

Swoje robiło również to, że przez ostatnie lata życia Kim Il Song zatapiał się w świecie powieści. Szczególnie interesowała go twórczość pisarzy należących do Grupy Literackiej 15 Kwietnia, instytucji literackiej pierwszej klasy, której zakresem działań jest rewolucyjna historia Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Podobnie jak w przypadku stacji kolejowych określenie „pierwszej klasy” pojawia się w tytułach stanowisk tych zawodowców, których praca dotyczy bezpośrednio rodziny Kimów. Zresztą także wspomnienia Kim Il Songa, zatytułowane *W wirze stulecia*, zostały sporządzone przez grupę pisarzy pierwszej klasy z Grupy Literackiej 15 Kwietnia. Wśród elity wspomnienia były znane

jako jedna z ulubionych książek Kim Il Songa. Pewnego razu, podczas spotkania członków północnokoreańskiego aktywu mających koneksje rodzinne w Japonii, Kim Il Song opowiadał, ku rozbawieniu gości, jak bardzo lubi oddawać się tej lekturze. Kiedy zmarł, a w instytucjach państwowych umocniła się władza jego syna Kim Dzong Ila, status powieściopisarzy uległ zmianie. W dziedzinie literatury do łask doszła poezja. Nie wiązało się to wyłącznie z preferencjami Kim Dzong Ila. Zjawisko to umocnił – o ile nie zapoczątkował – niedobór papieru, gdy załamała się północnokoreańska gospodarka i ludzie z trudem walczyli o przetrwanie. Kiedy w kraju brakowało papieru nawet na szkolne podręczniki, mało kto mógł sobie pozwolić na opasłą powieść rewolucyjną. Poezja pozwalała natomiast z powodzeniem zawrzeć kluczowe doktryny lojalności wobec dynastii Kimów na jednej stronie gazety. To dlatego właśnie ona stała się dominującym narzędziem literackim, poprzez które Kim Dzong Il sprawował swą kulturalną dyktaturę.

Wraz ze spadkiem liczby powieściopisarzy oraz wzrostem popytu na poezję i poetów zrodziła się potrzeba ustanowienia bardziej rygorystycznej hierarchii zawodowej. Poeci epiccy piszą długie wiersze, a poeci liryczni – krótsze. To rozróżnienie gatunkowe miało określić rangę poety, choć tylko Partia Pracy mogła zarządzić, jaki rodzaj poezji ma uprawiać dany twórca oraz którzy z nich dostąpią zaszczytu wychwalania Kim Dzong Ila. Gatunek poezji epickiej o Kim Dzong Ilu był w szczególności zarezerwowany dla zaledwie sześciu najbardziej zasłużonych artystów Korei Północnej. W 1999 roku jako dwudziestoośmiolatek zostałem najmłodszym członkiem owej elity poetów dworskich. Patrząc na to wyłącznie z perspektywy wieku i doświadczenia, osiągnąłem coś niemożliwego. Jednakże w przeciwieństwie do pozostałych literatów byłem także pracownikiem Departamentu Zjednoczonego Frontu – ta praca dawała mi wstęp do świata zupełnie nieznanego większości zwykłych Północnokoreańczyków. Miałem tam wgląd nie tylko

do tajemnic państwowych, ale również do rzeczywistości daleko wykraczającej poza zakres działania Partii Pracy.

Departament Zjednoczonego Frontu (DZF) to kluczowa część Partii Pracy odpowiedzialna za szpiegostwo międzykoreańskie, kreowanie polityki oraz dyplomację. Od 1953 roku Koreę dzieli linia rozejmu znana jako Koreańska Strefa Zdemilitaryzowana (DMZ), utrzymywana z obu stron przez siły wojskowe. Podział Półwyspu Koreańskiego nie wynika z różnic językowych, religijnych czy etnicznych, ale z różnicy ideologii politycznej. Północnokoreańska wersja socjalizmu, zbudowana na fundamencie absolutnej jedności instytucjonalnej, postrzega pluralizm i samostanowienie jako największego wroga. Dlatego też Partia Pracy od ponad półwieku wytrwale prowadzi wojnę psychologiczną wymierzoną w Koreańczyków zarówno z Północy, jak i z Południa.

Realizacji tej najświętszej misji poświęcona była moja praca w Wydziale 19 (poezja) Sekcji 5 (literatura) Biura 101. Mimo niesamowitego, nieumyślnego podobieństwa tej nazwy do Orwellowskiego pokoju 101 urząd, o ironio, nazwano tak właśnie po to, żeby uniknąć jakichkolwiek sugestii na temat charakteru naszej pracy. Instytucję utworzono w 1970 roku, a Kim Il Song podpisał dekret pierwszego października i stąd liczba 101.

Gdy utworzono mój departament, pierwotnie specjalizował się on w prowadzeniu wojny psychologicznej wymierzonej w Południe za pośrednictwem środków kulturalnych takich jak prasa, literatura, muzyka i film. Od końca lat siedemdziesiątych dążył przede wszystkim do wzmacniania w ludności południowokoreańskiej nastrojów antyamerykańskich i propółnocnych, wykorzystując ruchy demokratycznej opozycji przeciwko ówczesnemu reżimowi wojskowemu.

Dzieła, które tu powstawały, rozpowszechniano pod szyldem południowokoreańskich wydawnictw. Przyjmowały one nawet tamtejszy charakterystyczny styl literacki, naśladowały najpopularniejszy krój czcionki, jakość i gramaturę papieru. Również w dziedzinie muzyki naśladowano instrumentalne

i wokalne aranżacje skopiowane z południowokoreańskich nagrań. Wyprodukowane w ten sposób książki i kasety nasz departament systematycznie dystrybuował za pośrednictwem propółnocnych organizacji w Japonii oraz państwach Azji Południowo-Wschodniej, a następnie przesyłał organizacjom demokratycznej opozycji w Korei Południowej. Tak oto mój departament zasiewał ziarno, które z pozoru wydawało się politycznym paradoksem: nawet dziś sympatię wobec KRLD odczuwają w Korei Południowej niemal wyłącznie przedstawiciele obozu demokratycznego, postępowego i antyautorytarnego.

Podobnie jak na plaży kostium kąpielowy jest bardziej stosowny niż garnitur, tak samo – aby zachować wierność południowokoreańskiemu kontekstowi – sloganem obowiązującym w DZF była „lokalizacja", która oznaczała, że musieliśmy przyswoić sobie charakter i tożsamość Południowokoreańczyków. Pierwszy dzień mojej pracy w Biurze 101, a co za tym idzie mój wstęp do tej południowokoreańskiej bańki, przypadł na dwunastego sierpnia 1998 roku. Miałem wtedy dwadzieścia siedem lat. Nigdy nie byłem z siebie bardziej dumny niż wówczas, kiedy po raz pierwszy wkroczyłem do tajnego świata DZF.

Moje biuro znajdowało się w zabudowanej dzielnicy Ryunghwa w centralnym obszarze Pjongjangu. Uderzająco odmienny charakter świata Biura 101 rzucił mi się w oczy, gdy tylko znalazłem się na jego terenie. Całość otoczona była wysokim murem z dużą stalową bramą. Symbolizowało to odrębność świata, do którego zwyczajni ludzie nie mogli nawet zajrzeć. Pracownicy wchodzili przez niewielką furtkę wbudowaną w bramę. Naraz mógł się przez nią przecisnąć tylko jeden człowiek. Strzegł jej pojedynczy żołnierz.

Jego obecność była także symbolem odróżniającym tę instytucję od reszty północnokoreańskiego społeczeństwa, w którym pracownicy zwykle na zmianę strzegli i obserwowali swoich kolegów. Jakby dla potwierdzenia, że warta żołnierza jest

czymś osobnym względem reszty obowiązków w DZF, zanim pozwolono mi po raz pierwszy postawić stopę na terenie kompleksu, moją obecność musiał wytłumaczyć strażnikowi specjalnie wysłany członek aktywu z komitetu partyjnego naszego departamentu, a następnie dokładnie sprawdzić moją tożsamość.

Kiedy już wszedłem, dziedziniec okazał się bardzo duży w porównaniu z małym i nierzucającym się w oczy wejściem. Wszystko wylano betonem, nie było ani śladu gołej ziemi. Członek aktywu, który po mnie przyszedł, wyjaśnił, że czterokondygnacyjny budynek naprzeciw nas to właśnie centrala Biura 101. Po lewej stronie głównego gmachu znajdowały się biblioteka literatury południowokoreańskiej oraz aula. Po prawej, w Biurze Komunikacji 813, drukowano podrabiane książki pod szyldem południowokoreańskich wydawnictw. Wskazawszy bibliotekę, członek aktywu wytłumaczył, że w czasach japońskiej okupacji mieściła się tu jedyna szkoła kurtyzan w Pjongjangu. Dodał, że w przeszłości z kurtyzan słynęło Wolhyang-dong w niedalekiej dzielnicy Moranbong, po czym uśmiechnął się znacząco.

Moje biuro w Wydziale 19 (poezja) znajdowało się na drugim piętrze głównego gmachu. W owych czasach pracowało tam osiem osób: siedmiu mężczyzn i jedna kobieta. Kiedy otworzyłem drzwi, natychmiast ujrzałem długie drewniane biurka po obu stronach pomieszczenia. Przy każdym zajmowały miejsce cztery osoby. Podczas pracy siedzieliśmy twarzami do ściany. Gdy tylko stanąłem na marmurowej posadzce, niewiele brakowało, żebym odwrócił się i wyszedł; miałem wrażenie, że wpadłem przypadkiem na miejsce najstraszniejszej zbrodni w Korei Północnej – zdrady stanu – której skali nie potrafiłby sobie wyobrazić ani wyolbrzymić nikt inny w kraju. Zakazane materiały, zalegające cały pokój jak gdyby nigdy nic, w każdym innym pomieszczeniu w Korei Północnej ściągnęłyby na obecnych karę śmierci. Wszędzie indziej absolutnie nie do przyjęcia byłby także umieszczony na honorowym miejscu

szokujący slogan, który przeczył półwieczu demonizowania Południa. Rozrzucone niedbale wrogie książki i czasopisma zdumiewały mnie niewiele mniej niż instrukcja dla Biura 101 od Kim Dzong Ila, z szacunkiem oprawiona w ramę i wywieszona na pokaz na pustej białej ścianie: „Zamieszkajcie w Seulu, choć jesteście w Pjongjangu”. To, co poza ścianami tego pomieszczenia stanowiło przeraźliwy akt zdrady, wewnątrz było nie tylko dozwolone, ale zachęcał do tego sam Kim Dzong Il! Wódz wymagał, abyśmy wczuli się w południowokoreańskią psychikę, po to, by ją podkopać i odnieść nad nią triumf. Każdego dnia pracy w DZF towarzyszył mi zachwyt nad surowym kontrastem naszego tajnego świata z zamkniętą społecznością poza murami kompleksu.

Codziennie, z przepustkami Partii Pracy w kieszeniach, stawialiśmy się w Biurze 101 o ósmej rano i zaczynaliśmy pracę od lektury południowokoreańskich gazet. Choć oficjalna nazwa Korei Północnej to Ludowo-Demokratyczna Republika Chosunu, kraj sam siebie nazywa Chosunem, Koreę Południową – południowym Chosunem, a granice Korei określa z perspektywy KRLD. Natomiast podczas pracy w Biurze 101 termin „Korea Południowa” widzieliśmy w gazetach wszędzie i jego używanie stało się naszą drugą naturą. W Korei Północnej władze Południa przedstawiane były jako zdradliwy reżim kierowany przez służalczego przywódcę, który nadal zdradza Koreańczyków i ich kraj, aby uczynić ich marionetkami Stanów Zjednoczonych. Natomiast za pośrednictwem gazet wypełniających nasz pokój poznaliśmy go jako prezydenta Korei Południowej.

Ponieważ nikomu w naszym biurze nie wolno było mówić o swojej pracy ani wiedzieć czegokolwiek o pracy kolegów, na naszych biurkach nie znajdowało się nic niezwiązanego bezpośrednio z aktualnym zadaniem – oprócz kalendarza. W całym pokoju wyróżniało się jedynie małe lusterko na stoliku naszej koleżanki, stanowczo wyznaczające jej przestrzeń jako terytorium kobiety. Gdyby nie inne zamki w szufladzie każdego z nas, pozostali mogliby zapomnieć, które miejsce jest czyje.

Podobnie jak nasze szuflady zawsze pozostawały zamknięte, tak samo członkowie mojego zespołu rzadko opowiadali o swoim życiu osobistym, chociaż pracowało nas tu tylko ośmioro. Pewnego razu w drodze do domu ostrożnie zapytałem starszego kolegę z DZF, dlaczego tak jest. Jego odpowiedź mnie zaskoczyła. Wyjaśnił, że na terenie biura wszyscy zachowują dystans nie tyle ze względów bezpieczeństwa, co z powodu charakteru naszej pracy. Na zewnątrz byliśmy mieszkańcami Pjongjangu i obywatelami Korei Północnej. Wewnątrz natomiast każdy z nas stawał się mieszkańcem Korei Południowej. Ponieważ w tym obcym wcieleniu nie mieliśmy wielu tematów do rozmowy, nieporuszanie tematów osobistych stało się zawodowym zwyczajem. Kiedy mi to wytłumaczył, lepiej zrozumiałem, że esencją lokalizacji była nasza kameleonowa dwoistość.

Niemniej przywilej owej lokalizacji ściśle kontrolowano. Południowokoreańskie gazety udostępniano nam tylko na jeden dzień, a przed wyjściem z pracy musieliśmy je zwrócić do biblioteki. Książki oraz wiersze mogliśmy wypożyczyć na kilka dni, ale przed opuszczeniem terenu DZF należało zamknąć je w szufladach. Wynoszenie jakichkolwiek południowokoreańskich materiałów poza kompleks było zakazane, a bibliotekarz składał nam czasem niezapowiedziane wizyty, żeby sprawdzić, czy stosownie zabezpieczamy lektury.

Naszym głównym zadaniem od przyjścia do pracy aż do jej zakończenia była przemiana w południowokoreańskich poetów i pisanie południowokoreańskiej poezji. Mówiąc precyzyjniej, wcielaliśmy się w południowokoreańskich poetów popierających Kim Dzong Ila. Mój południowokoreański pseudonim brzmiał Kim Kyong Min. Nasze imiona i nazwiska musiały się różnić od tych autentycznych, a gdy kazano mi wybrać pseudonim, posłużyłem się nazwiskiem pierwszego krewnego, który przyszedł mi do głowy. Kierownik Park Chul przez trzy godziny rozmyślał, czy brzmi ono wiarygodnie dla południowokoreańskiego poety, a wreszcie wyraził zgodę, żebym je przyjął.

W nagrodę za specjalistyczną pracę oprócz zwykłych racji żywności otrzymywaliśmy w każdą sobotę dodatkowy przydział importowanego jedzenia. Ze względu na naszą tożsamość mieszkańców świata zewnętrznego te zasoby – za każdym razem inne – również pochodziły stamtąd. Pozyskiwano je z pomocy humanitarnej ONZ oraz reszty społeczności międzynarodowej, a także od południowokoreańskich organizacji pozarządowych i religijnych. W pięciokilogramowych paczkach, które dostawaliśmy, bywały amerykański ryż, ser, masło, oliwa, majonez, a nawet bielizna i skarpetki. Czasami także ciasteczka i inne słodycze albo mleko w proszku dla niemowląt. Ponieważ dawano nam tak wiele, odbieranie zwykłych przydziałów z publicznego systemu dystrybucji, od których zależało przetrwanie reszty Korei Północnej, było dla nas przykrym obowiązkiem.

Paczki z zagranicy zawsze przychodziły z nienaruszonymi naklejkami. Istnienie tego rodzaju pomocy międzynarodowej postrzegano jako wstydliwy sekret, którego w czasach powszechnego głodu reżim nie mógł wyjawić zwykłym mieszkańcom, żeby nie podważyć państwowej ideologii „samodzielności". Ponieważ jednak zadaniem naszego wydziału były życie i praca w roli ludzi z zewnątrz, wydawało się logiczne, że powinniśmy otrzymywać dobra stamtąd pochodzące. Zostaliśmy do tej pracy starannie wybrani i ufano, że nie zdeprawuje nas kontakt z owymi zagranicznymi głosami i dobrami. Zezwolenie na zamieszkiwanie w świecie takich przywilejów wydawało się błogosławieństwem.

Łatwo konsumować zagraniczne produkty, trudniej natomiast myśleć jak ktoś z zewnątrz. Pewnego dnia, gdy nie radziłem sobie z pisaniem jako mieszkaniec Korei Południowej, poradziłem się kierownika Park Chula. Mimo łysiejącej głowy robił na mnie duże wrażenie. Miał podwójne powieki oraz grube, nastroszone brwi pełne charyzmy.

– W zasadzie niewiele wiem o południowym Chosunie – powiedziałem. – Brakuje mi wiedzy oraz doświadczenia, które

pozwoliłyby mi tworzyć literaturę na podstawie tamtejszego życia. Więc co właściwie powinienem tutaj pisać?

Kierownik Park Chul tak bardzo się roześmiał, że aż zaczeska spadła mu na brwi. Poprawił ją i przyklepał.

– Ani ty, ani ja nie byliśmy w Seulu! – odparł. – Chociaż wszyscy, ci z Północy i ci z Południa, jesteśmy rodakami, teraz nasze kultury się różnią. Ale to nie ma znaczenia, bo działamy z myślą o północnej publiczności, a nie o ludziach z południowego Chosunu. – Przerwał, żeby wsypać trochę gotowanego żółtka do akwarium z trzema jaskrawoczerwonymi rybkami. Resztki żółtka włożył sobie do ust, wytarł dłonie i mówił dalej: – Żeby odnieść tutaj sukces, musisz zrezygnować z własnego nazwiska czy renomy pisarza. Wiesz, kiedy pracowałem dla Związku Pisarzy, byłem wschodzącą gwiazdą. Zapewne czytałeś moje wiersze. Na przykład *Tęsknotę za krajanami*.

– Tak – odparłem, chociaż wcale nie kojarzyłem tego tytułu.

Park Chul kontynuował:

– Gdybym pozostał poetą, teraz pewnie byłbym już sławny. Jednak ponieważ działam w DZF, żaden Koreańczyk, ani tutaj, ani na Południu, nigdy nie rozpozna mojej twórczości. Ale przynajmniej pracując tutaj, mamy łatwe życie.

Słysząc, jak wzdycha, zobaczyłem w nim samotnego, starzejącego się człowieka zmuszonego zachować swoje tajne życie dla siebie i swoich kolegów. Tak jak mówił, praca w DZF oznaczała nie tylko ukrywanie naszej pracy przed rodakami z Południa, ale także przed tymi z Północy. Ze względu na powiększającą się przepaść gospodarczą między Północą a Południem już na początku lat dziewięćdziesiątych wojnę ideologiczną przeciwko Południu uważano za daremną, a kampanie propagandowe wymierzone w tamten kraj straciły parę.

W moich czasach doświadczenie i techniki wcześniej stosowane wobec obywateli Korei Południowej DZF wykorzystywał do prowadzenia ofensywy psychologicznej

przeciwko własnemu społeczeństwu. Poznane metody naśladowano w operacjach wymierzonych w Koreańczyków z Północy, choć pod innymi względami nadal prowadziliśmy wojnę kulturalną na dwóch frontach.

Praca w Biurze 101 nigdy nie ograniczała się do jednego gatunku ani medium. W grę wchodziły przemówienia, film, muzyka oraz inne formy kulturalnego wyrazu – zawsze podpisane nazwiskami obywateli Korei Południowej albo obcokrajowców – mogące posłużyć penetracji i wpłynięciu na wartości wyznawane przez Koreańczyków.

Na przykład w kwietniu 1998 roku, cztery miesiące przed rozpoczęciem przeze mnie pracy w DZF, Sekcja 1 (gazety) Biura 101 wyprodukowała artykuł, który doczekał się pochwały Kim Dzong Ila. Tekst, podpisany przybranym nazwiskiem człowieka z zewnątrz, ogłaszał, że nasz Wielki Przywódca Kim Il Song jest Słońcem Świata. Potwierdzało to zatonięcie *Titanica*. Dzień, w którym RMS *Titanic* zatonął, piętnastego kwietnia 1912 roku, to także data urodzin Kim Il Songa. Posługując się tym zbiegiem okoliczności jako dowodem historycznym, Sekcja 1 dowodziła, że „kiedy słońce zaszło na zachodzie, to wzeszło na wschodzie”. Tego typu twórczość Departamentu Zjednoczonego Frontu publikowano w partyjnej gazecie „Rodong Sinmun” albo transmitowano w telewizji – która emituje wyłącznie państwowe kanały – jako dzieła zagranicznych autorów, dziennikarzy i intelektualistów. Obywatelom Korei Północnej nigdy nie przyszłoby do głowy, że wszystkie te rzekomo zagraniczne dzieła powstały w Biurze 101 w samym sercu ich stolicy, Pjongjangu. Nic dziwnego, że odcięci od świata wierzyli, że reszta globu, w tym Korea Południowa, podziwia silne przywództwo oraz liczne osiągnięcia ich państwa.

Po śmierci Kim Il Songa w 1994 roku i publikacji długiego poematu Kim Man Younga z Komitetu Centralnego Związku Pisarzy głównym narzędziem politycznej propagandy stała się poezja epicka. Utwór miał formę modlitwy za życie wieczne Kim Il Songa. Kim Dzong Il opublikował go w „Rodong Sinmun”,

a Kim Man Younga ogłosił najlojalniejszym pracownikiem Korei Północnej. Wkrótce departament propagandy sił zbrojnych zaczął promować poezję Shin Byung Ganga, aby zademonstrować swą lojalność wobec Drogiego Przywódcy. Kim Dzong Il okrzyknął twórczość Shina oraz Kim Man Younga mianem „literatury ludowej". Obaj poeci otrzymali drogie samochody i sprzęt gospodarstwa domowego, a także luksusowe, ekstrawagancko urządzone mieszkania z pozłacanymi sztućcami.

W moim departamencie zapanowała panika. Chociaż DZF zatrudniał poetów, nie był w stanie zadowolić Kim Dzong Ila ani jednym poematem epickim – to poważne niedopatrzenie mogło poskutkować oskarżeniem całego Departamentu Zjednoczonego Frontu o niedostateczną lojalność. Kiedy zaczynałem tam pracować, stawało się to źródłem coraz większego niepokoju moich kolegów.

Problem pogłębiała specyfika personelu DZF. Ze względu na ramy wojny psychologicznej, które ograniczały działalność Departamentu, pracownicy byli biegli w dziedzinie perswazji ideologicznej, niewiele uwagi poświęcali natomiast walorom literackim swojej twórczości. Możliwe, że to tragiczna i nieunikniona konsekwencja tworzenia sztuki anonimowo, jak sugerował kierownik Park Chul, opisując niemożność publikowania dzieł pod własnym nazwiskiem. Co więcej, pisarze z DZF w procesie twórczym musieli uwzględnić dwa wyjątkowe dla siebie kłamstwa: w swym uwielbieniu dla Kim Dzong Ila mieli udawać Południowokoreańczyków i wyrazić to w podrobionej południowokoreańskiej stylistyce.

Chociaż jako dwudziestosiedmiolatek byłem najmłodszym pisarzem w zespole, brzemię naprawienia tej sytuacji spadło właśnie na mnie. Kiedy wezwano mnie do siedziby głównej DZF, żebym przyjął polecenia od pierwszego wicedyrektora Im Tong Oka, nie wierzyłem własnym uszom. Im Tong Ok sprawował najwyższą władzę w DZF i nawet szef Biura 101 nie mógł się z nim spotkać, chyba że został wezwany. DZF miało kilka sekcji,

a każdej podlegał szereg biur. Biuro 101, do którego należałem, wchodziło w skład sekcji DZF odpowiedzialnej za kształtowanie polityki. Między mną a Im Tong Okiem był szef Wydziału 19, potem szef Sekcji 5, a także kilku innych kierowników Biura 101. Wezwanie z pominięciem całej tej hierarchii to zaskakująca anomalia.

Główna siedziba DZF znajduje się na Jeonseung-dong w pjongjańskiej dzielnicy Moranbong. Długi trzykondygnacyjny gmach, który mieścił tajemnice historii Partii Pracy oraz działań szpiegowskich naszego państwa, wyglądał jeszcze groźniej niż budynek Biura 101. Jakby dla ukrycia przed światem swych sekretów zwrócony był na północ, tyłem do słońca, i porośnięty bluszczem.

Wicedyrektor Biura 101 do spraw kształtowania polityki doprowadził mnie do drzwi gabinetu dyrektora Im Tong Oka na pierwszym piętrze. Z każdym krokiem drewniane klepki skrzypiały nam pod stopami. Stary, majestatyczny budynek zbudowano chyba w dawnym rosyjskim stylu. Miał wysokie stropy i duże okna, a okazałe podwójne drzwi gabinetu dyrektora Ima potęgowały wrażenie wspaniałości.

Mój przewodnik zapukał, a potem wszedł. Zobaczyłem kolejne, otwarte drzwi. Wymamrotał coś do środka i odpowiedział mu donośny głos:

– Niech wejdzie. Proszę wejść! – zawołał pierwszy wicedyrektor Im Tong Ok.

Tytuł pierwszego wicedyrektora oznaczał, że ktoś taki dysponował pełnią władzy Kim Dzong Ila w jednym z kluczowych ministerstw w państwie. Było tylko sześć instytucji uważanych za dostatecznie ważne, żeby kierował nimi pierwszy wicedyrektor: Departament Organizacji i Przywództwa (wykonawcze ramię Kim Dzong Ila, działające ponad konstytucją i dysponujące nieograniczonymi uprawnieniami do interwencji w dowolnej sferze), Departament Propagandy i Agitacji (w którym stanowisko pierwszego wicedyrektora pozostawało nieobsadzone aż do 1998 roku, kiedy to Kim Dzong Il przydzielił

tę funkcję Jung Ha Chulowi), Departament Zjednoczonego Frontu, Biuro 38 (odpowiedzialne za osobisty majątek Kim Dzong Ila), Biuro 35 (prowadzące zagraniczną działalność wywiadowczą) oraz Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego (tajna policja).

Dyrektor Im przyszedł powitać mnie w drzwiach. Jego oblicze oraz przeszywające spojrzenie sugerowały, że jako pełnomocnik Kim Dzong Ila w istocie ma władzę nad wszystkimi sprawami związanymi z Koreą Południową i zewnętrznym wizerunkiem Korei Północnej. Może jednak wprawiła go w osłupienie sytuacja, w której się znalazł – przydzielenie tak znaczącego obowiązku niedoświadczonemu młokosowi – albo po prostu brakowało mu słów. Otarł szerokie czoło, zebrał całą troskę, jaką zdołał zawrzeć w swych głębokich zmarszczkach, a następnie w rozwlekły sposób dał mi do zrozumienia, że tego zadania nie przydziela beztrosko. Potem gwałtownie stanął na baczność i oznajmił z absolutnym przekonaniem:

– Teraz zostanie zakomunikowany rozkaz Generała.

Ilekroć przekazuje się słowa Kima w formie rozkazu, listu albo dyplomu uznania, wygłaszający musi stanąć na baczność i zadbać o pełen szacunku wygląd, nieskazitelnie czysty strój oraz zapięcie wszystkich guzików koszuli. Lojalność wobec Kim Dzong Ila należało demonstrować nawet w najdrobniejszych czynach, a także poprzez ogólną postawę. Kiedy dyrektor Im stanął na baczność, odruchowo zrobiłem to samo, czekając na jego kolejne słowa.

– Generał złożył zamówienie na poemat epicki przeznaczony do wykorzystania w wojnie psychologicznej – kontynuował. – Dzieło to musi promować pogląd, że nasza polityka *Songun* została sformułowana dla ochrony Korei Południowej. Departament Zjednoczonego Frontu przydziela to zadanie towarzyszowi Kim Kyong Minowi – oznajmił, posługując się moim przybranym południowokoreańskim nazwiskiem.

Wydawało się, że dyrektor Im będzie mówił dalej, ale przerwał, widząc, że z konsternacją przygryzam wargę. Polityka

Songun, czyli „Po pierwsze wojsko”, miała zjednoczyć cały Półwysep Koreański pod wodzą Kim Dzong Ila dzięki przeważającej potędze naszych sił zbrojnych, a także obronić nasz socjalizm. Teraz zlecono mi napisanie wiersza opartego na przekonaniu, że taka polityka chroni Południe. Nieświadomie skrzywiłem się na myśl o ewidentnej niewykonalności tego zadania. Dyrektor Im przybrał surowy wyraz twarzy, ale chyba zabrakło mu słów.

– Macie dwa miesiące – stwierdził i spotkanie dobiegło końca.

Była połowa grudnia 1998 roku. Od tamtej pory całymi dniami pracowałem nad przydzielonym zadaniem. Podstawowy argument nie stanowił problemu: miałem chwalić Kim Dzong Ila jako mistrza karabinu, siewcę sprawiedliwości i Pana Ludu, który zna tylko triumf. Istota zadania polegała jednak na tym, żeby znaleźć dowody tych prawd i nadać im formę literacką. W tym celu spędziłem cały miesiąc na lekturze południowokoreańskiej literatury, wyszukując motywy, które mogłyby wesprzeć zadany argument.

Postanowiłem porównać południowokoreańskie Mauzoleum Męczenników za Demokrację na Mangwoldong z północnokoreańskim Mauzoleum Męczenników Rewolucji w Sinmiri, a gra słów miała połączyć *Gukgun* (określenie południowokoreańskiej armii narodowej) z *Songun* (północnokoreańską polityką „Po pierwsze wojsko”). To pozwoliło mi porównać Północ i Południe jako dwie strony tej samej monety: podczas gdy demokratyczni męczennicy Korei Południowej ginęli od kul swojej *Gukgun*, o rewolucyjnych męczenników Korei Północnej nawet po śmierci dbała nasza polityka *Songun*. Mój wiersz przedstawiał południowokoreańskie wojsko jako agresywne, północnokoreańskie zaś jako zainteresowane wyłącznie obroną ludu Korei. Kiedy przedstawiłem swoją propozycję, dyrektor Im oraz inni oficjele z DZF gorąco pochwalili obrany kierunek.

Szesnastego maja 1961 roku przewrót wojskowy zakończył cywilne rządy w Korei Południowej i ustanowił wojskową

dyktaturę Park Chung Hee. Długie, osiemnastoletnie rządy Parka przerwała jego śmierć z rąk współpracownika, ale gdy nastąpiła destabilizacja, władzę objął Chun Doo Hwan. W ten sposób na podzielonym Półwyspie Koreańskim wojskowy dyktator rządził nie tylko w Korei Północnej, ale także Południowej.

Jednakże osiemnastego maja 1980 roku na ulice południowokoreańskiej metropolii Gwangju wyszli demokratyczni aktywiści. Ich protest został brutalnie stłumiony przez wojsko, którego autorytarny dowódca twierdził, że protestujący, uzbrojeni i niszczący mienie rządowe, to północnokoreańscy agenci, którzy przedostali się do kraju. Przyjmując za punkt wyjścia fakt, że wojsko Korei Południowej już raz dokonało masakry własnej ludności, pisałem pełnym pasji głosem południowokoreańskiego poety odwiedzającego Pjongjang w maju.

Dla owego poety koreańska wiosna nie przychodzi tylko z woli Natury. Może ją przynieść i podtrzymać jedynie protest ludzi upominających się o swe prawa. Ten południowokoreański twórca, który zna jedynie wiosnę skąpaną we krwi, w Pjongjangu poznaje prawdziwą koreańską wiosnę: tutaj ustanowiona przez Kim Dzong Ila polityka *Songun* strzeże obu Korei. Kim Dzong Il dzierży karabin przekazany mu przez ojca Kim Il Songa, który niegdyś tą właśnie bronią wyzwolił Koreańczyków spod japońskiej władzy. Pochwałę karabinu poeta kończy następująco:

Oto Karabin,
co w rękach pośledniego człowieka
niesie tylko morderstwo,
lecz gdy dzierży go wielki człowiek,
przezwycięży wszystko.
Jak pokazała historia,
wojna i rzeź przynależą
słabym.
Generał Kim Dzong Il,
tylko Generał,
jest Panem Karabinu,

Panem Sprawiedliwości,
Panem Pokoju,
Panem Zjednoczenia.
Och, prawdziwym Wodzem ludu Korei!

Wiersz przedstawiono Kim Dzong Ilowi osiemnastego maja 1999 roku z okazji rocznicy powstania w Gwangju.

Po publikacji otrzymałem poruszającą wiadomość, że Kim Dzong Il czytał mój poemat wielokrotnie i podkreślił najważniejsze frazy. Obok tytułu napisał nawet własnoręcznie: „Oto standard artystyczny ery *Songun*”. Była to chwila historycznego triumfu dla DZF, który w dziedzinie sztuki literackiej zajął w ten sposób miejsce ponad wojskowymi i partyjnymi departamentami propagandy.

Dla mnie najważniejsze było to, że otrzymałem wyraz uznania od najpotężniejszego człowieka w naszym kraju. Osobistej pochwale od Kim Dzong Ila towarzyszył nakaz publikacji w całym kraju. Dwudziestego drugiego maja 1999 roku, cztery dni po złożeniu przeze mnie poematu *Wiosna spoczywa na lufie karabinu Pana*, trafił on do dystrybucji za pośrednictwem gazety „Rodong Sinmun”. To z kolei zaowocowało zaproszeniem do grona Dopuszczonych przed oblicze Kim Dzong Ila.

Wejście do tego kręgu zmieniło moje życie w taki sposób, w jaki w państwie kapitalistycznym mogłaby zadziałać wygrana na loterii. Miałem przed sobą karierę pełną możliwości, w których mogłem przebierać do woli. Co jednak najważniejsze, nowy status gwarantował mi niewyobrażalny przywilej nietykalności: nawet najwyższe władze KRLD nie mogły prowadzić śledztwa przeciwko jednemu z Dopuszczonych, postawić go przed sądem ani skrzywdzić. Oskarżenie wchodziło w grę jedynie w przypadku, gdy przestępstwem była zdrada stanu, a Departament Organizacji i Przywództwa otrzymał wyraźną zgodę od samego Kim Dzong Ila. Nikt nie chciał posunąć się za daleko i ryzykować niezadowolenia samego Generała, więc rzadko dążono do takich procesów.

Partyjny Departament Organizacji i Przywództwa, odpowiedzialny za ochronę Kim Dzong Ila, miał specjalny wydział poświęcony służbie Dopuszczonym. Kryteria były surowe, a krąg bardzo niewielki. Tak jak w moim przypadku Kim Dzong Il musiał osobiście wezwać taką osobę i spędzić z nią ponad dwadzieścia minut za zamkniętymi drzwiami. Pękałem z dumy, że dopuszczono mnie do tego maleńkiego, elitarnego grona, i co dnia czułem się nowym człowiekiem. Mój pierwszy rok pracy w DZF minął bardzo szybko.

W Korei Północnej przypadająca na ósmego lipca rocznica śmierci Kim Il Songa – którą nazywa się Świętem Wiecznego Życia Kim Il Songa – jest polem bitwy między członkami aktywu rozpaczliwie pragnącymi zademonstrować swą lojalność wobec kultu Kima. Na spotkaniu w sprawie planu DZF na rok 2000 dyrektor Im Tong Ok ogłosił, że to my przedstawimy Kim Dzong Ilowi najlepszy poemat epicki i ponownie przyćmimy departamenty propagandy wojska oraz partii. Ponieważ należałem teraz do Dopuszczonych, nie wchodziło w grę, żeby to zaszczytne zadanie przypadło komukolwiek innemu. Ukończenie go było moim głównym obowiązkiem na ten rok.

Już na początku pierwszego spotkania roboczego dyrektor Im z zapałem objął stery:

– Proszę o ciszę. Rozpoczynamy spotkanie celem omówienia twórczości literackiej Departamentu Zjednoczonego Frontu, która zostanie opublikowana ósmego lipca dla uczczenia nieśmiertelnego życia Wielkiego Wodza. Poprosiłem już towarzysza Kim Kyong Mina, aby zatytułował ten wiersz *Oda do Uśmiechniętego Słońca*. W każdym razie motyw Uśmiechniętego Słońca musi zostać zachowany.

Jak powiedział dyrektor Im, jedynym sposobem wychwalania nieśmiertelnego życia Wielkiego Wodza był motyw Uśmiechniętego Słońca. Partia Pracy prowadziła działania propagandowe skupione na Kim Il Songu i jego następcy Kim

Dzong Ilu przez ponad pół wieku. W kontekście tej tradycji Uśmiechnięte Słońce to stosunkowo nowy motyw. Po raz pierwszy użyto go podczas pogrzebu Kim Il Songa w 1994 roku.

Na portretach pogrzebowych zwykle przedstawia się zmarłego z posępną miną. Ogłosiwszy jednak, że „Wielki Wódz wciąż żyje i jest z nami po wieczne czasy", Kim Dzong Il polecił wymienić standardowy portret pogrzebowy ojca na taki z uśmiechem. Od tamtej pory Wielkiego Wodza nazywano „Słońcem", którego nieśmiertelne życie to „Uśmiech".

Ósmego lipca 1997 roku, dokładnie trzy lata po śmierci Kim Il Songa, Komitet Centralny Partii, Komitet Centralny Wojska, Komisja Obrony Narodowej, Centralny Komitet Ludowy i Komitet Parlamentarny wydały wspólne oświadczenie, że urodziny Kim Il Songa będą obchodzone jako Święto Słońca. Jednocześnie ogłoszono, że zostanie zmieniony kalendarz. Rok urodzin Kim Il Songa, które miały miejsce piętnastego kwietnia 1912 roku, uznano za pierwszy w nowym kalendarzu dżucze. (Dżucze to państwowa filozofia Korei Północnej oparta na zasadzie samodzielności). Rok 2000 stał się rokiem Dżucze 89.

– Teraz towarzysz Kim Kyong Min rozwinie temat.

Dopiero gdy ktoś szturchnął mnie w ramię, zrozumiałem, że wszyscy czekają, aż wstanę i coś powiem. Zerwałem się z miejsca.

– Chociaż tytuł dzieła odnosi się do Uśmiechniętego Słońca, w wierszu chciałbym zawrzeć literackie nawiązanie do łez. – Dokoła usłyszałem pomruk. – Jeśli przeanalizujemy dzieła o Uśmiechniętym Słońcu tworzone dotąd przez partię i wojsko, zwykle nawiązują one do uśmiechu Wielkiego Wodza w kontekście naszych osiągnięć – wyjaśniłem. – Na przykład Wielki Wódz uśmiecha się z wyżyn swej nieśmiertelności, ponieważ cieszy go polityka cnót i zachowania dziedzictwa w rządach naszego Generała, lub też z zadowoleniem spogląda z góry na naszą wyjątkową odmianę socjalizmu, niezachwianą pomimo zagrożeń i presji ze strony sił imperialistycznych. Moim zdaniem najwyższa pora, żeby Departament Zjednoczonego

Frontu zadbał o zaspokojenie literackiej wrażliwości naszych odbiorców, nie zadowalając się tylko podsycaniem ich politycznego zapału.

– Bardzo ładnie, ale jak chcecie zaspokoić ich literacką wrażliwość? – zapytał szorstko dyrektor Im.

– Oto co proponuję: po prześledzeniu historii Uśmiechniętego Słońca odkryłem, że naszego Wielkiego Wodza od wczesnego dzieciństwa otaczały łzy. Rozpocząwszy życie w taki sposób, Wielki Wódz odniósł triumf nad indywidualnym cierpieniem i żalem, a następnie poświęcił całe życie swojemu ludowi i ojczyźnie poprzez uśmiech. Innymi słowy, nasz Wielki Wódz żył dla swojego ludu, a nie dla siebie samego. To rozumowanie doprowadzi do następującej konkluzji: „Wszystkie łzy, które powinien był wypłakać jego lud, podjął się wypłakać nasz Wielki Wódz. Wszystkie uśmiechy, które miał, rozdał, żeby uśmiechać się mógł jego lud”. Dzięki zestawieniu łez z uśmiechem Uśmiechnięte Słońce zda się świecić jaśniej. Pozwoli to również przypisać Uśmiechniętemu Słońcu następujące poetyckie cechy: „Kiedy Wielki Wódz dał ludowi dar uśmiechu, objawił się on jako jego Miłość; kiedy zasiał ów dar w naszej ziemi, objawił się on jako promienie Słońca; a kiedy pozostawił swój dar historii, objawił się on jako Nieśmiertelne Życie”.

Gdy tylko skończyłem, dyrektor Im zerwał się z krzesła. Kilka razy uderzył w blat biurka, nie mogąc opanować podniecenia.

– To jest to! – zawołał. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Generał bez wątpienia będzie poruszony do łez, a wraz z nim cały naród. Departament Propagandy i Agitacji i Generalne Biuro Polityczne nie mogą się z nami mierzyć. Zapewniam was, że jeśli to zrealizujemy, Departament Zjednoczonego Frontu będzie górą. Oto prawdziwa poezja! Co sądzicie, towarzysze?

Skoro potężny szef Departamentu Zjednoczonego Frontu okazał wobec mojej propozycji tak wielki entuzjazm, nic dziwnego, że pochwały i zachwyty wypełniły całą salę. Jeden z mężczyzn przyznał, że słuchając mnie, z trudem powstrzymywał łzy, a potem zaczął bić brawo.

Nagle podniósł się kierownik Park Chul. Jego surowy wyraz twarzy mocno kontrastował z minami reszty obecnych. Był to mój bezpośredni zwierzchnik, szef Sekcji 5 Biura 101.

– Towarzyszu dyrektorze Im – zaczął – chociaż to propozycja godna pochwały ze względu na swój potencjał literacki, to uważam, że wzmianka o płaczu naszego Wielkiego Wodza jest problematyczna. – W sali zapanowała cisza. Kierownik Park Chul mówił dalej: – Kim Chul, jeden z trzech kanonicznych poetów w naszym kraju, użył słowa „rosa", żeby eufemistycznie napomknąć o łzach Wodza. Za ten błąd zesłano go na prowincję na dziesięć lat.

– Jak to? Oczywiście, że możemy wspomnieć o łzach. Nie pamiętacie, jak nasz Generał ronił łzy podczas ceremonii pogrzebowej naszego Wielkiego Wodza? Transmitowano to nawet na cały świat! Poza tym jestem przekonany, że ze wzmiankami o łzach naszego Wielkiego Wodza zetknąłem się podczas lektury poruszających powieści. – Dyrektor Im zareagował z irytacją, a pozostali członkowie aktywu entuzjastycznie kiwali głowami.

Znowu odezwał się Park Chul:

– Powieść jest gatunkiem opisowym, natomiast poezja to gatunek liryczny. Dotyczy ludzkich emocji, a nie ludzkiej psychiki. W wierszu tak bezpośrednie odniesienie do łez promowałoby „pesymizm jednostki". Poza tym w poezji wolno mówić wyłącznie o łzach lojalności. Tymczasem towarzysz Kyong Min proponuje nie tylko opis łez jednostki, ale samego Wielkiego Wodza. Kto to słyszał! Jeśli zostaniemy oskarżeni o promowanie „pesymizmu naszego Wielkiego Wodza", wszystkich nas czekają surowe konsekwencje.

Nikt nie odezwał się ani słowem, zapewne z powodu przerażającego słowa „konsekwencje". Jeden z mężczyzn zamknął notatnik jakby na znak, że spotkanie dobiegło końca.

Znowu wstałem, żeby odpowiedzieć.

– Oczywiście macie rację, że łzy lojalności, które musi ronić jednostka, to jedyne łzy dozwolone w poezji. Ale utwór poetycki,

o którym tu mówimy, ma powstać w stylu epickim. Poezja epicka to gatunek narracyjny tak samo jak powieść. Poza tym utwór skoncentruje się nie na płaczu naszego Wielkiego Wodza, ale na tym, jak stale okazywał powściągliwość, powstrzymując łzy. To dzięki tej wstrzemięźliwości jego łzy objawiły się jako Miłość, Słońce i Nieśmiertelne Życie. Dlatego też nie dostrzegam problemu.

Kierownik Park, wyraźnie poirytowany, że jego pracownik okazuje mu opór, nie zamierzał zmienić stanowiska.

– Jedna czy dwie wzmianki o łzach naszego Wielkiego Wodza? Nie ma w tym nic złego. Wy jednak mówicie o poemacie epickim, którego długość wymagać będzie wielokrotnych odniesień do jego łez. Czy zetknęliście się z czymś takim w jakimkolwiek wierszu w naszym kraju? Teraz, gdy nasz naród zmaga się z czasem głodu i złych plonów, hasło partii brzmi: „Droga jest trudna, ale idźmy naprzód ze śmiechem”. A wy chcecie napisać wiersz o tym, jak nasz Wielki Wódz płacze?

Słysząc te słowa, nawet członek aktywu, który po mojej propozycji był bliski łez, kiwał głową. Wszyscy spojrzeli na dyrektora Ima. Ten odepchnął się oburącz od blatu i wstał, po czym odezwał się z powagą:

– Oto plan: począwszy od dziś, towarzysz Kyong Min na pół roku odłoży inne powinności i skomponuje poemat epicki zgodnie ze swoją propozycją, unikając jednak zbyt wielu wzmianek o łzach naszego Wielkiego Wodza. W Departamencie Zjednoczonego Frontu przyjęliście południowokoreańską tożsamość, co daje wam trochę swobody. Nie ograniczają nas zasady Związku Pisarzy i nie podlegamy ich procesowi cenzury i akceptacji. Sami musimy dokonać w DZF jak najlepszego osądu. Obecna propozycja jest doskonała z punktu widzenia jakości literackiej. Niech to nam się uda.

Dyrektor Im odprawił wszystkich uczestników spotkania, mnie natomiast poprosił o pozostanie. W sali byliśmy teraz tylko my dwaj.

– Nie zwracajcie uwagi na to, co mówi kierownik Park – powiedział. – Na pewno jest zazdrosny. Jakimi osiągnięciami może się pochwalić? Przed wami sześć miesięcy ciężkiej pracy. Weźcie sobie tydzień wolnego. Zregenerujcie się. Dokąd chcielibyście pojechać?

Odparłem, że chciałbym odwiedzić moje rodzinne miasto. Po spotkaniu z Generałem dużo myślałem o przyjaciołach, którzy tam zostali. Samo przyjęcie do DZF było zaszczytem, ale teraz zostałem jednym z Dopuszczonych. Jakże wszyscy będą mnie podziwiać! Powiedziałem, że powrót w rodzinne strony pomoże mi przygotować się emocjonalnie na czekające mnie zadanie. Im Tong Ok bez wahania przystał na moją prośbę.

Więcej na: www.ebook4all.pl

2
Powrót do domu

Z Dworca Pjongjańskiego zadzwoniłem do mojego przyjaciela z dzieciństwa Young Nama. W przedszkolu byliśmy najlepszymi kolegami i pozostaliśmy nierozłączni aż do końca szkoły podstawowej.

– Przyjdziesz po mnie na stację, prawda?

– Chyba śnisz!

Jego odpowiedź była przewidywalna jak zawsze, więc parsknąłem śmiechem.

Young Nam miał przezwisko Japoniec – to określenie używane wobec ekspatriantów z Japonii. Podobnie jak ja urodził się w Sariwonie w Korei Północnej, ale wszystkie dzieci wołały na niego Japoniec, bo jego rodzice byli imigrantami z Osaki. Przyjechali do Sariwonu w latach sześćdziesiątych w ramach repatriacji Koreańczyków z Japonii określanej mianem „Wielkiego Ruchu Ludu Koreańskiego”. W owym czasie, chcąc promować Północ, a nie Południe, jako ojczyznę zjednoczonej Korei, Kim Il Song powitał w naszym kraju około stu tysięcy etnicznych Koreańczyków mieszkających w Japonii.

Po wojnie koreańskiej okoliczności zimnej wojny uczyniły Koreę Północną wyborem atrakcyjniejszym ze względu na wyższość gospodarczą, co pozwoliło Kim Il Songowi realizować politykę przyjmowania ekspatriantów z otwartymi ramionami. Państwo północnokoreańskie wykorzystywało imigrantów, aby pokazać, że ludzie wolą socjalizm od kapitalizmu, i ochoczo wspominało o nich w kampaniach propagandowych. Z pozoru wydawało się, że Kim Il Song dużo zyskuje na polityce propagandy wysławiającej koreańską tożsamość etniczną.

W rzeczywistości jednak przybycie imigrantów w nieoczekiwany sposób odbiło się na północnokoreańskim społeczeństwie. Największy wpływ wywarło to, co przynieśli ze sobą. Japońskie produkty, które przywieźli imigranci, postrzegano jako cudowne dobra ze świata zewnętrznego, jakich zwyczajni mieszkańcy Korei Północnej dotąd nie widzieli. Do tej pory wierzyli, że każdy produkt socjalizmu Kim Il Songa musi być najlepszy na świecie, teraz jednak poznali stan postępu Japonii. Imigranci osiedlili się w całej Korei Północnej, tam gdzie chcieli lub gdzie były ich korzenie. Wkrótce w całym kraju rozpowszechniło się nowe nieoficjalne hasło: „Może kapitalizm jest zepsuty do cna, ale robi dobre produkty!”. Niemal natychmiast w Korei Północnej nastał szał na wszystko, co „wyprodukowane w Japonii”.

Zapanowała moda na zbieranie etykietek i opakowań wyrzuconych przez Japończyków i prezentowanie ich w domach niczym skarbów. Dzięki temu, że imigranci cieszyli się japońskimi produktami, w naturalny sposób postrzegano ich jako klasę uprzywilejowaną, prędko ugruntowali więc swoją pozycję w komfortowej klasie średniej północnokoreańskiego społeczeństwa.

Przyjęto ich nie tylko ze względu na posiadane rzeczy, ale również na japońskie cechy kulturowe. Ich styl życia – przejawiający się charakterystycznymi formami powitania, językiem, manierami, a nawet nawykami żywieniowymi – uważano za wyrafinowany i świadczący o zamożności. Oficjalna nagroda wyższego statusu przyznawana za lojalną służbę wydawała się mniej ekscytująca. Osoby niemające za granicą rodziny, która przysyłałaby im japońskie produkty, coraz częściej starały się naśladować Japończyków przynajmniej pod względem kulturowym.

Nader wyczulone na ten trend były dzieci, które skarżyły się rodzicom na to, że ich starsi krewni nie mieli dość przezorności, żeby uciec i osiedlić się w Japonii. Państwu północnokoreańskiemu za fundament legitymizacji władzy Kim Il Songa posłużyły jego zasługi bojownika antyjapońskiego ruchu

oporu, zakrawało więc na ironię losu, że zainicjowana przez niego aktywność imigracyjna sprawiła, że zwykli obywatele Korei Północnej zaczęli podziwiać Japonię. Korea została wyzwolona od hańby niewoli kolonialnej pod japońską okupacją, teraz jednak ponownie „skolonizowali" ją Japończycy, a konkretniej Jochongryon, zarządzana przez DZF organizacja reprezentująca w Japonii osoby pochodzenia koreańskiego. W efekcie tabu Japonii, umacniane przez instytucjonalny komunalizm, zaczęło znikać z powszechnej świadomości.

Dla Koreańczyków z Północy, dla których nawet zwyczajne ubranie to uniform narzucony przez państwo, myśl o prywatnym samochodzie do własnego użytku była niewyobrażalna. Niemniej ten właśnie przywilej przyznano Japończykom. Ich prywatne auta mknące pustymi ulicami Pjongjangu w oczach współobywateli stały się czymś więcej niż tylko formą transportu. Dały początek groźnej sugestii, że człowiek może kontrolować prędkość swojej podróży, zamiast defiladowym krokiem maszerować w szeregu tak, jak zagra mu państwo. W ten sposób obecność imigrantów stała się śmiałym zaproszeniem do wyłamania się z tradycyjnych ram lojalności.

Zazdrość państwa północnokoreańskiego doprowadziła w końcu do prześladowania Japończyków. Imigrantów, którzy dysponowali doświadczeniami i wspomnieniami z życia w społeczeństwie kapitalistycznym, przypisano do klasy „chwiejnej", zarezerwowanej dla ludzi, których idee postrzegano jako groźne dla państwa. Drastycznie ograniczono im perspektywy zawodowe. Kim Dzong Il wprowadził nawet prawo zakazujące Japończykom jeżdżenia białymi samochodami. Przyczyna wydawała się błaha: tego samego koloru jest tło japońskiej flagi. Na wykładach partyjnych członkowie aktywu twierdzili, że Japonia eksportuje w świat wyłącznie białe auta, za to we własnym kraju Japończycy mają fiksację na punkcie aut czerwonych. Tłumaczono to w ten sposób, że chcą namalować na mapie świata flagę japońską jako symbol swej centralnej pozycji.

Był to jasny sygnał z góry, że Japoniec nie jest tak godny zaufania jak Koreańczyk.

Mimo tych starań wielu koreańczyków z Północy nadal wolało „ludzi z góry Fuji” od „ludzi z góry Pektu” i antyjapońskich wyczynów Kim Il Songa. Mój przyjaciel Young Nam należał więc do grupy osób powszechnie podziwianych na przekór oficjalnemu stanowisku. Co więcej, jego rodzina była niegdyś najbogatsza w Sariwonie.

Jej sytuacja stała się jednak bardzo trudna po tym, gdy w Japonii zmarli dziadkowie Young Nama i skończył się przypływ ich japońskich pieniędzy i produktów. Jako imigranci z Japonii Young Nam i jego rodzice nie mieli szans na porządną karierę, ponieważ przydziałem etatów sterowała Partia Pracy. Musieli stopniowo wyprzedawać swój dobytek, aż w końcu zaczęli żyć w ubóstwie, w warunkach znacznie gorszych niż ich sąsiedzi.

Jedno, co dobrze pamiętam z dzieciństwa, to pianino Yamaha, które nasza rodzina dostała od ojca Young Nama, gdy jeszcze był bogaty. Matka opowiadała mi, że kiedy rodzina Young Nama przyjechała do Sariwonu, mój ojciec pomógł im zdobyć mieszkanie z przydziału Partii Pracy. Ponieważ pianino pojawiło się u nas, zanim się urodziłem, jako chłopiec myślałem, że japońskie pianino ma w domu każdy, tak jak każdy ma na ścianie portret Kim Il Songa.

Pewnego dnia, kiedy poszedłem się bawić do domu kolegi, odkryłem, że nie ma tam pianina. Byłem oszołomiony. Gdy tylko wróciłem do siebie, pobiegłem do matki z krzykiem, jakbym był świadkiem czegoś nie do wiary:

– Mamo, wiedziałaś o tym? Oni nie mają w domu pianina!

– Pewnie nie chcieli go mieć – odpowiedziała spokojnie. – Wolą czytać książki.

Dopiero kiedy poszedłem do pierwszej klasy w ludowej szkole podstawowej Dongri, zrozumiałem, że posiadanie japońskiego pianina marki Yamaha to naprawdę wielka sprawa. Wśród dzieci – a także dorosłych – byłem znany jako „chłopiec

z japońskim pianinem” albo „lekarski chłopak”. Większość dzieci mieszkała w „harmonijkowych mieszkaniach” z lat pięćdziesiątych, nazywanych tak, ponieważ lokale na każdym piętrze były ściśnięte tak bardzo jak kwadratowe otwory harmonijki ustnej. My mieszkaliśmy w dużym mieszkaniu na trzecim piętrze bloku przeznaczonego dla oficjeli. Moja matka, naczelna lekarka w centrum medycznym obsługującym wyłącznie aktyw partyjny, miała nadzieję, że moje dwie starsze siostry zostaną nauczycielkami, a ja pewnego dnia będę słynnym pianistą. W końcu zdołała nakłonić mojego ojca, żeby poszukał sławnego nauczyciela.

Pewnego dnia sprowadził go do domu. Mężczyzna miał pociągłą twarz i mówił z akcentem typowym dla prowincji Hamgyong na północy kraju. Jeszcze bardziej niż jego akcent zadziwiało mnie jednak to, że był etnicznym Koreańczykiem z Chin. Poza tym cuchnął dymem papierosowym, co mi się nie podobało. Co gorsza, był nałogowym palaczem i moje siostry również z początku go nie polubiły. Ale on się tym chyba nie przejmował. Schylił się, przyciągnął moje ucho do ust i powiedział z emfazą flegmatycznym głosem:

– Nazywam się Choi Liang. Słyszałeś? Dwie sylaby. Choi Liang!

Jego donośny głos przestraszył mnie równie mocno jak smród dymu. Kiedy ojciec ogłosił, że ten człowiek wprowadzi się do nas wraz z rodziną, byłem zrozpaczony. Pod pretekstem pójścia do ubikacji wybiegłem z pokoju i zacząłem płakać.

Choi Liang został moim pierwszym prawdziwym mentorem. Kiedyś był skrzypkiem w Szanghajskiej Orkiestrze Symfonicznej. Podczas rewolucji kulturalnej, tak jak wielu etnicznych Koreańczyków, uciekł do Korei Północnej przed atakami Czerwonej Gwardii na osoby wykształcone. Jego pierwszą pracą w tym kraju była posada nauczyciela gry na skrzypcach w Pjongjańskiej Szkole Artystycznej. W owym czasie on i Paek Go San uchodzili za najlepszych skrzypków w Korei Północnej. W 1982 roku Paek Go San zdobył główną nagrodę w swojej kategorii oraz nagrodę honorową w Międzynarodowym

Konkursie Muzycznym im. Czajkowskiego. W 1978 roku został też pierwszym Azjatą mianowanym dożywotnim członkiem jury sekcji skrzypcowej tego konkursu.

Paek Go San miał młodszego brata, Paek Do Sana, który obraził Choi Lianga, nazywając go „brudnym draniem", co jest obraźliwym określeniem często używanym przez Koreańczyków w odniesieniu do Chińczyków. Choi Liang, słynący z wybuchowego charakteru, uderzył go pięścią w twarz. Został za to zesłany na prowincję, aż wreszcie mój ojciec wybawił go z wiejskiego wygnania, zatrudniając jako mojego nauczyciela muzyki. Żona, syn i córka Choi Lianga wprowadzili się do nas razem z nim. Nasz cichy dom niespodziewanie zaczął tętnić życiem, bo stał się miejscem zamieszkania dwóch rodzin.

W dzieciństwie Choi Liang wydawał mi się najokrutniejszym z ludzi. Zaczął od ćwiczeń słuchu, które prowadził bez litości. Kilkaset razy dziennie musiałem się wytężać, żeby rozpoznać dźwięk albo interwał grany na pianinie. Stopniowo nauczyłem się identyfikować je bez wahania. Z czasem przeszedł do akordów, a w końcu nauczył mnie rozpisywać utwory na kwartet smyczkowy.

Mój ojciec bardzo się starał, żeby Choi Lianga zatrudniono jako profesora w Sariwońskiej Szkole Artystycznej. Jego obce pochodzenie okazało się jednak zbyt dużą przeszkodą, więc przyjęto go tylko jako wykładowcę. Mimo to, ponieważ był jednym z czołowych skrzypków w Korei Północnej, studenci zjeżdżali się z całego kraju, żeby się u niego uczyć. Choi Liang często zapraszał ich do nas do domu, a nawet pokazywał im moje aranżacje na kwartet smyczkowy.

Wciąż świetnie pamiętam, co miał do powiedzenia o tych aranżacjach, ponieważ często powtarzał tę mądrość: „Partyturę przede wszystkim powinny pokrywać czarne nuty. Półtony należy stosować ostrożnie, ale tak często, jak potrzeba. Zrozumiano?".

Choi Liang nie tylko przekazał mi muzyczne wykształcenie, ale również wzbudził we mnie wielkie ambicje artystyczne.

Codziennie słuchałem jego anegdot o Beethovenie, Mozarcie oraz sławie otaczającej ich nawet po śmierci. Podczas gdy inne dzieci marzyły o tym, żeby zostać członkami aktywu partyjnego albo wozić członków aktywu samochodami, ja śniłem o byciu Dvořákiem i zdobyciu światowej sławy dzięki skomponowaniu mojej własnej symfonii *Z Nowego Świata*. Pewnego razu podzieliłem się tym marzeniem z matką. Ostro mnie skarciła i ostrzegła, że jeśli opowiem o tym komukolwiek innemu, cała nasza rodzina może zostać oskarżona o rewizjonizm albo zepsucie moralne. Porządnie mnie nastraszyła, uprzedzając, że jeżeli nie zachowam tych marzeń dla siebie, mogą mnie aresztować.

Matkę niepokoiło odkrycie, że jej trzynastoletni syn ubóstwia muzykę Dvořáka. Pokochałem jego dzieła dzięki taśmie z nagraniami, którą Choi Liang przemycił z Chin, a także dlatego, że dotychczas jedyną muzyką, do jakiej miałem dostęp, była ta, której uczono nas w szkole. Nie chodziło nawet o to, że ograniczała się do hymnów rewolucyjnych. Rzecz w tym, że zaznawszy ekscytującego świata możliwości harmonicznych, frustrowało mnie słuchanie północnokoreańskich pieśni o idealnym zwycięstwie, w których nie było miejsca na najdrobniejszą sugestię niedoskonałości w postaci muzycznego napięcia czy dysonansu.

Raz, podczas lekcji śpiewu, nie mogłem już dłużej opanować swych myśli. Zgłosiłem się na ochotnika do akompaniowania na organach (w naszej szkole nie było pianina) i grałem tak, jak chciałem, a nie zgodnie z odgórnym wzorcem. Nie pedałowałem idealnie, ale wiedziałem, że gram dobrze i bez pomyłek. Mimo to nauczyciel upokorzył mnie przed całą klasą i przykładnie ukarał jako osobę, która nie ma zielonego pojęcia o muzyce. W duchu uważałem jednak, że to szkoła nie rozumie muzyki, a nie ja. W rezultacie nie mogłem nic na to poradzić, że zacząłem wątpić we wszystko, co przekazywano nam w szkole jako najściślejszą i najbardziej obiektywną wiedzę, niezależnie od tego, czy

chodziło o rewolucyjną historię Kim Il Songa, językoznawstwo, czy każdy inny przedmiot.

Z czasem utwierdziłem się w przekonaniu, że zachodnia muzyka przewyższa artystycznie muzykę północnokoreańską, której mnie uczono. W muzyce zachodniej również istniały reguły, ale w przeciwieństwie do północnokoreańskiej dawała ona nieskończone możliwości łamania ich po to, by ustanawiać własne. Z pomocą Choi Lianga, który tłumaczył mi zawiłości muzycznego naruszania zasad, nabierałem coraz mocniejszego przekonania, że przekraczanie oczekiwań i reguł nie jest wcale niemuzyczne, ale wręcz przeciwnie, to element istoty muzykalności.

Od świtu do zmierzchu słuchałem Dvořáka. Ojciec martwił się o mój słuch i kilkakrotnie zabierał mi słuchawki, byłem jednak tak zdesperowany, że pewnego razu wziąłem stetoskop z torby mojej matki i przyłożyłem go do głośnika magnetofonu, żeby nocą słuchać muzyki pod kocem. Ojciec z dumą wspierał moje ambicje, przekonany o mojej wybitności, ale Choi Liang pozostał szczery aż do bólu.

– Chłopak nigdy nie zostanie dobrym pianistą – powiedział. – Ma za krótkie palce. Ale nie brakuje mu twórczego talentu, więc proponuję, żeby szkolił się na kompozytora.

Jako piętnastolatek wstąpiłem do Pjongjańskiej Szkoły Artystycznej. Byłem zdeterminowany, by zostać kompozytorem światowej sławy, spełnić marzenie, które zasiał we mnie Choi Liang. Jednakże niespodziewane zetknięcie z książką z „Kolekcji stu egzemplarzy” sprawiło, że z dnia na dzień moje muzyczne ambicje ustąpiły miejsca literaturze.

Książką tą były *Dzieła zebrane lorda Byrona*. Należały do „Kolekcji stu egzemplarzy”, co oznaczało, że ich nakład zawężono do stu kopii. W ten sposób w Korei Północnej ogranicza się obieg zagranicznych książek, tak aby tylko rządzący Kim, jego rodzina, najbliżsi współpracownicy oraz wybrani członkowie północnokoreańskiej elity mieli do nich dostęp. Na pierwszej stronie każdej z takich publikacji wbity jest

numer. Książki z numerem 1 otrzymuje oczywiście rządzący Kim. Z tego względu członkowie aktywu i inni przedstawiciele elity jako oznakę wysokiego statusu postrzegają posiadanie książki z numerem jednocyfrowym albo jak najbliższym takowego.

Tajne tłumaczenie oraz druk tych limitowanych edycji zagranicznych dzieł prowadzi zespół tłumaczy pracujących pod auspicjami Departamentu Propagandy i Agitacji oraz Instytutu Nauk Społecznych Chosunu w pjongjańskiej dzielnicy Joong-gu. Do zadań attaché naukowych i kulturalnych przy ambasadach KRLD na całym świecie należy pozyskiwanie zagranicznych książek przeznaczonych do dystrybucji za pośrednictwem tego systemu.

Nie wiem, w jaki sposób nasz egzemplarz *Dzieł zebranych lorda Byrona* trafił do prywatnej biblioteczki mojego ojca. Pewnego dnia zdjąłem go z półki z czystej ciekawości, zauważywszy, że grzbiet książki różni się od pozostałych. Północnokoreańskie książki zwykle odzwierciedlają północnokoreańską państwową estetykę swymi krzykliwymi, jaskrawymi barwami. Ta jednak miała stonowane kolory. Ciemna, spłowiała okładka kojarzyła się z pradawną, obcą kulturą. Wydrukowany tytuł okalała rama podobna do takiej wokół obrazu olejnego. Zwyczajne książki produkowano masowo, ta natomiast zdawała się wykonana ręcznie. Gruba i masywna okładka mieściła strony związane delikatną nicią.

Otworzyłem tę książkę z niejasnym zaciekawieniem, ale wciągnęła mnie od pierwszej strony. Poezja natychmiast mnie pochłonęła. Słownictwo było śmiałe, wyrazy przekraczały granice własnych definicji i skojarzeń, nigdy w życiu nie czytałem niczego podobnego. W Korei Północnej instytucjonalna kontrola myśli zaczyna się od konsolidacji języka, polityki mającej na celu ujednolicenie prywatnej i publicznej sfery myśli. Aby obszar indywidualnej ekspresji pozostawał zgodny ze wspólną ideologią, partyjny Departament Propagandy i Agitacji ustala ścisłe ograniczenia słowa pisanego i mówionego. Żadne

północnokoreańskie dzieło literackie nie może odbiegać od usankcjonowanego prawnie modelu Teorii Sztuki Dżucze Kim Dzong Ila, wydrukowanej w kilku tomach i określającej warunki, w jakich może istnieć sztuka socjalistyczna. Instytucją, która nadzoruje przestrzeganie tej teorii, pod karą zesłania do obozu pracy dla każdego, kto przepuści przez sito dzieło odstające od normy, jest Narodowy Komitet Rozważań Literackich. Dla mnie, wychowanego w tak ścisłych ramach językowej ekspresji, poezja Byrona była niczym słownik nowego języka koreańskiego. Odczytując znaczenia i konotacje słów, z którymi stykałem się pierwszy raz, doznawałem dziwnego uczucia, że uczę się mówić po koreańsku od obcokrajowca.

Intrygowała mnie również uprzejmość jego języka. Język północnokoreański ma dwa odrębne rejestry: jeden odnoszący się do Wodza, a drugi do wszystkich innych. Zanim zetknąłem się z poezją Byrona, sądziłem, że przymiotniki „Drogi” czy „Szanowany” to w koreańskim szczególna forma zaimka zarezerwowana dla Kim Il Songa i Kim Dzong Ila, podobnie jak „Wielki”, zawsze używany w jednym z określeń Kim Il Songa jako „Wielkiego Wodza”. Zakładałem, że te przymiotniki to nazwy własne tak samo jak Kim, a więc etymologicznie czysto koreańskie. Dzięki poezji Byrona nauczyłem się jednak, że te określenia szacunku należą do języka światowego. Czułem dziwne uniesienie, odkrywając, że takich słów można użyć wobec osoby.

Przede wszystkim jednak układ słów i figur poetyckich – zrównoważonych fundamentalnym rytmem wiersza – obudził we mnie poczucie literackiej wzniosłości przekraczającej to, co da się wyrazić tylko muzyką. Tak jak wcześniej zasłuchiwałem się w symfonii *Z Nowego Świata* Dvořáka, tak teraz w kółko czytałem północnokoreańskie przekłady *Wędrówek Childe Harolda* i *Korsarza*. Po każdej lekturze zakończenia *Korsarza* – w którym bohater, pirat włóczęga, znika z wyspy, dowiedziawszy się o śmierci ukochanej – jeszcze długo nie mogłem się uspokoić. Do tej pory znałem tylko lojalność wobec Wielkiego Wodza,

sądziłem, że to jest właśnie najwznioślejsze uczucie, jakiego może doznać człowiek. Te wiersze udowadniały jednak, że uczuć można doświadczać również w sferze osobistej, która nie dotyczy Wodza. Może to oczywistość dla całej reszty świata, ale dla mnie było to zdumiewające objawienie, a gdy tylko to sobie uświadomiłem, nagle zapragnąłem wyznać miłość kobiecie. Chciałem się zakochać i zasłabnąć z miłości. To pragnienie sprawiło, że sam zacząłem pisać wiersze.

Myślałem nawet o rzuceniu nauki w Pjongjańskiej Szkole Artystycznej, ale nie śmiałem rozczarować rodziców, którzy tak bardzo we mnie wierzyli. Mogłem przynajmniej poszukać literackiego mentora.

Są trzy wiersze, których każdy obywatel Korei Północnej musi się nauczyć na pamięć. To *Dla mojej jedynej Ojczyzny* Ri Su Boka, *Matka* Kim Chula i *Moja Ojczyzna* Kim Sang O. W *Dla mojej jedynej Ojczyzny* poeta oświadcza, że choć ma tylko jedno życie, poświęci je swojej ojczyźnie, która jest tylko jedna. *Matka* to opis matczynej miłości Partii Pracy, głębszej niż miłość odczuwana przez jakąkolwiek ludzką matkę, niezdolną wychować dziecko jako jednostkę oderwaną od państwa. Tu matczyna miłość sama w sobie jest niewystarczająca, znacznie ustępuje miłości partii. *Moja Ojczyzna* opisuje Wielkiego Wodza jako prawdziwą ojczyznę poety. Kraj zostaje tu wchłonięty przez tożsamość jego przywódcy.

Jeśli w ogóle miałem mieć nauczyciela, to chciałem, żeby był nim jeden z najwybitniejszych poetów Korei Północnej. Na szczęście, chociaż mój świat zdawał się ogromny, okazał się również mały. Ri Su Ryon, wnuczka Kim Sang O, chodziła ze mną do klasy. Kiedy powiedziała, że jej dziadek zgodził się ze mną spotkać, i po wykładach zaprosiła mnie do domu, tak się uradowałem, że chwyciłem ją za rękę i mocno uścisnąłem. Była zima 1990 roku i powinienem całkowicie koncentrować się na studiach muzycznych w Pjongjańskiej Szkole Artystycznej.

Mieszkanie Kim Sang O znajdowało się na Otan-dong w dzielnicy Joong-gu. Był stamtąd doskonały widok na rzekę

Daedong. Po wyzwoleniu Korei spod japońskiej okupacji w 1948 roku Kim Sang O wrócił z Japonii i został zastępcą redaktora gazety w prowincji Hwanghae. Kiedy przyjechał tam Kim Il Song, Kim Sang O został poproszony o napisanie mu przemówienia. Ta współpraca ostatecznie zaowocowała awansem na stanowisko wiceprezesa Komitetu Centralnego Koreańskiego Związku Pisarzy.

Jednakże pod wpływem rewolucji kulturalnej w Chinach, która rozpoczęła się w 1966 roku, również w Korei Północnej miało miejsce wiele czystek wśród intelektualistów. Po tym, gdy Chruszczow skrytykował kult Stalina, państwo północnokoreańskie uznało Chruszczowa za rewizjonistę. KRLD w owym czasie wolała chińską odmianę komunizmu od radzieckiej. Lata studiów spędzone w Japonii zaszkodziły Kim Sang O, ponieważ wiązały go z projapońskimi kolaborantami. Uznano, że osłabia to autorytet Kim Il Songa jako antyjapońskiego bojownika. Kim Sang O stracił licencję pisarza, po czym został zesłany na prowincję, gdzie przez piętnaście lat pracował jako robotnik rolny.

Kim Il Song miał jednak dobrą pamięć. Podczas gospodarskiej wizyty w prowincji Hwanghae Południowe zapytał o młodego autora przemówień, który napisał jego pierwszą mowę w Hwanghae wkrótce po wyzwoleniu Korei. Kim Sang O został wezwany z powrotem do Pjongjangu. W tym pełnym emocji momencie napisał wiersz liryczny pod tytułem *Moja Ojczyzna*, w którym wychwalał osobę Kim Il Songa (a nie państwo ani ziemię) jako swą prawdziwą ojczyznę. Moja szkolna koleżanka Ri Su Ryon urodziła się w powiecie Seoheung w prowincji Hwanghae, gdzie Kim Sang O przebywał na zesłaniu, ale po jego rehabilitacji przeprowadziła się wraz z nim do stolicy.

Kim Il Song powołał swego dawnego autora przemówień na szefa Biura 101 w DZF. Od tamtej pory Kim Sang O musiał poświęcić swoje talenty literackie celom Partii Pracy, działał pod pseudonimem, pozbawiony tożsamości i własnej historii. Kiedy go odwiedziłem, nie pracował już w DZF. Był na emeryturze, ale

ze względu na oficjalny status Współtowarzysza Kim Il Songa zachował tytuł honorowego dyrektora Biura 101. Ponieważ z tym tytułem nie wiązała się żadna odpowiedzialność, prowadził życie tak ciche i zwyczajne, jak tylko to możliwe w przypadku kogoś o podobnej przeszłości. Co dla mnie ważniejsze, miał czas, żeby się ze mną spotkać.

Gdy osobiście otworzył mi drzwi, byłem zaskoczony i ukłoniłem mu się w pas. Jego wysoki wzrost i imponujące oblicze zrobiły na mnie silne wrażenie. Nabrałem przekonania, że najbliżsi współpracownicy Kim Il Songa nawet z wyglądu są nadzwyczajnymi jednostkami. Naprawdę wielkim człowiekiem czyniła go jednak w moich oczach jego skromność.

Ze względu na nieprzewidywalny pjongjański system ogrzewania w domu Kim Sang O, mimo statusu, którym cieszył się poeta, było zimno. Kiedy wszedłem, jego żona dla ogrzania zaproponowała mi jeden z płaszczów męża. Z zaskoczeniem zauważyłem na materiale trzy ślady po papierosach.

Jeszcze do niedawna z dostawami elektryczności nie było tak źle. Jednakże ze względu na scentralizowanie systemu nawet nieduże zakłócenie w danej okolicy wpływało na dostawy ciepłej wody i ogrzewania w całym mieście. Problem stanowił wiek rur oraz ich skłonność do częstego pękania. W wielu domach uciekano się do czerpania wody do mycia z tradycyjnego koreańskiego systemu ogrzewania podłogowego. Zawsze więc brakowało ciepła, a wobec niewydolności infrastruktury nawet w środku surowej zimy można było liczyć co najwyżej na letnią podłogę.

Nie zmieniał tego nawet fakt, że Kim Sang O mieszkał w domu dla emerytowanych członków partyjnego aktywu, zbudowanym w latach osiemdziesiątych na osiedlu mieszkaniowym oddalonym od tych przeznaczonych dla zwyczajnych pjongjańczyków. Chociaż widzieliśmy się po raz pierwszy, Kim Sang O poskarżył mi się, że jeszcze bardziej niż zimno doskwiera mu niemożność postawienia stopy na gołej ziemi. Przydzielono

mu mieszkanie na dwunastym piętrze, a ponieważ stale nie działała winda, był uwięziony pomiędzy ziemią a niebem.

Kiedy zaczął opowiadać o rodzinnej prowincji, zrozumiałem, że ślady po papierosach na jego płaszczu są niczym w porównaniu z bliznami na sercu. Na początku lat osiemdziesiątych północnokoreańska władza uznała, że obecność osób niepełnosprawnych w Pjongjangu jest afrontem wobec piękna miasta, toteż masowo wygnała ich na prowincję. Jedyna córka Kim Sang O, dotknięta schorzeniem fizycznym, musiała zostać w prowincji Hwanghae, podczas gdy reszcie rodziny nakazano przenieść się do Pjongjangu. Tą kobietą była matka mojej koleżanki Su Ryon.

Podczas mej pierwszej wizyty Kim Sang O zadał sobie dużo trudu, żeby przeczytać każdą linijkę wierszy, które wyjąłem z kieszeni marynarki. Kiedy skończył lekturę przymiarki do poematu epickiego, serdecznie się roześmiał i stwierdził, że rozpoznaje próbę naśladowania Byrona. Ku mojemu zaskoczeniu wcale mnie nie skarcił, lecz pochwalił:

– Gdybyś przyszedł do mnie z czymś w stylu „O, moja ojczyzno! O, moja partio!”, nie chciałbym z tobą rozmawiać. Spodobała mi się twoja osobista narracja o miłości. Widzę, że jesteś wierny własnemu głosowi.

Słowa moralnej otuchy Kim Sang O stały się kamieniem węgielnym mojego życia jako pisarza. Nauczył mnie, że „utwór uparcie goni swego twórcę i na zawsze czyni go odpowiedzialnym. Spójrz w swoje sumienie; mów własną prawdę. To jedyny sposób, żeby wyjść poza to, czego cię nauczono, i tworzyć literaturę, która naprawdę do ciebie należy”.

W ostatnich latach życia Kim Sang O DZF nieustannie zwracał się do niego z prośbami o kolejne dzieła literatury państwowej, on jednak do samego końca odmawiał, tłumacząc, że nie pozwala mu na to stan zdrowia. Zastanawiam się jednak, czy decyzja, żeby zachować milczenie, nie była jego ostatecznym aktem wierności własnemu sumieniu i własnej prawdzie po tym, jak przez całe życie zachowywał się posłusznie wobec Partii Pracy.

Dzięki rekomendacji Kim Song O mogłem zgłosić swoje wiersze do procesu selekcji dzieł literackich prowadzonej przez partyjny Departament Propagandy i Agitacji. Najlepsze miały zostać przedstawione do oceny samemu Kim Dzong Ilowi. Znalazły się wśród nich moje utwory.

Dziewiętnastego lutego 1992 roku państwowa gazeta „Rodong Sinmun" opublikowała obwieszczenie, że zbiór pięćdziesięciu wierszy zatytułowany *Pieśni błogosławionego pokolenia* został wręczony Generałowi Kim Dzong Ilowi z okazji pięćdziesiątych urodzin. Drogi Przywódca przeczytał zbiór, a dwóm poetom wysłał list pochwalny.

Do dziś wyraźnie pamiętam minę sekretarza komitetu partyjnego Pjongjańskiej Szkoły Artystycznej, kiedy wręczał list uznania od Kim Dzong Ila mnie, studentowi muzyki, który sprzeniewierzył się swojej szkole, zbaczając z toku nauki. Musiał to zrobić w obecności grona pedagogicznego oraz wszystkich studentów, więc choć nie miał wyboru i był zmuszony powiedzieć: „Jestem zachwycony, że nasza szkoła ma taki skarb", to wykręcił mi ucho z taką siłą, że na scenie o mało nie wrzasnąłem z bólu.

Na tym się nie skończyło. W swoim liście Kim Dzong Il obiecał spełnić każdą moją prośbę, więc wziąłem go za słowo. Partia wymagała, żeby absolwent wydziału muzycznego poświęcił resztę życia zawodowego służbie krajowi w dziedzinie muzyki. Dla mnie jednak partia zrobiła wyjątek, zezwalając mi na wybór kariery: przydzielono mi posadę pisarza artystycznego w Centralnym Komitecie Nadawczym Chosunu Departamentu Propagandy i Agitacji.

W Korei Północnej działa tylko jeden kanał telewizji. W dni powszednie jest nadawany od godziny siedemnastej do dwudziestej trzeciej, a w niedziele od dziesiątej rano. Moim zadaniem na stanowisku pisarza artystycznego była rola kuratora północnokoreańskiej poezji. Pomagałem w prezentowaniu wierszy w formacie stosownym dla telewizji. Moi rodzice i nauczyciele byli zszokowani zgodą Kim Dzong Ila

na spełnienie mojej prośby, oczywiście tak samo jak sekretarz komitetu partyjnego Pjongjańskiej Szkoły Artystycznej.

Moje życie zawodowe rozpoczęło się w 1994 roku. Przed pierwszym dniem pracy złożyłem wizytę wdowie po Kim Sang O i zgodnie z tradycyjnym koreańskim sposobem okazywania szacunku nisko jej się ukłoniłem.

Kim Sang O zmarł na gruźlicę w 1992 roku na specjalnym oddziale szpitala imienia Kim Man Yu, znajdującym się na jedenastym piętrze tej nowoczesnej placówki. Nawet swe ostatnie tchnienie oddał mnie. U kresu życia wszyscy członkowie aktywu zobowiązani byli podpisać przysięgę lojalności Kim Dzong Ilowi, w której przyrzekali, że ich szczere oddanie nie ustanie po śmierci. Poeta Kim Sang O dodał do odręcznego testamentu następujące słowa: „Pozostawiam nieukończone dzieła, które mają dokończyć moje dzieci oraz mój uczeń”. Za pogrzeb, jak przystało w przypadku dygnitarza państwowego, odpowiedzialny był Departament Zjednoczonego Frontu. Kim Il Song postanowił również, że w dniu pochówku Kim Song O przyznany zostanie Medal Zjednoczenia Ojczyzny, jedno z najwyższych odznaczeń w Korei Północnej. „Rodong Sinmun” opublikował tę decyzję jako rozporządzenie państwowe.

To właśnie testament Kim Song O sprawił, że zostałem zwerbowany przez DZF, choć pierwotnie miałem być pisarzem artystycznym. Po zdecydowanej skardze Kim Dzong Ila, że DZF przestał tworzyć dzieła dorównujące jakością utworom Kim Song O, pierwszy wicedyrektor Im Tong Ok osobiście zabiegał o mój angaż. Proces weryfikacyjny na członka aktywu centrali partii wymagał co najmniej sześciu miesięcy rygorystycznej kontroli, ale przyśpieszono go na rozkaz z góry i moje przeniesienie do DZF nastąpiło szybko.

Był jeszcze jeden problem: partia wymagała, żeby pracownicy DZF dysponowali dyplomem z literatury albo nauk społecznych. Dyplom z muzyki nie wchodził w grę. We wrześniu 1996 roku przyjęto mnie zatem na studia magisterskie na wydziale literatury i języków Uniwersytetu Kim Il Songa pod pretekstem

przejścia okresu próbnego w DZF. Nie chodziło jednak o dopełnienie formalności; był to jedynie środek do osiągnięcia celu. Roczny okres próbny w DZF został także zastąpiony moim dyplomem magisterskim i po ukończeniu studiów przyjęto mnie do Departamentu.

Ze względu na tę historię w powrocie do miasta moich urodzin chodziło o coś więcej niż tylko o odwiedziny u przyjaciół i ponowną wizytę w rodzinnych stronach. Naprawdę była to pielgrzymka do miejsca, gdzie spotkałem Choi Lianga i Kim Sang O, którzy wzięli mnie za rękę i poprowadzili ku mojemu powołaniu.

3

Miasto rodzinne odmienione

Na Dworcu Pjongjańskim panował taki tłok, że nie dało się rozejrzeć po peronie. Wydawało się, że jest tam więcej pasażerów, którzy od wielu dni czekają na opóźniony pociąg, niż takich, którzy przyszli kupić bilet albo wyruszyć w podróż – i nie tylko dlatego, że była to centralna stacja kolejowa w stolicy państwa.

W Korei Północnej, oprócz odcinków łączących nowo powstałe stacje oraz tych w specjalnych strefach ekonomicznych, reszta kraju zdana była na jednotorową linię kolejową ułożoną w pierwszej połowie dwudziestego wieku podczas japońskiej okupacji Półwyspu Koreańskiego. Obywatele Korei Północnej przywykli do tego, że pociągi nigdy nie chodzą zgodnie z rozkładem. Kim Il Song i Kim Dzong Il obaj podkreślali, że kolej to system nerwowy narodu. W rzeczywistości jednak Korea Północna była jak osoba, u której uszkodzenia nerwowe spowodowały paraliż połowy ciała. Wcale nie katastrofy naturalne stanowiły największy problem, zważywszy na ciągłe awarie, kłopoty z silnikami, torami oraz częsty brak prądu. Zresztą nawet kiedy elektryczność działała, napięcie było niskie, więc pasażerowie podskakiwali, gdy wagonem szarpało po torach. Czasem wieśniacy mieszkający wzdłuż linii kolejowej ścigali się z pociągiem wozami zaprzężonymi w woły i śmiali się, wyprzedzając podróżujących.

Poza tym istniały wyższe priorytety, ponieważ pociągi pasażerskie zawsze muszą ustąpić specjalnemu pociągowi rządzącego Kima. Ze względów bezpieczeństwa zapewniano mu bezlik przejezdnych tras, które zmieniano potem w ostatniej

chwili. Wiele pociągów towarowych miało całe miesiące opóźnienia, a partia oraz wojsko imały się najróżniejszych uzasadnień, żeby zdobyć zgodę Kim Dzong Ila na uzyskanie priorytetowego dostępu do torów. Podczas gdy pociągi działające z rozkazu Kim Dzong Ila, często przewożące artykuły wojskowe, jeździły po kraju z najwyższym priorytetem, koleje pasażerskie znajdowały się na samym dole hierarchii.

Na szczęście moje rodzinne miasto leżało na południe od Pjongjangu, gdzie ruch kolejowy był mniejszy w porównaniu z innymi regionami. Przyczynił się do tego charakter japońskich planów kolonialnych, koncentrujących infrastrukturę w północnych częściach kraju, co miało pomóc w wykorzystaniu Korei jako punktu zaczepienia umożliwiającego kontrolowanie Mandżurii na północy. Północnokoreańska sieć handlowa skoncentrowała się na tych połączeniach, a południowe regiony pozostały stosunkowo słabo rozwinięte.

Mój rodzinny Sariwon znajduje się sześćdziesiąt trzy kilometry od Pjongjangu, więc podróż samochodem zajęłaby niecałą godzinę. Kiedy jednak dotarłem na dworzec, powiedziano mi, że odjazd pociągu opóźni się o co najmniej trzy godziny. Oczekiwanie mi nie przeszkadzało. Nie byłem w rodzinnym mieście od dziesięciu lat i bardzo chciałem odbyć tę podróż koleją, czułem więc ekscytację. Szczerze mówiąc, wracałem w rodzinne strony w glorii jednego z Dopuszczonych. Zamierzałem nawet wziąć ze sobą ów wyjątkowy kieliszek, do którego wino nalał mi sam Generał. Chciałem wznieść nim toast wśród dawnych przyjaciół. Moja matka jednak stanowczo się sprzeciwiła, twierdząc, że taki skarb nie powinien opuszczać domu. Zamiast tego wypełniłem więc plecak alkoholem i konserwami mięsnymi. Z tym bagażem na ramieniu dumnie stałem w kolejce po bilet.

W Korei Północnej kolejki wszędzie są takie same. Trzy tabliczki zawsze wskazują oddzielne drogi dla członków aktywu, personelu wojskowego oraz zwyczajnych obywateli. Początku każdej kolejki strzegą uzbrojeni żołnierze. Chociaż miałem tylko

dwadzieścia parę lat, śmiało podszedłem do kolejki dla członków aktywu, dzierżąc w dłoni legitymację centrali partyjnej w jasnobrązowym skórzanym etui z wytłoczonym złotym symbolem partii. Osobom w tej kolejce zapewniano również oddzielną poczekalnię, więc nie musiały stać godzinami jak reszta pasażerów.

Pierwszy wagon każdego pociągu zarezerwowany jest dla aktywu partyjnego. O ile na peronie roiło się od ludzi, to w wagonie, do którego wstęp był ograniczony, panowały pustki. Siedziało tam tylko kilka osób. Miejsca przy drzwiach zajmowali czterej ludzie o ciemnych twarzach. Byli zdenerwowani i wciąż rozglądali się wkoło. Wyglądało na to, że wsiedli nielegalnie, przekupiwszy funkcjonariusza. Zachowywali się tak, jakby ich celem nie był Sariwon, ale bezpieczny początek podróży, bo kiedy pociąg ruszył, poczuli tak wielką ulgę, że pochylili się i zaczęli chichotać między sobą.

W Korei Północnej nie ma swobody przemieszczania się. Bilet na pociąg można kupić wyłącznie za okazaniem oficjalnej przepustki podróżnej wielkości dowodu osobistego, w której podany jest powód podróży. Jeśli ktoś zostanie przyłapany bez przepustki, czeka go wyrok trzech miesięcy ciężkich robót. Wkrótce w wagonie pojawił się agent służby bezpieczeństwa. On również musiał dostać łapówkę, ponieważ nie zażądał dokumentów od czterech pasażerów na gapę. Jakby z wdzięczności, że udałem, że tego nie widzę, po sprawdzeniu mojej przepustki stanął na baczność i bardzo oficjalnie zasalutował.

Przez długi czas nie mogłem oderwać wzroku od stale zmieniającego się krajobrazu za oknem. Po drodze przez ponad dwie godziny musieliśmy czekać na stacji w Hwangju, ale nawet to mi nie przeszkadzało. Jadąc do miasta rodzinnego, byłem w transie niczym pielgrzym, który wraca do czystego, świętego źródła.

Kiedy pociąg wreszcie dotarł na dworzec w Sariwonie po podróży trwającej ponad pół dnia, podniecony zerwałem się

z siedzenia i ze zdziwieniem ujrzałem zatłoczony peron. Po wygodnej jeździe w prawie pustym wagonie byłem zaskoczony, że tylu pasażerów wysiada tam, gdzie ja. Dziesiątki ludzi zeskakiwały nawet z dachu mojego wagonu. Z początku pokręciłem głową na myśl o tym, że narażali się na takie niebezpieczeństwo tylko po to, by nie płacić za bilet. Kiedy jednak zbliżyłem się do zamieszania w głębi platformy, zrozumiałem, że nie pieniądze były problemem. Agenci służby bezpieczeństwa bili kilku pasażerów, wykrzykując pytania: „Odpowiadać, gnoje! Macie przepustki? Odpowiadać, kurwa!”.

Posterunki kontrolne znajdują się również na wszystkich drogach przecinających granice powiatów i prowincji, nawet wśród wzgórz. Ludzie, którzy tak czy inaczej łamali prawo, podróżując bez zezwolenia, zmuszeni byli jechać na dachach pociągów, skąd najłatwiej uciec. Pewnie właśnie dlatego dręczeni przez agentów nie okazywali ani śladu siły, której musiała wymagać podróż na dachu wagonu. Zamiast tego zaklinali ich ze łzami w oczach, chwytając się każdego żałosnego wytłumaczenia, jakie przyszło im do głowy.

Atmosfera w moim mieście rodzinnym diametralnie różniła się od tej w Pjongjangu. Owa obcość zmąciła całe spokojne uniesienie mojej pielgrzymki. Otaczały mnie krzyki, wrzaski i wulgarne przekleństwa, które sprawiały, że to miejsce wydało mi się przerażające i mroczne. Przez chwilę stałem zagubiony. Rozejrzałem się po jazgotliwym tłumie ludzi, którzy przyszli na stację na spotkanie. Nie byli tu tylko po to, żeby powitać rodzinę i przyjaciół, ale także żeby odebrać ładunek. Większość pasażerów przewoziła wielkie worki ryżu lub kukurydzy.

Do 1994 roku i początku Żmudnego Marszu wszystkich obywateli Korei Północnej żywił socjalistyczny Publiczny System Dystrybucji (PSD), który decydował o przydziale wszelkich produktów niezbędnych do życia. Obejmował środki gospodarstwa domowego oraz żywność, czy to ryż, czy jajka. Państwo określało wielkość racji, która była jednocześnie wyznacznikiem klasy w północnokoreańskim społeczeństwie.

Największa przyznawana racja, tak zwana „racja dzienna”, zawierała hojny przydział środków dla domu. Departament Finansów i Administracji centrali partii dbał o to, żeby codziennie chłodnia marki Nissan dowoziła świeże zapasy nielicznym wybrańcom. Racje dzienne należały się wyłącznie domostwom sekretarzy centrali partii, dyrektorom i dowódcom korpusu w wojsku.

Niżej w hierarchii były racje trzydniowe, racje tygodniowe i racje miesięczne. Trzydniowe przysługiwały gospodarstwom domowym osób zajmujących stanowiska równe ministrom, sekretarzom partii na szczeblu miejskim oraz członkom aktywu centrali partii w randze wicedyrektora. Dyrektorom departamentów w instytucjach centrali partii oraz szefom sekcji przyznawano racje tygodniowe. Osoby takie jak ja, Dopuszczone przed oblicze Kim Dzong Ila, zamiast racji na gospodarstwo otrzymywały co tydzień racje indywidualne, składające się z pięciu kilogramów mięsa i owoców morza, dwudziestu jeden kilogramów ryżu, trzydziestu jaj, dwóch butelek oleju oraz świeżych owoców i warzyw.

Racje miesięczne, niegdyś wydawane przytłaczającej większości zwykłych mieszkańców Korei Północnej, zniknęły po załamaniu się PSD w 1994 roku. Racje tygodniowe i wyższe wciąż obowiązywały. Cieszyli się nimi tylko lojalni szczęśliwcy. Klasy przydziałów przysługujących aktywowi ukrywano jednak przed resztą społeczeństwa, która dotąd polegała na państwowych racjach, nagle zaś była zdana na siebie – podczas gdy o aktyw nadal dbano. W owym czasie rozpropagowano ogólnokrajową kampanię „samowystarczalności”, aby zachęcić ludzi, żeby radzili sobie sami, biorąc przykład z Generała. Oznaczało to, że tym bardziej stanowczo przestrzegano tajności informacji o racjach, z jakich korzystały wyższe klasy.

W czasach Żmudnego Marszu i trudów ekonomicznych pociągi gorliwie transportowały nie tylko ludzi, ale również ładunek zapewniający samowystarczalność. Kiedy widziałem ciężar tych bagaży, krzywiłem się na widok wszystkiego innego

na dworcu. Stałem tak, zaskoczony i trochę przerażony chaosem, który rozgrywał się na moich oczach, aż wreszcie ktoś stuknął mnie w ramię. To mój przyjaciel Young Nam wyszedł po mnie na stację. Na jego twarzy wyraźnie widziałem skutki głodu, ale młodzieńczy uśmiech był taki sam jak zawsze. Gdy go zobaczyłem, to było tak, jakby łuski spadły mi z oczu.

– Aleś ty urósł! – zawołałem.

Zamiast podać mu dłoń, uszczypnąłem go w ucho tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Young Nam miał większe i bardziej mięsiste płatki małżowiny usznej niż ktokolwiek, kogo znałem. Zawsze przypominały mi nabrzmiały sutek matki. Kiedy byliśmy bardzo mali, parę razy uszczypnąłem go nawet do krwi.

– Chodźmy – powiedział.

Siła, którą pokazał, biorąc ode mnie plecak, przypomniała mi o naszych dziecięcych zabawach. Gdy wyszliśmy przez bramki, rozejrzałem się przy wejściu na dworzec. Najpierw zwróciłem uwagę na budynek sariwońskiej poczty naprzeciwko stacji, który w ogóle nie zmienił się od mojego wyjazdu, jak gdyby czas stanął w miejscu. Zapamiętałem go jednak jako duży gmach, a tymczasem z wiekiem jakby się skurczył i pokrył patyną. Podobne wrażenie – że rzeczy pozostały całkiem niezmienione, a jednocześnie stały się mniejsze i bardziej sfatygowane – dotyczyło sklepów spożywczych obok poczty. Z kolei cement dużego placu dworcowego, w mojej pamięci gładki, teraz pełen był pęknięć i ran.

Świeży powiew wiatru uderzył mnie w twarz. Zauważyłem duży wiąz, który wciąż przechylał się na bok, jakby miał się przewrócić. Trochę podniosło mnie na duchu, że nadal się trzyma. Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, często razem z matką czekaliśmy pod tym drzewem, aż ojciec wróci z delegacji. Powróciły wyraziste wspomnienia. W jednym z nich sięgnąłem po niebieskie szkiełko z rozbitej butelki i uniosłem je, żeby odbić promienie słońca prześwitujące na różne strony między liśćmi i gałęziami.

Kiedy ruszyliśmy na prawo od placu dworcowego, zastanawiałem się, czy może źle skręciliśmy. To nie był park, jaki zapamiętałem, pełen jaskrawego listowia. Ani śladu saren i bażantów, które niegdyś się tu przechadzały. Jeden chodnik biegnący na wprost przez park zastąpiło mnóstwo ziemnych ścieżek, które wiodły w dziwnych kierunkach. Po obu stronach tej krętej drogi kucały długie sznury handlarzy – starych i młodych, kobiet i mężczyzn w znoszonych, wytartych ubraniach – którzy kusili podróżnych swymi błyskotkami.

Chociaż Young Nam mnie popędzał, nie chciałem niczego przegapić. Celowo się nie śpieszyłem, żeby obejrzeć artykuły rozłożone wzdłuż ścieżki. Skrzywiłem się, bo miałem przed sobą każdy rodzaj biedy znany w prowincjach Korei Północnej, zebrany w jednym miejscu i wystawiony na pokaz na tej żałosnej parceli. W powietrzu wisiał smród niemytych ciał. Towary optymistycznie wyłożone brudnymi rękami nie były rzeczami, za które można się spodziewać zapłaty. Spytałem pewną kobietę, dlaczego sprzedaje pusty termos za dwadzieścia wonów. Odparła, że jeśli napełnię go gorącą wodą, nocą mogę go przytulić, żeby się ogrzać.

Oszołomiło mnie również to, że sprzedaje się wodę z kranu. Obmycie twarzy mydłem i wodą kosztowało dziesięć wonów, a samą wodą – pięć. Young Nam wyjaśnił mi, jakby to było coś normalnego, że usługę mycia twarzy wprowadzono przed rokiem. Region nie tylko dotknęła klęska głodu, ale wyschły także zapasy wody. Chociaż kobiety wołały: „Woda do twarzy!”, ich własne twarze były tłuste i oblepione brudem. Z przykrością patrzyłem na kondycję tych kobiet zmuszonych do handlu wodą z kranu oraz tych, które nie mając wody, musiały sprzedawać najcenniejszy dobytek.

Kiedy odkryłem, że bawełniane kołdry wypchano filtrami ze starych papierosów, mimo woli parsknąłem z obrzydzeniem. Obok swych towarów siedziała kobieta skupiona na pracy. Ile starych niedopałków potrzeba, żeby wypełnić kołdrę? Czy to najlepsza rzecz, jaką mogli tutaj robić? Ludzie nie powinni żyć

w ten sposób: oni nie żyli życiem, ale żyli po to, żeby przeżyć, sami odrzuceni jak niedopałki. Ale stara kobieta jakby się domyśliła, że traktuję ją protekcjonalnie, bo zwyzywała mnie i krzyknęła, że ci, którzy nie zbierają niedopałków, zasługują na śmierć.

– Nawet o tym nie myśl, żeby patrzeć na mnie z góry – dodała z osobliwą godnością.

Spoglądając w odległe zakątki parku, dostrzegłem rój bezdomnych, którzy wyglądali na martwych lub umierających. Między tymi kobietami i mężczyznami a zimnym grobem nie było już nic z wyjątkiem ich własnego cienia. Nawet ci, którzy jeszcze żyli, wyraźnie czekali na śmierć. Wśród ciał niczym muchy krążyli mężczyźni, raz po raz szturchając bezwładne postacie kijami. Spytałem Young Nama, co oni robią. Mój przyjaciel Japoniec wyjaśnił mi to, nader głośno drapiąc się przez ubranie.

– Oni są z Wydziału Zwłok – powiedział. – Przysłał ich miejski komitet partii.

– Z Wydziału Zwłok? Co to znaczy?

– Że pozbywają się zwłok! Może w Pjongjangu tego nie macie, ale komitety we wszystkich innych prowincjach wysyłają ich do głównego parku obok dworca. Przez stację przewijają się różni ludzie, więc wielu przychodzi tu żebrać, dopóki nie umrą.

Twarz Young Nama, zupełnie niewzruszonego w obliczu śmierci, była obca i nieobecna. Wydział Zwłok? Coś takiego nie mogłoby istnieć w Pjongjangu, stolicy Chosunu i świętym centrum rewolucji. Chociaż oficjalna nazwa Korei Północnej to Ludowo-Demokratyczna Republika Chosunu, w rzeczywistości była i jest Republiką Mieszkańców Pjongjangu. Kiedy w całym kraju zapanował głód i ustał przydział racji żywnościowych, zasoby w pierwszej kolejności kierowano do mieszkańców Pjongjangu. Stanowczo ograniczono wydawanie przepustek podróżnych i wzmożono środki bezpieczeństwa na stanowiskach kontroli granicznej Pjongjangu, tak aby wysłane tam zapasy nie przeniknęły do innych prowincji. W 1996 roku, gdy żywności

zabrakło nawet w stolicy, partia w końcu uciekła się do nawiązania relacji handlowych z Chinami, żeby do kraju importować mąkę i kukurydzę. Nawet kiedy mieszkańcy Pjongjangu umierali z głodu albo zamarzali na śmierć, nie można ich było zostawić na ulicach jak w pozostałych prowincjach; Pjongjang stanowił wizytówkę Kim Il Songa i Kim Dzong Ila dla gości z zagranicy, więc za wszelką cenę należało zachować pozory.

Young Nam mówił dalej:

– Podobno na ten pomysł wpadł sekretarz partii z Hamheungu i dostał za to odznaczenie państwowe. I bardzo dobrze! Martwi już mu nie podziękują, ale żywi są bardzo wdzięczni. Jak inaczej pozbylibyśmy się tych ciał? Każdy, kto zgłosi się do pracy, dostaje pełną rację dzienną. To całkiem hojna oferta.

Mój przyjaciel trajkotał dalej jakby w zupełnie innym języku od używanego w Pjongjangu. Nic tutaj nie wydawało mi się już znajome. W bezruchu obserwowałem Wydział Zwłok przy pracy, nie zwracając uwagi na Young Nama, który popędzał mnie ruchem ręki. Wydział Zwłok miał wyładowaną rikszę, na której ułożono kilka pustych worków. Pod dziwacznymi kątami wystawało spod nich sześć bosych stóp chudych jak u szkieletów. W pierwszej chwili nie rozumiałem, na co patrzę, lecz gdy tylko pojąłem, że te puste worki to ludzkie ciała, zrobiło mi się niedobrze i dostałem torsji. Wstrząsnął mną próżny żal, że przyglądałem się zbyt uważnie. Słyszałem pogłoski, że kiedy załamał się Publiczny System Dystrybucji, w niektórych prowincjach na ulicach widywało się zwłoki. Nie sądziłem jednak, że zobaczę je w rodzinnym mieście. Miejsce, które zachowałem w czułej pamięci, przypominało piękny pejzaż; teraz zaś było na zawsze skalane i porwane na strzępy. Wobec tej zdrady wspomnień czułem, jak gdzieś w głębi wzbiera we mnie gniew zmieszany z dezorientacją.

Spotkania z mieszkańcami miasta i dawnymi sąsiadami wprawiały mnie w coraz większe przygnębienie. Gdy

skończyłem rozpakowywać się u Young Nama i się przebrałem, do jego domu ściągnęli sąsiedzi. Matka Young Nama zapukała do wszystkich drzwi, żeby oznajmić, że z wizytą przyjechał lekarski syn. Rzucili swoje zajęcia, żeby zobaczyć mnie na własne oczy – jednego z Dopuszczonych. Wszyscy bez wyjątku wyglądali na starych i wycieńczonych.

– Podobno byliście na kolacji u Generała! Jaką jada owsiankę?

To pytanie zadał mi „Wysoki pan Park”, który kiedyś mieszkał parę domów dalej. Od ostatniego święta państwowego jadł wyłącznie owsiankę. Miał pożółkłą twarz.

– Generał? Och, znacie tę pieśń *Kulki ryżowe Generała*? Tak jak w niej podzielił się z nami kulką ryżu – wymamrotałem.

Choć miałem do czynienia z prostymi ludźmi z prowincji, którzy wierzyli we wszystko, co mówi im Partia Pracy, nie wyobrażałem sobie, że to pytanie padnie tak szybko. Potarłem dłonie mokre od potu. Mieszkańcy najwyraźniej z ulgą przyjęli wiadomość, że Generał je suche kulki ryżu, a nie owsiankę. Niektórzy cmokali, inni milczeli w zachwycie. Ktoś stwierdził, że właśnie to słyszeli od członków aktywu partyjnego, więc trzeba zrobić jeszcze więcej dla Patriotycznego Ruchu Ryżowego, nawet jeśli oznaczałoby to wyłożenie na ryż własnych pieniędzy. Patriotyczny Ruch Ryżowy to kampania, w ramach której zwyczajni mieszkańcy Korei Północnej oddawali państwu swój ryż w akcie patriotyzmu.

Mieszkańcy bez końca zarzucali mnie pytaniami o Generała, nerwowo dopytywali się o jego zdrowie. Byłem przerażony, że bardziej interesuje ich dobrobyt wodza niż ich własny, chociaż żyli w opłakanych warunkach. Robiłem, co mogłem, żeby na ich pytania odpowiadać kłamstwami, ale napawało mnie obrzydzeniem to, jakim człowiekiem się stałem.

Z mieszkańców mojego miasta odpłynęło życie i widok ich twarzy nie mógł mi już przynieść pocieszenia. Kiedy spotkałem Soon Yong, która mieszkała po sąsiedzku – dawniej byłem w niej zakochany i zawsze udawała moją żonę, gdy w dzieciństwie bawiliśmy się w dom – zobaczyłem, że zmieniła się w starą,

zeszpeconą kobietę. Zaraz po tym, jak nasze spojrzenia się zetknęły, odwróciła wzrok i spuściła głowę, ukazując chudą, nagą szyję, kolejną oznakę ubóstwa. Myung Chul niegdyś słynął z siły, której zazdrościli mu wszyscy chłopcy w mieście; teraz została z niego tylko skóra i kości. Upiorna, przedwcześnie pociemniała skóra tych ludzi oraz głębokie zygzaki zmarszczek na ich twarzach były cichym świadectwem lat głodówki, które mieli za sobą.

Kiedy zapytałem o kilku sąsiadów, których nie dostrzegłem w tłumie, odpowiedziano mi rzeczowo, że wszyscy umarli z głodu. Poczułem się, jakby ktoś uderzył mnie w głowę. W moich wspomnieniach nazwiska, które wymieniłem, należały do ludzi całych i zdrowych, oni jednak już nie istnieli na tej planecie. Opłakiwałem pustkę wypełniającą mą duszę.

Nagle z zewnątrz usłyszałem okrzyk. Wysoki pan Park powiedział mi, że to Dziadek Jabłonkowa Chatka. Ponoć oszalał. Wszyscy w naszym mieście wiedzieli o Jabłonkowej Chatce. Nazywano ją tak, ponieważ dziadek zasadził jabłonkę w ogrodzie, gdy urodziła się jego wnuczka, żeby dziewczynka i jabłoń rosły razem. Każdej jesieni przychodziły do niego dzieci z miasteczka i pytały: „Kiedy możemy zrywać jabłka?”. Dziadek Jabłonkowa Chatka odpowiadał: „Wróćcie tu w niedzielę z mamą i tatą. Pamiętacie, w niedzielę zbieramy jabłka!”. Zawsze był dla nas przyjazny. Zapytałem, dlaczego postradał zmysły.

– Nie ma już jabłoni – odrzekł Myung Chul, ciężko wzdychając. – Dziadek zrąbał ją, kiedy powiesiła się na niej jego wnuczka. Jej matka odeszła z jakimś sukinsynem, a ojciec zmarł kilka lat temu. Matka się nie odzywała, więc został jej tylko dziadek. Opiekował się nią, no bo jak nastoletnia dziewczynka miałaby sobie radzić sama? Ale pewnej nocy złodziej zerwał wszystkie jabłka. Następnego dnia rano dziadek znalazł wnuczkę wiszącą na gałęzi jabłoni. Oszalał. Mówi, że jak znajdzie złodzieja, to go zje.

Ta historia sama w sobie była niewiarygodnie żałosna, ale gdy na koniec Myung Chul dodał, że wszyscy nadal nazywają starca

Dziadkiem Jabłonkowa Chatka, chociaż jabłonki już nie ma, nie potrafiłem nad sobą dłużej zapanować i moje oczy wypełniły się łzami. Udałem, że wierzchem dłoni ocieram jakiś pyłek. Było mi bardzo żal, że ukrywam łzy przed tymi ludźmi, lecz za bardzo się wstydziłem, żeby je okazać. Jakże ja, wiodący życie pełne przywilejów, mógłbym dać wyraz nieszczęściu na oczach tych, którym nie zostało już nic, nawet możliwość wyrażenia rozpaczy?

Pod wpływem tych myśli nagle poczułem niepohamowany impuls, żeby ukryć dłonie, więc usiadłem. Życiu moich ziomków zagrażał niedobór żywności, byłem więc zażenowany, że używam rąk do tworzenia literatury, podczas gdy kraj jest w tak opłakanym stanie. Albo raczej rozpaczliwie chciałem ukryć dłonie przed sąsiadami. Wydawało mi się, że właśnie one zdradzają moją arogancję i egoizm, a gładka skóra pokazuje, że używałem ich do zabezpieczenia własnej egzystencji kosztem życia niezliczonych ludzi.

Tego wieczoru podczas kolacji znów musiałem przełknąć łzy. Matka Young Nama, która przygotowała posiłek, z dumą wyjaśniła, jak to możliwe, że jako gościowi może mi zaoferować pół miski ryżu: podczas każdego posiłku odkładała po dziesięć ziarenek. Oprócz ryżu był jeszcze mały talerz solonej kapusty oraz marynowane sardele podane mi niczym drogi przysmak. Kiedy zapytałem, ile trwało oszczędzanie ryżu, matka Young Nama odparła: „Trzy miesiące”. Nie mogłem uwierzyć, że jedzą ryż na ziarnka, a nie porcjami. Wymamrotałem wymówkę, że mam niestrawność po obiedzie z pociągu.

Gdy tylko wstałem, ojciec Young Nama surowo skarcił żonę, że zniechęciła mnie do jedzenia. Przyniósł mi łyżkę, zmusił mnie, żebym ją chwycił, i zaczął błagać, żebym wrócił do stołu. Wyjąłem z plecaka alkohol z importu i konserwy mięsne, które wziąłem ze sobą z Pjongjangu na prezenty pożegnalne.

– Posłuchajcie, nie martwcie się o mnie. Nie dlatego odmówiłem, że jest za mało jedzenia – wybełkotałem.

Choć przywiozłem te produkty jako prezenty, teraz odchodziłem od zmysłów, nie wiedząc, jak wyjaśnić rodzinie, która je ryż ziarnkami, skąd mam tak luksusowe rzeczy. Gdy ojciec Young Nama uniósł butelkę koniaku i spojrzał na nią z zachwytem, byłem pełen złych przeczuć.

– Ach, od lat nie widziałem zachodniego alkoholu. – Westchnął. – Wiesz, kiedy przyjechaliśmy z Japonii do Korei Północnej, miałem tyle butelek, że rozdawałem je, komu tylko mogłem.

Matka, nagle zawstydzona własnym skromnym poczęstunkiem w porównaniu z podarkami, które przywiozłem, z zażenowaniem popchnęła miskę ryżu w stronę męża.

– Ty to zjedz – powiedziała. – Może powinnam była zachować ten ryż na inną okazję.

Od ojca miska trafiła do syna, a od syna z powrotem do matki. W końcu matka Young Nama zaniosła ją do kuchni, żeby odłożyć dla córki, która pracowała na nocną zmianę w fabryce tekstyliów. Zrobiło mi się lżej na sercu, a jednocześnie wzruszyła mnie miłość, która rodzinie mającej tak mało ryżu kazała oddać resztkę obcemu człowiekowi.

Ojciec Young Nama wciąż patrzył z zachwytem na butelkę importowanego alkoholu. Kiedy powiedziałem, że dał mi ją Drogi Przywódca, opadła mu szczęka. Kim Dzong Il rozdawał wyjątkowe prezenty starszym członkom aktywu trzy razy do roku: na Nowy Rok, urodziny Kim Il Songa oraz własne. Włoski materiał na garnitury, rzadkie zioła lecznicze albo buty, wszystkie specjalnie w tym celu importowane. O ile jednak inne przedmioty mogły się zmieniać, alkohol zawsze był ważnym elementem podarków.

Zwyczaj wręczania alkoholu wprowadzono dlatego, że wielu członków aktywu, nieobeznanych wcześniej z tymi napojami, było nimi zafascynowanych, nadużywało ich podczas państwowych bankietów oraz na zagranicznych placówkach

i popełniało gafy towarzyskie. Ogólnie rzecz biorąc, w skład zestawu podarunkowego wchodziły po dwie butelki trzech typów koniaku – w sumie sześć butelek. Dla północnokoreańskiego aktywu podarunek importowanego alkoholu w praktyce był podarunkiem obcej waluty, ponieważ na czarnym rynku za każdą butelkę spokojnie można było dostać sto dolarów amerykańskich. Wszystko, co sprzedawano czarnorynkowym handlarzom, ostatecznie trafiało z powrotem do członków aktywu jako łapówki, więc prezent w postaci butelki koniaku mógł być wart znacznie więcej niż jego nominalny koszt. Z tej samej przyczyny ceny importowanego alkoholu w Korei Północnej gwałtownie spadają w okolicach każdego z trzech wyżej wspomnianych świąt państwowych.

Ojciec Young Nama wydawał się zainteresowany czymś więcej niż tylko wypiciem zawartości butelki. Hipnotyzowała go zagraniczna etykieta i chyba chciał zachować butelkę na pamiątkę. Spytał wprost, czy dam mu ją w prezencie. Kiedy przytaknąłem, pognał po pusty kieliszek i napełnił go koniakiem, jakby chciał pozbyć się go jak najszybciej. Pochodzący z Osaki ojciec Young Nama delektował się trunkiem powoli. Wyjaśnił, że przypomina mu przeszłość. Po dwóch kieliszkach przestał jednak nad sobą panować.

– Pamiętasz to pianino Yamaha, które mieliście w domu? Dostaliście je ode mnie. Wiesz o tym, prawda? I że nasz dom dostaliśmy od twojego ojca. O tym też wiesz?

– Tak. Tak. – Potrafiłem odpowiadać tylko monosylabami i czułem, że krew uderza mi do głowy.

– Na zawsze jestem naznaczony jako Japoniec, więc nigdy nie pozwolono mi znaleźć prawdziwej pracy. Wiesz, w zeszłym roku o tej porze twój ojciec przyszedł do nas przenocować. Od iluś dni nic nie jedliśmy. Byłem głodny. Tak głodny, że skontaktowałem się z twoim ojcem. Wiesz, zrozumiałem, że przyjaciel jest lepszy niż ojczyzna. To dzięki jego wsparciu mogliśmy przeżyć jeszcze rok. Kazałem mu przysiąc, że ci o tym nie powie.

Matka Young Nama próbowała uspokoić męża:

– Upiłeś się. Nie mów tak o ojczyźnie przy dzieciach. Poza tym sam chciałeś, żebyśmy przeprowadzili się do Korei Północnej. Co nam teraz z żałowania tej decyzji?

Za jej słowami kryło się wiele innych, które nie mogły zostać wypowiedziane.

– Tak, przepraszam – odparł jej mąż. – Przepraszam, że sprowadziłem nas do tego kraju. Ale dzisiaj jestem szczęśliwym człowiekiem. Kiedy nas odwiedziłeś, to mam wrażenie, że wreszcie zjedliśmy porządny posiłek. Masz pojęcie, co myśmy jedli? Wiesz, ta moja żona stawia na stole wodę po ryżu i nazywa to ryżem. Gotuje dzikie pędy i podaje wywar, jakby to była porządna potrawka. Na stole nigdy nie ma prawdziwego jedzenia, ale ona wymaga, żebyśmy siadali do posiłku. Zresztą czemu nie? Możemy udawać, że zjedliśmy porządny posiłek, i poczuć się lepiej.

Young Nam trzymał się za głowę i spoglądał na ojca spomiędzy palców, jakby przekonany, że ten niszczy resztkę godności w ich życiu. Kiedy widziałem skutki głodu na jego czaszce, pękało mi serce. Young Namie, nie miałem pojęcia, pomyślałem. Wybacz mi ignorancję.

Nazajutrz rano spakowałem się do wyjazdu. Pierwotnie planowałem zostać jeszcze dwa dni, ale wymówiłem się koniecznością powrotu do pracy. Kiedy zobaczyłem podarte buty, które pośpiesznie włożył Young Nam, zanim wyszedł za mną z domu, cieszyłem się z podjętej decyzji. Przed wyjazdem do Pjongjangu chciałem kupić mu nowe buty, zaproponowałem więc pójście na targ. Po drodze zerknąłem ukradkiem na jego dyndający płatek małżowiny usznej. Zobaczyłem na nim białe płaty suchej skóry, które biegły aż na szyję. Było mi okropnie żal, że w dzieciństwie tyle razy go szczypałem.

– Jak się czujesz z powrotem w domu? Czy w Pjongjangu jest zupełnie inaczej? – Głos Young Nama był słaby. Brzmiał, jakby dobiegał z daleka.

– Ludzie wszędzie żyją tak samo. Nawet ciągle krzyczą na mnie w pracy.

– Chcę wyjechać do Pjongjangu. Tam przynajmniej można dostać pracę. A nawet poznać Generała, tak jak ty.

Zawahałem się, szukając słów, które mogłyby go pocieszyć. Nawet idąc obok niego, czułem się skrępowany. Było mi wstyd, że moja wizyta wprowadziła tyle zamieszania w jego życiu. On jednak zaczął mi się zwierzać.

– Ty nic nie rozumiesz, prawda? Dla mnie nie ma przyszłości. Ty przynajmniej mieszkasz w Pjongjangu, gdzie ciężko pracując, można do czegoś dojść. Ty nawet sam wybrałeś sobie karierę. Tutaj co najwyżej mogę walczyć o to, żeby mieć co włożyć do ust. Nawet jeśli dziś mi się uda, muszę się martwić o następny posiłek. A potem o następny. W każdej chwili towarzyszy mi strach o to, kiedy znów będę mógł coś zjeść. Żyjemy jak zwierzęta. Widziałeś to na własne oczy pod dworcem. Pamiętasz, że dawniej zwyczajowe pozdrowienie brzmiało: „Czy już jadłeś?". Teraz nie można tak powiedzieć, bo co wtedy odpowiedzieć? „Nie jadłem, i co z tym, kurwa, zrobisz?". Nie rozumiesz? Poza Pjongjangiem jest inaczej. Tego w stolicy też nie macie, prawda?

Spojrzałem w kierunku, który wskazywał. Ściany po obu stronach wejścia na targ zamiast cen produktów pokrywały slogany wypisane czarnymi literami: „Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto łamie przepisy ruchu drogowego!", „Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto gromadzi zapasy jedzenia!", „Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto marnuje prąd!", „Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto przecina linie komunikacji wojskowej!", „Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto rozpowszechnia zagraniczną kulturę!", „Śmierć przez rozstrzelanie każdemu, kto plotkuje!". Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że w naszym kraju wprowadzono tyle nowych przepisów. Slogany sugerowały, że każda pomyłka karana jest śmiercią przez rozstrzelanie.

W Pjongjangu, żeby nic nie dotarło do uszu i oczu obcokrajowców oraz turystów, nowe przepisy ogłaszano wewnętrznie na spotkaniach pracowników i mieszkańców,

w których musieli uczestniczyć wszyscy obywatele Korei Północnej. Dotarło do mnie, że nigdy dotąd nie widziałem przepisu umieszczonego publicznie. Minął moment, zanim przypomniałem sobie, po co w ogóle przyszliśmy na targ. Gdy odzyskałem panowanie nad sobą, postanowiłem czym prędzej kupić buty i opuścić to miejsce, więc wziąłem Young Nama za rękę i ruszyłem przodem.

Więcej ludzi po prostu się tam kręciło, niż coś kupowało lub sprzedawało. Kiedy przeciskaliśmy się przez tłum, smród był odurzający.

– Uważaj na portfel! – ostrzegł mnie Young Nam.

Ruszyłem jeszcze szybciej i w końcu znalazłem stoisko z butami. Poprosiłem przyjaciela, żeby wybrał sobie parę, która mu się podoba. Opierał się, mówił, że i tak mu przykro, bo nie mógł mnie godnie podjąć jako gościa, więc nie może na dodatek przyjąć ode mnie prezentu. Kiedy niechętnie wybrał tanie buty, poprosiłem handlarza o najdroższe, jakie miał. Nawet one okazały się kiepskiej jakości obuwiem z Chin.

Young Nam przypomniał sobie koreańskie przysłowie:

– Mówią, że jeśli kupisz komuś buty na pożegnanie, nigdy więcej się nie zobaczycie.

– Myślisz, że jestem twoim kochankiem czy co? Co to znaczy: „nigdy więcej się nie zobaczycie”? – odparłem.

Widząc, że uśmiechnął się od ucha do ucha, poczułem się nieco lepiej. Po dokonaniu zakupu wepchnąłem do kieszeni Young Nama otrzymaną resztę oraz wszystkie pieniądze, jakie miałem w portfelu. Nim jednak zdążyliśmy opuścić targ, rozległa się syrena.

– Co to? – zapytałem.

Reakcja otaczających nas ludzi była jeszcze dziwniejsza niż sam dźwięk. Wszyscy rozglądali się wkoło ze złością, niektórzy głośno przeklinali.

Young Nam miał zamknięte oczy. Wydawał się rozdrażniony. Potem syknął:

– Kurwa mać.

Kiedy znów zapytałem, co się dzieje, powiedział, że będzie egzekucja.

– Jak to?

Sprzedawca podniósł wzrok znad buta, który polerował postrzępioną szmatą, i odpowiedział zamiast Young Nama:

– Nie jesteście stąd, prawda? Przyszliście nie w porę, ot co. Będzie sąd ludowy. Zanim się nie skończy, nikomu nie wolno opuścić targu.

W Korei Północnej publiczna egzekucja nie jest uważana za karę. Uznaje się ją za metodę edukacji moralnej, a także narzędzie propagandy publicznej w walce o władzę. Ale egzekucja na targu? Gdy zdezorientowany spojrzałem na Young Nama, uspokoił mnie, że takie egzekucje odbywają się niemal co tydzień. Zawsze na placu targowym, co zapewnia dużą widownię.

Rzeczywiście ze wszystkich stron nadciągnęli żołnierze, otoczyli plac i kolbami karabinów zagonili nas na środek. Wszędzie panował chaos. Wzdrygnąłem się na widok więźnia prowadzonego przez dwóch żołnierzy, ponieważ zamiast więziennego uniformu miał na sobie codzienne ubranie. Wyglądało to jak celowe przesłanie dla mieszkańców miasteczka, że w tej sytuacji może się znaleźć każdy z nich; nie potrzeba wyjątkowego umysłu przestępcy, żeby kogoś spotkał taki los. Mężczyzna był przerażony. Rozglądał się wkoło, powieki nad zapadniętymi oczami mu opadły. Wokół jego ust widziałem ślady krwi. Dla niego naprawdę ziściło się piekło na ziemi. Bliźni musieli mu się wydawać równie przerażający jak demony.

Sąd ludowy zajął niecałe pięć minut. Właściwie w ogóle nawet nie przypominało to sądu. Oficer po prostu odczytał wyrok. Oznajmił, że zbrodnią, której dopuścił się skazaniec, była kradzież worka ryżu. Ponieważ państwem rządzono zgodnie z polityką *Songun* – „Po pierwsze wojsko” – cały ryż w kraju należał do wojska i nawet drobne przestępstwa sądzono zgodnie z prawem wojennym.

– Śmierć przez rozstrzelanie!

Gdy tylko ogłoszono wyrok, jeden z dwóch żołnierzy pilnujących więźnia wepchnął mu coś do ust szybkim, wprawnym ruchem. Była to sprężyna w kształcie litery V, która rozprężała się w ustach, uniemożliwiając zrozumiałą mowę. Więzień wydawał dźwięki, ale nie ludzkie słowa, tylko skomlenie. Urządzenie oficjalnie zatwierdzono do użytku podczas publicznych egzekucji, żeby skazaniec w ostatnich chwilach życia nie mógł wznosić buntowniczych okrzyków.

Trach! Trach! Trach!

Jeszcze nigdy nie słyszałem strzałów z tak bliska. Krew zastygła mi w żyłach. Nie śmiałem patrzeć na więźnia w chwili jego śmierci, więc wzniosłem wzrok. Na niebie, całkiem przejrzystym i jasnoniebieskim, nie było ani jednej chmurki. Mieszkańcy zmuszeni patrzeć na egzekucję mieli ponure twarze.

Kiedy żołnierze dmuchnęli w gwizdki i krzyknęli, żeby tłum się rozszedł, ludzie nie zareagowali, zaczęli między sobą mamrotać. Szept zaczął się rozchodzić i dosłyszałem, co mówiono. Znajomi zidentyfikowali więźnia. Nie sposób opisać szoku, którego doznałem, poznawszy jego historię. Włosy stanęły mi dęba, od stóp do głów przebiegł mnie zimny dreszcz.

WIĘZIEŃ

Gdziekolwiek zbierają się ludzie,
wkrótce padną strzały.

Dzisiaj na oczach tłumu
skazują kolejnego człowieka.

„Nie wolno nam czuć współczucia!
Nawet kiedy już umrze, musimy go zabić ponownie!”

Slogan zostaje przerwany: Trach! Trach!
gdy wygłaszają resztę komunikatu.

Dlaczego dzisiaj
tłum milczy?

Zbrodnia więźnia: kradzież jednego worka ryżu.
Jego wyrok: dziewięćdziesiąt kul prosto w serce.

Jego zawód:
Rolnik.

Człowiek podziurawiony kulami za kradzież ryżu był głodującym rolnikiem. Nawet ktoś, kto pracował na roli, nie miał dość jedzenia.

4
Zbrodnia: zajrzeć przez granicę

Gdy tylko wróciłem do domu w Pjongjangu, daleko od sądu ludowego w Sariwonie, wszedłem pod prysznic. Czułem się tak, jakby oblepiły mnie kawałki skóry i krew skazańca, więc szorowałem się raz za razem. Przez ponad tydzień, ilekroć usiadłem do stołu, dostawałem mdłości i nie mogłem znieść myśli o jedzeniu. W każdą inną niedzielę spałbym do późna, ale tego dnia wyszedłem z domu przed świtem, gdy było jeszcze ciemno, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Nad rzeką Daedong nie było nikogo oprócz kilku starych mężczyzn, którzy siedzieli tam z wędkami. Znalazłem sobie pustą ławkę zwróconą w stronę wody. Ponad rzeką niósł się powiew wczesnoletniego wiatru. Głęboko wciągnąłem powietrze, a potem gwałtownie je wypuściłem, wyrzucając z płuc całe zło. Gdy powtórzyłem to parę razy, poczułem, że wreszcie łatwiej mi oddychać.

Nad powierzchnią wody przeszła zatęchła woń i obok mnie przepłynęła wykrzywiona patelnia. Dawniej nie zwróciłbym uwagi na takie brzydkie drobiazgi. Zamiast tego pozwoliłbym myślom popłynąć wraz z rzeką ku morskim głębinom, które zainspirowałyby mnie do pisania poezji lśniącej jak promienie słońca na falach. Ta niedziela była jednak inna. Kiedy oglądałem patelnię niesioną prądem rzeki, jej los kojarzył mi się z losem moich przyjaciół i ziomków. Woda symbolizowała upływ czasu – równie bezsensowny jak ruch wody płynącej ku mnie tylko po to, by zaraz się oddalić. Na drugim brzegu rzeki z dachu budynku zwisało hasło: „Jeśli przeżyjesz tysiąc mil cierpienia, czeka cię

dziesięć tysięcy mil szczęścia!”. Te słowa wydawały się dziwne i puste.

Partia nazywała ten czas Żmudnym Marszem, ale czy rzeczywistość nie była znacznie gorsza niż tylko „żmudna”? Co więcej, w tym marszu nie uczestniczyli wszyscy. Podczas gdy zwykli obywatele Korei Północnej musieli pokonać w cierpieniu tysiąc mil, uprzywilejowani członkowie aktywu odbywali tę podróż komfortowym spacerkiem. Mieszkańcy mojego miasteczka martwili się o to, czy ich Wódz jest zdrowy i ma co jeść, a on tymczasem w luksusie jadał zimne lody ozdobione płomieniami. Dręczyły mnie poważne wątpliwości, wiedziałem jednak, że są one niebezpieczne i że niczego nie zmienią. Mieszkałem w Pjongjangu. Należałem do Dopuszczonych i osiągnąłem tak wiele jeszcze przed ukończeniem trzydziestki. Ze względu na rodziców nie mogę sobie pozwolić na tak wywrotowe myśli. Jeśli tylko nie zejdę z tej drogi, wkrótce osiągnę godną pozazdroszczenia pozycję wzoru lojalności wobec Drogiego Przywódcy. Musiałem wytrwać.

Postanowiłem skupić się na powierzonym mi zadaniu: ciężkiej pracy nad poematem epickim, w której w pełni wspierał mnie Departament Zjednoczonego Frontu. Pierwszego dnia po powrocie przyszedłem do biura wcześniej niż inni, o wpół do siódmej rano. W swoim cichym kąciku wiecznym piórem napisałem tytuł wiersza dużymi literami na kartce w kratkę: *Oda do Uśmiechniętego Słońca*. Do końca dnia nie stworzyłem jednak nic więcej. Moim zadaniem było opisać uśmiech naszego Wielkiego Wodza, a tymczasem potrafiłem myśleć tylko o nieszczęściu moich ziomków.

Dlaczego byliśmy biednym narodem? Skoro nasz Wódz był wielki, to dlaczego jego lud umierał z głodu? Reformy przyniosły Chińczykom dobrobyt, więc dlaczego nasza partia nie rozważała zmiany polityki? Byłem przerażony, że wszystkie te pytania kipiały w mojej głowie niczym woda z górskiego źródła. Gdy tylko wydawało mi się, że odrzuciłem jedno, natychmiast

zastępowało je kolejne. Jeszcze nigdy w życiu nie miałem tylu pytań do siebie samego, partii i Drogiego Przywódcy.

Dyrektor Im co tydzień pytał mnie o postępy w pracach nad *Odą do Uśmiechniętego Słońca*. Miałem już dość własnych wymówek i rozpaczliwie czekałem na koniec każdego dnia. Ilekroć chwytałem pióro, moje myśli wypełniały łzy ludu – a nie naszego Wielkiego Wodza. Nie dawało mi spokoju pragnienie, by pisać realistyczną poezję o tym, co widziałem, a nie lojalistyczną poezję o tym, co kazano nam wszystkim widzieć.

Ponieważ nikt nie mógł się dowiedzieć o takiej twórczości, w domu nocami pisałem wiersze po kryjomu. W ten sposób codziennie tworzyłem pieśni o ryżu, a nie o Drogim Przywódcy. Mój umysł pełen był scen, które oglądałem na własne oczy w rodzinnym mieście.

Tego chłopca wychowano na wodnistym wywarze z ryżu.
Daję mu miskę prawdziwego ryżu na urodziny,
Lecz on tupie nogami i odmawia.
„To nie jest ryż!” – protestuje nieugięty.

Owej nocy, gdy napisałem ten wiersz, płakałem do rana. Jest oparty na historii, którą kolega z pracy w rzadkiej chwili szczerości opowiedział mi o swoim siostrzeńcu, a ja ją zanotowałem.

Zacząłem otwierać oczy na biedę w samym Pjongjangu i usiłowałem dowiedzieć się jak najwięcej. Otrzymawszy przepustkę z DZF pozwalającą na swobodne poruszanie się i prowadzenie rozmów w Pjongjangu, odwiedzałem targi i robiłem, co mogłem, żeby pomówić z ludźmi, którzy nie mają nic. W przeciwieństwie do mojego rodzinnego Sariwonu, gdzie zgony z głodu, a nawet publiczne egzekucje były na porządku dziennym, pjongjańczycy ostrożnie szeptali o śmierci sąsiadów, jakby stanowiło to groźną tajemnicę państwową. Mówili, że wiedzą, że chodzi o śmierć głodową. Żyli w straszliwym strachu, świadomi, że przez długi język mogą wiele stracić: zostaną

pozbawieni przywileju mieszkania w Pjongjangu i wygnani na prowincję.

W rozmowach z ludźmi z najbiedniejszych rejonów miasta, z Dongdaewon i Songyo, wychodziła jednak na jaw prawda o ich sytuacji. Pewna kobieta opowiadała, że wybuchła płaczem, kiedy jej młody syn chwalił się kolegom, że tego dnia zjadł trzy posiłki, podczas gdy ona sama nie jadła nic od tygodnia. Spotkałem żebraka, którego ostatnim pragnieniem było to, żeby móc coś komuś dać, ponieważ przez całe życie był w stanie tylko przyjmować dary od innych. Gromadząc wszystkie te świadectwa prawdy w tajnym tomiku poezji, czułem, że dojrzewam i staję się bliźnim tych ludzi.

Jednocześnie żyłem w strachu. Słyszałem o pisarzu, który potajemnie tworzył w stylu realistycznym, a gdy jego zbrodnia wyszła na jaw, zesłano go do obozu. Pilnowałem więc, żeby zachowywać te wiersze dla siebie. Chociaż tyle mogłem zrobić, żeby uwiecznić prawdę o tym, co czuję, i udowodnić sobie, że wciąż jestem człowiekiem. Przed paraliżującym strachem broniła mnie tylko wiara w to, że prawda ma znaczenie. Zacząłem też poważnie studiować zagraniczne książki, które dotąd czytałem z obowiązku i zawodowej ciekawości.

Zanim przyjęto mnie do Departamentu Zjednoczonego Frontu, nie wiedziałem, jaki kraj określa się mianem *Daehanminguk* (tak samą siebie nazywa Korea Południowa, dosłownie: „Wielki Naród Ludu Han”). Myślałem, że to jakieś państwo w Azji Południowo-Wschodniej. Odnotowałem tylko, że to nazwa podobna do Taiwanu (po koreańsku *Daeman*). O istnieniu Korei Południowej uczono nas tylko w kategoriach „południowego Chosunu”, dolnej połówki Ludowo-Demokratycznej Republiki Chosunu. Nawet przelotne zainteresowanie Koreą Południową traktowano jako antypaństwową działalność wywrotową. Latem 1998 roku – o czym dowiedziałem się dopiero po rozpoczęciu pracy w DZF – kiedy rząd południowokoreański zaoferował wysłanie ryżu do

Korei Północnej, nasz kraj odmówił, ponieważ na workach widniał napis *Daehanminguk*.

W ramach południowokoreańskiej „lokalizacji” czytałem z zapałem wszystkie zagraniczne teksty i obsesyjnie oglądałem południowokoreańską telewizję. Był to szczególny przywilej przyznany mnie i moim kolegom, ale surowo zabroniony zwyczajnym Koreańczykom z Północy jako coś zupełnie nie do przyjęcia. Uderzyło mnie to, że o ile w północnokoreańskiej telewizji nigdy nie krytykowano systemu, o tyle w południowokoreańskiej w ogóle nie chwalono władzy. W prasie otwarcie demonstrowano brak jednomyślności, a nawet krytykowano decyzje rządu i nie zgadzano się z politykami. Kiedy od lektury tamtejszych gazet przeszedłem do publikowanych w czasopismach szczegółowych analiz polityki, gospodarki, społeczeństwa i kultury jako takiej, moje pragnienie zapoznania się z innymi wersjami prawdy jeszcze wzrosło.

Jednym z czasopism, które czytałem regularnie, było „Wolgan Chosun”. Ilekroć je otwierałem, miałem przed oczami szokujące fakty. Do tej pory wierzyłem, że system kapitalistyczny rujnował Koreę Południową, kolonię Stanów Zjednoczonych. Zaskoczyło mnie więc odkrycie, że w rzeczywistości południowokoreańska gospodarka jest wysoko rozwinięta. Intrygowało mnie również to, że nasza szeroko rozgłaszana duma z uznania wśród społeczności międzynarodowej opierała się wyłącznie na osiągnięciach naszego Wielkiego Wodza, podczas gdy w Korei Południowej powstało wiele małych i średnich przedsiębiorstw światowej sławy. Z Korei Południowej szydzono, nazywając ją gospodarczym niewolnikiem Ameryki, a tymczasem dane pokazywały, że wielkość południowokoreańskiego handlu dorównuje wynikom Stanów Zjednoczonych. Tym, co uderzyło mnie najmocniej, poruszyło znacznie silniej niż propaganda i ideologiczny zapał, była przepaść między Północą i Południem. Wszyscy byliśmy jednym ludem, Koreańczykami, więc dlaczego nasze życie tak bardzo się różniło?

Dowiedziawszy się więcej o Korei Południowej i świecie zewnętrznym, ponownie skupiłem uwagę na naszym kraju, na północnokoreańskim systemie politycznym. Chociaż hasłem Departamentu Zjednoczonego Frontu była „lokalizacja”, to w zagranicznych tekstach, które mówiły o Kim Il Songu i Kim Dzong Ilu w wymiarze ludzkim, obrazoburcze fragmenty zostały zaczernione przez cenzorów. Właśnie to najbardziej wzbudziło moją ciekawość – jeśli mimochodem odegna się kogoś od tajemnicy, być może odejdzie, ale gdy z całych sił usiłuje się ją ukryć, ciekawość tylko się nasili.

Najszczęśliwszą chwilą każdego dnia pracy była poobiednia przerwa, kiedy wielu moich kolegów wychodziło z biura, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Pewnego dnia, upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, uniosłem do szyby kartę z zamazanym fragmentem. Gdy w świetle słońca czarne paski zbladły, litery znajdujące się pod spodem stały się czytelne. Moim oczom ukazały się najstraszliwsze bluźnierstwa, jakich nie można było usłyszeć ani przeczytać nigdzie indziej w kraju. Nawet najdrobniejsze fakty – właśnie dlatego, że tak starannie je ukryto – podważały moją niezachwianą wiarę w nasz system. Dotąd byłem przekonany, że wojnę domową, która podzieliła naszą ojczyznę, zapoczątkowała 25 czerwca 1950 roku inwazja sił Południa. W demaskatorskim świetle szyby przeczytałem, że historycy nie tylko w Korei Południowej, ale na całym świecie, odpowiedzialność za inwazję powszechnie przypisują nie Południu, ale nam.

W porównaniu z tym przeróbki historii w wykonaniu Partii Pracy wyglądały nędznie. Nawet wybitność naszego Wielkiego Przywódcy nie miała wymiaru moralnej słuszności. Autokratyczną władzę zdobył nie dobrocią, ale dzięki czystkom i egzekucjom swoich towarzyszy. Kiedy to odkryłem, wiedziałem, że nie mogę dłużej tworzyć w posłuszeństwie wobec reżimu zbudowanego na kłamstwach. Spróbowałem przekonać dyrektora Ima, że kierownik Park miał rację: wspominanie w wierszu o łzach Wielkiego Wodza może naruszać Teorię Sztuki

Dżucze. Być może ze strachu przed odpowiedzialnością w końcu ustąpił.

W 2001 roku z rozkazu Naczelnego Dowódcy Kim Dzong Ila przeprowadzono mobilizację ludności Korei Północnej. Aby zaszczepić w społeczeństwie sposób myślenia w duchu *Songun*, wszystkim cywilom do lat czterdziestu, w tym uczniom liceów, nakazano odbycie obowiązkowej trzyletniej służby wojskowej. Kim Dzong Il podkreślał, że aktyw centrali partyjnej musi dać dobry przykład wierności doktrynie „Po pierwsze wojsko", opuszczając swoje stanowiska i również służąc w wojsku. Zaowocowało to zdumiewającym widokiem sekretarzy i dyrektorów partii paradujących po ulicach w mundurach zbyt ciasnych, żeby ukryć ich obwisłe brzuchy.

W Korei Północnej dyplom uniwersytecki odpowiada stopniowi porucznika. Dyrektor Im dopilnował, żebym mógł odbyć „służbę wojskową" jako porucznik w oddziale mieszczącym się w Pjongjangu. Oszukiwałem tak samo jak wielu zmobilizowanych żołnierzy, którzy „służbę wojskową" wykonywali w domu. Chociaż formalnie byłem żołnierzem, kontynuowałem działalność literacką, długo przebywając w domach gościnnych DZF. W owym czasie Biuro 101 przygotowywało się do wymiany literackiej z pisarzami z Korei Południowej. Jej celem miało być wywołanie w południowokoreańskim społeczeństwie zrozumienia dla naszych poglądów i punktu widzenia. Misja przewidywała między innymi sporządzenie antologii „zjednoczonej literatury koreańskiej".

W drugim roku zarządzonego przez Kim Dzong Ila ogólnokrajowego obowiązku mobilizacyjnego nikt istotny nie traktował go już poważnie. Kiedy latem 2002 roku wznowiłem pracę w Biurze 101, z zapałem wróciłem do południowokoreańskich mediów i literatury, z którymi przez ten czas nie miałem kontaktu. Znów zaczęły mnie dręczyć przykre myśli wywołane wyraźną sprzecznością faktów. Im dłużej nosiłem w sobie tę prawdę, tym ciężej było mi na sercu i czułem

się bardziej samotny. Potrzebowałem zaufanego przyjaciela, z którym mógłbym się dzielić odkryciami.

– To czasopismo z południowego Chosunu. Nie zgub go.

Chociaż wiedziałem, że wyniesienie jakiegokolwiek egzemplarza z Departamentu Zjednoczonego Frontu stanowi akt zdrady stanu, przekazałem jedną z tamtejszych książek mojemu przyjacielowi Hwang Young Minowi. Był to mój kolega z Pjongjańskiej Szkoły Artystycznej. Decyzja, żeby mu zaufać, była jednak oparta na czymś więcej niż tylko naszej przyjaźni. Young Min kilkakrotnie w bardzo ostrożny sposób próbował podzielić się ze mną myślą, że nieomylność naszego systemu można podważyć.

Jego ojciec, Hwang Jin Thaek, był dwugwiazdkowym generałem i szefem sztabu w Ministerstwie Bezpieczeństwa Społecznego (dzisiejsze Ministerstwo Bezpieczeństwa Ludowego). Nominalnie funkcję dyrektora ministerstwa pełnił Paek Hak Rim, osiemdziesięcioparolatek z honorowego nadania, więc władzę w tym potężnym organie nadzoru państwowego de facto sprawował właśnie Hwang Jin Thaek. W Korei Północnej nikt nie może mieć jednak większej władzy, niż podoba się to Kim Dzong Ilowi. Pewnego dnia, kiedy ojciec Young Mina wypowiedział się nieco zbyt śmiało w pewnej partyjnej sprawie, zarzucono mu sympatie antyrewolucyjne. Gdyby oskarżenie zdołało doprowadzić swój argument do naturalnej konkluzji, Young Mina wraz z całą rodziną zesłano by za przestępstwa ojca do gułagu. W północnokoreańskim systemie winy przez skojarzenie takie decyzje to częsty element wyroków. Chociaż Hwang Jin Thaek zdołał oczyścić swoje imię przed zakończeniem postępowania, zmarł od urazów, które odniósł podczas przesłuchań. Young Min na szczęście zachował prawo do mieszkania w Pjongjangu i został przywrócony na stanowisko kompozytora Orkiestry Wangjaesan.

Orkiestra Wangjaesan, zarządzana niezależnie od reszty północnokoreańskich instytucji kulturalnych, podlegała bezpośrednio Departamentowi Organizacji i Przywództwa partii

jako zespół nadwornych muzyków Kim Dzong Ila. Istniała jeszcze jedna taka grupa, Zespół Bocheonbo, zajmujący się gatunkami współczesnymi i instrumentami elektrycznymi, podczas gdy członkowie Orkiestry Wangjaesan posługiwali się klasycznym instrumentarium zachodnim oraz działali w sferze tańca. Ponieważ grupa grająca dla Kim Dzong Ila składała się z młodych, pięknych kobiet, nieoficjalnie nazywano ją Oddziałem Rozkoszy.

Young Min wiedział o prywatnym życiu Kim Dzong Ila rzeczy nieznane ludziom z zewnątrz, co odcisnęło na nim wyraźne piętno. Nigdy nie mówił o sobie wiele i myślałbym, że był taki przez całe życie, gdybyśmy nie zaprzyjaźnili się jeszcze w szkole, zanim dostał posadę w orkiestrze. Był ode mnie wyższy i miał kręcone włosy. Wszyscy zawsze myśleli, że jest starszy, choć byliśmy rówieśnikami. Jego brwi, poważne, czarne niczym sadza, odzwierciedlały jego niezachwianą lojalność. Czasem, gdy się uśmiechał, lekko czerwieniły mu się policzki, co zdradzało niewinną pasję, którą ukrywał przed światem. Nawet po śmierci ojca mimo swej introwertycznej natury potrafił bez strachu okazywać opór i DOP zwrócił na to uwagę. Choć formalnie przywrócono go na stanowisko, w kilku przypadkach pod marnym pretekstem nie trafił w pobliże Kim Dzong Ila.

Kiedy się wspólnie upijaliśmy, przestawał się maskować, a nawet mówił niebezpieczne rzeczy:

– Nasz Generał rzeczywiście jest Słońcem! Jeśli się za bardzo zbliżysz, to spłoniesz, ale jak będziesz za daleko, zamarzniesz. To nie moje hasło. Słyszę je wprost z ust najpotężniejszych członków aktywu. Myślisz, że znasz Kim Dzong Ila? Nasz Wódz nie kocha północnokoreańskiego ludu, tylko północnokoreańskie dziewczyny. Widziałem to na własne oczy, i to aż za często.

W Korei Północnej nie wolno dzielić się żadnymi informacjami na temat rządzącego Kima, które nie figurują w oficjalnych publikacjach propagandowych wydanych przez Partię Pracy. Drogi Przywódca to Ojciec Ludu; gdy tylko poznałeś go jako mężczyznę o nazwisku Kim Dzong Il, to jeśli nie byłeś

uprawniony do posiadania takiej wiedzy, twoje życie dobiegało końca, ponieważ zaczynał działać system winy przez skojarzenie. Wielu członków aktywu kończyło w obozach pracy, bo pozostawanie blisko ośrodka władzy to niebezpieczna gra w utrzymanie równowagi, wymagająca stałej czujności.

Gdy dałem Young Minowi lektury ze świata zewnętrznego, a on opowiedział mi o tajemnicach z prywatnego życia Kim Dzong Ila, mogliśmy podzielić się swoim ciężarem. Nasza przyjaźń dawała mi siłę, żeby trwać dalej. Prawda ma tym większą moc, im mniej się przy niej majstruje. Kiedy wspólnie uczyliśmy się o naszym miejscu w świecie – świecie zupełnie innym niż ten przedstawiany przez Drogiego Przywódcę – nasza przyjaźń się pogłębiała.

Dziesiątego stycznia 2004 roku usłyszałem głośne i uporczywe pukanie do drzwi. Otworzyłem i zobaczyłem Young Mina, zdyszanego i trupio bladego. Miał na sobie ciemną kurtkę z ciepłym kołnierzem ze sztucznego futra. Gdy tak stał i patrzył na mnie, nie mogąc wydusić ani słowa, wiedziałem, że stało się coś okropnego.

– Ta książka z południowego Chosunu, którą mi pożyczyłeś… Zgubiłem ją.

Ścisnąłem klamkę, żeby nie osunąć się na podłogę. Opowiedział, że zasnął w metrze i zostawił teczkę w pociągu. Natychmiast po nią wrócił, ale kiedy dobiegł na peron, drzwi wagonu się zatrzasnęły. Tak bardzo dzwoniło mi w uszach, że ledwo słyszałem jego słowa. Nie myśląc, poszedłem po swoje pióro, podniosłem je ze stołu, ale zaraz odłożyłem. Nie czerpałem pocieszenia nawet z mojego najcenniejszego przedmiotu.

– Czy w teczce były twoje dokumenty? – zapytałem.

– Nie, tylko książka – odparł.

– Miałeś tam coś, po czym można cię zidentyfikować?

– Nie, teczka była nowa. To znaczy miałem tam jeszcze zeszyt. Ale wszystko w porządku, przynajmniej dopóki nie zdejmą

odcisków palców.

Wyglądało na to, że większe niebezpieczeństwo groziło mnie. Książki należące do DZF oznaczano jaskrawoczerwonym stemplem: *Ściśle tajne: tylko dla funkcjonariuszy wewnętrznych* oraz jasnoniebieskim: *Komitet Centralny Partii Pracy Chosunu, Departament Zjednoczonego Frontu*. Ilekroć wypożyczano komuś książkę, musieliśmy okazać identyfikator i pokwitować odbiór. W moim kontrakcie dostępu znajdował się zapis, który bardzo wyraźnie określał niebezpieczeństwo: „Kto udostępni literaturę południowego Chosunu poza Departamentem, zostanie stracony za zdradę stanu”.

Treść tej konkretnej książki mogła tylko pogorszyć sprawę. Była to biografia Kim Il Songa i Kim Dzong Ila autorstwa południowokoreańskiego badacza, który odtworzył historię rodzinną Kimów, podczas gdy nam wolno było znać jedynie ich historię rewolucyjną. W książce wspominano nawet, że Kim Dzong Il miał kochankę. Partia wymaga, żeby obywatele żyli zgodnie z kodeksem honorowym wywodzącym się z tradycji konfucjańskiej, w którym dla zapewnienia prawowitości sukcesji dynastycznej podkreśla się konserwatywne wartości rodzinne, takie jak posłuszeństwo rodzicom, wierność małżeńską oraz prawa dziedziczne najstarszego syna. Jednakże prywatna historia rodziny Kimów – w której te wartości rażąco łamano, a fundament ich władzy stanowiły krwawe czystki i brutalna polityka – stała w uderzającej sprzeczności z oficjalną wersją zdarzeń.

Bez względu na to, czy była to prawda i czy wierzyliśmy, że może istnieć nieautoryzowana wersja historii Korei Północnej, podzielenie się z kimkolwiek takimi informacjami uznawano za zdradę stanu najwyższego stopnia. Choć najbardziej bluźniercze fragmenty ocenzurowano czarnym markerem, Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego nie uwierzy, że nie zdołaliśmy odczytać tekstu pod spodem.

Byłem przekonany, że tajna policja pojawi się lada chwila. Im bliżej znajdujesz się szczytu hierarchii, tym gwałtowniejszy twój

koniec. Również Young Min, jako jeden z osobistych kompozytorów Kim Dzong Ila, należał do wysokich rangą członków aktywu centrali partyjnej. Sprawa mogłaby nie skończyć się na naszej śmierci, bo w kolejnych tygodniach, gdy już przyznalibyśmy się do winy i przyjęli karę, w trybie natychmiastowym zniszczono by życie naszych rodzin.

Na dnie umysłu każdego obywatela Korei Północnej zawsze obecna jest świadomość istnienia zasady winy przez skojarzenie, która nakazuje likwidację rodziny i wspólników zdrajcy razem z samym winowajcą, tak aby całkowicie usunąć korzenie zła. Wiedziałem, że nie jest to tylko pusta groźba, ponieważ władza demonstrowała ten mechanizm społeczeństwu, gdy tylko nadarzała się okazja. Owa tragiczna możliwość zdawała się jednak mnie nie dotyczyć aż do tej chwili, kiedy zagroziły mi jej straszliwe skutki. Young Min i ja porozumiewaliśmy się wzrokiem, nie mówiliśmy wiele. Nie tyle zajmowało nas obmyślenie alibi dla naszego przestępstwa, ale w ogóle przetrwanie. Z nastaniem świtu na nasze życie padnie cień, więc bałem się nawet spojrzeć na tykający zegar.

Nagle poczułem, że muszę się napić. Widząc, że sięgam po butelkę, Young Min wyjął z szafki dwa największe kieliszki. Pierwszą kolejkę opróżniliśmy razem. Naraziliśmy nasze rodziny na potworne niebezpieczeństwo, więc nie mogliśmy marnować ani chwili. Musieliśmy obmyślić plan, a potem wprowadzić go w życie.

Rozpaczliwie pijąc drugą kolejkę, podjęliśmy decyzję. Nie zamieniliśmy ani słowa, ale obaj dobrze to wiedzieliśmy. Alkohol bynajmniej nie stępił nam zmysłów – przeciwnie, dodał nam siły.

Pierwszy odezwał się Young Min:

– Znasz to powiedzenie? „Kiedy pije mały człowiek, to wymiotuje. Ale kiedy pije wielki, obmyśla rewolucję”? Chodzi mi o to, że ta książka z południowego Chosunu… Poczułem się…

Przerwałem mu:

– Jedźmy do Korei Południowej. – Palce Young Mina zastygły na krawędzi kieliszka. Mówiłem dalej: – To jedyny sposób.

W trosce o tych, których kochamy, nie możemy się przyznać. Sam wiesz, jaki jest ten kraj. Ty wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Nie musiałem go przekonywać. Chwycił mnie za rękę, a jakby ten gest nie wystarczył, przyciągnął mnie do siebie i mocno uścisnął.

– Masz rację, wyjeżdżamy – powiedział. – I tak zginiemy, więc dla nas to bez znaczenia. Wiedząc to, co wiem, nie mogę tu dłużej oddychać. Co za różnica: zginąć w domu czy w drodze?

Skoro utwierdziliśmy się w decyzji, nie było czasu do stracenia, więc zaczęliśmy planować dalsze kroki. Zgodziliśmy się, że rano jak zwykle stawimy się w pracy. Na szczęście w teczce, którą zgubił Young Min, nie było żadnych rzeczy osobistych, które by go identyfikowały, więc zachowując zimną krew, mogłem zyskać trochę czasu. Kiedy Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego namierzy mnie po książce, zamierzałem stwierdzić, że po prostu zgubiłem teczkę. Zresztą zebranie zespołu śledczego zajmie co najmniej dzień, a mój status Dopuszczonego nie pozwoli im działać zbyt pośpiesznie. Przez ten czas wyruszymy na północ. Jedyny sposób na ucieczkę z kraju to przekroczenie granicy z Chinami, ponieważ przedostanie się do Korei Południowej przez strefę zdemilitaryzowaną nie jest możliwe. Przepustkę podróżną mogliśmy dostać od dawnego kolegi z Uniwersytetu Kim Il Songa, który pracował w Pjongjangu w firmie handlującej z zagranicą. Zawsze brakowało mu pieniędzy, więc porządna łapówka pozwoli załatwić sprawę. Szczęśliwym zrządzeniem losu pociąg do regionu przygranicznego wyjeżdżał z Pjongjangu nazajutrz o dwudziestej pierwszej. Jeśli chcieliśmy nim uciec, aż do odjazdu musieliśmy udawać, że wszystko jest w porządku.

Gdy zaplanowaliśmy ucieczkę, w pośpiechu spakowałem bagaż. Ponieważ na dworzec musiałem się udać prosto z biura, postanowiliśmy, że mój plecak weźmie Young Min. On mógł wyjść z pracy po południu. Do plecaka wepchnąłem wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Nie zapomniałem o tajnym tomiku

poezji. To był mój głos i chciałem wywieźć go z kraju razem ze sobą.

– Do zobaczenia o wpół do ósmej na dworcu – powiedziałem.

Young Min skinął głową i ruszył do wyjścia, ale znów się odwrócił i chwycił mnie za ramię. Spuścił wzrok, jakby nie wiedział, co powiedzieć, a potem odezwał się głosem cichym, lecz stanowczym:

– Jeśli nas złapią, popełnimy samobójstwo.

Słowo „samobójstwo" wydało mi się namacalnym przedmiotem, przekazywanym z jego wrażliwego serca do mojego. Poczułem osobliwy dreszcz na myśl o tym, że śmierć może być świadomym wyborem: że miałem możliwość decydować o własnym losie.

5
Pożegnalny grzech

Kiedy wypuściłem Young Mina w noc, wróciłem do pokoju i położyłem się na łóżku. Niespecjalnie bałem się wygnania, które miało się rozpocząć za niecałą dobę. Najbardziej przerażał mnie ogrom tego, co musiałem zostawić za sobą. Było mi niedobrze na samą myśl, że rodzice spędzą resztę życia w świecie, z którego nagle zniknął ich syn. Nie mogłem jednak się z nimi pożegnać.

Nie puściliby mnie, gdyby poznali mój plan. Prędzej sami by się zabili. Wiedziałem, że gdy tylko opuszczę kraj i zostanę uznany za zaginionego, Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego ich przesłucha. Jeśli będzie choć cień podejrzenia, że rodzice wiedzieli o moim zamiarze ucieczki, zostaną skazani za pomoc zdrajcy. Znacznie lepiej pozostawić ich w niewiedzy, żeby stanęli przed obliczem władzy całkowicie niewinni. Próbowałem nieco pocieszyć się myślą, że jeszcze przez jeden dzień będą żyć w przekonaniu, że wszystko jest w porządku.

Pełen takich wymówek ukryłem twarz w poduszce, tłumiąc łzy. Mocno ją ścisnąłem, żeby nie zacząć kopać w ściany. Kiedy płakałem, bezgłośnie błagając rodziców o wybaczenie, nastał świt. To był mój ostatni poranek w domu.

Usłyszałem wołanie matki z jadalni, że spóźnię się do pracy, jeśli się nie pośpieszę. Nagle przeraziła mnie perspektywa konfrontacji z rodzicami. Być może za chwilę zobaczę ich po raz ostatni. Co im powiem? Jak to powiem? Ojciec krzyknął, że śniadanie stygnie. Spojrzałem w lustro i pośpiesznie przetarłem oczy. Widząc własne odbicie, zastanawiałem się, czy kiedykolwiek w życiu byłem przed rodzicami równie

skrępowany, a wtedy wzrok przesłoniły mi świeże łzy. Gdybym tak do nich wyszedł z przekrwionymi oczami, zaczęliby zadawać pytania. Spanikowany wyjąłem z szuflady okulary przeciwsłoneczne.

– Po co ci te okulary? – zapytali oboje, gdy tylko wszedłem do jadalni.

– Trochę bolą mnie oczy. – Zdołałem znaleźć wymówkę, ale nieco drżał mi głos.

Matka zerwała się z krzesła i podeszła do mnie.

– Pokaż.

Odruchowo odwróciłem głowę.

– To nic takiego – powiedziałem. – Chciałem się trochę wystroić.

– Na pewno nic sobie nie zrobiłeś? Pokaż.

Wziąłem ją za ręce i odparłem:

– Tak, na pewno. Muszę dziś zrobić na kimś wrażenie.

– Ale po co ci one przy śniadaniu? – mruknął szorstko ojciec. – Będziesz tak w nich siedział?

Wzdrygnąłem się. Miał mnie: nie mogłem jeść śniadania w ciemnych okularach bez lepszej wymówki. Chcę siedzieć tu z wami, to nasz ostatni wspólny posiłek – nie mogłem wypowiedzieć tych słów. Gdy wyobraziłem sobie moich zrozpaczonych rodziców, którzy później będą żałować, że puścili mnie w nieznane bez jedzenia, znowu zebrało mi się na łzy.

– Spokojnie, z moimi oczami wszystko w porządku. Nie martwcie się.

Mówiąc to, uśmiechałem się, choć oczy miałem mokre. Prędko przytuliłem matkę, a za jej plecami otarłem łzy. Odniosłem wrażenie, że jest znacznie drobniejsza, niż dotąd sądziłem. Wydawała mi się nieznajoma, choć przecież to właśnie ona mnie wychowała. Ramiona zrobiły mi się jakby nadzwyczajnie długie i ciężkie. Chciałem się od niej odsunąć, ale nie mogłem się do tego zmusić.

– Co się dzisiaj z tobą dzieje? Dziwnie się zachowujesz – skarciła mnie.

Matka potrafi zajrzeć w głąb serca syna, ledwie spoglądając na jego cień. Cofnęła się o krok i znów spróbowała popatrzeć mi w oczy.

Zainterweniował ojciec:

– Zostaw go, spóźni się do pracy.

Gdyby się wtedy nie odezwał, nie powstrzymałbym jej przed odkryciem prawdy.

Szybko przeszedłem przez salon i ruszyłem do drzwi. Dopiero stojąc na progu, ukradkiem zerknąłem za siebie. Chciałem zobaczyć rodziców jeszcze jeden raz. Ale salon był pusty. Słyszałem, jak rozmawiają w kuchni. Ojciec skarżył się na moje starsze siostry: mówił, że są do niczego, bo nie utrzymują kontaktu, a on chciałby częściej widywać wnuki. Skąd mógł wiedzieć, że ja jestem dla niego znacznie gorszym dzieckiem, niż kiedykolwiek były moje siostry?

Wiedziałem, że po wyjściu z domu pewnie nigdy tu nie wrócę. Przy drzwiach zobaczyłem obuwie rodziców. Ścisnęło mnie w piersi, jakbym się dusił. Pożegnalny pokłon, którego nie mogłem złożyć matce i ojcu, złożyłem ich butom.

Gdy tylko wyszedłem z domu, wybuchnąłem płaczem. Miałem świadomość, że Partia Pracy może mi odebrać prawo do życia, ale pozbawiła mnie również prawa do pożegnania się z rodziną, którą oszukiwałem aż do końca. Zanosiłem się łzami, wspominając ostatnie słowa matki: „Pokaż mi oczy”. Dlaczego powstrzymałem ją przed spojrzeniem w oczy syna? Moim ciałem szarpał straszliwy żal.

Kiedy przyszedłem do pracy, podeszli do mnie koledzy.

– Co ci się stało z oczami? – pytali.

Skłamałem, że mam zapalenie spojówek, co okazało się szczęśliwym zrządzeniem losu. Po porannej naradzie kierownik Park Chul nalegał, żebym poszedł do lekarza. Powiedział, że kiedyś sam cierpiał na podobną dolegliwość. Pod pretekstem wizyty u okulisty mogłem tego dnia wyjść z pracy o jedenastej rano.

Udałem się do przedsiębiorstwa handlowego, w którym mój kolega z Uniwersytetu Kim Il Songa pracował jako szef nadzoru. W Korei Północnej szef nadzoru jest w każdym miejscu pracy. W firmach mających do czynienia z obcokrajowcami lub zatrudniających obywateli Korei Północnej, którzy w interesach wyjeżdżają za granicę, pracowników nadzoru jest wielu. Wiedziałem, że mogę zwrócić się do mojego znajomego po specjalną przepustkę podróżną.

W Korei Północnej przepustki podróżne dzielą się na zwyczajne i specjalne. Te drugie wyróżnia czerwony pasek. Prowincje takie jak Hwanghae czy Hamgyong Południowy sklasyfikowano jako rejony zwyczajne, ponieważ leżą w głębi lądu. Pjongjang oraz rejony w pobliżu granicy z Koreą Południową i Chinami uznaje się za tereny specjalne. Legalnie mogą tam przebywać tylko lokalni mieszkańcy oraz osoby dysponujące specjalną przepustką podróżną.

Na specjalnej przepustce do Pjongjangu znajduje się jedna czerwona linia, a na tej do regionów przygranicznych – dwie. Przepustka podróżna nie jest odpowiednikiem paszportu, który pozwala na opuszczenie kraju. To raczej metoda kontroli ruchu wewnętrznego. Wedle standardowej procedury specjalną przepustkę podróżną można wydać dopiero po uzyskaniu zgody z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

Na szczęście w owym czasie siły rynkowe zapoczątkowane przez gwałtowny rozrost czarnego rynku w Korei Północnej dotarły na szczeble biurokracji. Jeśli dysponowałeś odpowiednią ilością walut zagranicznych, mogłeś kupić wszystko. Północnokoreańskim przedsiębiorstwom handlowym, których sensem istnienia było prowadzenie interesów z firmami chińskimi, przyznawano więcej specjalnych przepustek niż jakiejkolwiek innej instytucji. A w Korei Północnej każdy, czy to władza, czy jednostka, żeby przetrwać, musi sprzedawać to, czym dysponuje. Mój dawny kolega ze studiów stale mnie nagabywał, żebym wysyłał do niego ludzi dysponujących walutą

zagraniczną, którzy chcieliby kupić od niego puste przepustki specjalne.

Odwiedziłem go w biurze i powiedziałem, czego potrzebuję. Odparł, że choć zwykle sprzedaje przepustki po dwieście dolarów amerykańskich, mnie sprzeda za sto po starej znajomości. Chociaż moja miesięczna pensja w wysokości 2500 wonów (około dwóch dolarów) przekraczała większość północnokoreańskich zarobków, i tak nie starczała na utrzymanie. Zwykli mieszkańcy Korei Północnej zarabiali na życie na czarnym rynku, a członkowie aktywu utrzymywali się z łapówek i specjalnych racji. Pracownik DZF mógł zdobyć około stu dolarów miesięcznie, sprzedając zagraniczne produkty ze specjalnych racji przyznawanych przez Departament.

Ja jednak byłem uprzywilejowany również dzięki koneksjom rodzinnym. Oficjalnie w Korei Północnej funkcjonują dwie oddzielne gospodarki, nazywane „gospodarką ludową” i „drugą gospodarką” – co oznacza sferę wojskową. Mój krewny kierował bliskowschodnim oddziałem Biura 99 drugiej gospodarki, gdzie nadzorował prowadzony przez Koreę Północną handel bronią w tamtym regionie. Był jednym z najbogatszych ludzi w Korei Północnej, zdolnym co roku oferować Kim Dzong Ilowi co najmniej dziesięć milionów dolarów amerykańskich w „przekazach lojalnościowych”.

Nie wchodziło w grę, żeby dorobił się takich pieniędzy – pozwalających regularnie robić krewnym prezenty i rozdawać mercedesy – naprawdę handlując północnokoreańską bronią. Dowiedziałem się od niego, że nasze rakiety dość dobrze sprzedawały się na Bliskim Wschodzie aż do końca lat osiemdziesiątych, ponieważ były tanie, ale szereg czynników sprawił, że później interesy stały się trudniejsze. Na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy upadł blok wschodni, mój krewny wykorzystał okazję. Krążył między Ukrainą a Bliskim Wschodem, handlując bronią. Na tych sukcesach zbudował reputację rozchwytywanego negocjatora. Doceniwszy jego działalność, Kim Dzong Il wyróżnił go najwyższym odznaczeniem w Korei

Północnej, Nagrodą za Heroiczny Wysiłek, i to nie raz, ale dwukrotnie. Mój nowiutki rower Shimano wyprodukowany w Japonii również był jednym z jego licznych prezentów. Jako jeden z Dopuszczonych Kim Dzong Ila i osoba znana wśród przyjaciół jako „człowiek, który zawsze nosi w portfelu co najmniej tysiąc dolarów", mogłem kupić pustą przepustkę specjalną, nie budząc szczególnych podejrzeń. Kiedy wręczałem koledze banknot studolarowy, poprosił mnie tylko, żebym zamiast niego dał mu dwa razy po pięćdziesiąt, bo po feralnej dyrektywie partii, żeby używać ich w handlu z Chinami, krajową gospodarkę zalały fałszywe studolarówki. Teraz nawet zwykli ludzie starali się ich unikać w prywatnym obrocie.

Kiedy zakończyliśmy transakcję, prędko wstałem i ruszyłem do wyjścia.

– Ej, dokąd idziesz?! – zawołał za mną. – Do przepustki trzeba wpisać nazwisko podróżującego.

– O, wypełnię ją potem.

– Oszalałeś? To, że przepustka jest pusta, nie oznacza, że można ją wypełnić byle jak. Żeby wszystko działało, trzeba znać szyfr.

Nie miałem wyboru: musiałem podać mu również dane Young Mina. Wpisując do przepustki nasze nazwiska, zawody i daty urodzenia, mój dawny kolega ze studiów wyjaśnił, że aby móc pojechać do rejonów przygranicznych, datę urodzenia należy połączyć z kodem obowiązującym w danym tygodniu. Nie miałem pojęcia, że taki kod w ogóle istnieje, i bałem się, że moja niewiedza wcześniej czy później okaże się przeszkodą, która uniemożliwi nam ucieczkę. Wcisnąłem przepustkę głęboko do kieszeni i odwróciłem się do wyjścia.

– Tylko nie ucieknij za granicę! – zawołał za moimi plecami, a gdy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem jego uśmiech.

Beztrosko machnąłem ręką, jakbym zbywał jego żart, ale w głębi duszy poczułem ukłucie.

Mając w ręku specjalną przepustkę podróżną, każdy następny krok podejmowałem właśnie w tym celu – żeby uciec. Do Biura

101 wróciłem na drżących nogach. Wszedłem przez bramkę, minąłem strażnika i ruszyłem szybszym krokiem. W biurze kierownik Park Chul podniósł wzrok znad biurka.

– Pierwszy sekretarz chce z wami porozmawiać. Tylko szybko.

Ogarnęło mnie przerażenie. Przed udaniem się do gabinetu pierwszego sekretarza skręciłem do łazienki, gdzie schowałem przepustkę do buta. Lepiej nie mogłem się przygotować. Kiedy wchodziłem po schodach, głowę pełną miałem makabrycznych myśli.

Odetchnąłem głęboko, a potem zapukałem do drzwi pierwszego sekretarza. Dźwięk poniósł się echem po całym korytarzu. Drzwi się otworzyły, a sekretarka wzdrygnęła się na mój widok. Sięgnęła po telefon i oznajmiła:

– Towarzyszu pierwszy sekretarzu, przyszedł do was towarzysz Kyong Min.

Kiedy odłożyła słuchawkę, nagle zrobiła się uprzejma i nawet przytrzymała mi drzwi do gabinetu.

Od progu widziałem flagę Partii Pracy wiszącą pod portretami Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Czerwone barwy partyjne wydawały się bardziej surowe niż zazwyczaj. Po wejściu do środka, jeszcze zanim zauważyłem pierwszego sekretarza, zobaczyłem, że czeka na mnie trzech nieznanych mężczyzn. Jeden, chyba po pięćdziesiątce, miał na sobie ciemnozielony płaszcz, a dwaj pozostali, na oko czterdziestokilkulatkowie – czarne. Gdy padł na mnie ich wzrok, wyobraziłem sobie, że przeszkolono ich do czytania w myślach. Już teraz czułem się jak skazaniec.

Na blacie długiego stołu przecinającego gabinet leżała książka z południowego Chosunu, którą pożyczyłem Young Minowi, a także jego zeszyt. Serce podskoczyło mi do gardła.

Jako pierwszy odezwał się najstarszy z mężczyzn. Nie podniósł się z krzesła, ale jego pewność siebie była zauważalna.

– Jesteśmy z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

Przerażające było brzmienie nazwy tej instytucji – która wystarczyła, żeby uciszyć rozpłakane północnokoreańskie

dziecko – w ustach jednego z jej funkcjonariuszy. Co gorsza, ci ludzie musieli pochodzić z niesławnej Sekcji 10, specjalizującej się w przesłuchaniach najwyżej postawionych osób w państwie. Nikt inny nie miał wstępu do DZF.

– Dlaczego tę książkę, wyniesioną bez zezwolenia, znaleziono poza terenem tej instytucji? – zapytał.

Na tak bezpośrednio zadane pytanie odpowiedziałem, że pewnie w pracy włożyłem ją do teczki, a potem nieświadomie zabrałem do domu. A teczkę zgubiłem.

Przerwał mi inny mężczyzna.

– Ostrożnie dobierajcie słowa, towarzyszu. Spytaliśmy waszych kolegów i nikt nigdy nie widział was z tą teczką. Sprawdziliśmy odciski palców. Teczka nie należy do was. Tożsamość właściciela ustalimy w ciągu kilku dni. Zamierzacie poczekać do tego czasu czy przyznacie się teraz?

Odpowiedziałem z większą stanowczością:

– Powtarzam, co powiedziałem. Teczka jest moja. Odciski palców, które znaleźliście, na pewno należą do złodzieja.

Trzej mężczyźni jeden po drugim zaczęli zadawać mi pytania. Gdzie kupiłem teczkę? O której godzinie wyszedłem z pracy tego dnia, gdy ją zgubiłem? Czy miałem świadków? Kiedy zauważyłem brak teczki? Gdzie mogłem ją zostawić? Kto był w domu, kiedy wróciłem z pracy? Skoro zgubiłem teczkę, to dlaczego od razu nie zawiadomiłem władz? Czy próbowałem czytać zaczernione fragmenty książki? Jakie inne przedmioty włożyłem do teczki?

Bez przekonania odparłem, że była tam tylko książka. Widząc, że się waham, jeden z mężczyzn zapytał, co pisałem w zeszycie. W ostatniej chwili uniknąłem wpadnięcia w tę pułapkę.

– Chcecie wiedzieć, co pisałem w zeszycie?

Kiedy jego kolega odpowiadał, zauważyłem, że kładzie lekki nacisk na to, że mowa właśnie o moim zeszycie, więc zrozumiałem, co się dzieje. W zeszycie było pismo Young Mina, a nie moje. Jeśli chcąc potwierdzić własność teczki, przyznam, że

zeszyt jest mój, wreszcie doczekają się sprzeczności w zeznaniach, na którą czekają, i sprawa będzie zamknięta.

Udałem, że się zastanawiam. Bacznie mi się przyglądali, wypatrując mimowolnych tików albo ruchów powiek, ale odpowiedziałem z przekonaniem:

– Nie pamiętam, co jest tam napisane. To nie mój zeszyt. Znalazłem go na ulicy i schowałem do teczki, żeby papier się nie zmarnował.

Najstarszy z mężczyzn postukał piórem w stół i stwierdził sarkastycznie:

– Zatem teczka jest wasza, ale zeszyt w teczce nie jest wasz. Cóż, wygląda na to, że mamy problem. Ale odciski palców na teczce wszystko wyjaśnią. Dam wam jeszcze jedną szansę, żeby wyznać całą prawdę, zanim jutro potwierdzimy wyniki. Sam fakt, że wynieśliście z tego budynku zastrzeżoną publikację, stanowi zdradę stanu. Ale jeśli powiecie, komu pożyczyliście książkę i kto jeszcze mógł mieć do niej dostęp, być może potraktujemy was łagodnie. Przyznajcie się do jutra rana towarzyszowi pierwszemu sekretarzowi. Zrozumiano?

Kiedy wyszli z gabinetu, pierwszy sekretarz zaczął mnie zaklinać, jakby to jego życie było zagrożone.

– Ci ludzie nie mogą was aresztować, towarzyszu, chociażby chcieli. Dlaczego? Bo jesteście jednym z Dopuszczonych. Więc musicie być wobec Ministerstwa jeszcze bardziej szczerzy… bardziej niż ktokolwiek inny. Jeśli coś sobie przypomnicie, absolutnie cokolwiek, zadzwońcie do mnie dziś wieczorem. Albo jutro w pracy przyjdźcie do mnie z samego rana. Dobrze?

Trzej mężczyźni z licencją na przeprowadzenie egzekucji na miejscu wyszli, nie podejmując dalszych działań, ponieważ należałem do Dopuszczonych przed oblicze Kim Dzong Ila. W przeciwnym razie aresztowano by mnie i zaciągnięto do siedziby Ministerstwa, choćby tylko po to, żeby strachem wymusić zeznanie. Mój status dał mi immunitet, przynajmniej tymczasowy. Nawet niesławna Sekcja 10, zanim mogła aresztować jednego z Dopuszczonych, musiała złożyć formalny

wniosek w DOP partii, przekazany następnie Kim Dzong Ilowi do osobistej akceptacji. W tym celu potrzebowali niezbitych dowodów, bo gdyby okazały się niewystarczające, sami zostaliby oskarżeni o zdradę stanu: atak na Kim Dzong Ila poprzez działanie na szkodę jego współtowarzyszy. Choć musiałem przyznać, że w tej chwili bezpieczeństwo zawdzięczałem Drogiemu Przywódcy, to wiedziałem, że nie mogę pozostać w Pjongjangu ani jednego dnia dłużej.

Po powrocie do biura zacząłem odliczać sekundy do końca najdłuższego dnia w moim życiu. Ilekroć słyszałem dźwięk przejeżdżającego samochodu, krew gęstniała mi w żyłach na myśl o tym, że to ludzie z Ministerstwa wracają z nakazem aresztowania.

O dziewiętnastej nadszedł czas iść do domu. Zwykle żegnałem się ze strażnikiem przy głównym wejściu, ale tego dnia słowa nie chciały przejść mi przez gardło. Gdy go mijałem, krzyknął, uniósł broń i stanął na baczność. Zgrzyt zamka karabinu przeszył mnie do szpiku kości i odruchowo popatrzyłem na żołnierza spode łba. W tym momencie poza terenem Departamentu dostrzegłem dwóch mężczyzn, którzy prędko odwrócili się w moją stronę.

Kiedy szedłem chodnikiem wzdłuż wysokiego muru kompleksu DZF, byłem nader świadom wzroku dwóch par oczu wbitego w moje plecy. Przechodząc przez ulicę, udałem, że rozglądam się w obie strony, i zerknąłem przez ramię. Nieco zwolnili i już wiedziałem, że mnie śledzą.

Przed sobą zauważyłem taksówkę dla obcokrajowców. Teoretycznie były one niedostępne dla obywateli Korei Północnej, ale mógł z nich korzystać każdy, kto dysponował zagraniczną walutą. Sprawdziłem, czy w pobliżu nie ma innych taksówek. Nie było – więc wsiadłem.

– Hotel Pjongjang. Proszę się pośpieszyć, już jestem spóźniony – powiedziałem, zatrzaskując drzwi.

Gdy auto skręciło w prawo na skrzyżowaniu, obejrzałem się. Dwaj mężczyźni stali bezradnie na chodniku. Ogromnie mi

ulżyło. Droga do hotelu Pjongjang nad rzeką Daedong zajęła niecałe pięć minut. Zapłaciłem kierowcy, a potem wszedłem do hotelu. Znajdowała się tam restauracja Pjongjang Bulgogi, przez którą można było wejść i wyjść z budynku. Dobrze znałem to miejsce, więc opuściłem hotel właśnie tą drogą. Po drugiej stronie ulicy znajdował się budynek w tradycyjnym stylu koreańskim, z terakotowym dachem przypominającym skrzydła żurawia: Pjongjański Teatr Wielki. Na tylnej uliczce złapałem kolejną taksówkę i w końcu ruszyłem na dworzec.

Przybyłem na miejsce dziesięć minut po umówionym czasie – co zobaczyłem na umieszczonym w górze zegarze. Pod latarnią na skraju dworcowego parkingu, a mimo to ledwie widoczny w mizernym blasku słabo zasilanych lamp, stał Young Min. Na ramieniu miał mój plecak, który powierzyłem mu zeszłego wieczoru. Ogromnie się ucieszyłem, że znowu go widzę. Obaj wiedzieliśmy, że z trudem skrywamy żal. Uścisnęliśmy się mocno.

Ja pierwszy szepnąłem mu do ucha:

– Chodźmy.

– Chodźmy – odpowiedział Young Min, unosząc zaciśniętą pięść.

To były nasze ostatnie słowa, gdy szykowaliśmy się do opuszczenia swojego domu, życia i rodzin. Wobec konieczności ucieczki życie nas obu stało się jednym.

6
Na muszce karabinu

Young Min i ja dotarliśmy do przygranicznego miasta Musan piętnastego stycznia 2004 roku. Przebyliśmy odległość 465 kilometrów. Podróż pociągiem ekspresowym, która według rozkładu powinna była zająć tylko jeden dzień, trwała jeszcze cztery. Mimo tego opóźnienia wszyscy pasażerowie chwalili cud, jakim było dotarcie każdego pociągu dalekobieżnego do stacji końcowej. Ktoś zawołał z charakterystycznym północnym akcentem, że miesiąc wcześniej pociąg miał na tej trasie ponad dziesięć dni opóźnienia. Young Min i ja wymieniliśmy spojrzenia i uśmiechnęliśmy się pod nosem.

Ludzie mówią, że w styczniu w prowincji Hamgyong na północy sople spadają na ziemię podczas sikania. Gdy my, mieszczuchy z Pjongjangu, wyszliśmy z wagonu, gwałtowny kontakt z okrutnym północnym mrozem był dla nas szokiem. Uszy Young Mina zrobiły się jaskrawoczerwone z zimna. W przeciwieństwie do dużego, krytego Dworca Pjongjańskiego stacja w Musanie była niewielkim budynkiem oddalonym o jakieś trzydzieści metrów od torów. Większe wrażenie robiło otaczające nas ogrodzenie, mające powstrzymać osoby bez przepustek podróżnych przed opuszczeniem terenu stacji. Strażnicy dmuchali w gwizdki i zaganiali pasażerów w kierunku budki, gdzie mieliśmy okazać bilety oraz przepustki. Young Min i ja milczeliśmy, próbując nie rzucać się w oczy, ponieważ mieliśmy wrażenie, że prawdziwy powód naszej podróży będzie oczywisty dla każdego, kto dobrze nam się przyjrzy. Idąc, porozumiewaliśmy się tylko wzrokiem, a zbliżywszy się do strażników, zaprzestaliśmy nawet tego.

Dzięki statusowi, jaki dawały nam dokumenty członków centrali partyjnej, stanęliśmy na końcu najkrótszej kolejki, tej dla aktywu, gdzie przed nami czekały tylko trzy osoby. Pozostałe kolejki – dla wojskowych oraz dla zwykłych obywateli – ciągnęły się znacznie dalej. Strażnicy jednak zdawali się uważniej oglądać przepustki członków aktywu, być może dlatego, że dzięki krótkiej kolejce mieli na to więcej czasu. Zanim zdążyli przeprowadzić rozwlekłą rozmowę z jednym członkiem partii, czterem osobom z kolejki dla zwykłych obywateli skonfiskowano dokumenty, nie dając im szansy na wytłumaczenie. Jeden z takich podróżnych, odprowadzany przez agentów bezpieki, usiłował wrócić po bagaż. Strażnik krzyczał, wyzywał go, a gdy tamten wciąż się nie uspokajał, zaczął go kopać wojskowymi butami. Gdyby moją przepustkę uznano za nieważną, czekałby mnie nie lepszy los.

Wreszcie przyszła nasza kolej. Wyjąłem dokumenty z mojej skórzanej teczki, celowo trzymając ją tak, żeby wytłoczony na niej złoty symbol Partii Pracy był dobrze widoczny. Na jego widok siwiejący strażnik spiął się i zasalutował. Miałem ledwo trzydzieści lat.

– Proszę pokazać przepustkę – odezwał się potulnie.

Dzięki naszym specjalnym przepustkom przeszliśmy już kilka kontroli. W Korei Północnej strażnicy dwóch rodzajów sprawdzają dokumenty i przepustki podróżujących, ilekroć pociąg przekracza granice prowincji albo miast. Dotyczy to zarówno cywili, jak i wojskowych. Chociaż wszystkie przeszkody pokonałem bez trudu, teraz liczył się wyłącznie ten ostatni posterunek. Kiedy strażnik zerknął na mnie znad dokumentów, wzdrygnąłem się. Bałem się, że nawet jeśli moja przepustka wygląda autentycznie, to winę mam wypisaną na twarzy. Gdy bez słowa oddał nam papiery, Young Min i ja opuściliśmy Dworzec Musański najspokojniej, jak się dało.

Postanowiliśmy przedostać się do Chin w Musanie, ponieważ rzeka Tumen, po której przebiega granica, jest tu najwęższa. Szerokość tej przeprawy określała nasz los. Gdybyśmy wspięli się wyżej w góry, być może znaleźlibyśmy mniejsze strumienie

wpadające do rzeki, przez które przebrnęlibyśmy z większą łatwością. Żaden środek transportu nie zabrałby nas jednak tak daleko. Zdołaliśmy znaleźć bezpośredni pociąg do Musanu, ponieważ jest to duży ośrodek górniczy. Stąd było najbliżej do granicy.

Kiedy członek aktywu nie pojawia się w pracy przez trzy dni, rejestruje się go jako osobę zaginioną i wydaje się nakaz poszukiwania na wypadek dezercji. Nawet jeśli chorujesz, musisz powiadomić o swoim miejscu pobytu odpowiednie władze, które wyślą kogoś, kto potwierdzi, że naprawdę tam jesteś. To był nasz czwarty dzień nieobecności w pracy – ze względu na opóźnienie pociągu wszystko trwało dłużej, niż planowaliśmy. W Pjongjangu na pewno wydano już nakaz poszukiwania. Prowadziliśmy wyścig z czasem i już byliśmy w tyle.

Gdy tylko opuściliśmy stację, ruszyliśmy w stronę rzeki Tumen. Zgubiliśmy się, więc musieliśmy pytać o drogę. Nie mieliśmy pojęcia, co nas czeka z każdym następnym krokiem. Zamierzaliśmy dotrzeć na brzeg i poszukać dobrego miejsca na przeprawę. Chcieliśmy ukryć się w zaroślach i poczekać, aż droga będzie wolna, a potem pędem przebiec przez lód.

Zbliżywszy się do Tumenu, poczułem podniecenie. Rzeka była zupełnie zamarznięta i nie mogła mieć więcej niż sześćdziesiąt metrów szerokości. Przekroczenie granicy w ogóle nie będzie problemem! Zacząłem jednak panikować, gdy zorientowałem się, że w pobliżu nic nie rośnie. Gdzie się schowamy? Zgodnie z tym, co widziałem na mapie, otaczały nas wzgórza. Ale resztki szkieletów drzew zostały obdarte z kory, zapewne przez ludzi umierających z głodu. Nawet cienkie gałązki zebrano na opał. Wzgórza były nagie.

Nie mieliśmy wyboru: szliśmy ziemną ścieżką wzdłuż brzegu chronieni tylko przez nasze dokumenty. Jeśli będziemy brnąć naprzód, może pojawi się jakiś las, który osłoni naszą ucieczkę – a przynajmniej w desperacji bardzo w to wierzyliśmy, maszerowaliśmy więc przez wiele kilometrów. Co kilometr

mijaliśmy kolejne wieże strażnicze, które wznosiły się nad brzegiem wśród nagiego krajobrazu.

Czasem widzieliśmy kołyszące się wewnątrz hełmy żołnierzy. Tam, gdzie nie poruszał się nikt w kamuflażu, tablice wbite w ziemię niczym porzucone karabiny krzyczały: „Zakaz wstępu! Teren graniczny!” albo: „Stać! Będziemy strzelać!”. Wszędzie, gdzie rzeka się zwężała, znajdowały się posterunki z czerwoną flagą i punktem kontrolnym. Każdy, kto chciał przedostać się tamtędy pojazdem lub pieszo, musiał przedstawić powód podróży, oddać bagaż do przeszukania i pokazać zawartość kieszeni. Jednak gdy tylko pokazywaliśmy dokumenty, strażnicy przestawali wykrzykiwać rozkazy i salutowali. Niektórzy nawet zniżali głos, żeby poprosić o papierosa.

Po drodze oprócz patroli granicznych kilkakrotnie napotkaliśmy także rezerwistów. Nie nosili mundurów ani dystynkcji wojskowych, ale mieli na sobie stroje maskujące. Ilekroć nas zatrzymywano, wtykaliśmy im przed nos nasze papiery, a gdy sądziliśmy, że sytuacja może się pogorszyć, częstowaliśmy ich też papierosami.

Nim nastał zmierzch, pokonaliśmy prawie trzydzieści kilometrów wzdłuż granicy. Około dwudziestej drugiej, kiedy było już całkowicie ciemno i nie widzieliśmy nic przed sobą, wiedzieliśmy, że pora się przeprawić. Obaj z Young Minem zbliżyliśmy się do zamarzniętej rzeki.

– Ręce do góry!

Głos żołnierza dobiegł znikąd. Young Min ścisnął mnie za ramię tak mocno, że aż podskoczyłem. Zacisnąłem pięści i byłem gotów uderzyć strażnika, który biegł w naszą stronę. On jednak dmuchnął w gwizdek. Zupełnie niespodziewanie zapaliło się mnóstwo reflektorów. Wszystkie snopy padły na nas.

Nie dano nam szansy się wytłumaczyć i zaprowadzono do posterunku strażniczego nr 6. Po drodze cały czas szturchano nas w plecy zimnymi lufami karabinów. Po wejściu do niewielkiego budynku zobaczyłem otwarte drzwi celi. Z krat zwisały kajdanki.

Odezwał się do nas żołnierz:

– To teren graniczny. Co tu robicie po nocy? Proszę pokazać przepustki i dokumenty tożsamości.

Mówiąc to, zrobił ruch ręką, a wtedy zatrzasnęły się ciężkie drzwi i zostaliśmy uwięzieni w budynku. Young Min wyraźnie drżał, co mogło sugerować, że przyłapano nas na próbie ucieczki.

– Mój przyjaciel jest zmarznięty. Pozwólcie nam się najpierw ogrzać – odparłem, z trudem zachowując spokój.

Sięgając po dokumenty do kieszeni koszuli, czułem, jak wali mi serce. Drżała mi dłoń, kiedy otarłem nią o kieszeń kurtki, w której krył się obciążający dowód mojej zdrady. Miałem przy sobie potajemnie pisane wiersze, ponieważ wcześniej wyjąłem je z plecaka.

Gdy porucznik zobaczył, że moje dokumenty nie należą do zwykłego obywatela, zesztywniał i zerwał się z krzesła. Choć był doświadczonym żołnierzem, chyba jeszcze nigdy nie widział złotego symbolu członka aktywu centrali partyjnej ani niebieskiego stempla tajemniczego Departamentu Zjednoczonego Frontu.

– Dlaczego przybyliście na teren graniczny? – zapytał znowu porucznik.

Być może mój wiek nie pasował do powagi moich insygniów, bo zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Jego spojrzenie zdawało się mówić: „Co masz w drugiej kieszeni?”.

Odetchnąłem głęboko.

– Przysłał nas komitet partii z misją odebrania pewnych dokumentów z komendy KAL w Musanie. Ale nocą zrobiło się zimno. Szukaliśmy posterunku strażniczego, w którym można by przenocować.

– Nieprawda! Widziałem, jak próbowali stanąć na lodzie! – przerwał jeden z żołnierzy.

Dobrze obeznany z partyjną drabiną starszeństwa odruchowo przybrałem ton członka aktywu, którego sprowokował podwładny.

– Ty gnoju! Jak śmiesz celować do mnie z karabinu? Wiesz, kim ja jestem? Chętnie przywaliłbym ci w ten bezczelny ryj…

Zanim dokończyłem, odezwał się porucznik:

– Połączyć z komendą KAL w Musanie i zapytać, czy spodziewają się dwóch przybyszów z Pjongjangu.

Zrobiło mi się słabo. Young Min, który grzał ręce przy piecu, rzucił mi zrozpaczone spojrzenie. Jeden z żołnierzy podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Chwilę odczekał, a potem odłożył słuchawkę na widełki.

– Towarzyszu poruczniku, nie ma prądu. Nie mogę się połączyć.

Na dźwięk tych słów odżyła moja uparta chęć życia. Zwróciłem się do porucznika:

– Dosyć tego pieprzenia. Niech rano spróbuje jeszcze raz. A teraz dajcie nam jakiejś miejsce do spania, i to już! Migiem!

Wykrzykiwałem rozpaczliwie, ale najwidoczniej podziałało. Błaganie o wolność byłoby przyznaniem się do winy, więc zamiast tego poprosiłem, żeby nas przenocowali. Porucznik zawahał się i jeszcze raz spojrzał na moje papiery. Nawet podsunął mi krzesło.

Kiedy usiadłem, zaskrzypiały ciężkie drzwi i do budynku weszła grupa żołnierzy. Wracali z patrolu. Zebrali się wokół porucznika, a potem na zmianę zerkali to na mnie, to na Young Mina, to na nasze papiery.

Podszedł do mnie podporucznik z patrolu.

– Znacie Seo Jung Hwana? – zapytał.

Nigdy nie słyszałem tego nazwiska i poczułem się tak, jakbym właśnie oblał jakiś test. Za to Young Min zerwał się z krzesła.

– Seo Jung Hwana z Kimchaek? Syna tamtejszego sekretarza partii?

Podporucznik był wyraźnie podekscytowany.

– Tak, to o niego chodzi! Towarzyszu poruczniku, on zna mojego kolegę z klasy!

Nadal siedziałem oszołomiony. Na twarzy porucznika malowała się wzgarda, kiedy patrzył na podporucznika i Young Mina, którzy zaczęli gawędzić jak starzy przyjaciele. Jeszcze raz zebrałem się na odwagę i zawołałem:

– O! Naprawdę znacie Jung Hwana?

– Tak jest, towarzyszu! To mój stary kumpel.

– Cudownie! Przyjaciel naszego przyjaciela tak daleko od domu! Szukaliśmy jakiegoś noclegu. Możemy zostać u was?

Zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, wyjąłem butelkę drogiego zachodniego koniaku i sześć paczek papierosów Marlboro. Dla północnokoreańskiego żołnierza nie ma nic cenniejszego niż alkohol i papierosy. O ile pieniądze nadają się na łapówkę, to papierosy są artykułem dużo bardziej prestiżowym, zwłaszcza te zagranicznych marek. Z myślą o takiej właśnie sytuacji oprócz rzeczy osobistych spakowałem do plecaka trzy kartony marlboro i dwie butelki koniaku. Na widok alkoholu i papierosów porucznikowi zaświeciły się oczy.

W dostawach nawet najbardziej podstawowych żołnierskich racji zdarzały się przerwy, a poza tym od zagranicznych produktów biła odurzająca aura: były to symbole Innego Świata leżącego poza granicami kraju. Któryś żołnierz zawołał, że po raz pierwszy w życiu spróbuje zachodniego alkoholu. Porucznik rozdał papierosy swoim ludziom, jakby to od niego pochodziły te prezenty.

Dostaliśmy na noc drapiące wojskowe koce, a potem leżeliśmy, słuchając chrapania żołnierzy oraz cogodzinnej zmiany wart. Każda grupa wyruszająca na patrol odbierała broń od poprzedniej, dobierała zapasową amunicję i granaty ręczne. Metaliczne zgrzyty mówiły: „Śmierć zdrajcom!”. Kiedy lekko szturchnąłem Young Mina, okazało się, że on też nie może spać. Czas wlókł się powoli, gdy leżeliśmy w chłodzie.

Nazajutrz rano opuściliśmy posterunek z listem podporucznika do Seo Jung Hwana. Żołnierze pomachali nam na do widzenia, a my odpowiedzieliśmy niezdarnie. Gdy tylko zniknęliśmy im z oczu, przybiliśmy sobie piątki i z podnieceniem, choć cicho, rozmawialiśmy o wydarzeniach minionej nocy. Wkrótce jednak nasze kroki stały się ciężkie. Pogranicze okazało

się znacznie lepiej strzeżone niż spokojna prowincja, którą wyobrażaliśmy sobie z Pjongjangu.

Jako pierwszy odezwał się Young Min.

– Powinniśmy wrócić do domu?

Przysiedliśmy naprzeciw siebie na nieużywanym odcinku torów kolejowych, które biegły wzdłuż Tumenu.

– Teraz już na to za późno – stwierdziłem. – Za długo nie było nas w pracy, więc na pewno wydali nakaz poszukiwania. Sam wiesz, jaka jest partia. Nie możemy wrócić.

– To jak przekroczymy granicę?

Miałem wrażenie, że chce, abym przyznał się do porażki. Ze znużeniem rozejrzałem się dokoła. W otaczającej nas ciszy czułem się tak, jakbyśmy byli ostatnimi ludźmi na ziemi. Wzgórza i rzekę pokrywał biały śnieg. Gdzieś w oddali trzykrotnie zabrzmiał gwizdek – może znowu kogoś zatrzymano. Tuż zza rzeki, zza granicy, dobiegł ryk wołu. Bezkresne niebo wydawało się aż za niebieskie. Przemknął po nim ptak. Widzieliśmy drugi brzeg, ale nie mogliśmy się tam dostać.

Znowu odezwał się Young Min:

– Przyjechaliśmy tu aż z Pjongjangu. Tuż za rzeką, o tam, są Chiny. Wprost przed nami. Tylko jak się tam dostaniemy?

Jak słusznie zauważył, niewiele dzieliło nas od Chin, a obie strony granicy wyglądały podobnie. Na naszej ziemi leżał śnieg, na ich również, tylko że ich góry były porośnięte drzewami przypominającymi kulki bawełny, a nasze były nagie. Latem nasze wzgórza na pewno stawały się piekielnie czerwone, ich zaś zieleniły się od liści. Widziałem w tym potwierdzenie, że mamy powód, by przedostać się przez rzekę.

– Chodźmy teraz! – Sam byłem zaskoczony swoimi słowami. Aż do tej chwili koncentrowałem się na ucieczce pod osłoną nocy. – Teraz jest dobra pora. Żołnierze pilnują granicy nocą, ale w biały dzień to my zobaczymy ich szybciej, niż oni nas. Chodźmy!

Zupełnie jakbyśmy to zaplanowali, ja rozejrzałem się po stronie północnokoreańskiej, a Young Min po chińskiej.

– Nikogo nie ma – stwierdził. – Wstajemy?
– Teraz?
– Tak! Teraz!
Chociaż mówiliśmy to z przekonaniem, żaden z nas się nie podniósł. Najbardziej przerażało nas właśnie to, że obu nam brakuje odwagi do działania. Odetchnęliśmy głęboko. Obnażyliśmy własną upokarzającą słabość umysłu, ale było w tym coś oczyszczającego. Cisza na nowo umocniła naszą determinację. Chwyciliśmy się za ręce, żeby wzajemnie poczuć swoje ciepło. Razem stanęliśmy nad tą przepaścią i razem w nią skoczymy.
Odliczaliśmy chórem:
– Raz…
– Dwa…
– Trzy!
Zerwaliśmy się i puściliśmy biegiem przez Tumen. Z każdym krokiem serce waliło mi w piersi, lód huczał nam pod stopami. Przebiegliśmy dziesięć metrów, dwadzieścia? Ktoś zaczął krzyczeć:
– Ej! Łapać sukinsynów!
Odwróciłem się w stronę tego dźwięku. Grupa żołnierzy mierzyła do nas z karabinów. Zobaczyłem lufę, usłyszałem zgrzyt odciąganego zamka. Czaszka zapiekła mnie z bólu tam, gdzie wiedziałem, że trafi kula. Krzyczałem, ale nie słyszałem własnego głosu.

Część druga

UCIEKINIER

1

„Yanbian patrzy na świat, świat patrzy na Yanbian!”

Nie oglądaj się! Patrz przed siebie! – powtarzałem zdyszany, gdy pędziliśmy przez lód.

Zamarznięta powierzchnia rzeki pod naszymi stopami wreszcie zamieniła się w ląd. Wkroczyliśmy do Chin i popełniliśmy niewybaczalny akt zdrady. Po stronie północnokoreańskiej żołnierz krzyczał:

– Ognia! Ognia!

Okrzyk dobiegł jakby z bardzo daleka. Nie słyszałem wystrzałów, ale wyobrażałem sobie, że kula przemyka tuż obok mnie i trafia w drzewo przede mną. Nie oglądałem się, bo nie było już odwrotu.

Zacisnęliśmy zęby i brnęliśmy dalej, ku bezimiennym górom. Chociaż poruszałem nogami, góry zdawały się oddalać. Prawie z każdym krokiem upadałem na ziemię jak galareta. Śnieg sięgał nam do kostek, a moje kończyny były zbyt słabe, żeby mnie unieść. Gdy któryś z nas upadał, drugi ciągnął go do góry. Strach pchał nas naprzód, strach nie pozwalał nam spojrzeć za siebie, sprawdzić, kto lub co znajduje się za nami.

– Jeszcze tylko trochę. Jesteśmy prawie na miejscu – wydyszałem.

O dziwo, czułem, że rodzi się we mnie gniew, który zalewa wcześniejsze przerażenie. Czy wystarczyło przekroczyć ten wąski pas zamarzniętej rzeki, by skazać się na potępienie? Zresztą wciąż jeszcze nie byliśmy wolni. Groziły nam nie tylko karabiny z tyłu. Przed nami także mogło pojawić się wojsko.

– Uważajmy na patrole – powiedziałem do Young Mina. – Ty patrz w prawo, a ja w lewo.

Śnieg, pola, góry. W tym krajobrazie nie było żołnierzy. Z ulgą usłyszeliśmy swoje głosy, które wymówiły te same słowa:

– Z tej strony nikogo nie ma.

Nawet nerwowe okrzyki północnokoreańskich żołnierzy utonęły w ciszy. Teraz jednak stanęliśmy oko w oko z przerażającą pustką chińskiej głuszy, która tylko czekała, żeby połknąć nas żywcem. Może w przyszłości, której nie potrafiliśmy dostrzec, kryło się chińskie wojsko wypatrujące nadchodzącej zwierzyny.

Szliśmy dalej naprzód, lecz nie widzieliśmy karabinów i nie słyszeliśmy żołnierskich gwizdków. Po drodze do podnóża góry nie napotkaliśmy żadnej żywej istoty. Stając naprzeciw tego wzniesienia, czuliśmy się jak ktoś, kto szuka schronienia w ramionach bóstwa. Krajobraz był pełen drzew, zupełnie inaczej niż nagie wzgórza Korei Północnej. Te drzewa mogły nas przyjąć i ukryć. Zaledwie kilka minut wcześniej spoglądaliśmy na to miejsce jak na odległą planetę, a teraz staliśmy tu, w tym innym świecie. Wreszcie złapaliśmy oddech i odwróciliśmy się, żeby spojrzeć na koreański brzeg. Nie gonili nas żołnierze.

Wpadliśmy w ekstazę. Staliśmy tak i gapiliśmy się na siebie, a Young Minowi łzy ciekły po policzkach. Kiedy wierzchem dłoni otarł mi twarz, zrozumiałem, że ja także płaczę. Ale to nie miało znaczenia, bo płacz w takiej chwili znamionował prawdziwego mężczyznę. Zamiast powiedzieć to głośno, zacisnąłem pięść i szturchnąłem Young Mina w pierś. Odwdzięczył mi się tym samym. Po następnych dwóch, może trzech ciosach szturchnięcia zmieniły się w łaskotki i roześmiani runęliśmy na ziemię. Doświadczyliśmy cudu i byliśmy dumni ze swojej odwagi. Udałem, że celuję w Young Mina z karabinu. Rozpostarł ramiona, a potem wyzywająco wydął pierś, żebym pociągnął za spust. Znowu wybuchnęliśmy śmiechem. Trzymaliśmy się za brzuchy i sami się dziwiliśmy, że tak się wygłupiamy.

Young Min znalazł na ziemi kamyk. Cisnął go w kierunku Korei Północnej. Poczułem, że wraz z tym znikającym punkcikiem uwolnił się i rozpłynął gniew, który tkwił gdzieś w moich trzewiach. Nie tylko oswobodziliśmy się z kleszczy reżimu, ale odrzuciliśmy go tak samo jak ten kamyk. Mimo to cisza granicy przytłaczała. Skuliłem się w sobie, kiedy zrozumiałem, że słychać tu tylko nasze głosy. Young Min zdawał się natomiast czerpać poczucie bezpieczeństwa z naszego odosobnienia w tym głębokim lesie, bo znowu rozpostarł ramiona i rzucił się w tył na śnieg.

– Odpocznijmy tu parę dni – powiedział. – Nawet jak zamarznę na śmierć na tej górze, to wcale nie będzie tak źle.

Kiedy to mówił, nagle z naprzeciwka wyleciał ptak, głośno łopocząc skrzydłami, i przefrunął tuż nad naszymi głowami. Był jak omen, ostrzeżenie, że w pobliżu są inne żywe istoty. Young Min jakby tego nie zauważył. Udawał, że chrapie, i chichotał sam do siebie. Chciałem tarzać się w śniegu razem z nim, ale nie odważyłem się. Stałem, nerwowo gmerając przy plecaku. Żeby tu dotrzeć, pokonaliśmy wiele przeszkód, a zaledwie przed chwilą spojrzeliśmy śmierci w twarz. Nie wyobrażałem sobie nic gorszego, niż gdyby nas złapano, choć już przedostaliśmy się przez granicę.

– Nie mamy czasu – powiedziałem. – Korea Północna powiadomi Chiny. Jeśli tu zostaniemy, to nas złapią. Chodźmy jeszcze trochę dalej, znajdźmy jakieś miasto.

– Jak? Nie mamy pojęcia, dokąd iść – odparł Young Min.

Przestałem gmerać przy plecaku. Tak jak powiedział mój przyjaciel, nie wiedzieliśmy, dokąd się udać pod tym nowym, obcym niebem. Może powinniśmy ruszyć wzdłuż Tumenu na południe.

Spojrzawszy w głąb Chin, w kierunku lasu i wzgórz, w oddali chyba dostrzegłem małą wioskę. Widziałem nawet kobietę w czerwieni. A jeśli nas zobaczyła? Czy powiadomi władze? Kolor czerwony wywołał we mnie dreszcze. Mimo wszystko to było jedyne rozwiązanie: ruszyć w tamtą stronę.

– Sprawdzę wioskę – powiedziałem. – Ty tu zostań. Krzyknę, jeżeli będą kłopoty.

Rozpierała mnie pewność siebie, bo uciekłem północnokoreańskiej straży granicznej w biały dzień. Moje słowa wybudziły Young Mina z transu. Chwycił mnie za ramię.

– Dokąd ty się wybierasz? Skąd wiesz, że tam nie będzie patrolu?

– Pamiętasz, jak ludzie mówili, że w Chinach jest mnóstwo południowokoreańskich turystów? Mogę udawać, że jestem jednym z nich i zabłądziłem. Masz lepszy pomysł?

Young Min nie pochwalał mojej idei i postanowił nie ruszać się z miejsca, ja natomiast tak czy inaczej ruszyłem ku wiosce. Szedłem szybko, nie rozglądając się za bardzo, bo nie chciałem zwracać na siebie uwagi. Kiedy zbliżyłem się do kobiety w czerwieni, zobaczyłem, że jest po czterdziestce. Wyglądała na zwyczajną wieśniaczkę, która mogła nie ufać obcym.

Podszedłem do niej.

– Jestem turystą z Korei Południowej. Czy mogę panią spytać o drogę?

Bez słowa pobiegła przede mną i wskazała jakiś dom. Nie znała koreańskiego, ale domyśliłem się, że prowadzi mnie do domu etnicznego Koreańczyka.

W trzech północno-wschodnich prowincjach Chin niedaleko granicy północnokoreańskiej mieszka wielu etnicznych Koreańczyków. Koreańscy osadnicy licznie przenosili się na północ na początku dwudziestego wieku podczas japońskiej okupacji Półwyspu Koreańskiego. Populacja koreańska w tym rejonie Mandżurii szybko wzrosła z około siedmiuset tysięcy w 1870 roku do 1,7 miliona pod koniec rządów kolonialnych Japonii. Chociaż Japonia przegrała drugą wojnę światową i okupacja półwyspu dobiegła końca, po pięciu latach chaos wrócił w postaci wojny koreańskiej. Zgodnie z polityką Komunistycznej Partii Chin dotyczącą mniejszości, Koreańczyków uznano za mniejszość etniczną i pozwolono im

osiedlić się w Koreańskiej Prefekturze Autonomicznej Yanbian w północno-wschodnich Chinach.

W roku 2000 w Chinach mieszkało około dwóch milionów etnicznych Koreańczyków. Być może dlatego, że od rodaków na południu dzieliła ich tylko granica polityczna, dom Koreańczyka, do którego zostałem zaprowadzony, niewiele się różnił od wiejskich chat w mojej ojczyźnie. Nie miał dachu z blachy falistej ani betonu tak jak wiele okolicznych budynków. W Korei Północnej takie chaty nazywano „ziemiankami”, ponieważ ich kształt sugerował, że ulepiono je z ziemi.

Chata była w nędznym stanie. Sypał się jeden róg ściany z błota i wyraźnie nikt o niego nie dbał. Możliwe, że od domostwa w Korei Północnej różniła się tylko tym, że była większa. Podszedłem do furtki, a kiedy chciałem zajrzeć do środka, wystawił stamtąd łeb biały pies i zaczął na mnie szczekać. Odskoczyłem, a po plecach spłynął mi zimny pot. Bałem się, że Young Min pomyśli, że wpadłem w kłopoty.

– Kto tam?! – zawołał po koreańsku mężczyzna w średnim wieku od strony stajni po lewej stronie podwórka.

Jego twarz o krzaczastych brwiach była twarzą rolnika: dużą, okrągłą i ciemną niczym wieko żelaznego kotła. Miał na sobie czarną kurtkę ze sztucznej skóry, a także dziwne żółte spodnie w drobniutkie różowe kwiatki. Może pożyczył je od żony? Nie nosił butów. Wiedziałem, że szkoda czasu na okłamywanie miejscowego, więc sięgnąłem do kieszeni po gotówkę. Wyjąłem i pokazałem mu siedem banknotów studolarowych.

– Właśnie przeszliśmy przez rzekę. Może nas pan zabrać do miasta? Tyle mogę zapłacić.

Mężczyzna rzucił się ku mnie, jakby się przewracał, i wciągnął mnie na podwórko z siłą godną wołu. Zapytałem, czy stąd daleko do miasta, ale mnie nie słuchał. Mocno pachniało obornikiem. Gdy weszliśmy do domu, od ciepła aż się zaczerwieniłem. Tak jak w Korei Północnej było tam ogrzewanie typu *ondol* polegające na tym, że żar z pieca krąży pod podłogą. Kiedy zdjąłem buty i poszedłem za gospodarzem, podłoże było

cudownie gorące pod moimi stopami. Ściany wytapetowano chińskimi gazetami zlepionymi w rodzaj papier mâché. W tym kolażu zauważyłem nawet zdjęcie Mao Zedonga. Gdyby ktoś zrobił coś podobnego w Korei Północnej, niechcący wykorzystując portret Kim Il Songa albo Kim Dzong Ila, trafiłby do łagru. Gdy miałem czas przemyśleć to, co widziałem, zacząłem się zastanawiać, czy Chiny właśnie dlatego mogły przejść reformę i otworzyć się na świat – podczas gdy nie zrobiła tego Korea Północna – że choć Komunistyczna Partia Chin miała własną wersję Wielkiego Wodza, a nawet kult przywódcy pod pewnymi względami podobny do naszego, to ów kult jednostki przestał być tutaj nadrzędnym priorytetem i *modus operandi* władzy.

Takie myśli przyszły jednak później. W tamtej chwili koncentrowałem się na człowieku buszującym w szafie, która zamiast uchwytów najwyraźniej miała dwie metalowe wole podkowy. W pomieszczeniu stał niski stół z niedojedzonym posiłkiem, a na podłodze leżały widły oblepione brudem. Zrozumiałem, dlaczego gospodarz wyszedł na podwórko bez butów.

– Znalazłem – oznajmił. Wyjął z szafy czarną kurtkę ze sztucznej skóry podobną do tej, którą sam nosił, oraz ciemnobrązowe spodnie. Wetknął mi je do ręki. – Włóż to, szybko – powiedział z akcentem charakterystycznym dla Hamgyongu Północnego, gdzie akcent pada na ostatnią sylabę.

Prowincja Hamgyong to najdalej wysunięta na północ część Korei Północnej, więc być może bliskość geograficzna i wspólna historia wpłynęły na podobieństwo wymowy.

– Moje ubranie jest z Japonii – odparłem. – Zamierzałem podawać się za turystę…

Specjalnie włożyłem japońskie rzeczy, nie chcąc wyróżniać się w Chinach ubraniem, które zdradziłoby mnie jako Koreańczyka z Północy. Miałem na sobie drogi puchowy płaszcz, który dobrze chronił przed zimnem.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, musisz się ubrać jak miejscowy. Inaczej zauważą to na posterunkach. Nie narzekaj, chłopcze, tylko rób, co mówię. Ach tak, a pieniądze… Te siedemset dolarów to dla mnie?

Bez słowa podałem mu siedem studolarówek z nadzieją, że mi zaufa. Pośpiesznie przeliczył banknoty. Pod paznokciami także miał błoto.

– Jest ze mną przyjaciel – powiedziałem.

Zanim rolnik ponownie przeliczył pieniądze, podniósł wzrok, a oczy miał wielkie jak wół, który pośliznął się na lodzie.

– Co? Ilu?

– Jeden – odparłem.

– To co tak stoisz? Sprowadź go tu.

Kiedy wróciłem z Young Minem, rolnik zdążył się przebrać w strój podróżny. Wyjaśnił, że autobus przyjeżdża do wioski za dziesięć minut. Pośpiesznie pomógł nam włożyć nowe ubrania. Young Min spojrzał na niego poirytowany. Czarna kurtka ze sztucznej skóry, którą dostałem, nie była taka zła, ale on musiał włożyć pomarańczową z dużym chińskim napisem na plecach. Swoje ubranie wepchnąłem do plecaka, a tomik z poezją schowałem do kieszeni kurtki.

Wyszliśmy z domu, a potem przez pięć minut maszerowaliśmy nieutwardzoną drogą. Rolnik, ubrany teraz w ciemne spodnie zamiast żółtych w różowe kwiatki, wyglądał znacznie porządniej niż wcześniej. Powiedział, że nazywa się Chang Yong. Wydawał się jeszcze bardziej zdenerwowany niż my. Stale rozglądał się dokoła podejrzliwym wzrokiem.

– W autobusie nie odzywajcie się ani słowem – mówił cicho. – Na drodze do Yanji jest punkt kontrolny. Czasami sprawdzają, a czasami nie. Jeżeli ktoś do was zagada, udawajcie, że jesteście głusi. Gdyby do autobusu weszli pogranicznicy, będę mówił w waszym imieniu. Pamiętajcie, chłopcy: ani słowa! Wszystko będzie dobrze. Są etniczni Koreańczycy, którzy nie mówią po chińsku. A jeśli macie jeszcze trochę gotówki, to dajcie ją mnie. Gdyby was złapali, przekupię mundurowych. Ile wam zostało?

Udałem, że nie słyszę ostatniego pytania. Nie byłem gotów powierzyć życia zupełnie obcemu człowiekowi.

Czekaliśmy na autobus i dziwiłem się temu, że wioska znajduje się tak blisko granicy. Wzdrygnąłem się nerwowo na dźwięk przejeżdżającej ciężarówki. Po stronie północnokoreańskiej oprócz nielicznych wojskowych ciężarówek najczęściej widywało się wozy zaprzężone w konie lub woły.

Tak jak zapowiedział rolnik Chang Yong, autobus wkrótce przyjechał. Wymieniliśmy z Young Minem oszołomione spojrzenia – zupełnie inne od tych drwiących uśmieszków, kiedy dojazd naszego bardzo opóźnionego pociągu do Musanu wywołał radość pasażerów. W stolicy Korei Północnej autobusy nigdy nie kursowały zgodnie z planem, natomiast tutaj najwyraźniej tak właśnie było, nawet w przygranicznej wiosce na chińskiej prowincji. Zajęliśmy wolne miejsca za Chang Yongiem. Gdy drzwi autobusu zatrzasnęły się z piskiem, poczułem się tak, jakby zamknięto nas w celi, i pożałowałem, że wsiedliśmy. Patrząc jednak na otaczających nas Chińczyków, pogrążonych w głośnych rozmowach, zajętych codziennym życiem, nieco się odprężyłem. To było tak, jakby przyjęli nas do swego świata. Chociaż miałem przed sobą zwykłych chińskich wieśniaków, zdawali się beztroscy w swojej zamożności. Mężczyźni wyglądali na dobrze odżywionych, a kobiety były pulchne jak żony członków aktywu partyjnego w Korei Północnej. Niektóre miały nawet złotą biżuterię. Na północnokoreańskiej prowincji nikt nie obnosiłby się w ten sposób z bogactwem, ponieważ natychmiast stałby się celem złodziei. Nawet w jaskrawych barwach ubrań tych chińskich wieśniaków dostrzegałem przebłysk ekonomicznej pewności siebie.

Dziwnie wyglądało się przez okno na rzekę Tumen i północnokoreańskie ziemie po drugiej stronie. Gdybyśmy się zawahali, zamiast pognać przez lód, być może nadal stalibyśmy tam zrozpaczeni. Możliwe, że Chińczycy ze współczuciem patrzyli na Koreańczyków z Północy, spoglądając na nasze gołe wzgórza pozbawione drzew. Nawet my dwaj, którzy dopiero co

stamtąd przybyliśmy, wzdrygaliśmy się na widok nagości odległego krajobrazu. Chociaż nie rozumiałem ani słowa po chińsku, wydawało mi się, że nasi współpasażerowie muszą przeklinać północnokoreański reżim za ogołocenie własnego kraju.

Po około półgodzinie jazdy Chang Yong odwrócił się do nas i mrugnął. Byłem pogrążony w półśnie, więc gdy autobus gwałtownie zahamował, z zaskoczeniem stwierdziłem, co znajduje się przed nami. Drogę przecinała bariera w barwach maskujących, której strzegli uzbrojeni żołnierze. Mieli trawiaste wojskowe płaszcze do kolan, jakże inne od ciemnożółtych mundurów żołnierzy północnokoreańskich. Jeden z wojskowych zatrzymał autobus, unosząc dłoń w białej rękawiczce.

Byłem przekonany, że wysłano ich po to, żeby nas aresztować. Tak samo jak na posterunku strażniczym nr 6 miałem dojmującą świadomość obecności w mojej kieszeni zeszytu z poezją. Mimo że siedziałem, nie mogłem opanować drżenia nóg. Nieruchoma sylwetka Chang Yonga zdawała się świadczyć o jego obojętności. Wyrzucałem sobie, że tak łatwo zaufałem obcemu człowiekowi. Rozejrzałem się, szukając sposobu ucieczki z autobusu na wypadek, gdyby żołnierze ruszyli w naszą stronę. Chwilowo przyszło mi do głowy tylko to, żeby oprzeć głowę na ramieniu Young Mina i udawać, że śpię. Gdy nieco otworzyłem oczy, żeby spojrzeć na przyjaciela, zobaczyłem, że jego powieki, choć również zamknięte, drżą. Chcąc dodać mu otuchy, zacząłem cicho pochrapywać, ale tak, żeby nie ściągnąć na siebie niepotrzebnej uwagi.

Usłyszałem, że otwierają się drzwi autobusu. W ciężkim tupocie butów wyczuwałem wagę karabinów. Jeden z żołnierzy się odezwał, oznajmił coś po chińsku. Jego głos górował nad szwargotem podróżnych. Wzdrygnąłem się ze strachu, że mówi o nas.

Słyszałem coraz bliższe kroki i pomruk pasażerów. Co bym zobaczył, gdybym teraz otworzył oczy? Czy żołnierz nas obserwował? Siedziałem bez ruchu, na rękach miałem gęsią

skórkę i wciąż zaciskałem powieki. Dudnienie butów się oddaliło, a potem znów zatrzaśnięto drzwi autobusu. Nie mogłem uwierzyć w to, co się działo, ale koła pojazdu ponownie zaczęły się obracać. Kiedy w końcu odważyłem się otworzyć oczy, przekonałem się, że naprawdę jedziemy dalej.

Obejrzawszy się, ujrzałem plecy trzech żołnierzy, którzy właśnie zatrzymywali nadjeżdżającą ciężarówkę. Potrząsnąłem Young Minem, który wciąż miał zamknięte oczy. Nie otwierając ich, zaczął się śmiać w rytm kołysania autobusu.

Chang Yong prędko wstał z siedzenia i odwrócił się do nas z szerokim uśmiechem.

– Dobra robota, chłopcy! – szepnął pośpiesznie. – Byle tak dalej. Żołnierze nie zawracają sobie głowy starannym przeszukiwaniem każdego pojazdu. Czasami wchodzą do autobusu, tylko żeby się rozejrzeć. Szukają uciekinierów z Korei Północnej. Łatwo ich zauważyć, bo są brudni, niedożywieni i łuszczy im się skóra. Ale wy macie taką skórę jak my, więc się nie wyróżniacie. – Spojrzałem na cerę Chang Yonga. Była ciemna, wyraźnie wskazywała, że to rolnik, który spędzał długie dni na pracy w promieniach słońca. – Ludzie z Pjongjangu tacy jak wy oczywiście są inni – ciągnął. – Przed nami jeszcze jedna kontrola. Zróbcie to samo, co teraz.

Z radością słuchaliśmy jego wyjaśnienia, dopóki nie wspomniał o kolejnym posterunku. Raz nam się poszczęściło, ale czy mogliśmy jeszcze ryzykować życie, licząc, że uratuje nas czysta skóra? Próbowałem się podnieść, ale Chang Yong ścisnął mnie za kolana, żeby mnie powstrzymać.

– Jeżeli pójdziecie pieszo, będziecie jeszcze bardziej podejrzani – powiedział. – Wielu Koreańczyków z Północy nie stać na autobus, więc idą górskimi drogami i tam łapią ich pogranicznicy. Dziś na drodze jest duży ruch, więc na pewno nie będą sprawdzać dokładnie. Spokojnie, mówię wam.

Instynkt miejscowego rolnika okazał się bezbłędny. Na drugiej blokadzie nasz autobus przepuszczono, nawet go nie

zatrzymując. Mimo to byłem zlany potem. Denerwowałem się tak samo, jak wtedy, gdy przebiegałem przez rzekę.

Gdy autobus wjechał na szersze drogi, Chang Yong usiadł naprzeciwko nas i powiedział, że jesteśmy już bezpieczni. Wreszcie zaczęła mnie opuszczać panika. Tak jak zapowiadał, wyrosły wokół nas góry, a potem zniknęły, ustępując miejsca rozległym polom. Tu i ówdzie widzieliśmy prywatne domostwa. Byli piesi, coraz liczniejsi ludzie na motorach, a w końcu czerwone auta z napisem TAXI.

Young Min wskazał olbrzymi znak, który górował nad drogą niczym brama do nowego świata. Koreański napis wielkimi czerwonymi literami głosił: *Yanbian patrzy na świat, świat patrzy na Yanbian!* Już sam widok naszego języka na obcej ziemi był niespodziewany, ale zaskakiwało mnie to, że nawet prowincjonalne przygraniczne miasteczko w Chinach chce otwierać się na świat. W Korei Północnej mieliśmy hasła typu „Rozwieśmy moskitiery, żeby powstrzymać wiatr kapitalizmu!” albo „Wstawmy kraty w oknach!”. Otwartość Chin dogłębnie mnie poruszyła. Z całą pewnością podjąłem właściwą decyzję, uciekając od systemu, który umyślnie tak bardzo nas izolował. Z dala od patroli granicznych mogliśmy się teraz ukryć wśród 1,3 miliarda Chińczyków. Nie mogłem wykrzyczeć swojego szczęścia, ale rozbrzmiewało nim moje serce.

2
Wrobieni w morderstwo

Halo! Proszę się tu zatrzymać! – zawołał Chang Yong do kierowcy.

Autobus parsknął i stanął. Kiedy wysiadłem, zobaczyłem, że chociaż droga jest szersza, wciąż znajdujemy się na wsi i wygląda na to, że zostaliśmy wysadzeni na kompletnym pustkowiu.

– Idźcie dalej tą szosą. Do centrum Yanji jest z pół godziny drogi. Nie będzie już posterunków. Chyba zrobiłem swoje. Trzymajcie się, chłopcy. – Chang Yong wyciągnął do mnie rękę.

Nie mogłem podać mu swojej. Wkrótce miał zapaść zmrok, a my nie znaliśmy ani słowa po chińsku. Gdzie mieliśmy się podziać? Zadrżałem z zimna.

– Bardzo przepraszam, ale czy nie mógłby pan z nami zostać jeszcze trochę? Powie nam pan, co powinniśmy teraz zrobić i jak trzymać się z dala od władz?

Chang Yong był zaskoczony.

– Jak to? Nie znacie nikogo w Yanji? Przecież mówiliście, że musicie się tu dostać! To znaczy, że przeszliście przez rzekę bez planu?

Young Min zrobił krok naprzód.

– Mamy tu krewnych, ale nie wiemy, jak się z nimi skontaktować.

Chang Yong nie wiedział, co robić, ale postanowił się nad nami zlitować. Otworzył telefon komórkowy i wybrał numer.

– To ja – powiedział. – Chyba nie wrócę na noc. Tak, oczywiście, że dostałem pieniądze. Jesteśmy niedaleko twojej

matki, a i tak miałem do niej zajrzeć. Zadzwonisz do niej, żeby ją uprzedzić, że będzie ze mną jeszcze dwóch? Tylko na jedną noc.

Po rozmowie z żoną wyjaśnił, że nie nakarmił dziś wołów. Mogliśmy przenocować u jego teściowej, ale z samego rana musiał nas opuścić, żeby zająć się zwierzętami. Jakby na zawołanie wybuchła zamieć i zaczęła smagać nas śniegiem. Chang Yong ukrył swą krótką szyję w kołnierzu kurtki i zaczął gderać. Powiedział, że ktoś inny mógł nas zostawić na pastwę losu, więc mamy szczęście, że napotkaliśmy prostego rolnika takiego jak on. Kiedy minęła nas taksówka, głośno trąbiąc, zaklął po chińsku. Ten głos zdawał się należeć do zupełnie innego człowieka.

– Jak daleko do pana teściowej? – zapytał Young Min.

– Piętnaście minut.

Po tych słowach Chang Yong ruszył przed siebie, jakby chciał powiedzieć, że tylko od nas zależy, czy pójdziemy za nim. Kulił się przed zimnym wiatrem, ale my za jego plecami nie potrafiliśmy ukryć podniecenia: ziemi pod naszymi stopami nie patrolowali północnokoreańscy żołnierze ani tajna policja Ministerstwa. Jakby dla podkreślenia tej różnicy śnieżyca nagle ustała. Zobaczyliśmy zachód słońca, który wydawał się nadzwyczaj obcy i egzotyczny. To nie był kres kolejnego dnia przeżytego w posłuszeństwie wobec Drogiego Przywódcy i partii. Zamiast tego zachód słońca zapowiadał nowe dni o niewyobrażalnym potencjale, całkiem jak w moich dziecięcych wspomnieniach. Te myśli dodawały marmurkowemu niebu majestatu. Young Min również zdawał się odurzony naszym nowym otoczeniem. Z niewielkiego wzgórza, na którym mieszkała teściowa Chang Yonga, widok był jeszcze lepszy. Przed nami rozciągały się setki wiejskich domków, wszystkie podobne, ale każdy trochę inny. Na północy, gdzie zimy są długie, nad domostwami górowały wąskie kominy. Dym, który się z nich unosił, wyglądał jak łopoczące sztandary armii stającej do starcia z Zimą we własnej osobie.

Chang Yong powiedział, że nie może przyjść do teściowej z pustymi rękami, zwłaszcza skoro sprowadza gości. Po drodze zatrzymaliśmy się w sklepie, gdzie na zewnątrz, pod dachem od strony ulicy, wisiało mięso. To przeczyło wszelkiej logice, jaką znaliśmy z życia w Korei Północnej – tam sklepikarz miałby wszystkie towary wokół siebie, a coś tak cennego jak mięso trzymałby wewnątrz, z dala od potencjalnych złodziei. Kupiliśmy kilogram wołowiny, a gdy szliśmy do niedalekiego mieszkania, zapadł zmrok.

Chang Yong uprzedził, że chociaż on ma kilka pól i wołów, to jego teściowa jest bardzo uboga. Mimo to jej dom, gdy przekroczyliśmy próg, okazał się znacznie ładniejszy niż mieszkanie członka partii średniego szczebla w Pjongjangu. U nas lodówka, kolorowy telewizor i kanapa były oznakami przynależności do klasy zamożnej. Ale tutaj oprócz nich nawet szafa i komoda wyglądały na przedmioty dobrej jakości. Teściowa tak jak Chang Yong mówiła z północnohamgyońskim akcentem. Z przejęciem wypytywała, czy przekraczając rzekę, nie zrobiliśmy sobie krzywdy. Jej troska o nas podniosła mnie na duchu jeszcze bardziej niż żar rozgrzewający pokój.

Właśnie rozglądałem się wkoło, chwaląc ładny i przestronny dom, kiedy głos mi się załamał, bo zobaczyłem kalendarz obok zasłony: widniała na nim zachodnia modelka ubrana tylko w bikini. W Korei Północnej nawet w prywatnym domu coś takiego nie wchodziło w grę. Ba, właśnie ze względu na tę intymność i prywatność w tym świętym miejscu wolno wieszać wyłącznie portrety Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Istniały co prawda kalendarze ze znanymi aktorkami, ale kobiety te przez swoją sztukę okazywały lojalność wobec partii. Nie chodziło tu o ich piękno, sławę ani reklamę jakiegoś produktu. Gdyby odkryto, że obywatel Korei Północnej powiesił w domu kalendarz taki jak ten, bez wątpienia uznano by go za winnego czczenia materializmu i odpowiednio ukarano. Dla Young Mina i dla mnie kalendarz był zbyt szokujący, więc usiedliśmy do

niego plecami, bo naszym północnokoreańskim oczom wydawał się jawną pornografią.

Z kuchni unosiła się cudowna para. Podczas gdy teściowa Chang Yonga przyrządzała wołowinę z siekanymi warzywami, ja zaciągałem się dziwną, silną wonią, którą mogły wydawać tylko chińskie przyprawy. Czekając, słuchaliśmy Chang Yonga, który wyjaśnił, że w Chinach ukrywa się ponad sto tysięcy uchodźców z Korei Północnej. Poinformował, że władze poszukują ich, żeby zredukować tę liczbę. Potem opowiedział straszliwą historię o uchodźcach zatrzymywanych i przekazywanych północnokoreańskiej tajnej policji.

– Dlaczego żołnierze nie strzelali do nas, kiedy uciekaliśmy przez rzekę? – zastanawiałem się na głos.

Chang Young zasugerował, że północnokoreańskie wojsko nie ma pozwolenia na oddawanie strzałów w kierunku Chin. Uśmiechnął się szeroko i poklepał nas po plecach, gratulując zwinnego biegu. Dodał, że choć spotkał już wielu północnokoreańskich uciekinierów, my byliśmy jedynymi dżentelmenami, którzy dali mu siedemset dolarów. Ta suma podobno wystarczała na zakup kultywatora, co powiedział na tyle głośno, żeby dosłyszała go teściowa, a oczy na samą myśl świeciły mu się z radości. Potem zmarszczył czoło i wyjaśnił, że gdyby ktoś odkrył, że wziął od nas pieniądze, kara byłaby dwadzieścia razy wyższa niż ta suma. Kilka razy powtórzył, że nawet jeśli nas złapią, nie wolno nam mówić, że mu płaciliśmy.

Słuchając go, zrozumieliśmy, że nasza ucieczka bynajmniej się nie zakończyła. Udało nam się zbiec przed północnokoreańskimi żołnierzami, ale tu czekali na nas chińscy.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy Chang Yonga. Słuchał przez chwilę, a potem odparł:

– Przecież mówiłem, że nie wrócę do domu na noc. Co? Możesz powtórzyć? – Spoważniał. Chociaż osoba, z którą rozmawiał, chyba już się rozłączyła, nie oderwał telefonu od ucha, kiedy wyjąkał: – Czy wy… jesteście mordercami?

Obu nas zupełnie zaskoczyło to pytanie. Teściowa, która wciąż gotowała w kuchni, przerwała i wyjrzała stamtąd, by zobaczyć, co się dzieje.

– Znowu dzwoniła moja żona – wyjaśnił Chang Yong. – Mówi, że naszą wioskę przeszukiwali nie tylko pogranicznicy, ale i policja zbrojna. Godzina, wasze ubranie, wzrost, wszystko pasuje. Według komunikatu z Korei Północnej jesteście niebezpiecznymi mordercami. Podobno macie broń. Pogranicze oszalało.

Ścisnęło mnie w piersiach, a twarz zapłonęła mi z gniewu. Jak mogli nas wrobić w morderstwo? Najgorszą zbrodnią, jaką popełniliśmy, była ucieczka w trosce o najbliższych.

Chang Yong nachylił się bliżej.

– Wiem, że nie jesteście zwykłymi ludźmi – rzekł z wahaniem. – Uciekinierów, których Korea Północna bardzo chce złapać… cóż, zawsze wrabiają w morderstwo. Wiem o tym, bo mieszkam tu całe życie. Macie pieniądze i zdrową cerę. Przyjechaliście z Pjongjangu. Pewnie zajmowaliście ważne stanowiska. Kim jesteście?

Postanowiliśmy całkowicie zaufać temu człowiekowi, skoro teraz naszym tropem podążały chińskie władze. Powiedziałem krótko, że byłem członkiem Departamentu Zjednoczonego Frontu, a mój przyjaciel pracował w Sekcji Piątej i że obie te instytucje wchodzą w skład centrali partii.

– Wyjaśnijcie mi to tak, żebym pojął. Partię rozumiem, ale co to jest Departament Zjednoczonego Frontu i Sekcja Piąta?

Wahałem się, czy w pełni wyjawić mu naszą tożsamość. Tymczasem oczy Chang Yonga robiły się wielkie ze strachu, a lampy jarzeniowe mocno odbijały się w jego ciemnych źrenicach.

– Departament Zjednoczonego Frontu nadzoruje politykę i działania związane z Koreą Południową – wytłumaczyłem. – A Sekcja Piąta… jakby to powiedzieć… zaspokaja osobiste potrzeby Kim Dzong Ila między innymi za pośrednictwem Oddziału Rozkoszy.

Chang Yong podskoczył zdziwiony. Sądziłem, że zareagował w ten sposób na wzmiankę o Departamencie Zjednoczonego Frontu, więc jego następne pytanie zupełnie zbiło mnie z tropu.

– Oddział Rozkoszy?! – wykrzyknął. – Chodzi o dziewczęta, z którymi sypia Kim Dzong Il? Ale przecież twój przyjaciel to mężczyzna! Chyba nie powiesz, że Kim Dzong Il lubi mężczyzn?!

Jego typowy dla północnego akcentu nacisk na ostatnią sylabę był jeszcze silniejszy niż zwykle i obaj z Young Minem parsknęliśmy śmiechem. Zdezorientowana mina Chang Yonga tylko dodatkowo nas rozbawiła. W tym momencie jego teściowa wniosła mały drewniany stolik z winem i gulaszem wołowym. Chang Yong sięgnął po wino, ale zamiast napełnić nam kieliszki, poprosił o dalsze wyjaśnienia na temat Sekcji Piątej.

– Najpotężniejsza instytucja w Korei Północnej – wytłumaczył Young Min wciąż uśmiechnięty od ucha do ucha – to Departament Organizacji i Przywództwa Partii Pracy. Jest tak dlatego, że nasz Generał, to znaczy Kim Dzong Il, realizuje swoją władzę właśnie za jego pośrednictwem. Departamentowi podlega cała hierarchia każdej instytucji partyjnej, wojskowej i administracyjnej w Korei Północnej. Sekcja Piąta DOP nadzoruje sprawy związane z życiem prywatnym Kim Dzong Ila. Jego pensjonaty, wille, jego zdrowie, jedzenie, hobby i rozrywki: za to wszystko odpowiada Sekcja Piąta. Zatrudnia również dziewczyny, o których pan myśli. To dlatego w Korei Północnej atrakcyjne dziewczęta nazywamy „dziewczynami jak z Sekcji Piątej”. Mamy pracowników w każdym powiecie, w każdym mieście i w każdej dzielnicy. Do ich obowiązków należy krążenie w pobliżu żeńskich gimnazjów i polowanie na te najładniejsze. Wybiera się tylko trzynastolatki. W tym wieku większość zaczyna miesiączkować. Po selekcji dziewczęta poddaje się corocznym badaniom sprawdzającym stan zdrowia oraz to, czy nadal są dziewicami. W wieku lat szesnastu, kiedy kończą gimnazjum, regionalne oddziały Sekcji Piątej przeprowadzają wśród nich dalszą selekcję. Dziewczęta, które przejdą do ostatniej rundy, odbywają roczne szkolenie, a następnie są

wysyłane do letnich domów oraz myśliwskich rezydencji Kim Dzong Ila w całym kraju. Rozpoczynają służbę jako siedemnastolatki, a kończą po ukończeniu dwudziestu czterech lat. Większość zostaje potem wydana za osobistych strażników Kim Dzong Ila albo wysokich rangą członków aktywu, którzy pracują w sprawach zagranicznych. Niektóre nawet same zostają członkiniami aktywu. Całą operacją zarządza Sekcja Piąta. Jeśli o mnie chodzi – mówił dalej Young Min – to służyłem jako nadworny muzyk. Dbanie o długowieczność Kim Dzong Ila nie ogranicza się do zdrowia fizycznego, ale obejmuje również jego samopoczucie emocjonalne. Należałem do osobistej świty Kim Dzong Ila przez dziesięć lat. A mój przyjaciel chodził razem ze mną do szkoły muzycznej. Ja uczyłem się w klasie pianina, a potem studiowałem kompozycję, a on skończył studia muzyczne i zajął się literaturą. Studiował na Uniwersytecie Kim Il Songa, a potem rozpoczął pracę w Departamencie Zjednoczonego Frontu.

Bałem się, że bardzo chcąc wszystko wyjaśnić, Young Min jest zdecydowanie zbyt szczery. Ale mleko się rozlało, a poza tym nie mieliśmy nic do stracenia, więc postanowiłem dorzucić coś od siebie.

– Mój przyjaciel jest w Korei Północnej bardzo szanowanym kompozytorem. Cieszył się szczególnym zaufaniem Kim Dzong Ila, który osobiście podarował mu fortepian. Jego dziadkowie są wymienieni w naszych podręcznikach jako czołowi bojownicy antyjapońskiego ruchu oporu, a także we wspomnieniach samego Kim Il Songa zatytułowanych *W wirze stulecia*.

Chang Yong i jego teściowa nie odpowiedzieli. Siedzieli bez ruchu, oszołomieni tym, co słyszą.

– Chcę pana o coś poprosić – powiedział Young Min. Prędko wstał i wyjął z plecaka wymiętą kopertę. – To jest adres sprzed kilku lat mojego kuzyna w Chinach. Byłbym wdzięczny, gdyby nas pan tam zaprowadził.

Chang Yong zerknął na adres i podniósł głos:

– Ależ pan ma bogatego krewnego! Każdy w regionie wie, jaka to droga okolica. Zamierza się pan u tego krewnego osiedlić?

Chyba wreszcie nam zaufał. Nachylił się, żeby nalać nam wina.

– Nie, chcemy jechać do Korei Południowej – odparliśmy niemal chórem.

Nastała chwila milczenia, a potem Chang Yong wzniósł kieliszek.

– Skoro tak, to zostawcie to mnie – powiedział poważnie. – Mój siostrzeniec jest zawodowcem. Uciekinierzy waszej rangi mają zagwarantowaną komfortową podróż do Korei Południowej. – Nachylił się i szepnął: – Wiecie, mój siostrzeniec… on kontaktuje się bezpośrednio z południowokoreańskimi szpiegami.

– Naprawdę? – zapytaliśmy jednocześnie.

Chang Yong z przekonaniem pokiwał głową. Stwierdził, że po uciekinierów naszego formatu szpiedzy z Korei Południowej pewnie wyślą eskortę. Po tych słowach stuknęliśmy się kieliszkami. Znów zadzwoniła jego komórka. Słuchał czegoś wstrząśnięty.

– Co? Po coś im to mówiła? Głupia kobieto! Co, sami wiedzieli? Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Dobrze, w porządku. – Potem zerwał się z siedzenia. – Wstawajcie! Władze są już w drodze! Zapytali moją żonę o adres jej matki. To znaczy upewnili się, bo mieli go już wcześniej.

Zebraliśmy nasze rzeczy i prędko opuściliśmy dom przy wtórze połajanek teściowej Chang Yonga, której popsuliśmy starannie przyrządzoną kolację. Pognaliśmy za Chang Yongiem, na oślep skręcaliśmy w każdą uliczkę, którą wybierał. Skrzypienie śniegu pod stopami i otaczające nas szczekanie psów tylko potęgowały moją panikę. Kiedy było jaśniej, wioska z gąszczem kominów przypominała las. Kilkuminutowy bieg uliczkami wyprowadził nas jednak na ciemne i dzikie zbocze góry. Chang Yong przystanął, żeby złapać oddech, jak wół, który zatrzymuje się, gdy zmusza się go do pracy ponad jego siły.

Osunął się na ziemię, złapał za kostkę i jęknął. Zastanawiałem się, czy ją skręcił.

Chciałem spytać, czy nic mu nie jest, chciałem okazać szczerą troskę, ale z trudem tłumiłem absurdalny, żałosny śmiech, który we mnie wzbierał. W tej chwili ratowaliśmy życie ucieczką; za cenę siedmiuset dolarów wkroczyliśmy w spokojne życie Chang Yonga i sprowadziliśmy ze sobą nieszczęście – widziałem to tak samo wyraźnie, jak przypominałem sobie jego żółte spodnie w różowe kwiatki. Zdołałem się opanować, żeby obejrzeć mu kostkę, ale w końcu wszyscy trzej zaczęliśmy się śmiać.

Gdy rolnik Chang Yong wreszcie złapał oddech, zaczął się wściekać.

– Pamiętacie, kiedy was spytałem, jak znaleźliście mój dom, a wy powiedzieliście, że wskazała wam drogę jakaś Chinka? Na pewno to ona wszystko wygadała. Ta jędza musiała donieść na was władzom. Już kiedyś tak zrobiła. – Chociaż się ściemniło, przy każdym słowie widzieliśmy obłok jego oddechu. – Daję słowo, nigdy więcej nie pomogę żadnemu z waszych. Powiadam, to przez te pieniądze. Nie powinienem był brać tych waszych siedmiuset dolarów. Zresztą z innymi uciekinierami nie ma problemów, ale zadawanie się z wami jest niebezpieczne. Nie macie pojęcia, ile razy mnie już przesłuchiwali, bo mieszkam nad tą cholerną rzeką. No to dokąd teraz pójdziecie? Jest już ciemno.

Z przerażeniem usłyszałem z jego ust pytanie, które sami chcieliśmy mu zadać. Powietrze było ostre i zimne. Czy powinniśmy spróbować go ubłagać i zaproponować jeszcze dwieście dolarów? Włożyłem ręce do kieszeni, żeby namacać pieniądze, gdy nagle Chang Yong zawołał:

– Już wiem! Chodźcie.

Wyjaśnił, że po drugiej stronie ulicy jego teściowa ma szopę. Zaproponował, że kiedy tam wejdziemy, zamknie drzwi na kłódkę.

– Co takiego? Szukają nas żołnierze, a pan każe nam się schować koło domu? – odparłem.

– Wolałbym uciec w głąb gór – dodał Young Min drżącym głosem. – Nieważne jak daleko.

– Tylko mnie posłuchajcie – przerwał mu Chang Yong. – W oczach chińskich władz jesteście mordercami. Tak jest, mordercami! Nie będziecie bezpieczni nawet w górach. A poza tym skąd weźmiecie jedzenie? Zresztą niebezpiecznie przebywać poza domem po zmroku. Nocne patrole mogą zatrzymać każdego, żeby go wylegitymować. A jeśli was złapią, to i ja będę załatwiony. Jak wytłumaczycie, że dotarliście do Yanji? Jesteście gotowi, żeby mnie nie wydać? Czy mogę wam zaufać? Znacie to powiedzenie: najciemniej jest pod latarnią? Chociaż wszyscy boją się żołnierzy, nawet oni nie mają prawa wejść do czyjejś zamkniętej szopy. Rozumiecie, co do was mówię? Przyniosę wam resztę gulaszu i koce. No i wino.

Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy się zgodzić. Szopa właściwie okazała się małą chatką, która kiedyś mogła służyć za dom, choć najwyraźniej opuszczono ją już przed laty. Zauważyłem, gdzie dawniej znajdowało się staroświeckie kuchenne palenisko. Dach najmniejszego „pokoju” chatki miał dziurę, przez którą widzieliśmy gwiazdy. Nocleg tutaj zapowiadał się niewiele lepiej niż na dworze, ale przynajmniej byliśmy osłonięci od najgorszego wiatru. W części kuchennej znaleźliśmy stertę suchych igieł sosnowych na podpałkę.

Chang Yong długo nie wracał, być może dlatego, że kłócił się z teściową. Chociaż formalnie znajdowaliśmy się na terenie miasta Yanji, okolica wydawała się pusta jak na prowincji. W chatce brakowało oznak, żeby ktoś tu mieszkał, a już na pewno nie było ogrzewania ani kalendarzy z modelkami w bikini, ale odosobnienie tego miejsca dawało mi nadzieję, że może przeżyjemy w ukryciu tak długo, jak potrzeba.

Moje fantazje przerwało szczekanie psów, które chyba się przybliżało. Widocznie zagłuszyło odgłos jadącego samochodu, bo zaraz potem usłyszałem wyłączany silnik i otwierane drzwi. Włosy stanęły mi dęba.

Rozległo się chaotyczne dudnienie wojskowych butów, a potem rozbrzmiały głosy kilku mężczyzn. Potwierdziły się moje najgorsze obawy, gdy wśród nich rozpoznałem głos Chang Yonga mówiącego po chińsku. Księżyc w pełni świecił na nas przez brudne okna chatki niczym szperacz, który próbuje odszukać przestępcę, więc przykucnęliśmy w najciemniejszym kącie. Plecak wciąż leżał po drugiej stronie szopy. Bałem się, że Chang Yong da się zastraszyć i wyda nas władzom. Nawet krótki bieg po plecak wydawał się zbyt dużym ryzykiem. Nie drgnęliśmy więc i siedzieliśmy jak na szpilkach przez ponad pół godziny.

Potem nagle rozległy się ciężkie kroki, trzasnęły zamykane drzwi aut, zawarkotały silniki i pojazdy odjechały. Jakiż byłem wdzięczny, gdy po tym wszystkim nastała cisza. Young Min i ja zostaliśmy jednak w kącie, przytuleni do ściany, jakbyśmy byli jej częścią.

Po kilku minutach usłyszałem mamrotanie Chang Yonga na podwórku. Ucieszył mnie jego znajomy głos, ale w głębi duszy bałem się, że po cichu idą za nim żołnierze. Kiedy drzwi chatki się otwarły, z ulgą stwierdziłem, że rolnik Chang Yong jest sam. Niósł duży koc oraz jakąś paczkę.

– Mówiłem wam! – zawołał. – Miałem rację, to ta jędza doniosła. Ale nie puściłem pary z ust. Powiedziałem, że nic o was nie wiem. Pieprzona jędza!

– Proszę, niech się pan uspokoi. – Machnąłem ręką, żeby go uciszyć, a tymczasem Young Min wyjrzał na dwór, by sprawdzić, czy nikogo tam nie ma.

Chang Yong mówił jednak dalej, jeszcze głośniej niż dotychczas.

– Nie martwcie się, już pojechali. Szukali was, mówili, że jesteście mordercami. Pokazali mi nawet wasze zdjęcia. – Postawił paczkę na ziemi. – Proszę, macie tu trochę pierogów. Posilcie się i zostańcie tutaj do rana. Już dzwoniłem do mojego siostrzeńca, wiecie, tego, co zna południowokoreańskich szpiegów. Jest dość daleko, więc poprosił, żebym zaopiekował się wami jeszcze przez pięć dni. Mówi, że jak was dobrze ukryję, to

dostanę dużą nagrodę! Dobry chłopak. Tak czy owak, będę wam przynosił jedzenie na każdy dzień. Siedźcie tu cierpliwie, a wszystko będzie dobrze.

Rozdarci między strachem na myśl o naszych fotografiach w rękach władz, które przedstawiały nas jako zbiegłych morderców, a nadzieją, że siostrzeniec Chang Yonga przyjdzie nam z pomocą, odczekaliśmy dzień, a potem następny. Ciągnęły się jak całe dekady. Chang Yong co wieczór przynosił pożywienie.

Raz czy dwa, kiedy o świcie rozlegało się głośne szczekanie psów, Chang Yong obchodził naszą chatkę, żeby rozejrzeć się po okolicy, a potem znowu znikał. Young Min powtarzał, że chyba umrze na zawał, jeszcze zanim nas złapią. Po kilka razy dziennie pytał, czy nie lepiej, żebyśmy poszli do domu jego kuzyna. Za każdym razem kręciłem głową. W końcu straciłem cierpliwość i podniosłem głos.

– Zastanów się – warknąłem. – Już raz złapała nas straż graniczna w Korei Północnej. To dlatego chińskie władze mają nasze zdjęcia. Jesteśmy w Chinach od paru dni, więc przez ten czas Korea musiała przesłać więcej dowodów. Żołnierze trafili za nami do teściowej Chang Yonga. Naprawdę myślisz, że nie wiedzą o twoich krewnych? Pewnie już otoczyli ich dom. Zapomnij. Poczekamy na siostrzeńca Chang Yonga.

Nawet przez sen Young Min głośno wzdychał i działał mi na nerwy. Milczenie kosztowało mnie mnóstwo cierpliwości. Gdybym zaczął narzekać, pewnie tylko bym go sprowokował, a nie chciałem, żeby zdradziła nas kłótnia.

Trzeciej nocy zasnąłem dość szybko po wypiciu wina, które przyniósł nam Chang Yong. Zapowiedział, że czeka nas chyba najmroźniejsza noc zimy. Obudziłem się gwałtownie potrząsany przez Yong Mina. Zobaczyłem jego przerażoną twarz. Dokoła szczekały psy. Poprzedniej nocy na podwórko wlazła krowa. Jej cień tak mnie przeraził, że zwinąłem się w kłębek i dygotałem przez godzinę. Mruknąłem, że pewnie to znowu ona, ale zerwałem się, widząc przez szparę w drzwiach, że ktoś oświetla naszą szopę latarką. Schowaliśmy się w kącie za drzwiami

zamkniętymi na kłódkę. Ilekroć promień przebijał przez szczeliny w drzwiach i ścianie, wzdrygałem się, jakby to był nóż zdolny rozciąć mi skórę.

Światło się zbliżało, było coraz jaśniejsze. Owinąłem się kocem i przykucnąłem w kącie. Usłyszałem kroki, które zatrzymały się przed drzwiami. Głośno zaklekotała kłódka. Ten dźwięk ścisnął mnie za serce. Myślałem, że intruz zrezygnuje i sobie pójdzie, ale w końcu drzwi się otworzyły i stanął w nich rosły żołnierz. Skrzywił się, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Po chwili, której potrzebował, żeby zrozumieć, że jest nas dwóch, zaczął krzyczeć coś po chińsku i wybiegł z szopy. Klepnąłem Young Mina w plecy, żeby zwrócił na mnie uwagę. Schylał się, gorączkowo szukając czegoś na ziemi.

– Co ty wyrabiasz? – syknąłem. Potem wyskoczyliśmy w mrok.

Nie wiem, jakim cudem wdrapałem się na wysoki mur naprzeciwko chatki. Często przyglądałem mu się przez brudne okno naszej kryjówki i myślałem, że nie zdołałbym się na niego wspiąć, nawet gdyby zależało od tego nasze życie. Przetoczyłem się na drugą stronę i pognałem za sylwetką, która biegła przede mną. Pod nosem powtarzałem raz za razem: „Przeżyję, przeżyję".

Zataczałem się przez mrok, ale zatrzymałem się, zrozumiawszy, że postacią, którą gonię, nie jest Young Min, tylko jakiś cielak. Obejrzałem się za siebie, ale nikogo tam nie było. Zgiąłem się wpół i wróciłem po własnych śladach, żeby odszukać przyjaciela. Trafiłem na dużą pustą działkę, skąd widziałem naszą szopę. Naliczyłem cztery latarki, a potem jeszcze osiem. W sumie było ich dwanaście.

Wciąż skulony skradałem się uliczkami, rozglądając się za Young Minem. Zaskoczył mnie nagły odgłos kroków. Jedna z latarek świeciła gdzieś z bliska. W jej blasku dostrzegłem nawet czerwoną gwiazdę na czapce żołnierza. Już za kilka sekund mieliśmy stanąć twarzą w twarz. Ale potem stał się cud. Obok mnie znikąd pojawiła się krowa. Może to matka cielaka, którego napotkałem wcześniej. Prędko schowałem się za nią. Od

żołnierza dzieliło mnie niecałe pięć metrów. Gdyby się odwrócił, pewnie dostrzegłby moje nogi pod brzuchem zwierzęcia.

Krowa jednak zauważyła moją obecność wcześniej niż wojskowy. Zrobiła kilka nerwowych kroków, a potem ruszyła szybciej. Musiałem biec w tym samym kierunku co ona i starałem kryć się za jej cielskiem. Kolce krzewów rozrywały mi ubranie. Kiedy znaleźliśmy się w ciemnym miejscu z dala od źródeł światła, odepchnąłem się od krowy i resztką sił pobiegłem przed siebie, aż wreszcie dotarłem do podnóża góry.

Osunąłem się na ziemię, żeby złapać oddech, i przycisnąłem dłoń do piersi, chcąc uspokoić łomot serca. Otoczenie wydało mi się znajome. Zrozumiałem, że właśnie w to miejsce uciekliśmy z domu teściowej Chang Yonga owej pierwszej nocy po rozmowie telefonicznej. Może to jedyna droga w okolicy! Jeśli tak, to pewnie Young Min także tu gdzieś był.

– Young Min? – zawołałem. – Young Min! Jesteś tu? – dodałem nieco głośniej.

Góra nie odpowiedziała, jakby odwróciła się do mnie plecami i wzniosła między nami mur ciemności. Dopiero teraz zorientowałem się, że moje stopy, odrętwiałe i nieczujące już nawet bólu, są bose. Pochyliłem się i potarłem zmarznięte podeszwy. Przypominały nie ciało, a kamień. Zimny wiatr kłuł mnie w uszy i policzki niczym igły. Usłyszałem chrzęst przypominający odgłos kroków na śniegu. Czy pogranicznicy dogonili mnie aż tutaj? Rozwścieczyła mnie ta myśl, bo straciłem chęć ucieczki na zamarzniętych, nieosłoniętych stopach. Niespodziewanie jednak zawołał do mnie jakiś głos.

– Hej, to ja! Tu jestem!

Spojrzałem w jego kierunku i zobaczyłem ruch gałęzi. Śnieg odbijał dosyć światła, żebym dostrzegł Young Mina, który machał do mnie z uśmiechem, wystawiając głowę z krzaka. Skurczybyk przeżył! Pobiegłem do niego i natychmiast uderzyłem go w klatkę piersiową.

– Jak możesz się uśmiechać? Ty egoistyczny gnoju, porzuciłeś przyjaciela, żeby ratować własne życie!

Young Min przyjął moje ciosy bez słowa. Dopiero gdy skończyłem na niego krzyczeć, powiedział, że przybiegł tutaj, myśląc, że jestem tuż za nim. Potem z wewnętrznej kieszeni wyjął jakiś przedmiot i podał go mnie: zeszyt z moimi wierszami, który zabrałem z Pjongjangu. To jego szukał na podłodze szopy, zanim uciekliśmy. Nawet w tej rozpaczliwej sytuacji, stając oko w oko z żołnierzami, zrobił najlepszą rzecz, jaką mógł zrobić przyjaciel. Na tę myśl zabolało mnie serce. Potem zauważyłem, że on także jest boso.

– Głuptasie, trzeba było jeszcze włożyć buty – spróbowałem zażartować.

Na szczęście w chacie nie zdjęliśmy reszty ubrania, więc w całe ciało było nam stosunkowo ciepło. Dla bezpieczeństwa wspięliśmy się trochę wyżej na wzgórze. Usiedliśmy na ziemi i położyliśmy sobie nawzajem stopy na brzuchu, żeby je ogrzać. Widzieliśmy w dole całą wioskę, mogliśmy nawet policzyć latarki w uliczkach. Niedaleko naszej dawnej kryjówki stały dwa auta z włączonymi reflektorami, ale zgaszonym silnikiem. Teściowa Chang Yonga chyba spała w najlepsze, bo w jej domu w ogóle nie paliło się światło.

Nie musieliśmy długo czekać, zanim niebo zaczęło jaśnieć i nabierać koloru. Najwyraźniej padł rozkaz do odwrotu, bo wszystkie latarki wróciły do samochodów, które następnie wyjechały z wioski.

– Schodzimy? – jako pierwszy zapytał Young Min.

Nie zniósłbym dłużej mrozu, więc ostrożnie ruszyliśmy ku zabudowaniom. Sądziłem, że skoro straż graniczna potwierdziła naszą obecność w wiosce, zostawi tu kilku ludzi. Widzieliśmy jednak, że wszystkie latarki zniknęły w autach, a teraz najbardziej zagrażało nam zimno. Szukając drogi w dół zbocza, zupełnie nie mieliśmy już czucia w stopach i kilka razy się potknęliśmy.

Doszliśmy do domu teściowej Chang Yonga i zapukaliśmy do drzwi, ale nikt nie otworzył. Jednak gdy tylko zawołaliśmy rolnika po imieniu, w środku zapaliło się światło, a on, zamiast

odpowiedzieć, otworzył nam w pośpiechu. Słyszeliśmy, że jego teściowa krzyczy coś po chińsku.

– Niewiarygodne – stwierdził. – Jednak was nie złapali. Chłopcy, jesteście niesamowici.

Słysząc te słowa, poczułem się dumny. Ale teraz bardziej niż pochwał potrzebowaliśmy ciepła. Na widok naszych bosych stóp Chang Yong ostro wciągnął powietrze, ale nic nie powiedział. Poszedł poszukać nam obuwia, a po chwili przyniósł skarpetki i wsuwane gumowe buty. Przeprosił, że nie ma nic lepszego. Gdy je włożyłem, zaskakująco ogrzały mi stopy. Rolnik Chang Yong powiedział, że gdyby nas złapano, jego również czekałoby życie zbiega. Dlatego, jak stwierdził, byliśmy ludźmi większymi niż Kim Dzong Il. Bez względu na to, dlaczego poczuł ulgę, że jesteśmy wolni, ogarnęło mnie szczęście, że dzieli z nami to uczucie. W tej chwili był dla mnie jak wujek.

– Żołnierze zabrali wasz plecak – powiedział Chang Yong. – Co w nim mieliście?

Gdy odpowiedziałem, że tylko książki i zmianę ubrań, kazał potwierdzić, że nie było tam pieniędzy. Na dźwięk tego słowa Young Min, który stał obok Chang Yonga, zbladł. Zanim zdążył się odezwać, powiedziałem:

– Na szczęście pieniądze mieliśmy przy sobie.

Young Min rzucił mi spojrzenie, żeby sprawdzić, czy mówię prawdę, a tymczasem teściowa zawołała Chang Yonga do domu.

– Naprawdę masz pieniądze? W kieszeni? – zapytał Young Min trochę z nadzieją, a trochę podejrzliwie.

Zabrałem go w kąt podwórka i powiedziałem:

– Słuchaj, nie mamy nic, absolutnie nic. Wszystko było w plecaku. Ale musimy udawać, że mamy pieniądze. Ten człowiek zostawi nas, jeśli zechce, a bez niego nic nie zrobimy.

Rolnik Chang Yong wyszedł z domu z kolejną paczką. Skarżył się głośno, jakby chciał, żeby usłyszała go teściowa, dał nam butelkę wina i zapewnił, że jego siostrzeniec dotrzyma obietnicy. Mieliśmy poczekać jeszcze tylko dwa dni. Dodał, że musimy uważać, żeby nie zamarznąć w górach, ale nie wolno nam

rozpalić ogniska. Chińskie władze między innymi właśnie dlatego tak energicznie szukały północnokoreańskich uchodźców, którzy kryli się po górach, że często wywoływali pożary.

– Idźcie już. Ukryjcie się tam, obok tej skały. Przyjdę do was z jedzeniem i kocami.

Popchnął Young Mina naprzód, a potem złapał mnie za ramię. Wyjaśnił, że teściowa jest na niego zła, bo przetrzymał nas u niej dłużej, niż myślała, narażając ją na niebezpieczeństwo. Żeby ją uspokoić, powiedział, trzeba jej zapłacić.

Przybrałem surową minę.

– Przychodząc tutaj, zaufaliśmy pana wskazówkom i o mało nas nie złapali. Pomyślę o pieniądzach, kiedy przyjedzie pański siostrzeniec. Nie wiemy, co jeszcze się zdarzy, więc proszę zrozumieć naszą sytuację.

Po tych słowach Young Min i ja ruszyliśmy w góry. Po godzinie Chang Yong przyniósł nam stary koc oraz paczkę z jedzeniem. Pogroził pięścią mroźnej zimie i stwierdził, że lepiej będzie nam na zboczu wzgórza niż na płaskiej ziemi, która z żadnej strony nie osłania przed wiatrem. Potem odszedł na dół. Nieco później wrócił, żeby powiedzieć, że nie wolno nam zasnąć, bo w nocy temperatura może spaść do minus trzydziestu stopni Celsjusza. Kilkakrotnie podkreślił, że za wszelką cenę musimy zachować przytomność.

Podziękowaliśmy i ponownie odprowadziliśmy go wzrokiem. Znaleźliśmy nieco mniej stromy fragment wzgórza. Odgarnęliśmy ze śniegu kawałek ziemi na tyle duży, żeby zmieściły się na nim dwie osoby. Usiedliśmy przytuleni do siebie i przykryliśmy się kocem, a butelka wina zdecydowanie za szybko się skończyła. Alkohol rozpływał się jednak ciepłem po moim ciele, co podniosło mnie na duchu. Poza tym obaj dostaliśmy po termoforze. Było mi jeszcze cieplej ze świadomością, że Chang Yong jest po naszej stronie.

– Obaj możemy udawać, że ten drugi jest kobietą – powiedział Young Min.

Po tych niespodziewanych słowach parsknęliśmy śmiechem. Po paru dniach spędzonych w zamkniętej szopie, w której baliśmy się własnego oddechu, cudownie było znowu się śmiać. Ucieczka przed pogranicznikami, choć tak niewiele brakowało, również wydawała się triumfem.

W miarę jak noc ciemniała, ożywała góra. Przypomniałem sobie, jak pewnej cichej nocy w Korei Północnej urzekł mnie nieustający huk morskich fal rozbijających się o brzeg w prowincji Hamgyong Południowy. Miałem wtedy chyba siedem lat. Nigdy wcześniej nie widziałem oceanu, a nieprzerwanie falujący bezmiar wody wydawał mi się żywą istotą. Tamtej nocy pobiegłem boso po piasku przekonany, że zbudzę morze z niespokojnego snu.

– Cześć, morze! To ja! Obudź się i chodź się ze mną bawić!

Kiedy tak wołałem, ocean jakby się zbudził i przeciągnął, bo w oddali na mrocznym niebie zaświeciła błyskawica.

Podobnie do morza tamtej nocy góry szeptały i pulsowały w mroku, jakby roiło się w nich od duchów. Ze szczytu dobiegał i narastał odległy dźwięk, a kiedy wlewał się w dolinę, naśladowaliśmy go i nasze głosy unosiły się wraz z nim. Gdy zimny wiatr wiał obok nas i odlatywał niczym widoczna istota, czułem głęboką energię góry, która szykowała kolejny podmuch ze swego wierzchołka.

Tamtej nocy Young Min i ja wyjawiliśmy sobie najskrytsze sekrety niczym kochankowie: nasze pierwsze miłości, wspomnienia z dzieciństwa, myśli o rodzinie, którą zostawiliśmy. Liczyło się każde najdrobniejsze wspomnienie, jakbyśmy ich kolorami malowali niebo nad głową. Kiedy rozmowa zeszła na naszych najbliższych, potrafiliśmy tylko siedzieć obok siebie w niemej solidarności, wspierając się nawzajem. Nawet gdy przełknąłem garść śniegu, nagie emocje paliły mnie w gardle.

Potem mówiliśmy o północnokoreańskim reżimie. System wolał nas skazać jako morderców i zabić, niż pozwolić, żebyśmy go opuścili, a co dopiero stanęli mu na drodze. Żółć podniosła mi się do gardła i zrozumiałem, że do tej pory nie tylko spędziłem

życie wewnątrz granic Korei Północnej, ale byłem w nich uwięziony.

3
Annały dynastii Kim

Jesienią 1999 roku przydzielono mi pracę nad zbiorem *Annałów dynastii Kim* w roli historyka państwowego. Po tym gdy w maju napisałem poemat epicki na cześć Kim Dzong Ila, który tak bardzo mu się spodobał, a następnie zostałem wyniesiony do rangi jednego z Dopuszczonych, stałem się wschodzącą gwiazdą DZF i otrzymałem pilne wezwanie do gabinetu pierwszego wicedyrektora Im Tong Oka. Znalazłem się tam w towarzystwie siedmiu kolegów, których znałem z innych sekcji DZF.

Ledwo zdążyłem usiąść, kiedy dyrektor Im powiedział:

– Proszę o powstanie. – Spojrzał na kartki, które leżały przed nim na biurku. – Polecono mi odczytać rozkazy Generała. Oto one: „Nawet zgubne pięćset lat władzy dynastii Li w epoce Chosun utrwalono w formie *Annałów dynastii Li*. To tragiczne uchybienie, że nie mamy *Annałów dynastii Kim*, opisujących wspaniałe rządy Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. DZF musi zatem zgromadzić najwybitniejsze umysły kraju i niezwłocznie przygotować to dzieło".

Annały dynastii Li to historia ery Chosun obejmująca pięć wieków pomiędzy rokiem 1392 a 1893 na Półwyspie Koreańskim. Paradoksem wydawało się jednak naśladowanie tych dawnych tomów, skoro żyliśmy w systemie socjalistycznym, głęboko krytycznym wobec owej dynastii feudalnej. Choć przydział do zespołu był dla mnie dużym zaszczytem, jeszcze bardziej zdziwiło mnie to, że wśród starannie dobranych członków byli pisarze, a nie historycy, co stanowiło sygnał, że historia ma drugorzędne znaczenie względem kultu Wielkiego Wodza.

Całą ósemką zamieszkaliśmy w domu gościnnym Munsu, do którego nie miał wstępu nikt z zewnątrz. Takimi domami niezależnie zarządzały departamenty centrali partii, aby zapewnić upoważnionym członkom aktywu miejsce zakwaterowania. Mogliśmy tam pracować w absolutnej tajemnicy. Były one doskonale urządzone i stanowiły mniejszą wersję domów gościnnych dla przybyszów z zagranicy, którzy przyjeżdżali do Korei Północnej z wizytą na szczeblu państwowym.

DZF posiadało kilka domów gościnnych takich jak Ui-am i Soonan. W Munsu wcześniej umieszczano osoby, które uciekły na Północ. Dom mieścił się na osiedlu mieszkaniowym Chungryu-dong nr 3 w zamożnej dzielnicy Daedong na wschodzie Pjongjangu i nawet miejscowi nie wiedzieli, że ten budynek w kształcie litery L wykorzystuje się do tajnych działań DZF. Wnętrze ogrodzonego wysokim murem ośrodka urządzono wystawnie. Żeby zachęcić nowych uchodźców do współpracy, ozdobiono go i umeblowano przy użyciu luksusowych zagranicznych sprzętów oraz materiałów, w tym drogich wyrobów czołowych południowokoreańskich producentów mebli. Do tego czasu miałem do czynienia z „lokalizacją" tylko za pośrednictwem lektur oraz towarów konsumpcyjnych, ale cały „zlokalizowany" budynek zwalił mnie z nóg. W ostatnich latach ucieczki do Korei Północnej ustały, więc willę przeznaczono do wewnętrznego użytku DZF. Byliśmy pierwszymi obywatelami Korei Północnej, którzy mieli tam zamieszkać.

Powierzone nam zadanie było pomysłem Kim Dzong Ila. Pierwszy krok wykonano w lipcu 1997 roku, w trzecią rocznicę śmierci Kim Il Songa, kiedy Kim Dzong Il posłużył się datą urodzin ojca (piętnastego kwietnia 1912), żeby zapoczątkować nowy kalendarz dżucze. Wraz z narodzinami Kim Il Songa w roku pierwszym historia Korei zaczęła się na nowo. Kim Dzong Il zdefiniował tożsamość etniczną Koreańczyków z Północy jako „Ludu Kim Il Songa", teraz zaś potrzebował legitymizacji. Zamierzał opracować historię Wielkiego Wodza, która

położyłaby podwaliny pod koreańską tożsamość i oparłaby ją na identyfikacji z jego dziedzictwem zamiast na wspólnej rasie, języku i kulturze. Aby podkreślić, że to Korea Północna jest prawowitą Koreą, pragnął stworzyć historię uwzględniającą nie tylko Koreańczyków z Północy, ale również tych z Południa i spoza granic półwyspu. Istotnych materiałów archiwalnych nie udostępniano nikomu bez zezwolenia DZF. Przede wszystkim jednak Kim Dzong Il nie mógł dopuścić nikogo spoza kręgu osobiście dobranych ludzi do nagiej prawdy o tajnej historii Kim Il Songa. Musieliśmy ją opanować, zanim mogliśmy ją przekształcić – czy raczej wypaczyć – dla potrzeb Kim Dzong Ila.

Korea Północna twierdzi, że przegrana Japonii w 1945 roku była bezpośrednią konsekwencją osiągnięć Kim Il Songa jako przywódcy antyjapońskiego ruchu oporu. Wojnę koreańską, która w rzeczywistości zakończyła się zawieszeniem broni, ogłoszono bezapelacyjnym zwycięstwem Kim Il Songa nad amerykańskim imperializmem. Nawet o zimnej wojnie uczy się w Korei Północnej w kategoriach komunistycznej historii skoncentrowanej wokół działań Wielkiego Wodza. Sekcja międzynarodowa centrali partii zakładała za granicą Instytuty Badawcze Dżucze, aby promować wśród obcokrajowców światopogląd Korei Północnej i jej wersję historii.

Jedną z przyczyn niezdolności Korei Północnej do reformy i większego otwarcia się na świat jest ryzyko obnażenia podstawowych dogmatów państwowych jako czystej fikcji. Kim Dzong Il postanowił, że potencjalnie szkodliwe materiały źródłowe na temat przeszłości Kim Il Songa pod żadnym pozorem nie mogą zostać upublicznione. Dlatego zadanie stworzenia nowej historii zlecił członkom DZF, którzy już dysponowali najwyższym w kraju poziomem dostępu do tajemnic państwowych ze względu na wrażliwy charakter ich działalności politycznej i wywiadowczej.

Niemniej jednak wprowadzono kolejny poziom atomizacji: każdy z członków naszej grupy odpowiadał za konkretny motyw lub dekadę historii Korei Północnej. Przed rozpoczęciem pracy

podpisaliśmy deklarację zgody na surową karę w przypadku przekroczenia przydzielonego nam zakresu badań. Pracowaliśmy w oddzielnych gabinetach. Ja zajmowałem się historią działań Kim Dzong Ila związanych z jego rolą w Departamencie Propagandy i Agitacji – w tym jego osiągnięć artystycznych – od połowy lat sześćdziesiątych aż do współczesności.

Nie wolno nam było wchodzić do gabinetów pozostałych członków zespołu. Ponieważ jednak nasza ósemka – wybrana z całego północnokoreańskiego społeczeństwa – przez czas trwania prac mieszkała wspólnie w domu gościnnym Munsu, granice dyskrecji stopniowo się zatarły i nawiązaliśmy silne więzi.

Uważałem, że ze wszystkich członków zespołu największe wyzwanie stało przed pisarzem odpowiedzialnym za wczesne lata Kim Il Songa. Po obiedzie często palił papierosa za papierosem.

– Jak leci? – zapytałem ostrożnie wkrótce po rozpoczęciu naszego pobytu.

Zamiast odpowiedzieć, odpalił kolejnego papierosa. W końcu jednak odwrócił się do mnie, by zadać mi pytanie:

– Jesteś tu najmłodszy. O coś cię zapytam. Nasz Wielki Wódz urodził się piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset dwunastego roku. To dzień tak znaczący, że dużo można o nim powiedzieć. Ale co robił nazajutrz? Mogę napisać, że mleko jego matki było pokarmem rewolucji. Ale co robił sam Wielki Wódz? Szczerze, co jeszcze robi takie niemowlę oprócz tego, że sra i sika? Jak mam opisać dwa kolejne lata? Jak na moim miejscu podszedłbyś do tego problemu?

Inny autor, pracujący nad historią Korei Północnej w latach osiemdziesiątych, podzielił się ze mną dylematem. W osobistych notatkach naszego Wielkiego Wodza znalazł wzmiankę o przedstawieniu, które Kim Il Song obejrzał w prowincji Pyongan Północny w 1972 roku. Poprosił, żebym pomógł mu odszukać materiały źródłowe o podobnych wydarzeniach,

którymi mógłby zapełnić trzy dni historii dekady, o której miał pisać. Tak oto deklaracja poufności stała się nic nieznaczącym papierkiem, ponieważ nasze bezpieczeństwo zaczęło zależeć od wzajemnego zaufania. Coraz więcej czasu spędzaliśmy na wspólnych rozmowach, a coraz mniej w oddzielnych gabinetach. W miarę jak natrafiałem na kolejne zapisy historyczne, coraz bardziej niepokoił mnie obraz, który wyłaniał się z materiałów źródłowych.

Naszej grupie powierzono oryginały archiwalnych dokumentów dotyczących Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Podział pracy nie pozwalał jednej osobie na całościowy ogląd historii naszego kraju, ale gdy połączyło się elementy, ostateczny obraz był jasny i jednoznaczny: władza Kim Dzong Ila nie została – jak głosiła oficjalna wersja na temat dziedzicznej sukcesji – przekazana mu przez Kim Il Songa, chociaż na tym opierał prawowitość swych rządów. W rzeczywistości syn przywłaszczył sobie władzę ojca.

Stare przysłowie mówiące, że ojciec i syn nie mogą dzielić władzy, sugeruje pewien uniwersalny, nieunikniony los. Ziarno zaciekłej walki Kim Dzong Ila z ojcem o władzę zostało nieumyślnie zasiane, kiedy Kim Il Song porzucił ośmioletniego chłopca po śmierci jego matki Kim Dzong Suk. Rok po jej śmierci, 25 czerwca 1950 roku, Kim Il Song najechał na Koreę Południową. Kim Dzong Ila odesłano z dala od działań wojennych i spędził bez ojca trzy lata. Po zawieszeniu broni wrócił do Pjongjangu, ale ojciec i syn bynajmniej się nie zbliżyli. W 1954 roku urodził mu się brat przyrodni Kim Pyong Il. Jego matką była Kim Song Ae, sekretarka, z którą Kim Il Song się nie rozstawał.

Kim Dzong Il rozpoczął studia na Uniwersytecie Kim Il Songa. Ukończył je w 1964 roku. Jeśli w ogóle miało nastąpić dziedziczne przekazanie władzy, to zgodnie z koreańskim zwyczajem jako najstarszy syn i kontynuator rodu ojca powinien otrzymać jakiś tytuł lub stanowisko. Tymczasem rok przed ukończeniem studiów przez Kim Dzong Ila, to jest w 1963 roku, Kim Il Song

ożenił się z Kim Song Ae, co przypieczętowało pozbawienie najstarszego syna perspektywy przywództwa.

Kiedy w Chinach rozpoczęła się rewolucja kulturalna, na którą duży wpływ miała żona Mao i pierwsza dama Jiang Qing, podobna sytuacja zaistniała w Korei Północnej. Kim Song Ae jako pierwsza dama zdobyła w owym czasie duży autorytet. Elita polityczna kraju stanęła za nią, jakby była północnokoreańskim lustrzanym odbiciem Jiang Qing. Ponieważ współpracownicy Kim Il Songa przygotowywali do sukcesji jej syna Kim Pyong Ila – a nie pasierba Kim Dzong Ila – ten drugi znalazł się w sytuacji, w której poplecznicy ojca stali się jego wrogami politycznymi. Po dziś dzień rola Kim Pyong Ila w wydarzeniach poprzedzających sukcesję Kim Dzong Ila jest w Korei Północnej tematem tabu, a każda wzmianka na ten temat to bluźnierstwo.

Chociaż Korea Północna oficjalnie twierdzi, że Kim Dzong Il rozpoczął karierę w partyjnym Departamencie Organizacji i Przywództwa, wcale tak nie było. To celowa dezinformacja mająca zapewnić przyszłemu Drogiemu Przywódcy odpowiedni początek kariery. W tym momencie, kiedy północnokoreańska elita władzy zdecydowanie wspierała Kim Song Ae i nawet Kim Yong Ju, młodszego brata Kim Il Songa, nastawiono przeciwko Kim Dzong Ilowi, został on odsunięty od ośrodków władzy i zdegradowany na stanowisko w Departamencie Propagandy i Agitacji.

W owym czasie nie wykazywał chęci rywalizacji z ojcem. Pracując w DPA, wręcz przyczyniał się do umacniania kultu Kim Il Songa i gloryfikacji antyjapońskich działań towarzyszy ojca z partyzantki. Działał tak prężnie, że wkrótce założony pod jego kierownictwem miesięcznik „Wspomnienia antyjapońskich bojowników” stał się obowiązkową lekturą w całym kraju. W tym czasie wybudowano również wiele pomników ku czci Kim Il Songa i antyjapońskich bojowników. W ostatecznym rozrachunku wczesne lata kariery Kim Dzong Ila spędzone w DPA wyposażyły go w kluczowe narzędzia kulturowe

i ideologiczne, na których polegał później w swych rządach, zaprowadzając dyktaturę umysłu.

Nawet w późnych latach sześćdziesiątych Kim Il Song wciąż jeszcze nie miał boskiego statusu. Pod koniec 1968 roku minister bezpieczeństwa narodowego Kim Chang Bong podjął próbę zbrojnego przewrotu. W styczniu 1969 roku, po objęciu czystką jego samego i jego frakcji, Kim Il Song powołał na to stanowisko generała Choi Hyona. Ten z wdzięczności przyrzekł lojalność wobec absolutnych rządów Wielkiego Wodza. Był jednak zdeklarowanym konserwatystą, który wierzył, że władza powinna przechodzić dziedzicznie na najstarszego syna. To właśnie on na zamkniętym posiedzeniu partii latem 1969 roku zapewnił Kim Dzong Ilowi miejsce w DOP. W rewanżu Kim Dzong Il na resztę życia uczynił Choi Ryong Hae, syna Choi Hyona, swoją prawą ręką.

Siłę stronnictwa Kim Song Ae niełatwo było jednak przezwyciężyć. Jej starszy brat Kim Kwang Hop był wicepremierem i cieszył się poparciem Kim Yong Ju, młodszego brata Kim Il Songa. Zwolennicy Kim Il Songa między sobą otwarcie nazywali jego syna Kim Pyong Ila następcą Wielkiego Wodza.

Kim Dzong Il znalazł jednak sposób, żeby pozbyć się tej siły dzięki Trzem Wielkim Rewolucyjnym Celom, które naśladowały strukturę Czerwonej Gwardii podczas chińskiej rewolucji kulturalnej. O ile Czerwona Gwardia miała na celu eliminowanie elementów kapitalistycznych i rewizjonistycznych, trzema rewolucyjnymi celami w Korei Północnej stały się ideologia, przemysł i kultura. Na wzór Czerwonej Gwardii w całym kraju utworzono oddziały złożone z młodzieży właśnie kończącej naukę, które wprowadzały w życie Trzy Rewolucyjne Cele. Ich głównym wrogiem były „nadużycia władzy i korupcja prowincjonalnych biurokratów”. W miarę jak jeden po drugim eliminowano członków aktywu centrali partyjnej powiązanych z kręgami regionalnymi, rosła władza Kim Dzong Ila na szczeblu centralnym, a także na bazie silnego wsparcia w regionach.

W owym czasie jego ojciec Kim Il Song udzielał autorytetu rządowi, który dysponował realną władzą. W tych okolicznościach nie widziano w Kim Dzong Ilu zagrożenia dla władzy ojca i jego zwolenników, ponieważ był tylko pracownikiem Partii Pracy, jednej z wielu biurokratycznych instytucji. Poza Choi Hyonem nikt nie uważał go nawet za potencjalnego następcę Kim Il Songa. Ponieważ jednak fundamentem siły Kim Dzong Ila była Partia Pracy, stanowiła ona dla niego jedyne dostępne narzędzie rozszerzania wpływów i konfrontacji z rządem. Oś, której potrzebował, znalazł w filozofii dżucze.

Dżucze koncentrowało się na osobie, było więc filozofią humanistyczną. Kim Dzong Il nadzorował przemianę tej filozofii, zgodnie z którą teraz, aby się rozwijać, każdy musiał należeć do instytucji, a wstępujący do niej mogli odnieść triumf wyłącznie dzięki doskonałemu przewodnictwu Wielkiego Wodza (*Suryong*). W ten sposób dżucze stało się ideologią „*Suryong*-istyczną", skupioną nie na człowieku jako jednostce, ale na jednym, jedynym człowieku: jego ojcu Kim Il Songu. (Pierwotny autor dżucze, Hwang Jang Yop, sekretarz partii do spraw międzynarodowych, ostatecznie uciekł przed własnym dziełem i w 1997 roku zbiegł do Korei Południowej).

Do 1973 roku „kimilsongizm", który stanowił, że Wielki Wódz przewodniczy partii, a partia prowadzi lud, był już wszechmocną bronią partii. To właśnie wtedy stał się ideologią ludową, a posłuszeństwo kultowi Kima – moralnym obowiązkiem każdego członka partii. Każdy, kto choć w najmniejszym stopniu podważał ów moralny obowiązek, był wysyłany do łagru wraz z całą rodziną do trzech pokoleń, tak by skończył się jego ród. Również wtedy instytucje nadzoru, dotąd podporządkowane Ministerstwu Bezpieczeństwa Społecznego, uzyskały niezależność w postaci nowo utworzonego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, które bezpośrednio podlegało DOP.

Kim Dzong Il umocnił znaczenie DOP i DPA, stanowiących fundament jego siły, podkreślając społeczną potrzebę organizacji, przywództwa i propagandy ze strony partii, jeżeli kimilsongizm ma się urzeczywistnić. Tak oto znalazł sposób pogodzenia kultu Kim Il Songa z własną partyjną siłą, a raczej sprawienia, żeby abstrakcyjny kult Wielkiego Wodza tę siłę wspierał.

Gdy w 1976 roku w Chinach Jiang Qing dotknęła czystka, jej upadek miał zły skutek dla Kim Song Ae – jej północnokoreańskiego „lustrzanego odbicia" – która doznała izolacji i odsunięcia od wpływów. Kiedy straciła stanowisko przewodniczącej Komitetu Kobiet oraz klucz do zewnętrznych kontaktów, umocniła się pozycja jej pasierba Kim Dzong Ila.

Dla wsparcia tezy partii o „kultywowaniu" przywództwa Wielkiego Wodza rząd pozbawiono mocy powoływania osób na stanowiska, a wrogów politycznych Kim Dzong Ila bacznie obserwowano pod pretekstem nadzoru ideologicznego prowadzonego przez sekcję DOP do spraw przywództwa partii. Państwo północnokoreańskie, dotąd oparte na fundamencie dwuwładzy Partii Pracy oraz rządu, zaczęło zależeć wyłącznie od partii. Do czasu objęcia sterów przez Kim Dzong Ila partia zastąpiła wszystkie funkcje rządu, który stał się tylko pustą skorupą i historyczną pozostałością.

Dlaczego jednak Kim Il Song stał bezczynnie, nie reagując na konsolidację władzy partyjnej przez syna? Odpowiedź brzmi: ponieważ widział wyłącznie kult własnej osoby, podobnie zresztą jak świat zewnętrzny. Konsolidację władzy partyjnej Kim Dzong Il oblekł w szaty moralnej obrony „kimilsongizmu", propagując ją poprzez język oraz ideologię dziedzictwa Wielkiego Wodza. O ile jednak z pozoru i w publicznym wyobrażeniu Kim Dzong Il wydawał się lojalny wobec ojca, to za kulisami systematycznie redukował siły starej gwardii, przygotowując system na tę chwilę, kiedy jeden człowiek – on sam – obejmie absolutną władzę pozwalającą decydować o przyszłości Korei Północnej.

Wszystko zaczęło się dość niewinnie od zastąpienia wniosków kierowanych bezpośrednio do Kim Il Songa nagraniami na kasetach magnetofonowych. Pretekstem była potrzeba ulżenia obowiązkom Wielkiego Wodza. W efekcie każdy wniosek zgłaszany do zatwierdzenia przez Kim Il Songa przechodził przez ręce Kim Dzong Ila, który miał kontrolę nad technologią. Ostatecznie wszystkie propozycje były filtrowane przez DOP, a do Kim Il Songa trafiały wyłącznie te wybrane i ocenzurowane. Już w 1980 roku Kim Dzong Il ukończył budowę systemu, w którym cała realna władza spoczywała w rękach jednego człowieka, jego samego, jako sekretarza partyjnego DOP, podczas gdy z pozoru nadal rządził Wielki Wódz Kim Il Song.

Kim Dzong Il za pośrednictwem DOP skonsolidował swą absolutną władzę partyjną dzięki zmonopolizowaniu pięciu sfer wpływów.

Pierwszą było wyłączne prawo DOP do przyznawania stanowisk we wszystkich podstawowych instytucjach od dyrektora departamentu wzwyż. Również generałów w najważniejszych pułkach powoływał bezpośrednio DOP.

Druga to absolutne prawo Departamentu do realizacji „przywódczej roli partii”, co pozwalało na interwencję w dowolne działania administracyjne na każdym szczeblu. Dokonywano tego poprzez ścisłą kontrolę wydziałowych i regionalnych sekretarzy partyjnych, a także dzięki sieci pojedynczych komórek. W rezultacie wojskowe ramię DOP mogło wezwać na dywanik każdego z najważniejszych generałów w Korei Północnej, upokorzyć go i zmusić, żeby się płaszczył. Ramię do spraw zagranicznych miało taką samą władzę nad tymi członkami aktywu, którzy utrzymywali kontakt ze światem zewnętrznym, to jest nad dyplomatami i przedsiębiorcami.

Trzecią sferą była absolutna kontrolna władza DOP, pozwalająca obserwować, usunąć z partii i wygnać dowolnego członka aktywu. Ów dział cechowała wysoce rozczłonkowana struktura, był jednak scentralizowany i miał za zadanie

umacniać rządy terroru Kim Dzong Ila. Północnokoreańska tajna policja – Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego – podlegała bezpośrednio DOP.

Sfera czwarta to absolutne prawo Departamentu do sankcjonowania bieżącej polityki. Wszystkie instytucje w Korei Północnej musiały kierować propozycje do działu sprawozdawczego DOP, gdzie, zanim stały się one obowiązującym prawem, zatwierdzał je Kim Dzong Il.

Piątą była odpowiedzialność DOP za ochronę i zaspokajanie potrzeb Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Oznaczało to nadzór nad wszystkimi sprawami dotyczącymi Kimów, a także dostarczanie dóbr luksusowych oraz zwierzchnictwo nad Dowództwem Gwardii.

Jak na ironię, materiały źródłowe dokumentujące tę skrupulatną konsolidację władzy są zachowane w partyjnym Instytucie Historii i Literatury, w dziale poświęconym walkom frakcji podczas procesu dziedzicznej sukcesji.

Gdy prowadziłem badania do *Annałów dynastii Kim*, na wszystkie moje pytania sprawnie odpowiadali pracownicy Instytutu. Byli bardzo uczynni, często dbali o dosyłanie mi materiałów dodatkowych oraz powiązanych z tematem. Jednak nawet w tym archiwum, rzekomo mieszczącym wszystkie tajemnice historii Korei Północnej, nie istniał żaden dokument podsumowujący zaciekłą rywalizację między frakcjami Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Chociaż doszliśmy do tego wniosku niechętnie, to przytłaczające dowody wrogości i walki o władzę między ojcem a synem (w tym przykłady ogłaszania przez nich w tym samym czasie dokładnie przeciwnych decyzji) nie dawały nam wyboru. Musieliśmy stwierdzić, że choć według oficjalnej wersji rządy Kim Dzong Ila uprawomocniała dziedziczna sukcesja, w rzeczywistości syn uzurpował sobie władzę: nie otrzymał jej od ojca, ale mu ją odebrał.

Przeraziło mnie odkrycie, że Drogi Przywódca nie jest ani boski, ani współczujący, a władzę zdobył na drodze terroru, zdrady i zemsty. Pewnego razu, pijąc herbatę z członkiem naszego zespołu, któremu ufałem najbardziej, zdobyłem się na wyznanie.

– Chcę stąd odejść – powiedziałem. – Te wszystkie sekrety to dla mnie za wiele. Chyba już nigdy nie będę miał spokojnego sumienia, znając prawdę, która kryje się za kłamstwami.

– Nie bądź głupi – odparł. – I tak tego nie powstrzymasz. Teraz możesz co najwyżej zamknąć wszystko w sobie i nie wspominać o tym innym, dobrze?

Ku mojej uldze zwolniono mnie przed końcem pracy nad *Annałami*, gdy od dyrektora Ima przyszło polecenie napisania dla DZF poematu epickiego ku czci Kim Dzong Ila z okazji roku 2000. Ale choć powróciłem do znajomego łóżka w rodzinnym domu, nie czułem się tak, jakbym wrócił do znajomego świata. Wiedziałem, że moja przeszłość tajnego historyka Kim Dzong Ila zawsze będzie mnie prześladować niczym uważny, podejrzliwy cień. Najbardziej przerażała mnie świadomość, że dysponuję zakazaną wiedzą o Przywódcy i nigdy się od niej nie uwolnię.

Najgorsze wydawały mi się wówczas bezlitosne rządy Kim Dzong Ila sprawowane za pomocą czystek, które nie oszczędzały jego własnej rodziny. Gdy tylko skonsolidował władzę, obrał koncepcję przycinania „bocznych gałęzi", których należy się pozbyć, aby drzewo rosło wysokie i silne. Jako owe boczne gałęzie wskazał członków swojej rodziny. Na początek jego wuj Kim Yong Ju i macocha Kim Song Ae znaleźli się w areszcie domowym. W 1981 roku zakazał natomiast przyjmowania do centrali partii dzieci stronników Kim Il Songa. Ta polityka została utrwalona jako wewnętrzny przepis DOP.

Współpracownicy Kim Il Songa zaczęli znikać jeden po drugim, a ci, którzy zostali, byli coraz bardziej niezadowoleni z faktu, że ich dzieci spycha się na prowincjonalne placówki, rządowe etaty bez przyszłości i wojskowe stanowiska poza partyjną strukturą władzy. Piętnastego kwietnia 1982 roku,

w urodziny Kim Il Songa, jego urażeni stronnicy wybrali się w tej sprawie do Pałacu Kumsusan (znanego również jako Pałac Wielkiego Wodza), żeby omówić ją z samym Przywódcą.

Wtedy jednak Kim Il Song rządził już tylko symbolicznie. Całą władzę w państwie skrupulatnie przekierowano do Kim Dzong Ila za pośrednictwem daleko sięgających macek DOP, a wszystkie prawdziwie znaczące stanowiska zajmowali jego koledzy z Uniwersytetu Kim Il Songa. Nawet nad samym Wielkim Wodzem Kim Dzong Il miał absolutną władzę: Kim Il Song musiał prosić DOP o zgodę, zanim mógł się spotkać ze swymi zwolennikami lub dawnymi towarzyszami. Jego uprawnienia ograniczały się do takich, które czyniły go potężnym w oczach obywateli Korei Północnej i obcokrajowców, jak na przykład wizyty gospodarskie czy uprawnienia dyplomatyczne. Nawet Sekcja 1 Dowództwa Gwardii, czyli osobistej ochrony Kim Il Songa, podlegała bezpośrednio DOP. Tak oto wódz, którego niegdyś broniła kohorta lojalnej straży, dożył swoich dni pod czujnym okiem lojalnej kohorty Kim Dzong Ila.

Również dlatego ani jeden zjazd Partii Pracy nie odbył się przez ponad dwadzieścia lat, które upłynęły między VI Zjazdem w październiku 1980 roku a moją ucieczką przez Tumen w roku 2004. Kim Dzong Il tak bardzo osłabił politbiuro podlegające sekretarzowi generalnemu partii Kim Il Songowi, że stało się ono niezdolne do zwoływania zjazdów.

W miarę jak Kim Dzong Il konsolidował władzę – w rzeczywistości, w której oficjalnie rządził ojciec, a w praktyce syn – wykształciła się dwoista struktura uzależniająca prawdziwe wpływy danej osoby od poziomu zaufania, jakim darzył ją Kim Dzong Il, a nie od formalnego stanowiska. To sprawiało, że mechanizmy w Korei Północnej stały się niezbadane dla ludzi z zewnątrz, ponieważ jawna hierarchia była tylko drobnym ustępstwem na rzecz starej gwardii, podczas gdy rzeczywistą władzę niewidocznie sprawowali zaufani ludzie.

Innymi słowy, stronnicy Kim Il Songa mogli oficjalnie dostawać prestiżowe posady, ale prawdziwe wpływy mieli tylko

współpracownicy Kim Dzong Ila. Powstał krzyżowy system dwóch struktur władzy, w którym wysokie stanowiska publiczne i rzeczywista władza z pełnomocnictwa Kim Dzong Ila nigdy nie przysługiwały tym samym osobom. Dla przykładu minister spraw zagranicznych Park Ui Chun był tylko figurantem, podczas gdy w rzeczywistości polityką zagraniczną kierował pierwszy wiceminister Kang Sok Ju. Ta rozbieżność między strukturą ukrytą a powierzchniową pozwoliła Kim Dzong Ilowi zbudować system kontroli odporny na rozszyfrowanie i manipulację z zewnątrz.

Konsolidując władzę, Kim Dzong Il nie powstrzymywał się przed upokorzeniem ojca. Następujący incydent ilustruje niemoc Wielkiego Wodza wobec syna i jego Departamentu.

Jako jeden z ośmiu autorów *Annałów* byłem uprawniony do wezwania na rozmowę każdego żyjącego świadka północnokoreańskiej historii mającego znaczenie dla moich badań, w tym najwyższych rangą generałów w kraju. Dzięki jednemu z nich odkryłem prawdziwą przyczynę reedukacji rewolucyjnej Kim Du Nama, doradcy wojskowego Kim Il Songa.

„Reedukacja rewolucyjna” oznacza wszelkie partyjne ostrzeżenia i kary, takie jak sesje ideologiczne, prace przymusowe, wydalenie z partii, utrata posady czy wygnanie. Właściwie mało który ze starszych członków północnokoreańskiego aktywu w ogóle nie został poddany takiej „reedukacji”, ponieważ uważa się ją za swoistą szczepionkę przeciwko w pełni rozwiniętej chciwości na władzę. Wśród starszych rangą członków aktywu są nawet byli więźniowie niesławnego obozu Yodok. W przeciwieństwie do większości obozów koncentracyjnych w Korei Północnej, które można opuścić jedynie jako denat, zesłanie do Yodoku nie zakończy komuś życia ani kariery, pod warunkiem że ten ktoś będzie posłusznie wykonywać prace przymusowe i podda się indoktrynacji. To brutalny ideologiczny obóz szkoleniowy, w którym więźniowie na nowo uczą się jedynej istotnej prawdy w Korei Północnej: że lojalność wobec Drogiego Przywódcy daje

uznanie, a nieposłuszeństwo przynosi śmierć. Wydarzenia związane z Kim Du Namem jako pierwszy pozwolił mi zrozumieć generał, którego ojciec stracił wpływy w wyniku niewidzialnej utraty władzy przez Kim Il Songa. Choć sam wszystko mi opowiedział, on również bał się Yodoku.

– Nikt obcy nie może poznać tej historii. Nie zapisujcie jej, po prostu ją poznajcie. Albo jeszcze lepiej: wysłuchajcie, żeby zrozumieć, a potem wymażcie ją z pamięci.

Oto historia, którą mi opowiedział.

W połowie lat osiemdziesiątych Koreę Północną odwiedziła grupa wysokich rangą wojskowych z ZSRR. Kim Il Song chciał się dowiedzieć, jak są goszczeni, polecił więc, żeby jego doradca wojskowy, czterogwiazdkowy generał Kim Du Nam, zdobył z Biura Spraw Zagranicznych wojska ich plan wizyty. Gdy Kim Il Song dowiedział się, że Rosjanie nocują w domu gościnnym należącym do Ministerstwa Ludowych Sił Zbrojnych, zadzwonił do swojego syna Kim Dzong Ila, żeby zapytać, czy nie należałoby ich raczej przyjąć jak głowy państw. Zasugerował umieszczenie ich na przykład w domu gościnnym Baekhwa-won.

Kim Dzong Il natychmiast polecił, żeby DOP ustaliło, kto poinformował biuro Kim Il Songa o warunkach pobytu radzieckiej delegacji. Nazajutrz zwolnił dyrektora do spraw zagranicznych w Ministerstwie Ludowych Sił Zbrojnych, a Kim Du Nama, doradcę wojskowego Kim Il Songa, skazał na sześć miesięcy „reedukacji rewolucyjnej”.

Wśród wielu upokorzeń, jakich doznał Kim Il Song, było również to, że szesnastego lutego 1992 roku musiał wygłosić odę pochwalną z okazji pięćdziesiątych urodzin syna.

W ten oto sposób Kim Il Song przez ostatnie lata życia był główną postacią własnego kultu, sterowanego jednak przez syna, który uzurpował sobie władzę ojca, a wkrótce miał go zastąpić.

Kim Dzong Il bardzo natomiast dbał o zachowanie pozorów, że ojciec i syn świetnie się dogadywali. Po śmierci Kim Il Songa w 1994 roku władze Korei Północnej ogłosiły szereg pamiątek związanych z urzędem Wielkiego Wodza. Była wśród nich

przemowa, którą Kim Il Song napisał przed śmiercią. Wzywał w niej do zwołania szczytu, aby omówić zjednoczenie z Koreą Południową. W celach propagandowych rękopis wystawiono nawet publicznie w Mauzoleum Kumsusan dla umocnienia ideologii federalnego zjednoczenia obu Korei.

Wydawało się, że Kim Dzong Il popierał dążenie ojca do pokojowego zjednoczenia. W rzeczywistości jednak, za kulisami, stanowczo mu się sprzeciwiał. W 1994 roku, zaniepokojony perspektywą amerykańskiego ataku wyprzedzającego, zgodził się na wizytę w Pjongjangu byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Jimmy'ego Cartera. Kim Il Song wykorzystał okazję, żeby publicznie wyrazić poparcie dla idei szczytu międzykoreańskiego. Wielu przedstawicieli społeczności międzynarodowej odnotowało z optymizmem, że przywódca Korei Północnej wykonał gest w stronę świata zewnętrznego. Zapewne nie wiedzieli, że Kim Il Song niczym już nie rządzi ani że Kim Dzong Il – sprawujący rzeczywistą władzę – rywalizuje z ojcem.

Wśród materiałów źródłowych, które poznałem podczas pracy nad *Annałami dynastii Kim*, jeden dokument w szczególności ilustrował kontrast pomiędzy tym, co Kim Dzong Il komunikował za pośrednictwem propagandy, a jego rzeczywistymi intencjami. Był to protokół z posiedzenia partii na początku lipca 1994 roku, które zwołał sam Kim Dzong Il. Według protokołu spotkanie zatytułowano *Obecna atmosfera wymaga praktycznej polityki obrony socjalizmu, a nie zjednoczenia ojczyzny*. Wzywano na nim aktyw do podważania wszelkich myśli zjednoczeniowych związanych z proponowanym przez Kim Il Songa szczytem międzykoreańskim, posuwając się nawet do stwierdzenia, że jego sugestie są oznaką demencji starczej. Co więcej, w protokole najbliżsi współpracownicy Kim Dzong Ila mówią nie tylko o krytykowaniu propozycji Kim Il Songa, lecz wręcz o jej blokowaniu.

Dlaczego zatem Kim Il Song uparcie dążył do zwołania szczytu mimo sprzeciwu Kim Dzong Ila? Prawo do rozmowy ze

światem zewnętrznym, którym dysponował jako pozorny przywódca Korei Północnej, stanowiło resztkę władzy, jaką wciąż posiadał. Publiczne poruszenie tematu zjednoczenia na oczach świata było zapewne jego ostatnią próbą wpływu na przyszłość Korei w sposób, którego jego syn nie mógł zwyczajnie zlekceważyć i zmienić.

Kim Dzong Il odmówił nawet spełnienia jednego z najprostszych ostatnich życzeń ojca. Kim Il Song mówił, że chciałby zostać pochowany wraz ze swymi poległymi towarzyszami w Mauzoleum Męczenników Rewolucji na górze Daesung. Po jego śmierci dawni partyzanci podpisali nawet petycję w tej sprawie. Kim Dzong Il uznał jednak, że gdyby ciało Kim Il Songa spoczęło na tym cmentarzu, umocniłoby to znaczenie rewolucyjnych towarzyszy broni jego ojca, co z kolei zagroziłoby władzy syna, ponieważ to on kiedyś im ją odebrał.

Jakby na dowód niepokoju o tę groźną, chwiejną równowagę, jednocześnie z niewyrażeniem zgody na pochówek ojca na górze Daesung, Kim Dzong Il ogłosił światu za pośrednictwem organu prasowego Partii Pracy „Rodong Sinmun", iż „rzeczą moralną i prawą jest szacunek wobec pierwszego pokolenia rewolucjonistów", czyli właśnie tej grupy będącej jego wrogami. Tymczasem Kim Il Song, któremu odmówiono spoczęcia wśród swych popleczników, został zmumifikowany i pochowany w Mauzoleum Kumsusan – by nawet po śmierci być ikoną propagandy legitymizującą dziedziczną sukcesję syna.

Zważywszy na podstępy i intrygi Kim Dzong Ila wymierzone w ojca, napisanie *Annałów dynastii Kimów* między 1999 a 2000 rokiem było dla mnie i moich siedmiu kolegów z DZF niełatwym zadaniem. Niemniej ich fragmenty do dziś są codziennie transmitowane w państwowej telewizji pod tytułem *Odkrywamy rewolucyjne annały towarzysza Kim Il Songa*.

4
Działania kryminalne

Ci, którzy przemierzają rzekę po prostu z głodu, za ucieczkę są karani stosunkowo łagodnie: zsyła się ich na kilka miesięcy do obozu ciężkich robót. Im jednak wyższe zajmuje ktoś stanowisko, tym większą zdradą jest jego ucieczka, co wiąże się z proporcjonalnie surowszą karą. Ta świadomość oraz strach o potencjalne konsekwencje wobec naszych bliskich bardzo ciążyły nam na sercu.

Young Min i ja spędziliśmy noc na rozmowie, licząc na to, że gdy wzejdzie słońce, na stoku góry zrobi się trochę cieplej. Jednakże tuż przed świtem przyszła jeszcze silniejsza śnieżyca. Przez całą noc dygotałem z zimna, nie mogłem rozprostować nóg. Byłem osłabiony i myślałem, że zaraz zemdleję. Wobec świadomości, że w tych mroźnych warunkach musimy spędzić jeszcze jedną dobę, czułem się tak, jakbyśmy stanęli nad krawędzią przepaści. Przynajmniej nadal mieliśmy termos z ciepłą herbatą oraz chleb, który dał nam Chang Yong, co odrobinę nas pocieszało.

Kiedy w końcu Chang Yong wrócił, przyniósł ze sobą nowy koc i siekierę. Nasz stary koc przypominał arkusz blachy falistej: zamarzł na sztywno, tak że rolnik musiał go nieść na głowie. Zanim sobie poszedł, mruknął, że może i chłopcy z Pjongjangu mają pieniądze, ale nie wiedzą, co zrobić, żeby przeżyć. Porąbał parę małych kłód, zebrał z okolicy trochę gałęzi i zbudował nam szałas osłaniający od najgorszego wiatru.

Chwila wytchnienia nie trwała jednak długo. Ponieważ światło słoneczne nie przebijało się przez ścianki, szałas działał jak zamrażarka. Powietrze było tam przenikliwie zimne. Czułem

się tak, jakbym trzymał stopy w lodowatej wodzie, i to pomimo że miałem gumowe buty. Żeby się rozgrzać, w ciągu dnia kilka razy biegliśmy na szczyt wzgórza i z powrotem.

W nocy śnieżyca się nasiliła. Od rolnika Chang Yonga dostaliśmy dwie butelki wina. Gdy odstawiłem jedną, żeby napić się z drugiej, oszroniła się przez tę chwilę, kiedy leżała na ziemi. Ale nawet jeśli czekało nas już tylko nieszczęście, to każda kolejna sekunda, którą przeżyłem na zboczu tej góry, przypominała mi, jak cenne jest ludzkie życie.

W końcu nadszedł ranek obiecany przez Chang Yonga. Kiedy słońce minęło zenit, rolnik pojawił się w towarzystwie mężczyzny w naszym wieku. Młody człowiek miał na sobie niebieskie dżinsy i beżową skórzaną kurtkę, która wyglądała na drogą. Był sprawny i wysportowany, na pierwszy rzut oka rzeczywiście wyglądał jak ktoś, kto może mieć kontakty z południowokoreańskim wywiadem. Oczy miał małe, wydawało się, że niełatwo obdarza ludzi zaufaniem, ale biła od niego cicha pewność siebie. To taki człowiek, który odzywa się tylko wtedy, gdy to absolutnie konieczne; jego powitanie było tak krótkie, jak to możliwe. Niemniej podczas całego spotkania lekki uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Nazywam się Shin Gwang Ho – powiedział.

Rzeczywiście mógł być siostrzeńcem Chang Yonga, bo tak jak on mówił z silnym akcentem rodem z Hamgyongu Północnego. Zmierzył nas od stóp do głów, zatrzymując wzrok na gumowych butach. Gdy w końcu podał nam rękę, była miękka i ciepła. Ale kiedy ją uścisnęliśmy, ukradkiem wytarł ją o dżinsy.

Poprosił nas o dokumenty tożsamości i zapewnił, że to tylko rutynowy środek ostrożności. Dostrzegłem jego profesjonalizm, gdy sprawdzał daty, stemple oraz jakość naszych dokumentów. Poczułem, że mogę mu zaufać. Chociaż Chang Yong był podenerwowany i przestępował z nogi na nogę, kiedy w oddali szczekały psy, pan Shin jakby tego nie zauważał, skupiony na swoim zadaniu.

Wreszcie podniósł na nas wzrok, chyba usatysfakcjonowany.

– Czy mogliby panowie chwilę poczekać?

Tym razem zastanawiałem się, czy zaczął mówić po południowokoreańsku. To dlatego, że polecenie poprzedził słowami „czy mogliby panowie”. Pracując w DZF, dowiedziałem się, że w języku południowokoreańskim uprzejmość można wyrazić na trzy sposoby. Pierwszy polega na mówieniu o sobie w niższym rejestrze niż odbiorca, drugi – na dodaniu wyrażenia w stylu „czy mógłby pan” (prośby zakończone słowem *yo*), będącego ogólną oznaką szacunku, trzeci natomiast przypominał wojskowy sposób mówienia: „proszę, niech pan…” (prośby zakończone słowem *sipnika*). W Korei Północnej funkcjonuje pierwszy i trzeci sposób, ale nie ma tego drugiego. Zamiast subtelności przeznaczonych na różne okazje istnieją tylko dwie formy: jedna do wydawania rozkazów, a druga do ich wykonywania. Dlatego wyżej postawiona osoba w bieżącej sytuacji powiedziałaby po prostu: „Czekaj!”, a niżej postawiona zastosowałaby się do polecenia.

W Korei Północnej funkcjonuje za to jeszcze jedna forma grzecznościowa, której nie stosuje się nawet wobec najwyżej postawionych członków aktywu, ponieważ zarezerwowana jest wyłącznie dla rządzącego Kima. Objawia się głównie dodaniem *siut* do odmiany czasownika. Mówi się na przykład, że ktoś coś „zrobił” (*hada*), natomiast Wielki Wódz coś „zrobił doprawdy” (*ha-siut-da*). Tego rozróżnienia przestrzegano nie tylko w życiu codziennym, ale również we wszelkich formach słowa pisanego. Chociaż pan Shin zwrócił się do nas w standardowym stylu uprzejmym (prośba zakończona słowem *yo*), użył odmiany czasownika z *siut*, zarezerwowanej w Korei Północnej dla Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Wydało nam się to niezwykłą oznaką szacunku. Odwrócił się, żeby zadzwonić z telefonu komórkowego. Rozmawiał cicho przez chwilę, a potem się rozłączył. Skuleni z zimna staliśmy w śniegu i czekaliśmy. Wkrótce nadjechało auto z napędem na cztery koła i zatrzymało się w połowie stoku. Tak jak mówił Chang Yong, siostrzeniec rzeczywiście wykazywał zupełnie inny poziom

przedsiębiorczości niż wuj, dla którego najbardziej ekscytującym wydarzeniem, jakie mógł sobie wyobrazić, był zakup nowego kultywatora. Kiedy pan Shin kazał nam się pośpieszyć, szybko uściskaliśmy na pożegnanie Chang Yonga, który już na to czekał z szeroko otwartymi ramionami. Nie tylko nie poprosił nas o więcej pieniędzy, ale gdy się objęliśmy, szepnął mi do ucha, żebym nie wspominał jego siostrzeńcowi o tych siedmiuset dolarach, które od nas dostał. Wsiedliśmy do jeepa, a potem jeszcze raz podziękowaliśmy Chang Yongowi. Obiecaliśmy, że wrócimy do niego z wizytą, gdy już dotrzemy do Korei Południowej.

Jeep był równie mocny i zwinny jak pan Shin. Podskakując na nierównej drodze, słuchaliśmy w radiu koreańskiej muzyki popowej i czułem, że moglibyśmy tak jechać aż do Seulu. Zamiast tego wróciliśmy jednak do Yanji, ale tym razem znaleźliśmy się w centralnej, nowoczesnej dzielnicy. Tam, w samym środku miasta, pan Shin zatrzymał jeepa, otworzył drzwi i kazał nam wysiąść. Tak długo przebywaliśmy z dala od gwaru normalnego życia, że przytłoczył nas zabiegany tłum. Pan Shin chyba tego nie zauważył. Zawołał tylko: „Szybko!”, więc ruszyliśmy za nim.

Weszliśmy do centrum handlowego, gdzie z niepokojem dostrzegłem uzbrojony patrol policji. Mimo to pan Shin odważył się głośno mówić do mnie po imieniu. Zdenerwowała mnie jego pozorna beztroska, ale wraz z Young Minem podeszliśmy posłusznie, gdy niecierpliwie przywołał nas do sklepu z odzieżą.

Włożyłem nowe ubranie, które mi wybrał, i przejrzałem się w lustrze. Z początku byłem zadowolony, potem jednak przeraził mnie widok mojej łatwo rozpoznawalnej twarzy. Co ja wyrabiałem? Stałem w publicznym miejscu, gdzie każdy mógł ją zobaczyć! Zamiast nowej odzieży natychmiast poprosiłem o parę okularów przeciwsłonecznych. Pan Shin odparł, że to wzbudzałoby podejrzenia, ale Young Min poparł moją prośbę. Nawet szczegółowo wyjaśnił, że swoje okulary straciliśmy, gdy musieliśmy porzucić plecak. Pan Shin był niechętny do tego

zakupu, mówił, że będziemy się wyróżniać, ale w końcu uległ Young Minowi.

Od tej pory nosiliśmy nowe ubrania i okulary przeciwsłoneczne. Czułem, że ukryty za nimi mogę bezpiecznie chodzić z podniesioną głową. Young Min uśmiechnął się do mnie zza swych okularów, choć nie widziałem jego oczu. Poczułem ukłucie smutku na myśl, że właśnie takim zobaczyli mnie rodzice, gdy oglądali mnie po raz ostatni.

Pan Shin czekał na nas w samochodzie z aparatem fotograficznym. Powiedział, że musi udokumentować przełożonym, na co wydał ich pieniądze. Gdyby nie ciemne okulary, chyba nie zgodziłbym się na fotografowanie w miejscu publicznym. Kiedy skończyliśmy, zauważyłem, że za nami stoi kilku policjantów, zupełnie niczego nieświadomych.

To właśnie tego dnia po raz pierwszy miałem okazję docenić skutki reform w Chinach. Zgodnie z północnokoreańskim powiedzeniem, że „nawet na Góry Diamentowe trzeba patrzeć po posiłku” (co oznacza, że najpiękniejsze widoki świata należy oglądać z pełnym żołądkiem), najpierw udaliśmy się na lunch. Pan Shin zabrał nas do drogiej restauracji, której specjalnością była wędzona kaczka podawana w całości na dużym talerzu. Zachwalał ją jako ulubioną potrawę tak wybitnych postaci jak cesarz Qianlong, cesarzowa Cixi, Mao Zedong czy Deng Xiaoping, ale dla nas wystarczającą przyjemnością było rozkoszowanie się daniem bez tego typu skojarzeń. Najadłszy się kaczką, poszliśmy – po raz pierwszy w życiu – do sauny w stylu koreańskim otwartej zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet. Spytałem, skąd określenie „w stylu koreańskim”. Pan Shin wyjaśnił, że w Korei Południowej w tym samym miejscu można się wykąpać, skorzystać z sauny i przenocować.

Gdy zanurzyłem się po szyję w dużej wannie z gorącą wodą, żeby obmyć brud, który zebrał się od czasu wyjazdu z Pjongjangu, poczułem, że wraz z nim zmywam swe cierpienie. Nawet gorąca woda przelewająca się z wanny była dla mnie cudem. Od 1994 roku, kiedy system centralnego ogrzewania

w Pjongjangu praktycznie przestał działać, ciepła woda stała się rzadkim przywilejem. W listopadzie 1998 roku, tuż przed początkiem zimy, partia wreszcie przyznała to publicznie. Wydała rozporządzenie, że każda rodzina sama musi zadbać o ogrzewanie. W owym czasie pjongjańczycy otwarcie deklarowali, że chętnie zrezygnują z ciepłej wody, jeśli tylko dostarczy im się wystarczająco dużo wody pitnej.

Jedynym rejonem Pjongjangu, który zapewniał mieszkańcom ciepłą wodę, było Changgwang-dong w dzielnicy Joongu, gdzie żyli członkowie aktywu centrali partii. Nawet tam puszczano ją tylko dwa razy dziennie przez dwie godziny: od szóstej do ósmej rano i od siódmej do dziewiątej wieczorem, czyli wtedy, gdy ludzie szykują się do pracy i gdy wracają do domu. Skoro nawet najbardziej uprzywilejowane osoby w państwie znalazły się w tak trudnej sytuacji, miejscami spotkań towarzyskich północnokoreańskiej elity stały się miejsca odwiedzane przez obcokrajowców, takie jak hotel Koryo, oraz obiekty utworzone właśnie dla nich, takie jak sauny.

Kiedy wyjechałem z Pjongjangu w 2004 roku, cena kilograma ryżu na targu wynosiła tysiąc wonów. Przy ówczesnym kursie był to odpowiednik pięćdziesięciu centów amerykańskich. W czasach, gdy wielu ludzi nie było stać nawet na ten drobny wydatek i przez wiele dni chodzili głodni, wydatek pięciu do ośmiu dolarów na bilet wstępu do łaźni albo sauny dla obcokrajowców stanowił niewyobrażalną ekstrawagancję. Zamiast tego przedstawiciele pjongjańskiej klasy średniej, niedysponujący wystarczającą ilością obcej waluty, by pozwolić sobie na taki luksus, odwiedzali kotłownie w restauracjach, zagranicznych ambasadach lub instytucjach państwowych. W zamian za łapówkę pracownicy pozwalali im nalać sobie trochę wody z rury przelewowej. Czasem w takich miejscach widywało się cudzoziemców, ale były one pod stałą obserwacją, więc nikt nie śmiał zbytnio spoufalać się z gośćmi.

Nawet dzisiaj olbrzymia większość obywateli Korei Północnej, dla których problemem są podstawy codziennej egzystencji,

używa winylowych „cieplarni” kąpielowych importowanych z Chin. Można je dostać w rozmiarze pojedynczym lub podwójnym. Gdy taką winylową osłonę zwiesi się z sufitu, sięga ona do podłogi. W gruncie rzeczy jest to duży plastikowy worek. Jeśli wejść do niego z wiadrem wrzącej wody, wówczas unosi się para i worek nadyma się jak balon. Można się myć, mieszając ciepłą i gorącą wodę, a efekt sauny zapewnia ciepło.

W porównaniu z tamtym wspomnieniem Chiny wydały mi się rajem na ziemi. Gorąca woda wypełniająca wannę była dla mnie czymś znacznie ważniejszym: kolejnym dowodem, że reformy odmieniły chińskie społeczeństwo w takim stopniu, że nawet zwyczajni ludzie zyskali dostęp do rzeczy, które z północnokoreańskiej perspektywy były najbardziej luksusowym przywilejem. Kiedy pan Shin usłyszał opis „cieplarnianych” łaźni, odparł, że w niektórych regionach chińskiej prowincji ludzie wciąż myją się w podobny sposób. Jak na ironię, „łaźnie w stylu koreańskim” pojawiły się tu właśnie wskutek reform. Najwyraźniej dumny z tego faktu Shin wyskoczył z wanny i oznajmił, że teraz my, prostaczkowie z Korei Północnej, poznamy prawdziwy smak chińskich przemian.

Zabrał nas do sali, w której stały łóżka. Czekał tam mężczyzna w białym szlafroku. Pan Shin poinformował, że za kilka monet ten pracownik wyszoruje nam plecy. Nie rozumiałem, dlaczego ktoś mógłby się zniżyć do szorowania pleców drugiemu człowiekowi, nawet za pieniądze. Kazano nam się położyć, żebyśmy przekonali się, na czym to polega. Mężczyzna energicznie wziął się do pracy, ale było mi tak bardzo wstyd, że nie potrafiłem znaleźć w tym przyjemności. Przybyłem z kraju, którego ideologia mówiła, że żadna jednostka nie może czerpać korzyści osobistych z usług innej jednostki, miałem więc poczucie, że dyskontuję najgorsze wypaczenia kapitalistycznego wyzysku.

Po przebraniu się w szlafroki przeszliśmy za panem Shinem do głównej sali, gdzie czekał nas kolejny głęboki wstrząs. Tym

razem zaszokował nas widok kobiet i mężczyzn ubranych tylko w płaszcze kąpielowe, przebywających w tym samym pomieszczeniu, choć zupełnie się nie znali. Gdy obok nas usiadła kobieta w spodenkach odsłaniających kolana, obaj z Young Minem zerwaliśmy się na równe nogi. W Korei Północnej tylko wariatka zachowałaby się tak nierozważnie w obecności mężczyzn. Patrzyliśmy oszołomieni, jak beztrosko obiera mandarynkę, a pan Shin parsknął śmiechem.

Z sauny poszliśmy do baru karaoke. Pan Shin myślał pewnie, że karaoke wstrząśnie nami jeszcze bardziej niż usługa szorowania pleców, ale się pomylił. Akurat na karaoke bywaliśmy częściej niż on.

W Pjongjangu również są bary karaoke. Główna różnica polega na tym, że u nas za wstęp płaciło się dziesięć dolarów od osoby, a podczas jednej sesji nie miało się dość czasu, żeby zaśpiewać tyle piosenek co tutaj. Za jednego dolara amerykańskiego dostawało się specjalny żeton, który pozwalał wykonać jedną piosenkę. W kraju, w którym miliony ludzi przymierały głodem, karaoke, tak jak ciepła woda, było jednak ekstrawaganckim luksusem.

W pjongjańskich barach karaoke playlisty są pełne piosenek sławiących Kim Il Songa i Kim Dzong Ila, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie wydałby drogocennej waluty na śpiewanie takich rzeczy. Zresztą gdyby ktoś pomylił słowa tekstu na chwałę Wielkiego Wodza, to nawet fakt, że zrobił to pod wpływem alkoholu w towarzystwie przyjaciół w barze karaoke, mógłby go nie uchronić przed oskarżeniem o skłonności wywrotowe. Dlatego w takich lokalach najpopularniejsze były utwory typu *Gwiżdżąc* albo *Miło cię widzieć* – popularne piosenki uważane za praktycznie wolne od politycznych treści, choć odpowiednio zmodyfikowane w celu zgodności z linią partii.

W kraju, gdzie sztuka jest jawnie polityczna, do wyboru było niewiele takich utworów. Zawsze gdy chodziliśmy z Young Minem do baru karaoke, w kółko śpiewaliśmy *Ranną rosę*. Jest to piosenka z Korei Południowej, jeden z hymnów tamtejszego

ruchu demokratycznego, który przeciwstawił się dyktaturze wojskowej w latach siedemdziesiątych. U nas partia zmieniła jednak słowa, tak by sugerowały, że Koreańczycy z Południa liczą na Kim Il Songa jako tego, kto zjednoczy Półwysep Koreański, i dlatego utwór zaakceptowano do użytku w barach karaoke.

Kiedy teraz na zmianę z Young Minem idealnie czysto śpiewaliśmy *Ranną rosę*, pan Shin był zdumiony, że trafiamy we wszystkie nuty. Prostował kciuki i mówił, że wyraźnie się różnimy od zwykłych uchodźców, którzy nigdy w życiu nie mieli w rękach mikrofonu. Ilekroć w głośnikach słyszeliśmy jego komplementy, było nam wstyd i machaliśmy rękami, żeby go uciszyć. On jednak zawołał pijacko:

– Przecież w tym kraju nie ma Kim Dzong Ila!

Wieczór minął szybko i kiedy wytoczyliśmy się na dwór, było już po dziesiątej. W taksówce pan Shin powiedział, że na parę dni zamieszkamy u niego. Wysiedliśmy przed rozsypującym się budynkiem, w którym na klatce schodowej nie paliło się światło. Świecąc sobie zapalniczką, pan Shin zaprowadził nas na trzecie piętro. Ostrzegł, że schody są śliskie.

Zatrzymaliśmy się przed mieszkaniem z małym numerkiem 302. Kiedy Pan Shin zadzwonił do drzwi, otworzyła nam dwudziestoparoletnia kobieta. Miała na sobie fioletową bluzę z kapturem i pasujący do niej dół. Nie wiem, czy to dzięki podwiniętym rękawom, czy zaciśniętym ustom, ale wyczuwałem w niej jakąś wewnętrzną siłę. Jej twarz wciąż jednak pozostawała kamienna. Kobieta lakonicznie mówiła tylko „tak” i „nie”.

– To moja żona. – Pan Shin przedstawił ją krótko, ale te słowa mocno na mnie podziałały. Moje mięśnie, spięte i sztywne z zimna i strachu o życie od czasu przeprawy przez Tumen, nieco się rozluźniły. Wydawało mi się, że nie ma na świecie wyrazu bardziej podnoszącego na duchu niż „żona”, ze wszystkimi jego skojarzeniami z domem.

Wnętrze domu pana Shina niewiele się różniło od przeciętnego mieszkania w północnokoreańskiej stolicy. Kuchnia była jednocześnie łazienką, w ciasnym pomieszczeniu zlew

i ubikacja mieściły się tuż obok siebie. To właśnie tam zdjęliśmy buty, żeby wejść do dalszej części domu. Oprócz kuchnio-łazienki były jeszcze dwa pokoje, w których pan Shin jadł i spał na ogrzewanej podłodze zupełnie jak w Korei Północnej. W większym pokoju znajdowały się trzy szafy. Oprócz nich oraz głośno warczącego termowentylatora, który stał na ziemi, nie było tam nic innego.

W mniejszym pokoju leżało w kącie parę złożonych koców. Pan Shin wskazał je gestem i powiedział:

– Możecie spać tutaj. Ten pokój jest cieplejszy niż tamten, bo jest mniejszy. Dobranoc.

Po tych słowach zostawił nas samych. Young Min i ja rozprostowaliśmy kończyny. Trzasku w stawach słuchałem z przyjemnością, ponieważ bałem się, że przez ostatnie dni uschły mi z zimna. Nadzieją napawało mnie coś jeszcze. Pomyślałem, że tej nocy nie ukrywamy się już w szopie ani na zamarzniętym zboczu góry, ale śpimy w prawdziwym domu. Zgasiłem światło i zwinąłem się pod kocem w ciepłym pokoju.

Kiedy leżałem w ciemności, obrazy minionych kilku dni, pełnych niebezpieczeństw i ucieczek w ostatniej chwili, zaczęły wyświetlać się w mojej głowie niczym zapętlony film. To tylko wspomnienia, a mimo to waliło mi serce. Umysł padał ofiarą strachu, czy przetrwamy noc, i nie wiedziałem, jak długo jeszcze zdołamy uciekać. Najdrobniejszy odgłos pojazdu za oknem wywoływał dreszcze, a kiedy było cicho, wstrzymywałem oddech, wyczekując kolejnego zagrożenia. Choć się nie pojawiało, mój niespokojny mózg nie dawał za wygraną. Po tylu dniach spędzonych o krok od śmierci wyparowały ze mnie wyższe uczucia i emocje. Polegałem wyłącznie na zwierzęcym instynkcie, pragnąłem jedynie przeżyć, tylko to sobie wyobrażałem. Choć rozpoznawałem tę reakcję i chciałem ją odrzucić, to nie mogłem. Czułem przerażenie oraz wewnętrzną pustkę na myśl o tym, jak słaby się stałem.

Young Min spał odwrócony do mnie plecami, lecz ilekroć bardzo głośno oddychał, wyczuwałem jego udrękę. Może do

naszych drzwi nie walili żołnierze, ale byli już w naszych głowach i musieliśmy walczyć z nimi przez całą noc.

Rano ktoś zapukał do drzwi pokoju.

– Wstaliście już? – zapytał pan Shin. Miał w ręku kartkę i długopis. Nie spaliśmy już od godziny, zdążyliśmy złożyć koce i przez okno oglądaliśmy Yanji. – Jak chcecie, to oprowadzę was po całym mieście, ale teraz na to nie pora. Zanim zjemy śniadanie, obaj musicie spisać oświadczenia.

Podał nam kartkę i długopis, a potem poprosił, żebyśmy „starannie" przygotowali oświadczenie, w którym szczegółowo opiszemy swoje relacje rodzinne, informacje wywiadowcze, jakie możemy przekazać władzom Korei Południowej, oraz przyczynę naszej ucieczki. Podkreślił znaczenie informacji wywiadowczych, ale sam nie chciał znać szczegółów. Wystarczyło, że streścimy to w punktach. Mówił w taki sposób, jakby miał w tych sprawach sporą wprawę. Ale co takiego moglibyśmy przekazać, co uchodziłoby za informacje wywiadowcze? Jego prośba brzmiała za to bardzo profesjonalnie, jakby bezpośrednio reprezentował Koreę Południową.

Chyba nigdy w życiu nie poświęciłem każdemu słowu tyle uwagi, co owego ranka. Young Min również ogromnie się starał, jak gdyby pisał list do samego prezydenta Korei Południowej. Pracowaliśmy przez ponad godzinę, a potem pokazaliśmy efekty panu Shinowi. Powiedział, że choć to tylko konspekt w punktach, to należy w nim zawrzeć dostateczne wyjaśnienia, żeby można nam było zaufać. Zasugerował na przykład, że powinienem wskazać, co oznacza Strategia Niesienia Ziaren. Uważałem, że aby przekonać południowokoreański wywiad o naszym znaczeniu, najpierw muszę zdobyć zaufanie pana Shina, dlatego wyjaśniłem mu, że jest to strategia porwań prowadzonych przez północnokoreańskich agentów.

Po raz pierwszy usłyszałem o tej szeroko zakrojonej działalności przestępczej, kiedy uczyłem się w Pjongjańskiej Szkole Artystycznej. Razem ze mną studiowała Ri Hyun Suk. Właśnie skończyliśmy jeść przyniesione z domu drugie śniadanie

i obieraliśmy mandarynki, żeby się nimi podzielić, kiedy wyznała:

– Tak naprawdę jestem Japonką.

Zakrztusiłem się kawałkiem miękkiego owocu. Znałem ją od kilku lat – jakim cudem mogła być cudzoziemką? Wszyscy obywatele Korei Północnej musieli być Koreańczykami. Zaśmiałem się niezręcznie. Hyun Suk rozpłakała się i wyszła. Kilka dni później miałem okazję odprowadzić ją do domu po randce.

Mieszkała sama z matką w luksusowej rezydencji. Rezydencją był nie tylko jej dom, ale również wszystkie inne na ogrodzonym osiedlu. Zanim się pożegnaliśmy, powiedziała mi – jakby zdradzała najskrytszą tajemnicę – że wszyscy mieszkańcy tego osiedla są zaangażowani w program „lokalizacji”. Kiedy zapytałem, co to znaczy, wyjaśniła, że mieszkają tu z dziećmi północnokoreańskie agentki, które zaszły w ciążę z zagranicznymi mężami. To część planu, którego celem było ustanowienie więzi rodzinnych z obcokrajowcami i wzbudzenie w nich sympatii do Korei Północnej. Jej ojciec, jak mówiła, był najważniejszą postacią w Japońskiej Partii Socjalistycznej.

Nie uwierzyłem we wszystko, co mi powiedziała. Zmieniłem zdanie dopiero wtedy, gdy po przyjęciu do Departamentu Zjednoczonego Frontu ponownie zetknąłem się ze strategią „lokalizacji”. Tam osobiście przekonałem się o tym, że istnieją inne osoby takie jak Hyun Suk, które mają w żyłach cudzoziemską krew i wychowały się, nie znając ojców. Było to w 1999 roku, kiedy rząd Japonii podniósł kwestię porywania swoich obywateli przez KRLD i domagał się ich wypuszczenia.

Pracowałem wówczas nad tomem poezji zamówionym przez dyrektora Im Tong Oka i mieszkałem w domu gościnnym Ui-am. Chociaż Im, jako przełożony DZF, nadzorował wszystkie działania szpiegowskie, polityczne i dyplomatyczne dotyczące Korei Południowej, to musiał dbać o kompetencje literackie, gdyż do narzędzi wojny psychologicznej wykorzystywanych przez DZF należała sztuka. Co więcej, uczestniczył w walce o władzę na

najwyższym szczeblu i właśnie dlatego musiał przedłożyć Kim Dzong Ilowi tom poezji. Wicedyrektor DOP Hwang Byong Seo, który naraził się wodzowi i został zesłany na prowincję, w ramach przeprosin zadedykował mu tom poezji ku jego czci. Kiedy Kim Dzong Il przywrócił Hwanga na stanowisko – argumentując, że taka dedykacja jest dowodem na absolutną lojalność w obliczu przeciwności losu – między najpotężniejszymi ludźmi w Korei Północnej rozgorzała bitwa na śmierć i życie o to, kto bardziej ucieszy Kima swoimi „literackimi darami".

Dom gościnny Ui-am, znajdujący się w dzielnicy Daedong, należał do dyrektora Im Tong Oka. Do środka mogli wejść nieliczni, a wpuszczenie stanowiło oznakę wyjątkowego zaufania z jego strony. Dlatego w pewnym zakresie można było tam rozmawiać o tajemnicach państwowych. Któregoś dnia, kiedy dom odwiedził Chae Chang Guk, odpowiedzialny za kształtowanie polityki DZF, zapytałem go, po co naszemu departamentowi obywatele japońscy.

– Jak będziesz za dużo wiedział, to zrobisz sobie krzywdę – powiedział i głośno się roześmiał, zamiast mi odpowiedzieć.

Wieczorem, podczas kolacji z innymi członkami aktywu, ten sam temat powrócił jednak w kontekście relacji dyplomatycznych z Japonią. Chae Chang Guk najwyraźniej nie przejmował się tym, że uczestniczę w rozmowie. Zrozumiałem, że choć nie może mi przekazać wszystkiego bezpośrednio, to wolno mi o tym wiedzieć. Tego dnia poznałem prawdziwą skalę i naturę międzynarodowych przestępstw popełnianych przez reżim północnokoreański.

Porwania zaczęły się w latach siedemdziesiątych. Do końca lat sześćdziesiątych Koreą Północną w praktyce rządziło wojsko. Po zakończeniu wojny koreańskiej w 1953 roku Kim Il Song zbudował autorytet armii, żeby scementować politykę wewnętrzną wokół wrogości do Korei Południowej i umocnić swoją władzę. Dla Kim Dzong Ila, który od początku lat siedemdziesiątych przygotowywał grunt pod swoje wstąpienie

na tron, wojsko było zagrożeniem: dopóki mogło wpływać na kształtowanie polityki, w rzeczywistości sprawowało władzę. Pod płaszczykiem budowy państwa opartego na rządach jednej partii Kim Dzong Il odebrał wojsku przywileje w zakresie międzykoreańskich relacji dyplomatycznych i handlowych, przekazując je Partii Pracy.

Wojsko musiało przystać na jego propozycje ze względu na charakter realizowanej przez Kim Il Songa strategii Konfederacji Koryo, która zakładała, że początkowo na Półwyspie Koreańskim funkcjonować będą dwa systemy polityczne, aż do czasu gdy obie Koree zjednoczą się pod egidą rządu federalnego. Aby zadziałało to na korzyść Kim Il Songa, potrzebna była nie tylko potęga militarna, ale także rozpad przywództwa wojskowego Korei Południowej. Miała to zapewnić infiltracja południowokoreańskich ruchów demokratycznych, które coraz silniej buntowały się przeciwko wojskowemu dyktatorowi.

Właśnie w wyniku tej polityki powstały Departament Zjednoczonego Frontu, Dowództwo Strategiczne, Biuro 35 oraz Biuro Dochodzeń Zagranicznych (poprzednik Biura Spraw Zagranicznych), wszystkie kontrolowane przez Partię Pracy. Aby zobrazować wyższość partii nad wojskiem w sferze działań międzykoreańskich, w 1972 roku Kim Dzong Il zainicjował ambitny projekt zwany „lokalizacją”.

Podczas gdy wojskowe Biuro Wywiadowcze kreowało szpiegów, szkoląc ludzi zbiegłych na Północ, nowe departamenty Partii Pracy pozyskiwały „zlokalizowaną” wiedzę za pośrednictwem bardziej przedsiębiorczych metod: porywały obywateli państwa, które zamierzały szpiegować. Z czasem wojsko ograniczyło się do zbierania taktycznych informacji wywiadowczych w sferze międzykoreańskiej. O ile Partia Pracy również prowadziła międzykoreańską działalność szpiegowską, jej zadania rozszerzono o promowanie idei zjednoczenia Korei (na warunkach KRLD) na arenie międzynarodowej przez pozyskiwanie propółnocnych sympatyków na całym świecie,

a także o inicjatywy kontrwywiadowcze oraz z zakresu wojny psychologicznej.

Członkowie aktywu przedstawili trzy główne argumenty uzasadniające strategię Kim Dzong Ila, która polegała na porywaniu obywateli obcych państw. Pierwszym była konieczność werbowania nauczycieli mających zapewnić „zlokalizowaną” wiedzę na temat ich kraju pochodzenia, co pomogłoby w szkoleniu północnokoreańskich szpiegów. Po drugie, takie działanie umożliwiało kradzież tożsamości, pozwalając szpiegom przybrać autentyczną cudzoziemską tożsamość. Wreszcie po trzecie, w sprzyjających okolicznościach – w zależności od adaptacji i lojalności danej osoby – porwane dzieci można było wyszkolić, a następnie ponownie wysłać do kraju narodzin jako szpiegów Korei Północnej.

W 1977 roku japońską dziewczynkę Yokotę Megumi, jedną z najsłynniejszych ofiar północnokoreańskich porwań, uprowadzono, kiedy miała zaledwie trzynaście lat. Choć była cudzoziemką, jej młody wiek oznaczał możliwość wzbudzenia w niej lojalności w stosunku do KRLD – a przynajmniej tak uważano. Rok później szesnastoletni południowokoreański uczeń Kim Young Nam został porwany w Gunsanie w Cheonbuk w Korei Południowej wraz z kilkudziesięcioma innymi nastolatkami z całego świata.

Wśród ofiar porwań najwięcej było jednak obywateli japońskich, a to dlatego, że międzykoreańscy agenci partii mieli placówkę w Jochongryon, Stowarzyszeniu Koreańskich Rezydentów w Japonii, a prowadzenie operacji przeciwko Południu z bazy w Japonii dawało polityczne i geograficzne korzyści.

Jednak bez względu na zasięg sprawowanej przez Kim Dzong Ila dyktatury umysłu nie udało się pozyskać prawdziwej lojalności porwanych nastolatków. Sądzę, że przyczyną były ich żywe wspomnienia z dawnego życia, a także trauma rozstania z rodzicami.

Aby rozwiązać ten problem, w połowie lat osiemdziesiątych Kim Dzong Il zaproponował Strategię Niesienia Ziaren. Chodziło o tworzenie szpiegów, którzy wyglądaliby jak obcokrajowcy, choć urodzili się i wychowali w Korei Północnej. W tym celu międzykoreańscy agenci partii stosowali dwojaką taktykę: porywano cudzoziemki, natomiast atrakcyjne kobiety z Korei Północnej wysyłano za granicę, gdzie miały zachodzić w ciążę z mężczyznami o białym, czarnym lub brązowym kolorze skóry. Ich dzieci rodziły się w Korei Północnej, miały kolor skóry inny od reszty swoich rodaków i całe życie spędzały w ścisłej izolacji. Ich zdrowiem opiekowało się Biuro 915 Dowództwa Strategicznego partii, które zajmuje się wyłącznie agentami międzykoreańskimi. Wszystko inne, czego mogły potrzebować, zapewniała im najpotężniejsza instytucja w Korei Północnej, partyjny Departament Organizacji i Przywództwa.

Moja koleżanka Ri Hyun Suk wychowała się jednak w stosunkowo dużej swobodzie i do pewnego stopnia zintegrowała się ze społeczeństwem, ponieważ sama jej obecność jako zakładniczki w Pjongjangu wywierała presję na jej ojca, motywując go do działań na rzecz pomocy zagranicznej dla Korei Północnej i wdrażania strategii korzystnych dla KRLD.

Skalę międzynarodowych przestępstw Kim Dzong Ila, wśród których – gdy zapewnił sobie sukcesję po ojcu – znalazły się również porwania, świat po raz pierwszy poznał podczas szczytu z udziałem premiera Japonii Koizumiego w 2002 roku. Przedtem nawet Japończycy sceptycznie traktowali sugestię, że KRLD porywa obywateli ich państwa. Podczas szczytu Kim Dzong Il potwierdził jednak porwanie Megumi i innych osób. Złożył przeprosiny, twierdząc, że o tych wydarzeniach dowiedział się dopiero po fakcie, a porwań dokonały specjalne departamenty, motywowane heroicznym, narodowym zapałem. Nie tylko Japonia, ale także reszta świata były w szoku.

Kim Dzong Il fatalnie się przeliczył, dlatego że Korea Północna spodziewała się ze strony Japonii 11,4 miliarda dolarów pomocy, a za kulisami rozegrały się poniższe wydarzenia. Tuż przed

przybyciem Koizumiego do Pjongjangu Ministerstwo Spraw Zagranicznych KRLD miało przedstawić DZF do wglądu ostateczny program szczytu. Przez cały ranek czekaliśmy na ten dokument w ponurej atmosferze; wcześniej skierowaliśmy do Kim Dzong Ila jednoznaczne ostrzeżenie, że jeśli w planie szczytu japońsko-północnokoreańskiego znalazła się sprawa porwań, to istnieje poważne niebezpieczeństwo, że ingerencja południowokoreańskich lub japońskich cywili wywoła międzynarodowe zainteresowanie tą kwestią. Korea Północna znalazłaby się wówczas w bardzo trudnym położeniu, a po zakończeniu szczytu kogoś po naszej stronie z pewnością czekałby makabryczny koniec.

Gdy otrzymałem od kierownika Park Chula wezwanie na nadzwyczajne spotkanie, wraz z innymi kolegami stawiłem się w sali konferencyjnej. Na stole leżał program – zbiór dokumentów wydrukowanych na białym papierze.

– Ten program musi zostać potwierdzony przez Biuro 101 i zwrócony do centrali przed końcem dnia. Na wykonanie zadania mamy pół godziny. Brak czasu na pracę indywidualną, dlatego proponuję, abyśmy wybrali jedną osobę, która przeczyta program całej grupie.

Zazwyczaj każdy pracownik DZF miał prawo wglądu do dokumentów przesłanych do Departamentu przez Kim Dzong Ila. Jeśli jednak omawiano je podczas spotkania, musiały zostać ponownie zapieczętowane i zwrócone do źródła.

Jak przypuszczaliśmy, program wyglądał niekorzystnie. Niepokojący był przede wszystkim ton odpowiedzi na północnokoreańską propozycję zapłacenia przez Japonię czterdziestu miliardów dolarów reparacji wojennych. Korea Północna twierdziła, że taka jest wartość zniszczeń wojennych wraz z odsetkami, które narosły od czasów japońskiej okupacji. Japonia odpowiedziała, że Korea Północna jest jej winna pieniądze za wykorzystanie fabryk, linii kolejowych oraz innej infrastruktury wybudowanej przez Japonię – a później nierozebranej – w okresie po wycofaniu się Japończyków z Korei.

Najsilniejszą kartą był jednak argument, że Japonia nie może zapłacić gotówką, ponieważ Stany Zjednoczone miałyby wówczas możliwość wtrącenia się w sprawę pod pretekstem inspekcji funduszy związanych z kwestiami nuklearnymi. Ostatecznie Korea Północna przystała na propozycję pomocy materialnej o wartości 11,4 miliarda dolarów.

Po przyjeździe Koizumiego Kim Dzong Il od samego początku uwikłał się w dyskusję, której sednem było domaganie się przez Japonię przeprosin na szczeblu państwowym za porwania obywateli japońskich przez Koreę Północną. Tak jak ostrzegał DZF, Kim wpadł w pułapkę: musiał zaangażować się w „konstruktywny" dialog wymagający prawdziwych – a nie strategicznie symulowanych – ustępstw.

Z jego perspektywy to, co najgorsze, miało miejsce po pierwszej sesji porannej. W sali japońskiej delegacji założono podsłuch. Podczas przerwy usłyszano więc, jak jeden z Japończyków stanowczo skrytykował niechęć Korei Północnej do złożenia państwowych przeprosin za porwania i zaproponował Koizumiemu opuszczenie Pjongjangu bez udziału w kolejnych sesjach. O rozmowie poinformowano Kim Dzong Ila, który musiał się przestraszyć, że zagrożony jest zastrzyk tak bardzo potrzebnej waluty. To, co stało się później, zszokowało wszystkich.

Podczas popołudniowej sesji Kim Dzong Il spontanicznie przeprosił za porwania. Był to jedyny przypadek w jego życiu, kiedy publicznie wygłosił przeprosiny. Po stronie północnokoreańskiej nikt wcześniej nie słyszał, żeby Kim pod wpływem impulsu wypowiadał się w taki sposób, i nigdy się to już nie powtórzyło. Chcąc ograniczyć straty, partyjny Departament Propagandy i Agitacji natychmiast podał do publicznej wiadomości informację, że Kim Dzong Il „potwierdził" porwania. Nie miał jednak kontroli nad japońskimi mediami, które prędko doniosły, że Kim „złożył przeprosiny".

W języku koreańskim jest takie powiedzenie: „Ten, kto ma ciasto, nie zamierza się nim dzielić, ale ten drugi już rozkłada

sztućce”. Kim Dzong Il marzył o modernizacji kraju dzięki dwutorowej kolei, która miała stanowić główny element planu gospodarczej rekonstrukcji. Nienawidził bowiem jednotorówki położonej przez Japończyków i chciał się „uwolnić” od tej pamiątki japońskich rządów kolonialnych. Jednocześnie Departament Propagandy i Agitacji zintensyfikował propagandę antyjapońską we wszystkich mediach, podkreślając cierpienia Koreańczyków w czasach okupacji.

Tak oto wyglądało tło zlekceważenia rad DZF przez Kim Dzong Ila. Aby zaznaczyć swoją władzę, harmonogram szczytu przygotowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych przesłał nam w ostatniej chwili, co stanowiło przykładną reprymendę za to, że w swojej arogancji ośmieliliśmy się go skrytykować. Odebraliśmy to jako wyraźne ostrzeżenie, ponieważ zazwyczaj ufał Departamentowi we wszystkich aspektach dotyczących dyplomacji oraz kontaktów Korei Północnej ze światem zewnętrznym. W wyniku trwających przez dziesięciolecia nerwowych gier, opartych na taktyce nacisków i ustępstw, DZF stał się doskonale zorganizowaną, niemającą sobie równych organizacją, której misja polegała na stworzeniu jak najlepszych warunków do zapewnienia, że wszelkie „kontakty” oraz „dyplomacja” prowadzone będą w sposób korzystny dla partii. W świetle tej wyjątkowej relacji opartej na zaufaniu, konieczność odwołania się do harmonogramu opracowanego przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych była dla DZF czymś upokarzającym. Mimo to obawialiśmy się, że perspektywa otrzymania pomocy w wysokości 11,4 miliarda dolarów amerykańskich zaślepi Kim Dzong Ila, nie pozwalając mu dostrzec długotrwałych konsekwencji.

Ostatecznie szczyt we wrześniu 2002 roku, którego kulminacją były przeprosiny Kim Dzong Ila, okazał się dla niego katastrofą na każdej możliwej płaszczyźnie. Kiedy niesłychane wiadomości rozeszły się po Japonii oraz poza jej granicami, pod znakiem zapytania stanęły miliardy dolarów pomocy, a także los Jochongryonu, funkcjonującego jako zagraniczna placówka oraz

północnokoreański sejf walutowy w Japonii. W geście dobrej woli Kim Dzong Il pozwolił piątce porwanych Japończyków odwiedzić ojczysty kraj, ale to nie pomogło. Na domiar złego cała piątka odmówiła powrotu do Korei Północnej. Kim Dzong Il wpadł w gniew i zapowiedział, że za jego życia nie dojdzie do dalszych szczytów z Japonią, chyba że ta zapłaci mu sumę, której żądał. Potwierdził zasadę, że „demokracja jest operacją kontrwywiadowczą”, i pozbawił Ministerstwo Spraw Zagranicznych prawa do uczestnictwa w jakichkolwiek działaniach dyplomatycznych związanych z porwaniami. Kontrola nad tymi kwestiami wróciła do DZF.

5
Północnokoreańskie kobiety sprzedawane jako „świnie”

Kiedy skończyłem opisywać Strategię Niesienia Ziaren, pan Shin siedział nachylony i bacznie mnie słuchał. Od pierwszego spotkania zachowywał dość protekcjonalny dystans, ale po mojej opowieści chyba złagodniał. Zupełnie jakby chciał się nam po raz pierwszy przedstawić, powiedział, że ma trzydzieści dwa lata i urodził się w Yanji. Od pięciu lat pracował jako pośrednik, który pomaga uchodźcom z Korei Północnej uciec z Chin. Pochwalił się, że dysponuje kontaktami w południowokoreańskiej agencji wywiadowczej. Dodał, że chińskie władze obserwują każdego, kto pracuje z północnokoreańskimi uchodźcami, i dlatego już kilka razy musiał się przeprowadzać.

Mówiąc to, zerknął na żonę. Częste przeprowadzki tłumaczyły, dlaczego w mieszkaniu zupełnie brakowało rzeczy osobistych, choć należało ono do nowożeńców budujących wspólne życie. Teraz pan Shin chciał się osiedlić w Korei Południowej i tam znaleźć stabilizację, nawet gdyby musiał wykonywać niewdzięczną pracę. Westchnął, a ja miałem wrażenie, że w jego rękach wciąż nie jesteśmy bezpieczni. Nabrałem nieco większego zaufania, kiedy usłyszałem, że jego żona pochodzi z północnokoreańskiej prowincji Hamgyong Północny, ale Young Min nadal wydawał się nieprzekonany.

– Śniadanie gotowe! – oznajmiła pani Shin z sąsiedniego pokoju.

Gdy tylko do niej dołączyliśmy, zawołałem, że cudownie poznać kogoś z Korei Północnej. Obaj z Young Minem z ciekawością wypytywaliśmy o jej historię i rodzinne miasto. Twarz pani Shin pozostała jednak bez wyrazu, jakby kobieta nie rozumiała, dlaczego robimy taką sprawę z jej przeszłości. Życzyła nam tylko smacznego, a potem zamilkliśmy.

Przyniosła parujący ryż oraz potrawkę z tofu w oliwie z czerwonym chili. Pałeczki i łyżkę ułożyła starannie obok naczyń. Nawet jeśli z pozoru wydała się trochę nieprzyjazna, wyraźnie widziałem, że jest serdeczną kobietą. To był pierwszy porządny domowy posiłek od czasu przekroczenia rzeki, więc natychmiast chwyciłem łyżkę. Dopiero wtedy zauważyłem, że niski stolik nie wystarczy dla czwórki dorosłych i że zastawiono go tylko dla trzech osób. Jeszcze jedna miska oraz pałeczki leżały na podłodze w części kuchennej. Pani Shin już przy nich usiadła. Zanim zdążyłem ją poprosić, by do nas dołączyła, włożyła do ust łyżkę ryżu.

– Chodźcie, zjedzmy tam wszyscy! – zawołał Young Min.

Pani Shin spuściła wzrok i odwróciła się plecami. Korea Północna jest patriarchalnym społeczeństwem, które od feudalnego konfucjanizmu przeszło bezpośrednio do dynastycznych rządów Kimów. Los kobiet jest tym gorszy, im bardziej na północ oddalimy się od Pjongjangu, a chłód i surowy klimat czynią ich prace domowe jeszcze trudniejszymi. Zawstydził mnie jednak ten przykład północnokoreańskiego prowincjonalizmu na obcej ziemi. Pan Shin również westchnął i powiedział, że muszą kupić większy stół. Aby przykryć zażenowanie, zaczął szczegółowo wyjaśniać, że kiedy przychodzą goście, to brakuje miejsca. Byłem jednak wdzięczny temu człowiekowi, że ożenił się z miłości z biedną Północnokoreanką, i bardziej go szanowałem.

Pan Shin skończył jeść jako pierwszy, wstał i włożył płaszcz. Schował do koperty nasze zeznania, fotografie oraz kopie dokumentów tożsamości, a potem rzekł:

– Czasami chińskie władze sprawdzają pocztę. Dlatego osobiście zaniosę to przewoźnikowi, który popłynie do portu Incheon w Korei Południowej. W ciągu pięciu dni zadzwonią albo odwiedzą nas Koreańczycy z Południa. Wtedy pojedziecie do Seulu.

Przed wyjściem z domu odwrócił się do nas i powiedział, że w Korei Południowej w takich chwilach niepewnej nadziei woła się *Pa-ee-ting!* – co po koreańsku znaczy: „Walczymy!". Wymieniliśmy z Young Minem spojrzenia, zawołaliśmy: *Pa-ee-ting!* i przybiliśmy sobie piątki. Chcieliśmy powtórzyć okrzyk, ale pierwsza odezwała się żona pana Shina.

– Uważaj! – ostrzegła męża.

Po mniej więcej trzech godzinach zabrzmiał dzwonek do drzwi. Pan Shin jeszcze nie wrócił, więc wzdrygaliśmy się na każdy niespodziewany dźwięk. Przed otwarciem drzwi pani Shin spojrzała przez wizjer. Nawet to nas zdenerwowało, a kiedy odsuwała rygiel, bałem się, że wpuści do domu kłopoty. Gdy tylko drzwi się otworzyły, rozległ się harmider; parę kobiet zzuło buty i weszło do mieszkania. Wyglądało na to, że wszystkie tanio kupiły ubrania w tym samym sklepie. Miały na sobie liche palta z tandetnym żółtym suwakiem. Jedna trzymała na plecach dziecko. Z silnym północnym akcentem podobnym do akcentu pani Shin poprosiły, żeby prędko zamknęła drzwi. Powiedziały, że dziś wszędzie jest policja i że o mało ich nie zatrzymała.

Gdy tylko nas zauważyły, zamilkły. Pani Shin zawołała zza nich, zasuwając rygiel:

– Nie martwcie się, to Koreanki z Północy, znajome mojego męża.

Trochę się zaniepokoiłem, że nieostrożnie zdradza naszą tożsamość.

Po przybyciu kobiet, a wraz z nimi ich rozmów, wycofaliśmy się z Young Minem do małego pokoju i zamknęliśmy drzwi. Byłem ciekaw, co mówią, ale przez silne akcenty i często wtrącane chińskie słowa prawie nic nie rozumiałem.

Pan Shin wrócił godzinę później. Najwyraźniej dobrze znał te kobiety, ponieważ na jego widok bardzo się ożywiły, on jednak natychmiast je opuścił. Wszedł do naszego pokoju i oddał nam dokumenty.

– Jak poszło? Udało się wysłać nasze papiery? – zapytałem, gdy tylko się pojawił.

– Tak, wysłałem wszystkie kopie – odpowiedział.

Najbardziej uspokajające nie były jednak jego słowa, ale pewny siebie uśmiech. Spytałem, kim są kobiety w sąsiednim pokoju. Pan Shin upewnił się, że zamknął za sobą drzwi, a dopiero potem nachylił się i powiedział cicho:

– To ofiary handlu ludźmi, którym udało się uciec.

– Handlu ludźmi? Co to znaczy? – zapytał Young Min. Ja byłem równie ciekawy.

– W Chinach jest mniej kobiet niż mężczyzn, a czasem w wioskach nie ma ich wcale – odparł pan Shin. – Mężczyźni nie ożenią się, jeśli nie mają pieniędzy. A Chinki podobno są onieśmielające. Pamiętacie cesarzową Cixi, która rządziła tym krajem sto lat temu? Była bardzo sroga. W każdym razie sporo mężczyzn specjalizuje się w porywaniu Koreanek z Północy, które dopiero co przekroczyły granicę z Chinami. W rejonach przygranicznych wielu ludzi mówiących po koreańsku ma koneksje z organizacjami przestępczymi.

– Ale nie Chang Yong? – zapytał Young Min, licząc na odpowiedź przeczącą.

– Nie mówię tego dlatego, że jest moim wujem – odparł pan Shin – ale to naprawdę tylko prosty rolnik, który zna się wyłącznie na uprawie i bydle. Ludzie tacy jak on niczego w życiu nie osiągną – stwierdził obcesowo. – Wam dwóm się poszczęściło. Gdybyście trafili na niewłaściwych ludzi, moglibyście zostać zakładnikami do czasu, aż południowokoreańscy szpiedzy zdobyliby pieniądze na okup.

Przypomniałem sobie minę Chang Yonga, kiedy po drodze do domu teściowej mówił, ile mamy szczęścia, że spotkaliśmy prostego rolnika takiego jak on. Ponieważ siedzieliśmy na

podłodze, pan Shin przysunął się do nas bliżej, a potem mówił dalej:

– Wiecie, jak tu nazywają kobiety z Korei Północnej? – Pokręciliśmy głowami. – Świnie. Na chińskiej wsi świnie są cenne, dlatego w taki sposób mówi się o kobietach. Są oceniane na podstawie wieku i wyglądu. Na „świni" pierwszej kategorii zarabia się dwieście tysięcy wonów, druga kategoria to sto pięćdziesiąt tysięcy, a trzecia sto. Handlarze, którzy robią za pośredników, biorą połowę tej kwoty jako prowizję. Dwieście tysięcy wonów to mniej więcej tysiąc pięćset dolarów. Kobieta sprzedana za taką kwotę przynajmniej trafi do lepszego domu. Te tańsze wywozi się do bardzo odległych gospodarstw albo wydaje się za kalekich mężczyzn, którzy nie mogą sobie znaleźć żony. Przez resztę życia gniją, tutejsza wieś to okropne miejsce. Niektóre skuwa się na noc kajdanami, żeby nie uciekły. Zastanówcie się: rolnik, który kupił sobie kobietę, sporo już zainwestował, a tym Koreankom z Północy jest przecież obce ryzyko, skoro przekroczyły granicę. Myślicie, że by nie uciekły? Owszem, stale uciekają, a ponieważ wszyscy o tym wiedzą, trzyma się je na łańcuchu, przynajmniej do czasu pierwszego dziecka. O ile większość północnokoreańskich kobiet jest sprzedawana, to mężczyźni mogą skończyć na dwa sposoby. Albo zostają przyłapani na spaniu pod gołym niebem i odesłani z powrotem do Korei Północnej, albo, jeśli mają dość pieniędzy i trafią na uczciwego pośrednika, w końcu wyjadą do Korei Południowej. Ale w oczach handlarzy kobiety, które nas odwiedziły, są warte co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy wonów każda.

Słuchałem go i nie mogłem w to uwierzyć. Może lepiej być sprzedaną w małżeństwo niż umrzeć z głodu w Korei Północnej, ale wycenianie ludzi jak świnie to coś ohydnego. A na dodatek te „żony" trzymano na łańcuchu – byłem wstrząśnięty na samą myśl, że mężczyźni z obcego kraju mogą tak traktować nasze kobiety. Jeszcze bardziej wściekły byłem na pośredników zarabiających na tym pieniądze. Największe obrzydzenie brało

mnie zaś na Kim Dzong Ila, który wcale nie wydawał się upokorzony tym, do czego sprowadził kobiety z naszego kraju, i nie obchodziło go to na tyle, by interweniować.

Young Min również był w szoku. Brakowało mu słów, nerwowo położył się na podłodze, a potem znowu usiadł. Zapytał, ile kobiet uwięzionych jest w tej sieci. Pan Shin odparł, że o ile mu wiadomo, w chińskiej otchłani tkwi około stu tysięcy osób z Korei Północnej. Nie potrafiłem uwierzyć, że w Pjongjangu w ogóle nie mówiło się o tak poważnej sytuacji.

Odrobinę uchyliły się drzwi i do pokoju wetknęła głowę kobieta z farbowanymi kasztanowymi włosami.

– Jesteście z Pjongjangu? – zapytała. – Koleżanka mówiła, że tak. – Potem wróciła za drzwi i szepnęła: – Ty to powiedz, ja nie mogę.

Szturchały jedna drugą, a ja nie rozumiałem, o co im chodzi. Pan Shin odezwał się głośno:

– Alkohol? Chcecie się napić?

– Tak! – odpowiedział mu chór głosów i w końcu wspólnie zjedliśmy zakrapiany lunch.

W małym chińskim mieszkaniu pana Shina było teraz pięcioro Koreańczyków z Północy. Na początek kolejno się przedstawiliśmy. Kobieta, która otworzyła drzwi naszego pokoju, powiedziała, że pochodzi z Chongjinu. Ta obok niej była z Hamheungu. Dodaliśmy do tej listy Sariwon, Pjongjang i Yanji, a potem wznieśliśmy toast za nasze domy. Wypiliśmy trzy butelki mocnego chińskiego alkoholu, zagryzając tylko kiszoną kapustą i resztkami tofu, ale w tym towarzystwie była to cudowna, obfita uczta.

Może dlatego, że byliśmy obywatelami Korei Północnej i łączył nas status uchodźców, rozmowa szybko zeszła na to, w jaki sposób udawało nam się nie rzucać w oczy i ukrywać przed chińskimi władzami. Kobiety zgadzały się co do tego, że ważny jest nowy kolor włosów. W Korei Północnej, ze względu na silną pozycję idei czystości etnicznej, wszyscy mają czarne włosy, dlatego pierwszą rzeczą, którą robią kobiety po

przekroczeniu granicy, jest przefarbowanie ich na inny kolor. Dzięki temu czują się jak ktoś ze świata zewnętrznego, a nie jak północnokoreański uciekinier. Przestają rzucać się w oczy. Dopiero wtedy zauważyłem, że wszystkie w tym mieszkaniu rzeczywiście mają włosy w różnych odcieniach brązu. Również ta z dzieckiem, która właśnie położyła je spać i wróciła do pokoju. Kiedy Young Min stwierdził, że z jaśniejszymi włosami przypominają mieszkanki Zachodu, uśmiechnęły się, dumne ze swej charakteryzacji.

Uchodźców często bardziej boli to, czego nie możemy wziąć ze sobą, niż to, od czego uciekamy. Dlatego gdy zaczęliśmy rozmawiać o domu, wszyscy mówili i słuchali z powagą. Kiedy każdy skończył swą historię, wznieśliśmy toast za pamięć bliskich pozostawionych w domu. Potem przyszła kolej na najmłodszą z kobiet, tę z dzieckiem. Nic jeszcze nie mówiła, więc Young Min – być może chcąc jej to ułatwić – zadał pytanie:

– Nie było cię, gdy każdy opowiadał o sobie. Ile masz lat?

– Szesnaście – padła cicha odpowiedź.

Young Min rzeczywiście domyślał się, że jest młoda, i nalegał, żeby nie piła zbyt wiele, ale stale sączyła ze swojego kubka i miała już zarumienione policzki.

– Masz szczęście, że udało ci się uciec z siostrzyczką – powiedział. – Gdzie wasza matka?

Na pewno nie zastanawiał się, co mówi, ale dziewczyna zmrużyła oczy, rzuciła mu ostre spojrzenie i cmoknęła ze złością. Napełniła plastikowy kubek *soju* i opróżniła go jednym haustem.

Young Min próbował się wytłumaczyć:

– Przepraszam, rozumiem, że waszej matce nie udało się przekroczyć granicy razem z wami. Mam nadzieję, że jeszcze ją zobaczycie…

Zanim zdążył dokończyć, dziewczyna rzuciła pustym kubkiem przez pokój.

– Zamknij się, gnoju! – krzyknęła.

Opadły nam szczęki. Cóż zrobił Young Min, żeby wywołać taką reakcję? Jeszcze bardziej zdezorientowało mnie to, że

oprócz nas dwóch pozostałe osoby milczały, odwracając wzrok.

Gdy Young Min rozglądał się wkoło, usiłując zrozumieć, o co tu chodzi, dziewczyna znów na niego krzyknęła:

– To ja jestem matką! Lepiej się z tym czujesz? To dziecko nie jest moją siostrą, tylko moją córką. I co? Jestem dziwadłem? Moja córka jest dziwadłem?

Young Minowi pałeczki wypadły z ręki. Ona potrzebowała matczynej miłości, a tymczasem sama okazała się matką z malutkim dzieckiem, a do tego uciekinierką, chociaż miała dopiero szesnaście lat. Tak jakby rozpaczała nad sobą właśnie z tego powodu, nagle złapała panią Shin za rękę i zaczęła płakać.

– Co ja zrobię? – łkała. – Wczoraj byłam w szpitalu. Znajoma mnie zaprowadziła. Wiecie, co mi powiedział doktor? Nie wiem, co robić… – Nie potrafiła dokończyć zdania i dwukrotnie uderzyła się w pierś. Pani Shin nalała jej wody. Dziewczyna wypiła łapczywie, a potem mówiła dalej. – Mojej małej Jung Hyun nie mogą wyleczyć oczu. Do końca życia będzie ślepa. I wiecie, co jeszcze powiedzieli? Pytali, czy coś się stało, kiedy byłam w ciąży, czy uderzyłam się w brzuch albo upadłam.

Spojrzałem jej w oczy, teraz przejrzyste i jasne od łez. Jej bladoróżowe wargi drżały. Tym razem to ja podałem jej wodę. Jakby zapomniała, gdzie jest, podniosła wzrok i powiedziała do sufitu:

– Straciłam przytomność. Kiedy ten sukinsyn mnie kupił, miałam czternaście lat. O niczym nie miałam pojęcia. Zaczął ściągać ze mnie ubranie. Ten podstarzały potwór. Wiecie, co się stało tamtego dnia? Rozpłakałam się ze strachu. A potem do pokoju weszły te wiedźmy, jego matka i siostra. Trzymały mnie za ręce i nogi, ściągnęły mi majtki. – Dziewczyna zaczęła się trząść. Wyła, ściskając ramię pani Shin. – A potem, rozumiecie… tak zwana teściowa i tak zwana szwagierka, one mnie trzymały, a ten stary potwór… wiecie co… na ich oczach. – Pani Shin z oczami mokrymi od łez, zaciskając wargi, mocno ją objęła. – Wtedy straciłam przytomność. Potem moja Jung Hyun, moja

biedna Jung Hyun, urodziła się ślepa. Przez tego pieprzonego potwora.

Próbowałem przegnać łzy, które napływały mi do oczu. Wreszcie nie mogłem ich już powstrzymać. Young Min wypił swój kubek *soju* i również przestał nad sobą panować. Pani Shin zaprowadziła nastoletnią matkę do pokoju, w którym spaliśmy. Słychać było wyłącznie łkanie pozostałych kobiet. To dziecko miało dopiero szesnaście lat. Ile jeszcze było osób takich jak ona, zapomnianych przez świat? Jakże straszny był ich żywot. Gdy reszta kobiet zaczęła się otwierać i opowiadać swoje historie, jeszcze bardziej ścisnęło mnie w sercu.

– Jej przynajmniej udało się wyrwać – powiedziała kobieta z Chongjinu, która przedstawiła się jako pierwsza. – Znam dziewczynę z moich stron, która też uciekła przez rzekę. Sprzedali ją rodzinie z chińskiej wioski. Tam była trzymana w zamknięciu i wykorzystywana przez wszystkich mężczyzn z rodziny. Jednego dnia pastwił się nad nią teść, drugiego szwagier, wszyscy z nią spali. Więc teraz nawet nie wie, kto jest ojcem jej synka, czy to mąż, teść, czy szwagier. Potem za pieniądze dopuszczali do niej innych mężczyzn z wioski. Na szczęście znalazł się jeden porządny, który pomógł jej uciec. Tu, w Chinach, jest dużo „ciemnych dzieci" porzuconych przez północnokoreańskie kobiety. Ponieważ ich matki są z Korei Północnej, nie mają żadnych praw, a Chiny nie uznają ich narodzin. Nie mogą chodzić do szkoły i tak dalej, więc żyją na ulicach. Właśnie dlatego mówi się o nich „ciemne dzieci".

Kobieta z Hamheungu, aż do tej chwili pogrążona w bólu, wzięła głęboki oddech, jakby nie mogła uwierzyć, że historię, którą zaraz opowie, przeżyła sama.

– Miałam nie mówić, co mnie spotkało, ale zanim zostałam sprzedana, więził mnie pośrednik. Oprócz mnie było jeszcze szesnaście innych kobiet. Powiedział, że możemy zarobić, pracując przy komputerze, ale okazało się, że chodzi o sex-chat. Zmuszał nas do rozbierania się przed kamerą. Kiedy się opierałam, zagroził, że zgłosi mnie władzom. Dalej się

sprzeciwiałam, więc mnie pobił. Pracowałyśmy od rana do wieczora, ale po sześciu miesiącach zebrało się dla nas tylko ze sto dolarów zarobku. Pośrednik mówił, że wyżywienie nas jest drogie. Poza tym jako Koreanki z Północy bez legalnej tożsamości nie możemy tu otwierać kont bankowych. Dlatego twierdził, że sam trzyma nasze zarobki w banku i wypłaci je nam z odsetkami. Ale w końcu nie zobaczyłam nawet tych stu dolarów. Powiedział, że stracił je na jakimś interesie. Zarabiał na nas około roku, a potem chciał nas sprzedać jako świeże uchodźczynie, które właśnie przekroczyły granicę. Groził, że nas zabije, jeśli się nie zgodzimy. I naprawę wiedziałam, że to zrobi. Ta świadomość dała mi dość determinacji, żeby uciec. A potem tu, na ulicach, poznałam moje koleżanki. Jedziemy do Tiencinu, może znajdziemy pracę w restauracji. Podobno tam jest dużo Koreańczyków. Może spotkamy kogoś, kto pomoże nam wyjechać do Korei Południowej.

Young Min miał oczy czerwone od alkoholu i z gniewu. Zasugerował, że może lepiej wrócić do domu, niż znosić takie upokorzenia w Chinach.

– Czy pan naprawdę jest z Korei Północnej?! – zapytała jedna z kobiet, zdumiona, i dodała, że chociaż pewnie przeżyłaby głód, to nie mogłaby wrócić do tego okrutnego kraju.

Dołączyły się pozostałe, cmokając z dezaprobatą.

Kobieta z Hamheungu, która wydała mi się najbardziej zamknięta w sobie, zaczęła nerwowo strzykać palcami i odezwała się wzburzona:

– Wielu uchodźców w Chinach doświadczyło repatriacji. Ci z nas, których odesłano z powrotem, zwykle próbują uciec jeszcze raz, bo zdążyli poznać świat po drugiej stronie granicy. Wie pan, co się dzieje podczas repatriacji? Nawet kajdanki są inne. Tutaj, w Chinach, są nowe i błyszczące, ale wymieniają je zaraz po przekroczeniu Mostu Przyjaźni na rzece Yalu. Północnokoreańskie kajdanki są zardzewiałe i obrzydliwe. Poza tym, chociaż Chińczycy to obcokrajowcy, są bardziej ludzcy od naszych. Przed moją repatriacją jeden z chińskich

funkcjonariuszy nawet mnie przeprosił i dał mi sto yuanów. Ci w Korei Północnej są bezlitośni. Zebrali wszystkie kobiety razem, rozebrali nas i grzebali nam palcami w pochwach. Wiecie, szukali ukrytych pieniędzy i tak dalej. Ciężarne kobiety traktowali jak zwierzęta. Kiedy mnie złapano, była wśród nas taka w siódmym miesiącu. Północnokoreańscy funkcjonariusze powiedzieli, że nosi w sobie bękarcie chińskie nasienie, a potem zaczęli ją kopać w brzuch, aż zemdlała. Umarła. A kiedy po przyjęciu przewożą cię do więzienia, to wtedy naprawdę chcesz się zabić. Nie dają ci spać przez wiele dni, biją cię i przesłuchują, żeby się dowiedzieć, czy nie zamierzałeś uciec do Korei Południowej albo do Ameryki. Jeśli podejrzewają, że tak, to wysyłają cię do prawdziwego obozu koncentracyjnego, a nie do zwykłego obozu pracy z trzyletnim wyrokiem. Ale nawet w obozie pracy trudno przeżyć i nie nabawić się trwałego kalectwa. Nie mogłam znieść myśli, że trafię w któreś z tych miejsc, więc połknęłam spinkę do włosów, żeby się zabić. Sukinsyny zabrały mnie do szpitala, gdzie usłyszałam, jak ktoś mówił, że skoro mam taką siłę woli, to na pewno zamierzałam wyjechać do Korei Południowej, więc gdy tylko dojdę do siebie, przed procesem trzeba mnie wysłać na pół roku odosobnienia. W nocy, kiedy słabo pilnowali, udało mi się uciec i znowu przejść przez rzekę. Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Musieli mi rozciąć brzuch, żeby wyciągnąć spinkę, a potem zaszyli mnie z powrotem. Chociaż rana znów się otworzyła, to nie czułam bólu. Naprawdę, ani trochę.

Słuchając tych historii, w myślach wyraźnie widziałem każdą scenę i wyobrażałem sobie, że to mnie wywożą. Potem kobieta, która właśnie skończyła opowiadać, zadała mi pytanie:

– Wy jesteście członkami aktywu z Pjongjangu. Po co uciekliście?

Po jej słowach spoczął na nas wzrok wszystkich osób w pokoju. Każde spojrzenie zdawało się mówić: Ja uciekłam, bo nie miałam wyboru, a was co takiego spotkało?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Pierwszy odezwał się Young Min.

– Wszystkie jesteście z Korei Północnej. Słyszałyście o lustracji, prawda?

– Tak – odpowiedziały.

– No cóż, dyrektorem administracyjnym wydziału zajmującego się tym procederem był mój ojciec.

Kobieta z Chongjinu zamarła w trakcie nalewania sobie kolejnego kubka *soju*. Wydawało się, że nawet płyn zastygł i zmienił się w lód. Wszystkie oczy wpatrywały się w Young Mina, ale na twarzach był nie tylko szok. Nagle każdy w pokoju zdystansował się od niego, jakby mój przyjaciel był czymś groteskowym i przerażającym.

W całej Korei Północnej najdrobniejszą wzmianką o lustracji można by uciszyć płaczące dziecko. Każdy, kto wtedy żył, wie o lustracji Kim Dzong Ila, rozpoczętej w sierpniu 1997 roku, oraz o krwawej masakrze, która nastąpiła potem.

W skwarny letni dzień odbyła się w Pjongjangu egzekucja. Żeby ją obejrzeć, zebrało się kilkaset tysięcy widzów. Jak ogłoszono, skazaniec był obcym szpiegiem. W rzeczywistości jednak przy postawionej pionowo desce – z kończynami i tułowiem obwiązanymi sznurem – stał nie kto inny jak sekretarz partii do spraw rolnictwa Seo Gwan Hui. Jako osoba odpowiedzialna za żywność w kraju został kozłem ofiarnym Kim Dzong Ila, obwinianym za klęskę głodu, która nastąpiła po zapaści Publicznego Systemu Dystrybucji w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Zarzucono mu szpiegostwo na rzecz Ameryki i Korei Południowej. Miał podkopywać północnokoreańską zasadę „samodzielności” w sferze rolnictwa i rzekomo wskutek jego działań rok po roku nie dopisywały plony. Oskarżono go o spowodowanie śmierci głodowej wielu ludzi. Nie został

stracony przez rozstrzelanie. Ukamienował go tłum doprowadzony do histerii.

Aby wykorzystać powszechny szał, który zapanował po tym, jak Seo Gwan Hui został zdemaskowany jako szpieg, rozpoczęto masową czystkę i wypowiedziano wojnę „wewnętrznym szpiegom". Kampania miała czerpać z tych samych rozwiązań, które doprowadziły do skazania Seo. Jednym z zadań nieistniejącego już Ministerstwa Bezpieczeństwa Społecznego był nadzór nad rejestrami prowadzonymi przez państwo. Każdemu obywatelowi Korei Północnej w chwili narodzin przydziela się książeczkę identyfikacyjną. Przez całe życie rejestruje się w niej wszelkie zmiany okoliczności w trakcie pobierania nauki, wkład danej osoby w zakładzie pracy oraz jej zaangażowanie w działalność miejscowej komórki partii. Nawet jeśli ktoś jest bezrobotny, funkcjonariusz odpowiedzialny za dane miejsce zamieszkania oraz urzędnik z ministerstwa wspólnie wystawiają temu komuś ocenę za sprawowanie, więc lata bez adnotacji nigdy nie wchodzą w grę.

Aby „udowodnić" zmowę skompromitowanego sekretarza do spraw rolnictwa z obcymi agencjami wywiadowczymi, Ministerstwo Bezpieczeństwa Społecznego stwierdziło, że puste miejsca w książeczce identyfikacyjnej Seo pokazują, kiedy wyjechał z kraju na tajne szkolenie w Ameryce. W rzeczywistości trzy nieopisane miesiące odzwierciedlały okres w jego życiu, który przypadł na chaos wojny koreańskiej na początku lat pięćdziesiątych.

Ponieważ dowody przestępstwa pozyskano wskutek zlustrowania książeczki identyfikacyjnej, zapoczątkowano trafnie nazwaną kampanię – lustrację. Jej eskalacja doprowadziła do tego, że zlustrowany musiał zostać każdy posiadacz książeczki identyfikacyjnej sięgającej czasów wojny koreańskiej. Centralą działań było Ministerstwo Bezpieczeństwa Społecznego, a jego lokalne oddziały utworzyły w całym kraju specjalne Biura Lustracyjne. Ojca Young Mina, Hwang Jin Thaeka, który kierował Ministerstwem Bezpieczeństwa Społecznego, wyznaczono na

dyrektora administracyjnego wydziału, który zajmował się lustracją. Dyrektorem politycznym został Choe Mun Deok.

Aby skonsolidować władzę ministerstwa i zapewnić niezbędny temat zastępczy w niestabilnych czasach po śmierci Kim Il Songa i w latach masowego głodu, ogólny nadzór nad kampanią lustracji Kim Dzong Il powierzył swemu szwagrowi Jang Song Thaekowi, wówczas wicedyrektorowi Departamentu Administracyjnego partii. Kim Dzong Il chciał w ten sposób przydać wagi Ministerstwu Bezpieczeństwa Społecznego, które dotąd pod względem prerogatyw w zakresie inwigilacji ustępowało Ministerstwu Bezpieczeństwa Państwowego oraz wojsku. Ponieważ słowo Kim Dzong Ila było prawem, a także dlatego że żaden człowiek w Korei Północnej nie miał władzy większej niż on, Kim praktycznie przekazał Ministerstwu Bezpieczeństwa Społecznego nadzór nad inwigilacją, oznajmiając: „Jestem pierwszy w kolejce do waszej kampanii lustracyjnej". W rezultacie Ministerstwo Bezpieczeństwa Społecznego zyskało na znaczeniu i zaczęło dominować zarówno nad wojskiem, jak i nad Ministerstwem Bezpieczeństwa Państwowego.

Moon Song Sul, sekretarz generalny komitetu centralnego Partii Pracy i zgodnie z hierarchią partyjną trzeci co do ważności człowiek w państwie, po Kim Il Songu i Kim Dzong Ilu, stał się pierwszą ofiarą lustracji zleconej przez Kim Dzong Ila. Jako szef komitetu centralnego partii Moon Song Sul był jednocześnie pierwszym wicedyrektorem DOP i sprawował zwierzchność nad najpotężniejszymi ludźmi w kraju, ponieważ ostatecznie wszyscy podlegali temu właśnie ciału. Mimo to jako pierwszy został oskarżony przez Jang Song Thaeka o szpiegostwo, ponieważ wcześniej sam zlecił jego inwigilację z ramienia DOP oraz ograniczył mu wpływy, uzasadniając to jego pochodzeniem z „bocznej gałęzi" rodziny Kimów oraz tym, że stwarza największe zagrożenie zbudowania własnego stronnictwa.

Jang Song Thaek skorzystał z okazji do odwetu: kazał torturować Moon Song Sula i zakatować go na śmierć. Było to

jednak znacznie więcej niż tylko osobisty akt zemsty; przywództwo DOP otrzymało wyraźne ostrzeżenie, że nawet ono nie może liczyć na immunitet, jeśli utraci względy Kim Dzong Ila.

Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego odebrało taką samą przestrogę. W 1998 roku jego pierwszy wicedyrektor Kim Yong Ryong zastrzelił się, kiedy agenci Ministerstwa Bezpieczeństwa Społecznego wpadli do jego gabinetu, żeby aresztować go podczas lustracji.

To właśnie w tym czasie aresztowano również ojca Young Mina, Hwang Jin Thaeka. Zadawał pytania dotyczące ataku na Moon Song Sula, więc Jang Song Thaek uzyskał zgodę Kim Dzong Ila na postawienie mu zarzutów o antyrewolucyjność.

Idąc za przykładem zemsty Jang Song Thaeka, dyrektor polityczny wydziału lustracji Choe Mun Deok postawił w stan oskarżenia o szpiegostwo Seo Yoon Seoka, sekretarza partii na Pjongjang. W ten sposób wziął na nim odwet za to, że wcześniej Seo usunął go ze stanowiska. Zatruta woda spływała na niższe szczeble, gdzie inni, zainspirowani przez swych przełożonych, próbowali w podobny sposób rozwiązać osobiste zatargi. Wskutek powszechnego nadużycia władzy zapewnionej przez program lustracji, wykorzystujący luki we wpisach z czasów wojny koreańskiej, kraj zalało morze krwi. Niemal dwadzieścia tysięcy członków aktywu, wojskowych oraz agentów bezpieczeństwa, a także emerytowanych uczonych, artystów i sportowców zostało straconych bądź zesłanych do obozów koncentracyjnych – a to tylko oficjalne liczby podawane na wykładach Partii Pracy. Prawdziwe skutki były znacznie większe ze względu na zasadę winy przez skojarzenie, zgodnie z którą krewnych i bliskich współpracowników poddawano czystce razem z „kryminalistą”.

Ponieważ zarówno wśród członków aktywu, jak i zwykłych obywateli Korei Północnej narastały niepokój i niezadowolenie, Kim Dzong Il postanowił ostudzić atmosferę, zrzucając winę na samą lustrację. Jego zdaniem pierwszy prokurator Choe Mun Deok, nadużywając urzędu, zasiał w szeregach lustracji

zdradliwe ziarno „żądzy władzy”. Choe Mun Deok osobiście poniósł konsekwencje: został publicznie stracony w lutym 2000 roku. Sześć tysięcy funkcjonariuszy, którzy bezpośrednio mu podlegali, pozbawiono stanowisk w trybie natychmiastowym.

Wtedy ojciec Young Mina odzyskał posadę i z punktu widzenia partii jego reputacja została oczyszczona, ale zmarł w szpitalu dwa tygodnie po wypuszczeniu z więzienia. Young Min mówił, że kiedy patrzył w jego otwarte, lecz pozbawione życia oczy, płakał nie tylko z rozpaczy, ale i poczucia niesprawiedliwości. Ojciec przez całe życie był lojalny wobec partii; a jednak w ostatnich chwilach musiał wpatrywać się w pusty sufit, nie mogąc spojrzeć na swoich najbliższych. Kiedy Young Min zamknął mu oczy, drżenie dłoni było jedyną oznaką emocji, której pozwolił wyrwać się z serca.

Gdy skończył opowiadać tę historię, północnokoreańskie kobiety, dobrze znające lustrację, przez chwilę milczały. Tylko pan Shin, który całe życie spędził w Chinach, nie mógł w to uwierzyć.

– Więc mówicie, że te brutalne masowe czystki miały miejsce w roku dwutysięcznym? W dzisiejszym świecie, a nie w jakiejś książce historycznej? Niemożliwe.

Kobiety z Hamheungu i Chongjinu opowiedziały, że lustracja spustoszyła ich rodzinne miejscowości niczym tsunami. Strach i podejrzliwość do tego stopnia zapanowały w całej Korei Północnej, że nawet zwykłą ciężarówkę rutynowo dostarczającą żywność brano za wóz transportujący kolejnego krewnego ofiary lustracji do obozu koncentracyjnego. Pani Shin opisała przemoc i anarchię, jakie zapanowały w jej mieście w następstwie tej krwawej kampanii. Gdy Kim Dzong Il publicznie to potępił, lokalnego działacza odpowiedzialnego za prowadzenie lustracji ciemną nocą skatowano na śmierć.

Kiedy podobne incydenty zaczęły się powtarzać w wielu miejscach, i to nie tylko pobicia, ale również morderstwa na agentach służby bezpieczeństwa, Kim Dzong Il zlecił Partii Pracy przygotowanie serii obowiązkowych wykładów, które miały

zostać wygłoszone w całym kraju. Zgodnie z pisemnymi materiałami do tych wykładów Ministerstwo Bezpieczeństwa Społecznego miało zmienić nazwę na Ministerstwo Bezpieczeństwa Ludowego, ponieważ powinno „strzec bezpieczeństwa ludu, a nie ciemiężyć społeczeństwo”. Twierdzono, że Kim Dzong Il własnoręcznie wpisał nową nazwę ministerstwa z miłości dla swego ludu. Wierzył, że w ten sposób można wymazać negatywne konotacje z ministerstwem kojarzonym z lustracją.

Kim bynajmniej na tym nie poprzestał, jeśli chodzi o wykorzystanie teatru politycznego do rozwiązania tej kwestii. Korzystając z prerogatyw naczelnego wodza, zlecił wypuszczenie ofiar lustracji przetrzymywanych w obozach koncentracyjnych, żeby „oddać sprawiedliwość” licznym osobom skazanym pod fałszywymi zarzutami. Aby zmaksymalizować efekt radości więźniów, kiedy dowiedzą się o uwolnieniu, nakazał nie informować ich o tej decyzji aż do momentu, gdy znajdą się w partyjnej sali wykładowej, gdzie widownia na własne oczy obejrzy ich szczere szczęście. Ta taktyka miała jednak fatalne skutki, a partyjne audytorium zmieniło się w publiczny sąd, w którym zeznawano przeciwko despotyzmowi. Nieszczęsnych więźniów zwożono z obozów ciężarówkami i zaganiano do sali wykładowej. Nawet po ogłoszeniu decyzji naczelnego wodza Kim Dzong Ila o uwolnieniu sądzili, że to okrutny wstęp do egzekucji. Jeden błagał o życie, inny zakrztusił się krwią i zemdlał, wierząc, że czeka go śmierć. Kilku rzeczywiście stracono, ponieważ w obecności widowni przeklinali Kim Dzong Ila.

Czcze słowa również pod innymi względami nie mogły zmazać tragedii dotykającej ofiary lustracji. Ludzi, którzy sami uniknęli sądu, kiedy ich małżonek został skazany, zmuszono do rozwodu. Część z nich zdążyła ponownie wziąć ślub, inni popełnili samobójstwo. Niektóre ofiary odkryły, że ich domy i dobytek przypisano komu innemu, więc wylądowały na ulicy. Kim Dzong Il wydał wówczas rozkaz regionalnym komitetom partii, żeby takim osobom zapewniono tymczasowe

zakwaterowanie, a także ryż oraz olej do gotowania. Ten fakt posłużył partyjnemu Departamentowi Propagandy i Agitacji do zapoczątkowania masowych kampanii propagandowych, w których przywództwo Kim Dzong Ila opisywano jako „wszechogarniające swój lud niczym niebiosa”. Zrezygnowano w ten sposób z poprzedniego sloganu o „silnym przywództwie”.

6
W rozterce

Z kobietami z Korei Północnej spędziliśmy tylko jedno popołudnie, ale choć był to czas krótki, to także nadzwyczaj istotny. W tych kilku godzinach zmieściliśmy wszystkie nasze indywidualne doświadczenia życia w Korei Północnej, podzieliliśmy się nimi i nie musieliśmy dłużej tłumić ich w sobie. Przede wszystkim zaś dzięki rozmowom z tymi kobietami Young Min i ja upewniliśmy się, że kłamstwa, na których opierała się tyrania Kim Dzong Ila, nie mogą wiecznie pozostać nieznane. Gdy przebywaliśmy wewnątrz systemu, jego absolutna władza wydawała nam się jedynym i najpotężniejszym przejawem prawdy w świecie. Jakże bezwzględna i wynaturzona była jednak władza, która ścigała nas jeszcze poza granicami swoich bezpośrednich wpływów.

Dopiero wtedy, patrząc z zewnątrz, zrozumiałem, że taka władza nie może należeć do silnego człowieka. Ona była paroksyzmem złości człowieka pokonanego, człowieka opuszczonego nie tylko przeze mnie i Young Mina, ale również przez te właśnie osoby, które postrzegał jako bezwartościowe i słabe, tak jak te kobiety, mające za sobą najgorsze z upokorzeń.

Kolejną ważną lekcją, którą wyniosłem ze spotkania z nimi, była lekcja odwagi. Ucieczka, moja i Young Mina, zrodziła się z desperacji i poprzestaliśmy na obiecaniu sobie samobójstwa, gdyby nam się nie powiodło. Ale te kobiety, kierowane niezłomną determinacją, gotowe były ponawiać próby ucieczki nawet po zatrzymaniu i odesłaniu do Korei Północnej. W ich przypadku taka determinacja zaowocowała decyzją, żeby

działać, żeby przedostać się do Chin, do Tiencinu. Nie byliśmy odosobnieni w swoim losie.

Kłopot polegał na tym, że choć pan Shin nauczył nas w takich chwilach niepewności wołać *Pa-ee-ting!*, wciąż nic nie wskazywało na to, że ziści się cud, na który liczyliśmy. Nawet kiedy kobiety udały się w dalszą drogę i minął tydzień, odkąd dom słyszał ich głosy, nie otrzymaliśmy z Korei Południowej żadnej odpowiedzi. Z upływem dni również pan Shin ciężko wzdychał. Nie zdradzałem swych wątpliwości, jak długo się dało, ale w końcu musiałem go zapytać, co się dzieje. Ile jeszcze czasu musimy czekać w ukryciu?

Poprosił żonę, żeby poszła kupić wino. Potem usiadł z poważną miną i powiedział:

– Jest pewien człowiek z Korei Południowej, którego nieźle znam. Bardzo go interesują północnokoreańscy uchodźcy i chyba pracuje dla południowokoreańskiej agencji szpiegowskiej.

– Co takiego? „Chyba” pracuje dla agencji? Nie jest pan pewien? – zapytałem.

– A jaki szpieg przyzna się do bycia szpiegiem? Spotykałem się z nim kilka razy i dużo wie o Korei Północnej. Zawsze wypowiada się bardzo ostrożnie, to na pewno. Parę razy płacił mi z góry, prosząc, żebym się z nim skontaktował, jeśli trafię na uchodźców z Pjongjangu. Jeszcze parę dni temu dopytywał się, co u was słychać. Ubrania, które dla was kupiłem, jedzenie, wszystkie moje wydatki do tej pory… to wszystko z jego pieniędzy. Właśnie dlatego po zakupach zrobiłem wam zdjęcia i wysłałem mu razem z kopiami dokumentów. Ale dziwne jest to, że nie mogę się już z nim skontaktować. Kiedy dzwonię na jego komórkę, mówią, że numer nie istnieje.

Cała moja nadzieja w jednej chwili prysła. Osoba, w której pokładaliśmy ufność, kontakt pana Shina, a nasz zbawiciel, mogła być tylko mirażem. Pan Shin nie był nawet przekonany o jej tożsamości i nie mieliśmy gwarancji, że ten ktoś w ogóle pracuje dla Korei Południowej. Czekaliśmy na cud ze strony nieznanego człowieka. Pożałowałem, że zadałem to pytanie –

niewiedza byłaby lepsza od nowej niepewności. Nie tyko nasza przyszłość, ale nawet cuda, które dotychczas nam towarzyszyły, teraz wydawały się bez znaczenia.

Czy nie było innego rozwiązania? Dlaczego tak trudno dostać się do kraju, w którym żyją nasi rodacy, Koreańczycy? Pan Shin wyjaśnił, że istnieją inne drogi do Korei Południowej, przez Wietnam, Mongolię lub Tajlandię, ale to jeszcze bardziej nas przybiło. Przedostając się przez granicę do Yanji, już kilkakrotnie otarliśmy się o katastrofę – jakże jechać dalej w tak daleką drogę, jak pokonać jeszcze tyle granic? Ostatecznie problemem były pieniądze. Pan Shin przypomniał, że są potrzebne, żeby zostać tu dłużej – a także by wyruszyć w każdą podróż.

Young Min przeprosił nas i poszedł do naszego pokoju. Przyniósł kopertę z kartką, na której był adres jego krewnego. Gdy pan Shin go przeczytał, oczy mu się zaświeciły. Z miną, która skojarzyła mi się z jego wujem Chang Yongiem, zawołał, że ten krewny musi być bardzo bogaty. Niezwłocznie wyjął telefon i wybrał jakiś numer. Mówił po chińsku, więc nic nie zrozumiałem, ale jego wyraz twarzy nie pozostawiał wątpliwości co do przebiegu rozmowy. Gdy się rozłączył, nie potrafił ukryć podniecenia. Od razu zaczął tłumaczyć:

– Mam znajomego reportera z Telewizji Yanbian. Powiedział, że jeśli ci ludzie to naprawdę twoi krewni, nie powinno być trudności z przewiezieniem was do Korei Południowej. W zasadzie to ja też chyba słyszałem to nazwisko. Tę kobietę opisują w chińskich podręcznikach jako antyjapońską bohaterkę. A jej dzieci mają także ziemię w Shenyangu. To naprawdę twoja rodzina?

W Korei Północnej antyjapońskie doświadczenia Kim Il Songa są znacznie wyolbrzymiane. Wpaja się je każdemu obywatelowi niczym religijne dogmaty. Co więcej, rzekomo byli wobec niego lojalni wszyscy słynni etnicznie koreańscy bojownicy antyjapońscy. W chińskich podręcznikach, w których Koreańczycy uznawani są za mniejszość etniczną, chwali się ich jako „antyjapońskich bohaterów” koreańskiego pochodzenia,

podczas gdy w podręcznikach północnokoreańskich uchodzą za „lojalnych towarzyszy Kim Il Songa”, którzy szli w jego ślady.

Odpowiedziałem, że nawet w Korei Północnej babka Young Mina jest znana jako ważna postać historyczna. Skoro tak, stwierdził pan Shin, z całą pewnością wyjedziemy stąd do Korei Południowej. Nasze koneksje ekscytowały go jeszcze bardziej niż jego skromnego wuja Chang Yonga. Poprosił nawet, żebyśmy zabrali tam również jego z żoną. To wtedy dowiedziałem się, że etniczny Koreańczyk z Chin, po uznaniu za legalnego małżonka uchodźcy z Korei Północnej, może ubiegać się o obywatelstwo południowokoreańskie. Pan Shin, który oceniał nasze szanse o wiele bardziej optymistycznie niż my sami, stwierdził, że powinniśmy odwiedzić rodzinę Young Mina jeszcze tego wieczoru.

Young Min ochoczo włożył kurtkę, ja jednak nie podzielałem jego entuzjazmu. Obecnie policja na pewno obserwowała dom jego krewnych przez całą dobę. Young Min przekonywał, że południowokoreański kontakt nie odezwał się od dziesięciu dni, a jego numer nie odpowiada – więc nie mamy wyjścia. Przynajmniej opiekował się nami pan Shin, więc postanowiliśmy spróbować.

Shin nalegał, żebyśmy zamówili drogą taksówkę, tak aby policjanci być może obserwujący dom nie nabrali podejrzeń. Po półgodzinie jazdy dotarliśmy pod prywatną rezydencję, która okazała się znacznie bardziej imponująca i podobna do pałacu, niż mogłem sobie wyobrażać. Kłopot polegał na tym, że okolica była jasno oświetlona. Poza tym naprzeciw głównej bramy stał podejrzany prywatny samochód z zapalonymi światłami postojowymi i włączonym silnikiem. Zaproponowałem, żeby objechać dom z drugiej strony. Jednak choć bardzo ostrożnie lustrowaliśmy okolicę, wyglądało na to, że nie da się tam bezpiecznie zbliżyć pieszo.

Ostatecznie postanowiliśmy, że zostaniemy w taksówce, a pan Shin uda się do budynku. Miał ustalić czas i miejsce spotkania, a gdyby rodzina nie wierzyła, że przyszedł w imieniu Young

Mina, przyprowadziłby kogoś na naszą uliczkę. Oddalił się, a my czekaliśmy nerwowo. Mimo chłodu pociły mi się dłonie. Kiedy pan Shin zniknął nam z oczu, zaczęliśmy przeżywać katusze. Young Min chciał jeszcze raz objechać kwartał, ale żaden z nas nie potrafił porozumieć się z taksówkarzem po chińsku.

Po około kwadransie nadbiegł pan Shin wyraźnie spanikowany, mocno przebierając rękami i nogami. Gdy tylko wsiadł do auta, machnął do kierowcy i kazał mu ruszać. Ze strachem w oczach obejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie goni. Young Min i ja kilkakrotnie pytaliśmy, co się stało, on jednak odpowiadał krótko, że powie, kiedy wysiądziemy z taksówki. Nie zatrzymaliśmy się jednak pod jego domem, ale kilka przecznic dalej.

Ledwie znaleźliśmy się na ulicy, odwrócił się do nas ze złością.

– Tu w Yanji wielu ludzi mówi po koreańsku! Nawet niektórzy chińscy taksówkarze, więc co wam miałem powiedzieć, kiedy w kółko pytaliście, co się stało?

Cały się trząsł. Drżącymi dłońmi zapalił papierosa. Zaciągnąwszy się głęboko, nieco się uspokoił i chciał nas poczęstować. Odmówiłem. Najwyraźniej zamierzał nam zakomunikować złe wieści.

– Teraz mnie posłuchajcie – powiedział, a jego głos brzmiał złowróżbnie. – Nawet kiedy się rozdzielimy, niech wam nie przyjdzie do głowy zbliżać się do tego domu. Otoczyła go nie tylko policja. Czekają tu nawet agenci z Korei Północnej, oddział prokuratorski z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. – Gdy tylko usłyszeliśmy o oddziale prokuratorskim z ministerstwa, poczuliśmy na sobie jego cień. – Kiedy zadzwoniłem do drzwi, wyszedł jakiś mężczyzna i przedstawił mi się jako syn. Powiedziałem, że przysłał mnie Young Min z Pjongjangu i wiecie, co on na to? Że nie chce słyszeć o swoim kuzynie, a w ogóle to nic go z tobą nie łączy od czasu śmierci twoich dziadków. Jak morderca śmie go nachodzić w jego domu? Powiedział, że marnujesz czas policji, a teraz on i jego rodzina

stale mają na głowie północnokoreańskich agentów. Masz się tam więcej nie pokazywać, jeśli ci życie miłe, powiedział. Usiłowałem go przekonać, żeby się z tobą spotkał, ale pamiętacie ten samochód naprzeciwko rezydencji? Wysiadło z niego dwóch ludzi i ruszyło w moją stronę. Gdybym w porę ich nie zauważył, w tej chwili siedziałbym w pokoju przesłuchań.

Kiedy go słuchałem, wstrząsnął mną dreszcz. Co by się stało, gdybyśmy poszli tam sami albo gdyby pan Shin dał się złapać? Na myśl o konsekwencjach łomotało mi serce. Bałem się, że tamten samochód nas śledził. Powiedziałem Shinowi, że powinniśmy wrócić do bloku, a potem ruszyłem przed siebie, ale stanąłem jak wryty, kiedy Young Min runął na ziemię i zaczął żałośnie chlipać.

Po powrocie do mieszkania próbowaliśmy go pocieszyć. Teraz nawet rodzina poza Koreą Północną uważała go za mordercę. Było mi go żal, wydawał się taki mały i taki samotny. Pan Shin powiedział, że kuzyn Young Mina zapisał jego numer telefonu, więc może zmieni zdanie i oddzwoni. Chociaż robił, co mógł, żeby okazać współczucie, odnosiłem wrażenie, że nie mówi tego z przekonaniem. Rozpacz Young Mina była oczywista, nie zdjął nawet płaszcza, osunął się tylko po ścianie i usiadł z głową na kolanach.

W sąsiednim pokoju pani Shin strofowała męża.

– Co? Zostawiłeś im nasz numer? A jak go przekażą tym z Korei Północnej? Co ci strzeliło do głowy? Wyłącz telefon i wyjmij kartę!

Słysząc ten hałas, Young Min podniósł głowę, zaraz jednak znowu pogrążył się w depresji. Spędziłem nieznośnie długą noc, najpierw usiłując go uspokoić, a potem na zmianę wybudzając się i pogrążając w koszmarach, w których północnokoreańscy agenci już wtrącili mnie do celi.

Nazajutrz wczesnym rankiem opuściliśmy dom pana Shina. Dłuższe przebywanie tam byłoby niebezpieczne – nie tylko dla

niego, ale i dla żony, która tak jak my była obywatelką Korei Północnej przebywającą w Chinach i mogła zostać poddana repatriacji, gdyby odkryto jej tożsamość. Pan Shin kazał nam nauczyć się na pamięć jego numeru telefonu. Powiedział, że musimy pozostawać w kontakcie, ponieważ mogą się do niego odezwać ci z Korei Południowej. Włożył mi także do ręki sto yuanów – czyli około piętnastu dolarów. Przeprosił, że tak mało, ale wydawało się, że dał nam wszystko, co miał. Gdyby nie te pieniądze, przepadlibyśmy zaraz po wyjściu z budynku – dwaj obcokrajowcy bez grosza przy duszy w kraju, którego języka nie rozumieją.

Nie chodziło tylko o tę kwotę. Podnosiła nas na duchu sama świadomość, że w ogóle mamy pieniądze. Pan Shin wyszedł z nami i kawałek nas odprowadził. Poradził, żebyśmy poszukali kościołów. Powiedział, że czasem północnokoreańscy uchodźcy mogą tam liczyć na pieniądze, posiłek i schronienie, a może nawet jakiś misjonarz pomoże nam dotrzeć do Korei Południowej. Podkreślił jednak, że musimy mówić, że uciekliśmy z Północy z głodu. Gdyby usłyszeli, że oskarżono nas o morderstwo, mogliby się wystraszyć. Ostrzegł także, że niektóre kościoły to przykrywki chińskich władz, więc mogą nas wydać, dlatego nikomu nie możemy ufać zbyt prędko.

– Nie do wiary, że istnieje religia, która nakazuje oddawać za darmo pieniądze i jedzenie obcym ludziom – powiedział Young Min i uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni.

Bardzo ucieszył mnie ten jego uśmiech. Kiedy poprzedniej nocy przewracał się z boku na bok, zraniony odrzuceniem przez kuzyna, leżałem z otwartymi oczami, martwiąc się tym, jak ciężkie będą dzisiaj jego kroki. Celowo bardzo głośno przybiłem mu piątkę, a kiedy nasze dłonie klasnęły, szepnąłem:

– *Pa-ee-ting!*

Jakby chciał zrzucić ciężar z piersi, naprężył się tak mocno, że aż żyły wystąpiły mu na szyi, a potem szeptem zawołał:

– *Pa-ee-ting!*

Walczymy!

Odruchowo sięgnęliśmy po okulary przeciwsłoneczne i natychmiast parsknęliśmy histerycznym śmiechem, gdy zorientowaliśmy się, że obaj robimy to samo. Było to nie tylko śmieszne, lecz i żałosne – zaledwie kilka sekund po tym, jak zebraliśmy się na odwagę, już kryliśmy się za ciemnymi szkłami. Któryś z nas napomknął, że okulary były jeszcze ważniejszym podarkiem od pana Shina niż cała żywność, pomoc i schronienie, które nam zapewnił.

Stosując się do rad Shina, ruszyliśmy w okularach na obrzeża Yanji, szukając jakiegoś budynku z krzyżem.

– Co powiemy pastorowi, kiedy go spotkamy? – spytał Young Min ochoczo.

Z równie dużym entuzjazmem odpowiedziałem, że na każde pytanie powinniśmy odpowiadać: „Amen", a wszystko będzie dobrze. Mówiąc to, wydąłem pierś, dumny z tej perły mądrości.

Jako były członek DZF sądziłem, że o religii wiem wszystko. Coś takiego istnieje nawet w Korei Północnej. Konkretniej: istnieje szereg instytucji religijnych kontrolowanych przez Departament Zjednoczonego Frontu. W praktyce jednak Korea Północna to kraj jednej religii, w którym dopuszczony jest wyłącznie kult Wodza. Instytucje religijne pod egidą DZF potrzebne są po to, aby można było twierdzić, że jest to państwo pluralistyczne, przestrzegające wartości wyznawanych przez strony skłonne udzielić mu pomocy albo uczestniczyć w tak zwanych rozmowach Track II, czyli za pośrednictwem kanałów „nieformalnych".

Wszystkie północnokoreańskie instytucje religijne obsadzone są funkcjonariuszami pionu „dyplomacji Track II" DZF. Należą do nich Buddyjski Związek Chosunu, Chrześcijański Związek Chosunu, Katolicki Związek Chosunu i Katolicki Komitet Centralny Chosunu. Wiedziałem, że w kontaktach ze światem zewnętrznym Departament używał nazw różnych instytucji religijnych. Wewnątrz jednak przywoływanie ich było nielegalne, posługiwano się więc numerami. Chociaż w oczach świata zewnętrznego dany członek aktywu mógł uchodzić za

mnicha lub księdza, w DZF wszyscy byli wiernymi wyznawcami kultu Kimów.

Jeśli ktoś przyjedzie do Pjongjangu i uda się na Jangchun-dong w dzielnicy Dongdaewon albo na Palgol-dong w dzielnicy Mangyongdae, zobaczy budynki z krzyżem na dachu. Księża prowadzący tam nabożeństwa śpiewają prawdziwe chrześcijańskie hymny tak jak ludzie w zwykłych kościołach poza Koreą Północną. Ale wierni to wyłącznie funkcjonariusze DZF oraz ich rodziny, zobowiązani do uczestnictwa powinnością wobec partii. Żadnemu zwykłemu obywatelowi Korei Północnej nawet nie przyszłaby do głowy modlitwa w którymś z tych budynków, ponieważ znajdują się one w strefach operacyjnych, do których wstęp ma wyłącznie personel DZF oraz obcokrajowcy.

Jednakże w 2000 roku miał miejsce następujący incydent. Pewnego razu, żeby powitać w Korei Północnej przedstawicieli międzynarodowej organizacji religijnej, DZF ostentacyjnie otworzył drzwi kościoła Jangchun w Pjongjangu dla ogółu społeczeństwa. Starzec po osiemdziesiątce wszedł do świątyni z Biblią, którą trzymał w ukryciu przez całe życie. Powiedział, że wierzył w Jezusa przed wojną koreańską, ale kiedy stracił rodzinę w amerykańskim bombardowaniu, nawrócił się i został żarliwym wyznawcą Wielkiego Wodza Kim Il Songa. Wyjaśnił nawet, że w jego wieku ważne stały się dawne wspomnienia, więc przyszedł do kościoła, bo chciał posłuchać hymnów, które znał z dzieciństwa. Natychmiast zgłoszono to funkcjonariuszowi DZF w sutannie i tajna policja aresztowała starca na miejscu.

Ów funkcjonariusz otrzymał następnie medal pierwszej klasy, zarezerwowany dla najbardziej lojalnych wobec Kima, za ujawnienie elementu religijnego, który do tej pory ukrywał swe wywrotowe przekonania. Siedziałem wtedy na widowni i oklaskiwałem udekorowanego aktywistę. Starca zesłano do obozu koncentracyjnego, a DZF po dziś dzień używa jego Biblii jako rekwizytu, z dumą prezentując historię tolerancji religijnej w Korei Północnej.

Ta działalność religijna pozwalała jedynie aktywistom DZF cieszyć się kolejnymi luksusami niedostępnymi dla zwykłych obywateli. Z formalnego punktu widzenia Korea Północna nadal jest w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi, toteż wszelką pomoc humanitarną z zewnątrz wewnętrznie określa się mianem „łupów wojennych”. Ponieważ północnokoreański system wiąże się z ideologią dżucze, nie dopuszcza używania słowa „pomoc”, które zagrażałoby „samodzielności”. W efekcie prezenty otrzymywane co miesiąc przez pracowników DZF składają się między innymi z „łupów wojennych” darowanych przez różne południowokoreańskie i międzynarodowe organizacje religijne w ramach pomocy humanitarnej.

Na przykład piętnastego kwietnia 2001 roku (w urodziny Kim Il Songa) do DZF trafiły rowery dostarczone przez buddyjską organizację pozarządową z Korei Południowej. Było ich tyle, że starczyło dla nas wszystkich. Miesiąc później wśród pracowników rozdano pieluszki oraz mleko w proszku pochodzące od chrześcijańskiej organizacji pozarządowej z Południa. Wiedziałem z doświadczenia, jak wielkie wpływy ma DZF, ponieważ kontroluje sposób przedstawienia Korei Północnej osobom z zewnątrz. Stąd też wiedziałem, że „amen” to potężne słowo, które może sprawić, że chrześcijanie nam pomogą, jeśli tylko znajdziemy tu w Yanji jakiś kościół.

Chociaż chodziliśmy po mieście przez cały dzień, nie natrafiliśmy jednak na żadną świątynię, w której mogłoby zabrzmieć nasze „amen”. Każdy budynek z krzyżem był albo opuszczony, albo zamknięty. Raz zdarzyło się, że ochroniarz otworzył nam drzwi, lecz gdy tylko usłyszał, że jesteśmy uchodźcami z Korei Północnej, przepędził nas niczym bezpańskie psy. Przekonałem się na własnej skórze, jak bardzo Koreańczycy z Północy są znienawidzeni poza swoim krajem, chociaż partia uczy, żebyśmy postrzegali siebie jako „najznamienitszy lud na ziemi, lud Kim Il Songa”. Ilekroć nas przeganiano, smętnie żartowaliśmy z dynastii Kimów, która sprawiła, że świat widzi w nas najgorsze szumowiny.

Kiedy zaczęło się ściemniać, poczułem dziwną radość, może dlatego że światło dnia napawało mnie strachem. Miałem wrażenie, że moje ciało mogłoby się unieść w mrok niczym balon. Po zdjęciu okularów przeciwsłonecznych widziałem jeszcze wyraźniej niż za dnia. Wszędzie wokół roztaczał się wiejski krajobraz, oprócz nas nie było innych przechodniów. Wystarczyło, że mogłem oddychać swobodnie i otwarcie rozmawiać z Young Minem, nie wpadając w paranoję, a od razu poczułem się jak pionier w całkiem nowym świecie.

Nie martwiły nas mroźne styczniowe wiatry ani perspektywa spędzenia zimowej nocy na dworze. Bądź co bądź, nocowaliśmy już przez kilka dni na lodowatym zboczu góry. Pod osłoną ciężkiego zimowego nieba biegliśmy przed siebie bezkresną wiejską ścieżką na chińskim pustkowiu, wydzierając się ile sił w płucach.

W końcu dotarliśmy do małej wioski Longjing. Wcale nie zamierzaliśmy tam trafić – po prostu włóczyliśmy się w poszukiwaniu kościołów, wybierając drogi na chybił trafił, i to była pierwsza miejscowość, którą napotkaliśmy. Postanowiliśmy tam przenocować, a rano ruszyć dalej.

Na szczęście znaleźliśmy pustą oborę. Przynajmniej mogliśmy się w niej schronić przed przenikliwym wiatrem. Na dodatek podłogę pokrywała gruba warstwa siana. Zanim zasnęliśmy, wzięliśmy do rąk banknot stuyuanowy. Każdy trzymał go z jednej strony i wpatrywaliśmy się w niego przez kilka minut. Na co moglibyśmy teraz liczyć, gdybyśmy go nie mieli? Jakże beznadziejna byłaby nasza przyszłość. W Korei Północnej współczułem dzieciom, które umarły z głodu, ale od ciał dorosłych odwracałem wzrok i kręciłem głową, myśląc: „Dlaczego bardziej nie postarali się, aby przeżyć?”. Dlaczego byli tak głupi, żeby umrzeć z głodu, tacy nieodpowiedzialni wobec siebie oraz innych? Mogli przynajmniej ukraść trochę pożywienia i walczyć dalej. Ale tamtej nocy zobaczyłem, że koniec mojego życia może być blisko. Możliwe, że kiedy skończą nam się pieniądze i przez kilka dni nie będziemy mieli nic do

jedzenia, usiądę, zamknę oczy, żeby odpocząć, pozwolę świadomości odpłynąć i nawet się nie zorientuję, że umieram. Oszołomiony tymi myślami, zapragnąłem wypróbować swój głos, żeby przekonać się, że wciąż go mam.

– Na pewno nam się uda. Dotrzemy do Korei Południowej, zanim skończą nam się pieniądze. – Wypowiedziałem te słowa, ale w to nie wierzyłem.

Young Min jakby podzielał ten brak wiary i jakby sądził, że te sto yuanów nie otworzy przed nami żadnej drogi, wypuścił swój koniec banknotu i zwiesił dłoń. Przez chwilę milczeliśmy. Pragnąłem iść spać, ale ze względu na to, co będzie jutro, nie chciałem zakończyć tego dnia w taki sposób. Co jeszcze mogłem powiedzieć? Na samą myśl o odezwaniu się drętwiały mi wargi. Wreszcie wydąłem je i zacząłem gwizdać ludową melodię z ojczystych stron *Wiosna w rodzinnym mieście*. Gdy skończyłem pierwszą zwrotkę i zacząłem drugą, Young Min dołączył do mnie w niższej tonacji.

Choć na chwilę zapomnieliśmy o głodzie i rozpaczy. Przypomniałem sobie nasz występ w szkole muzycznej. Studenci muzyki zachodniej pożyczyli instrumenty dęte blaszane, żeby zrobić imponujący show, na którym widownia zwijała się ze śmiechu. Widok instrumentów blaszanych nie był czymś rzadkim, ale o efekcie przesądziło to, jak ich używali. Trąbka grała dowcipnie, a tuba, która nie chwyciła żartu, odpowiadała nisko i powolnie. Po aplauzie nastąpiła chwila ciszy, a potem studenci i studentki kompozycji wystąpili jako gwiżdżący chór. Widzowie oszaleli. Sprawiliśmy, że cała szkoła gwizdała jeszcze przez wiele tygodni.

Kiedy nasz występ w oborze zbliżał się do końca, na twarzy Young Mina pojawił się psotny uśmiech. Mój przyjaciel przez sekundę gwizdał w dysonansie. Celowo przeciągnąłem ostatnią nutę piosenki, a wtedy on wrócił do harmonii i skończyliśmy w pięknym duecie.

Young Min szepnął pierwszy:

– *Pa-ee-ting!*

Odpowiedziałem: „*Pa-ee-ting!*” i poczułem, jak rozluźniają się moje spięte mięśnie. Pewnie dlatego dałem radę zasnąć. Aż do tej pory przerażał mnie nawet szelest liści. To była pierwsza noc w Chinach, kiedy udało mi się zapomnieć, że straż graniczna i północnokoreańscy agenci mogą czaić się w cieniu każdego budynku, krzaku i drzewa.

7

Żegnaj, Young Minie

Zbudził nas ryk bydła. Gdy otworzyłem oczy, obok mnie poruszyło się coś dużego i brązowego, więc się wzdrygnąłem. Olbrzymi wół, jakby poirytowany obecnością intruzów w jego domu, spojrzał na nas przeciągle spod zmrużonych powiek i głośno parsknął. Odruchowo poklepałem się po kieszeniach, żeby sprawdzić, czy wół nie ukradł mi pieniędzy. Na widok banknotu stuyuanowego wetkniętego między moje wiersze aż westchnąłem z ulgą.

Young Min także usiadł. Spojrzał na mnie, potem na wołu, i już miał coś powiedzieć, ale spuścił wzrok i zaczął żałośnie skubać słomę. Obaj zrozumieliśmy, że mamy brudne twarze i ubrania. Wreszcie wyglądaliśmy jak zbiegowie, a Chang Yong ostrzegał, że przez to każdy rozpozna w nas północnokoreańskich uciekinierów. Gdybyśmy ruszyli dalej w takim stanie, z całą pewnością ktoś doniósłby na nas władzom. Roztarliśmy na twarzach biały śnieg sprzed obory, ale tylko pogorszyliśmy tym sprawę, rozmazując brud.

Udaliśmy się do najbliższego domu i zapukaliśmy do furtki. Ogrodzenie wykonane było nie z cegieł czy betonu, ale ze zwartych desek. Komin sterczał nad ciemnopomarańczowym blaszanym dachem, na którym brakowało koreańskich dachówek, jakie widzieliśmy na niektórych budynkach. Czekaliśmy w nerwach, czuliśmy się bezbronni, nasze brudne twarze mógł zobaczyć każdy. Coś się ruszyło, a po chwili otworzyły się drzwi, ukazując staruszka, który na nas zerkał. Miał na sobie znoszony czarny płaszcz, ale z nowymi, lśniącymi guzikami, i nie wyglądał na rolnika. Mógł co prawda być bardzo

stary, ale twarz miał raczej młodzieńczą niż wiekową. Chyba od razu poznał w nas uciekających północnokoreańskich zbiegów, bo zamierzał zamknąć nam drzwi przed nosem.

Skłoniłem się nisko.

– Szanowny panie, czy moglibyśmy pożyczyć trochę mydła, żeby umyć twarze?

Zamiast zatrzasnąć drzwi, staruszek wychylił się przez szparę i zmierzył nas od stóp do głów. Sądziliśmy, że nie zrozumiał po koreańsku, ale ku naszemu wielkiemu zdziwieniu otworzył drzwi na oścież i odezwał się w naszym rodzimym języku, jakże miłym naszym uszom:

– Wejdźcie.

Podwórze staruszka było czyste i uprzątnięte, zupełnie inaczej niż domostwo Chang Yonga z sypiącymi się ścianami. W jednym kącie rosły trzy jabłonki owinięte słomą dla ochrony przed mrozem. Starzec zostawił nas drżących na dworze, a sam zniknął w domu.

Po chwili wrócił z kuchni z dużą mosiężną miską pełną parującej wody. Rzuciliśmy się, żeby mu pomóc, i zanieśliśmy ją w róg podwórka przeciwległy do tego z jabłoniami. Kiedy obaj z Young Minem z grzeczności ustępowaliśmy sobie pierwszeństwa, staruszek zbliżył się do nas, szurając nogami, zapalił papierosa i spytał:

– Przyszliście zza rzeki?

Young Min wahał się przez chwilę, po czym odparł:

– Tak.

Starzec mocno zaciągnął się papierosem, a potem wydmuchnął dym, który w powietrzu zimowego poranka wydawał się upiornie biały.

– Nie zliczę, ilu uchodźców pukało do moich drzwi, prosząc o jedzenie – powiedział. – Byli nawet tacy, co kradli i rzucali we mnie kamieniami. Ale wy? Chyba jeszcze nigdy w życiu nikt nie chciał się u mnie umyć! – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Jedliście już?

Widząc, że nie potrafimy natychmiast odpowiedzieć twierdząco, przydepnął niedopalonego papierosa i zaprosił nas do środka, gdy się umyjemy.

– Wejdźcie, jak będziecie czyści! – powtórzył z kuchni.

Kiedy skończyliśmy, wylaliśmy mydliny i oparliśmy miskę o ścianę domu, żeby ociekła. Ruszyliśmy w stronę kuchni i pchnęliśmy drzwi pomieszczenia, z którego dobiegł głos. Staruszek nakładał właśnie ryż. Jego zapach, jakże inny od powietrza na dworze, zalał moje płuca ciepłem. Ogarnęła mnie taka błogość, że aż waliło mi serce. Był to moment cudownej transcendencji, jakiej nigdy nie doświadczyłem. Woń gotowanego ryżu stanowiła potwierdzenie, że świat nas jeszcze nie opuścił.

Dostaliśmy obfite porcje w dużych miskach, parujące, prosto z kuchenki. Ryż był tak kleisty, że ziarna lepiły się do spodu łyżki i zostawały na wierzchu. Ciepło przepływające przez gardło podnosiło mnie na duchu. Podczas gdy jedliśmy, staruszek zajadle krytykował Kim Dzong Ila. Mówił, że to obrzydliwe, żeby w dzisiejszych czasach przywódca zagłodził cały kraj. Podkreślał, że wydatny brzuch Kima to najlepszy dowód jego chciwości i egoizmu.

Byłem mu wdzięczny za ryż, ale jeszcze bardziej za współczucie. Odebrałem to jako głos wsparcia, zwłaszcza że wszędzie indziej na uchodźców pluto.

– Dokąd się udajecie? – spytał staruszek. – Jak tutaj dotarliście?

– Chcemy wyjechać do Korei Południowej – odparł Young Min.

– W takim razie muszą was ścigać władze. Jesteście uciekinierami.

– Tak, o mało nas nie złapali – przyznałem.

– Razem przeszliście przez rzekę?

– Tak, przyjaźnimy się.

Na jego pytania odpowiadaliśmy szczerze, chcąc okazać wdzięczność za jego zainteresowanie. Ale następne słowa staruszka odebrały nam mowę.

– Jesteście z Pjongjangu – stwierdził – i oskarżono was o morderstwo.

Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

– Ta wioska znajduje się blisko centrum Yanji – ciągnął starzec – i przechodzi tędy wielu uchodźców. Nie ma dnia, żeby jakiś się nie pojawił. Dlatego władze mają tę okolicę na oku. Raptem przedwczoraj przeszukali wszystkie domy. Ścigają dwóch zbiegów z Pjongjangu, którzy uciekli przez rzekę po dokonaniu morderstwa.

Dzwoniło mi w uszach, a ryż ciążył w żołądku. Opuszczając dom pana Shina, pocieszaliśmy się, że Chiny to duży kraj. A jednak w tej wiosce, która wydawała nam się taka odległa, stary człowiek, którego nigdy w życiu nie widzieliśmy na oczy, dokładnie wiedział, kim jesteśmy. Wyglądało to tak, jakby nie było takiego miejsca na ziemi, gdzie moglibyśmy się skryć, a oskarżenie o morderstwo będzie nas ścigać aż na koniec świata.

– Nie jesteśmy mordercami! – wypalił rozpaczliwie Young Min, ale starzec tylko machnął ręką.

– Posłuchajcie – powiedział. – Mieszkam tu od siedemdziesięciu lat. Na pierwszy rzut oka widzę, że nikogo nie zabiliście. Poza tym wiem, że północnokoreańskie sukinsyny lubią wrabiać ludzi w morderstwo. Ani chińskie władze, ani tutejsi ludzie nie wierzą im nic a nic.

Byliśmy spięci i nerwowi, gotowi odejść natychmiast, ale te słowa trochę nas pokrzepiły.

– Dlatego nie łaźcie wszędzie razem – poradził starzec. – Chodźcie osobno i bądźcie ostrożni.

– Dziękujemy panu. – Znowu głęboko się skłoniłem.

Jakby chcąc spłacić dług, Young Min zabrał puste miski oraz łyżki z powrotem do kuchni. Nalegał, że pozmywa, ale staruszek przywołał go z powrotem do głównego pomieszczenia, a potem znalazł papier i długopis. Wyjaśnił, że dość dobrze zna koreański kościół w Yanji, więc napisze nam list polecający do tamtejszego pastora. Powiedział, że ten człowiek może nam pomóc

w wyjeździe do Korei Południowej. Obaj z Young Minem nie mogliśmy w to uwierzyć i nie umieliśmy ukryć podniecenia.

Żebyśmy nie zabłądzili, starzec narysował nam mapę wskazującą drogę z dworca autobusowego w Yanji. Kościół zaznaczył krzyżem i pogrubił kreski, żeby się wyróżniały. Powtórzył wskazówki, a potem kilkakrotnie nas przeegzaminował, chcąc się upewnić, że niczego nie zapomnieliśmy.

– Co to za budynek? – pytał. – Która to droga?

Sprawdził wszystko skrupulatnie. Odpowiadaliśmy na jego pytania jak dwaj pilni uczniowie.

Gdy się żegnaliśmy, powiedział:

– W Korei Południowej zatrzymajcie się w Seulu, a nie na prowincji.

Po tych słowach nawet nasze kroki wydawały się lżejsze, kiedy opuszczaliśmy dom staruszka. List polecający oraz mapa, którą tak starannie narysował, wydawały się paszportem wprost do Korei Południowej. Poczuliśmy się na tyle pewnie, że nawet nie wkładaliśmy okularów przeciwsłonecznych. Posłuchaliśmy natomiast rady starca i trzymaliśmy się osobno.

Ilekroć docieraliśmy do drogi, na której byli ludzie, udawaliśmy, że się nie znamy. Było to nawet ekscytujące. Czasem Young Min szedł przodem, a ja zostawałem z tyłu, w końcu zaś zaczęliśmy rywalizować o to, kto pójdzie pierwszy. Pewnego razu, gdy byłem to ja, dla żartu schowałem się w bocznej uliczce, skąd patrzyłem, jak Young Min robi się biały na twarzy i szuka mnie we wszystkich kierunkach. Długa podróż, która autobusem zajęłaby ponad godzinę, dzięki tym zabawom minęła nam szybko.

Wskazówki starca były dokładne, więc z łatwością znaleźliśmy kościół w ruchliwym centrum miasta. W przeciwieństwie do innych świątyń, które wyróżniały się dużymi krzyżami, ten zajmował po prostu przestrzeń biurową w jakimś komercyjnym budynku.

Zanim zapukaliśmy do drzwi, spojrzałem na drewnianą tabliczkę z czarnym napisem „Kościół Yanji”. Wiedziałem, że w środku są Koreańczycy z Południa, i serce rosło mi na myśl o tym, że wpadnę w objęcia pobratymców. Również Young Min był na skraju łez, zupełnie jakbyśmy stali na progu samej Korei Południowej. Poprosiłem, żeby zapukał. Rzeczywiście ktoś odpowiedział nam po koreańsku, a kiedy weszliśmy, ujrzeliśmy tam trzech mężczyzn w średnim wieku. Jeden, noszący okulary, zaczerwienił się na nasz widok. Jego oczy spoglądające zza grubych szkieł wydawały się nadzwyczaj małe.

– Jak nas znaleźliście? – zapytał. – Wejdźcie, wejdźcie.

Wnętrze kościoła było równie duże jak Rewolucyjne Sale Nauki imienia Towarzyszy Kim Il Songa i Kim Dzong Ila, znajdujące się w każdym miejscu pracy w Korei Północnej. W centralnym miejscu na ścianie, tam gdzie spodziewaliśmy się zobaczyć portrety Kimów, wisiał krzyż. Atmosfera była natomiast równie uroczysta jak w Rewolucyjnych Salach Nauki. Nad krzyżem wisiał slogan: „Bądźmy zbawieni, mówiąc: Amen”. W pomieszczeniu stało ze dwadzieścia ławek oraz biurko przy drzwiach.

– Chcemy spotkać się z pastorem – odpowiedziałem.

Wtedy jednak nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego, że pominąłem grzecznościową końcówkę *nim*, którą Koreańczycy z Południa muszą dodawać do tytułów takich jak „pastor” czy „nauczyciel”. W Korei Północnej końcówki *nim* używa się wyłącznie pod adresem członka rządzącego rodu Kimów – albo nauczyciela, ponieważ jeden z tytułów Kim Dzong Ila brzmi: Drogi Przywódca Nauczyciel. W taki sposób, choć przyszliśmy tu w poszukiwaniu naszego zbawcy, nie okazaliśmy nawet odrobiny szacunku, więc mężczyzna w okularach jeszcze bardziej zmrużył oczy.

– Skąd jesteście? – warknął.

– Możemy to powiedzieć tylko pastorowi.

– Jest teraz w Korei Południowej. Możecie powiedzieć mnie. Zastępuję go na czas nieobecności.

Moje serce zatrzepotało. Skoro pastor mógł stąd wyjechać do Korei Południowej, to i my możemy! Kiedy wyjmowałem z kieszeni list polecający i podawałem go mężczyźnie, drżały mi ręce. Gdy czytał, Young Min z zaciekawieniem patrzył na krzyż i na Biblię leżącą na stole jak na dziwne, obce artefakty. Widok tych przedmiotów tutaj, w zwykłym otoczeniu, przedmiotów, które w Korei Północnej można oglądać tylko w strefach operacyjnych DZF, sprawiał, że poczułem się tak, jakbym już teraz stanął na południowokoreańskiej ziemi. Nie przestawałem się uśmiechać.

Nagle mężczyzna zdjął okulary i krzyknął ile sił:

– Wynoście się natychmiast! – Ja wciąż stałem oniemiały. – Wyrzućcie ich, to zbiegowie!

Poczułem się jak znokautowany. Zanim zdążyłem pomyśleć, że może to żart, dwaj pozostali ruszyli ku nam i zaczęli wypychać nas za drzwi. Young Min nawet się nie szarpał, tylko padł na kolana w progu.

– Przyszliśmy tutaj, bo słyszeliśmy, że jesteście Koreańczykami z Południa! – zawołał. – Przekroczyliśmy granicę, ryzykując życie, żeby wyjechać do Korei Południowej. Jeśli nas wyrzucicie, umrzemy na ulicy.

– Co? Myślicie, że jesteście wyjątkowi? Przez takich jak wy naszego pastora aresztowali. Przez was trzeba będzie zamknąć nasz kościół. Wynocha stąd! Wynocha, sukinsyny!

Byłem oszołomiony. Czy ci ludzie naprawdę pochodzili z kraju, w którym chcieliśmy się schronić? Kiedy mężczyzna w okularach zaczął bić Young Mina po głowie, krew się we mnie zagotowała. Uderzył mojego przyjaciela w twarz, gdy ten ze łzami w oczach błagał o pomoc. Straciłem panowanie nad sobą i zacząłem krzyczeć. Ściągnąłem mężczyznę w okularach z Young Mina i chwyciłem krzyż z biurka niczym broń.

– Wy się mienicie ludźmi? Ryzykowaliśmy życie, żeby tutaj dotrzeć! – wrzasnąłem.

– Szybko! Wezwijcie władze! Donieście na nich!

Już chciałem im powiedzieć, co o nich myślę, lecz gdy usłyszałem te dwa straszne słowa – „władze” i „donieść” – w jednej wypowiedzi, złapałem Young Mina za ramię, a potem wybiegliśmy z kościoła. Do wyjścia z budynku wiodła daleka droga i potykaliśmy się, uciekając.

Kiedy w końcu znaleźliśmy się na ulicy, silniki mijających nas aut brzmiały jak syreny i przepełniła mnie panika. Young Min szedł przodem, ale gdy dotarł do rozgałęzienia dróg, nie potrafił wybrać żadnej z nich, więc wpadłem na niego i obaj runęliśmy na chodnik.

Dopiero kiedy znaleźliśmy się w dalekiej dzielnicy na obrzeżach miasta, mieliśmy czas pomyśleć o tym, co za nami. Chwytałem oddech, a moją duszę wypełniała pustka. Odtrącił nas nawet południowokoreański kościół i nie mieliśmy się już dokąd zwrócić. Jakby na znak, że spróbowaliśmy już wszystkiego i nic nam nie pozostało, Young Min wyjął mapę, którą tak starannie narysował staruszek, i porwał ją na strzępy. Każdy skrawek spadający na ziemię był kawałkiem naszego zrujnowanego życia. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Kiedy patrzyłem w niebo, Young Min postukał mnie w ramię i spytał:

– Może wydamy dziś trochę tych pieniędzy? Chodźmy się napić.

Przypomniałem sobie naszą ostatnią noc w Pjongjangu, kiedy piliśmy alkohol, a potem postanowiliśmy uciec, ale zignorowałem go.

– Wolałbym poszukać miejsca na nocleg – powiedziałem.

Wstałem i chciałem ruszyć, ale Young Min zagrodził mi drogę.

– Po co? Co nam z tego? – zapytał. – Po tym, co właśnie widzieliśmy, naprawdę jeszcze myślisz, że dotrzemy do Korei Południowej? Doniosą na nas! Ty i ja nie jesteśmy już ani z Północy, ani z Południa. Nie mamy swojego miejsca!

Milczałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Chcieliśmy się osiedlić w wolnej Korei, ale ona nie istniała nigdzie na ziemi. Chociaż fizycznie moje ciało znajdowało się tutaj, to umysł jakby

uleciał, bo byłem zbyt otępiały, by cokolwiek postrzegać. Gdybym zabił się w Korei Północnej, przynajmniej pochowano by mnie w kraju mojej rodziny i przyjaciół. Tutaj mogliśmy się tylko włóczyć jak psy, aż dosięgnie nas śmierć, a wtedy, nieznani i nieopłakiwani, znikniemy w kurzu tych obcych dróg. Myśl o tym tragicznym końcu mojej egzystencji przekonała mnie, że to mój ostatni dzień na ziemi.

Young Min zaciągnął mnie na targ do straganu z alkoholem. Stały tam trunki w różnych cenach. Wskazał niewielką butelkę wina za dwanaście yuanów, a potem jedną pustą szklankę, której napełnienie kosztowało pięć yuanów. Gdy zorientowałem się, że to mocne chińskie *soju*, zrozumiałem, że jeśli wypijemy je na pusty żołądek, stracimy przytomność na ulicy i trafimy w ręce władz. Co mogliśmy zjeść, żeby temu zapobiec? W myślach zrobiłem obliczenia, a potem odstawiłem szklankę.

– Posłuchaj, mamy tylko sto yuanów. Ja nie będę pił. Ale ty możesz sobie kupić kolejkę.

Powieki Young Mina drżały, kiedy patrzył na mnie z desperacją. Jego ciemne oczy, które tak dobrze znałem, zwykle pełne lojalności, przyjaźni oraz iskry muzycznego geniuszu, teraz były puste. Jego przekrwione spojrzenie szpeciły tylko złość i rozczarowanie. Co jeszcze mogłem zrobić? Obstawałem przy swoim, bo uważałem, że banknot stuyuanowy to jedyne, czego nie wolno nam stracić. Byłem także wyczerpany i spięty, więc gdybyśmy zmarnowali z tej setki choć yuana, to by mnie zniszczyło. Dlatego w końcu, zamiast zamówić drinka, rozmieniliśmy sto yuanów na dwie pięćdziesiątki. Bardziej obawiałem się tego, że stracę Young Mina, niż że trafię na żołnierzy, którzy mnie zatrzymają. Może po podziale pieniędzy przynajmniej jednemu z nas się uda. Young Min westchnął, gdy wręczyłem mu banknot.

– Dobrze – powiedział. – Spijemy się na umór, kiedy dotrzemy do Korei Południowej. Ale ty pilnuj pieniędzy. Lepiej, żeby opiekowała się nimi jedna osoba.

Zmusiłem go, żeby zatrzymał swoją połowę, ale skorzystałem z okazji, żeby trochę mu dokuczyć.

– Nie myśl, że to twoje pieniądze tylko dlatego, że ci je dałem. One nie są do tego, żeby je wydać, ale żebyś pomyślał: „Mam pieniądze na jedzenie!”, kiedy będziesz głodny.

– Sukinsynu. To dlatego jesteś taki pełen energii, że ty cały czas ich pilnowałeś!

– Właśnie. – Uśmiechnąłem się. – I powinienem był powiedzieć to już wcześniej: pamiętasz, jak w panice uciekliśmy z kościoła? Coś takiego może się powtórzyć, więc na rozwidleniach zawsze wybieraj drogę w prawo. Dzięki temu nie stracisz czasu na rozterki i będzie mniejsza szansa, że się nie znajdziemy. Posłuchaj, bez ciebie sobie nie poradzę. Masz w pamięci numer telefonu pana Shina, prawda? To nasz jedyny kontakt na wypadek, gdybyśmy się rozdzielili.

Pierwsze trzy yuany wydaliśmy na małą kostkę mydła. Nasz głód to nasza sprawa, ale gdybyśmy nie dbali o pozory, budzilibyśmy podejrzenia.

Zrezygnowaliśmy z szukania kościołów i postanowiliśmy rozejrzeć się za południowokoreańskimi firmami, ponieważ wydawało się, że to ostatnie możliwe wejście w środowisko Koreańczyków z Południa. Wypatrywaliśmy jakiejkolwiek marki, którą rozpoznawaliśmy, jak na przykład Samsung, Hyundai czy LG. Raz weszliśmy do sklepu z podrabianym logo „Samsong”, skąd wygnały nas chińskie wyzwiska. Nocowaliśmy w pobliżu źródeł wody takich jak miejskie fontanny. Rezygnowaliśmy ze śniadania, ale około jedenastej rano kupowaliśmy trochę chleba za dwa yuany, którym ponownie dzieliliśmy się wieczorem.

Po czterech dniach życia na ulicy wyczerpały się nasze pieniądze oraz wytrzymałość. Piątego dnia nie mieliśmy pożywienia i poczułem się bardzo słaby. Gdy zatrzymaliśmy się przy straganie z pierogami, poprosiłem Young Mina o jego ostatnie dziesięć yuanów, żebyśmy mogli coś zjeść.

– Jakie dziesięć yuanów? – zapytał.

– Te, które ci zostały. Chodź, kupimy jedzenie.

– Już nie mam pieniędzy! – burknął w reakcji na moją natarczywość i pokazał puste kieszenie.

Chociaż chodziło o niewielką sumę, a może właśnie dlatego, że było to wszystko, co mieliśmy, bardzo starannie liczyłem każdą wydaną kwotę. Zaciągnąłem Young Mina w boczną uliczkę, a potem wyrecytowałem wszystkie wydatki, żeby pokazać, że się myli. Powtarzałem kalkulacje raz za razem i nie ulegało wątpliwości, że powinien mieć jeszcze dziesięć yuanów.

– Więc będziesz dalej kłamał? Co przede mną ukrywasz? Coś zjadłeś i nic mi nie powiedziałeś? – Young Min unikał mojego wzroku. Skubnął jakiś chwast i zaczął rwać łodygę na długie strzępy. Nawet widok jego palców podczas tej czynności wydał mi się obrzydliwy. – Gadaj! – zażądałem. – Popatrz na mnie. Jeśli coś jadłeś, to powiedz mi wprost!

Young Min rzucił resztki chwastu na ziemię i otrzepał dłonie.

– Tak, wydałem te dziesięć yuanów – powiedział. – Wydałem na coś bardzo ważnego. I co teraz zrobisz?

– Nie tłumacz się, że to było „coś bardzo ważnego” – parsknąłem. – Jeżeli jadłeś, przyznaj się po męsku.

– Dobrze! Tak, zrobiłem coś i nic ci nie powiedziałem. Kupiłem brzytwę.

Young Min wyjął ją z bocznej kieszeni kurtki. Już miałem krzyknąć: „Dlaczego?”, ale to słowo uwięzło mi w gardle. Dlaczego kupił brzytwę, choć martwiliśmy się o następny posiłek? Dlaczego ją kupił i zataił to przede mną?

Mówił dalej, a oczy szkliły mu się od łez:

– Nigdy nie dotrzemy do Korei Południowej. Byliśmy głupi, że w ogóle przyszło nam to do głowy. Wierzyłem, że spotkanie z kimś z Korei Południowej wszystko rozwiąże, ale to nieprawda. Tułamy się po ulicach od wielu dni i na pewno już niedługo nas złapią. I co wtedy? Nie dbam o własne życie, ale jeśli wywiozą nas z powrotem i każą się do wszystkiego przyznać, partia

zniszczy moją rodzinę. Dlatego kupiłem brzytwę. Zabiję się, żeby sukinsyny nie dostały tego, czego chcą.

Jego słowa dźwięczały mi w uszach i to dźwięczenie nie ustawało. Widząc brzytwę w jego dłoni, poczułem impuls, żeby z gniewu zabić się nią pierwszy. Na myśl o tym ostrzu w rękach mojego jedynego źródła siły poczułem się bezradny. Brak nadziei był znacznie gorszy od braku pieniędzy.

Na widok mojej rozpaczy Young Min powiedział:

– Nie, nie bądźmy tacy. Spróbujemy jeszcze raz z moim kuzynem? Może kiedy spotka się ze mną twarzą w twarz, zareaguje inaczej.

Miał przekrwione oczy i mówił szybko, jak opętany. Byłem zirytowany, że oprócz myśli samobójczych mój przyjaciel wciąż trzyma się wiary, że kuzyn mu pomoże. Zrozumiałem, że właśnie to czyni go słabym.

– Słyszałeś równie wyraźnie jak ja – odparłem. – On cię już nie uważa za rodzinę.

– Pewnie spanikował, bo w pobliżu była policja. Kiedy sam wyjaśnię, że nikogo nie zabiłem, to zrozumie. Nawet pan Shin mówił, że gdyby kuzyn zaangażował się w sprawę, bez problemu dotarlibyśmy do Korei Południowej. Chodź, spróbujemy jeszcze raz. – Odwróciłem się, żeby odejść, ale Young Min mówił dalej: – Nie zostało nam nic innego! To nasza ostatnia nadzieja.

Uznałem, że nie zdołam odwieść go od tej myśli, więc znów się do niego obróciłem i powiedziałem, że pomyślimy o tym, gdy znajdziemy na wsi jakieś miejsce na nocleg. Young Min patrzył przed siebie, ale nie odmówił, więc ruszyliśmy w stronę pól.

Zanim doszliśmy do pierwszej wioski, było już ciemno. Drżały mi nogi i mnóstwo wysiłku kosztowało mnie to, żeby nie runąć na ziemię i nie dać za wygraną. Zapukaliśmy do drzwi kilku domów, ale nie mieliśmy odwagi się odezwać. Kiedy kolejni ludzie zatrzasnęli nam drzwi przed nosem, Young Min osunął się na lód właśnie tam, na progu.

– To dlatego, że jest nas dwóch – rozumował. – Może za dnia to nie kłopot, ale nocą nikt nie wpuści do domu dwóch obcych

mężczyzn. Mogą nawet podejrzewać, że jesteśmy poszukiwanymi mordercami, i na nas donieść.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Jedyna latarnia w wiosce oświetlała naszą samotność jak sceniczny reflektor. Nocne niebo wisiało nadzwyczaj nisko i czułem, że nadchodzi śnieżyca.

Young Min zebrał siłę i znowu się podniósł.

– Może zróbmy tak – zaproponował – że rozdzielimy się i poszukamy sobie noclegu. Dla naszych gospodarzy to też może być łatwiejsze. Rano spotkamy się tam, pod tym drzewem.

– A jeśli nikt nas nie przyjmie? – zapytałem.

– Będziemy próbować dalej. Przynajmniej to drzewo na pewno się stąd nie ruszy.

Spojrzałem w kierunku, który wskazywał. Dwadzieścia metrów dalej stało duże drzewo, samotny strażnik wioski. Pożegnaliśmy się. Young Min został w tej miejscowości, żeby spróbować w innych domach, a ja ruszyłem do kolejnej. Czułem się nieswojo, kiedy z przejęciem machał ręką, ale jego uśmiech pozwolił mi się odwrócić i odejść.

Część trzecia

WOLNOŚĆ

1
Z Yanji do Shenyangu

Bez Young Mina marsz drogą był nie tylko samotny, lecz i przerażający. Po raz pierwszy od przekroczenia Tumenu towarzyszyła mi nieprzerwana cisza, a każdy krok coraz bardziej wyprowadzał mnie z równowagi. Raz po raz zmuszałem się do kaszlu, żeby upewnić się, że jeszcze żyję. Czasem oglądałem się za siebie, biorąc odgłos własnych kroków za kroki nieznajomego, który mnie ściga. Może dlatego, że miałem pusty żołądek, moje ciało zdawało się chwiać z każdym podmuchem. Gdy zabrakło mi siły, żeby trzymać ramiona w górze, przestałem zakrywać uszy dłońmi i odsłoniłem je na działanie wiatru. Najpierw mnie bolały. Potem straciłem w nich czucie, a w końcu zaczęły swędzieć, co wskazywało, że zamarzają. Musiałem je ogrzać, znów zakrywając je dłońmi, ale było tak zimno, że gdy tylko wyjąłem ręce z kieszeni, zaczęły boleć, jakby miały mi odpaść.

Kiedy dotarłem w pobliże domostw, psy okazały się jeszcze straszniejsze niż mróz. Ilekroć podchodziłem do bramy jakiegoś gospodarstwa, pies z obnażonymi kłami witał mnie warczeniem. Gdy znajdowałem odwagę, żeby zapukać do drzwi, zwierzęta wołały do swoich panów: „To ten morderca, którego szukacie!”.

Włóczyłem się po wiosce przez ponad godzinę. Docierało do mnie, że Young Min był naiwny, sądząc, że jego albo mnie ktoś chętniej wpuści do domu tylko dlatego, że na progu stanie samotny nieznajomy zamiast dwóch. Przypomniał mi się Chang Yong, który przynosił nam pierogi, kiedy chowaliśmy się w górach, pan Shin, który dał nam sto yuanów i nazwał je „kieszonkowym”, oraz staruszek w Longjingu, który nakarmił

nas ryżem, choć prosiliśmy tylko o wodę do obmycia twarzy. Mimo że byłem niezmiernie wdzięczny za ich życzliwość, z rozpaczą myślałem o tym, że już więcej nie będę miał tyle szczęścia. Na nowo przejęty, postanowiłem zawrócić do wioski z drzewem, pod którym mieliśmy się spotkać.

Chociaż po drodze dostrzegłem kilka stodół, brakło mi odwagi, żeby samotnie spędzić noc na dworze. Tłumaczyłem sobie, że jeśli znów przyszło nam nocować pod gołym, mroźnym niebem, to poczujemy się lepiej, będąc razem. Miałem nadzieję, że Young Min doszedł do tego samego wniosku i będzie na mnie czekał w umówionym miejscu. Nawet jeśli nie zdołał znaleźć schronienia, to może ma trochę jedzenia, którym mnie zaskoczy.

Kiedy jednak tam dotarłem, jego nie było. Może mu się poszczęściło i znalazł sobie jakiś ciepły pokój. Mrok się pogłębiał, a ja nie miałem wyboru: musiałem spędzić noc sam z drzewem jako jedynym towarzyszem. Mróz był nie do wytrzymania. Skulony pod pniem głośno liczyłem sekundy, czekając na wschód słońca. Gdy zmieniał się kierunek wiatru, przesuwałem się wokół drzewa, tak by lepiej się osłonić. Lodowate łzy spływały mi po policzkach.

Spod nocnego nieba zaczął sączyć się błękit, ranek był coraz bliżej, a moje czuwanie stało się bardziej rozpaczliwe. Znosiłem mróz, w kółko mamrocząc pod nosem imię Young Mina i chuchając w dłonie. Jednakże jeszcze długo po umówionej porze Young Min się nie pojawił. Gdy z mlecznych chmur spadł gęsty śnieg, nie mogłem już dłużej znosić chłodu. Powlokłem się do niewielkiego budynku w pobliżu. Wewnątrz mieściła się jakaś maszyneria podłączona do rury, która znikała pod wzgórzami, i domyślałem się, że to pompa.

Wiatr wpadał do pompowni przez małe nieoszklone okienka, ale i tak się cieszyłem, że mam suche ubranie, wolne od topniejącego śniegu. Zadowolenie nie trwało jednak długo, ponieważ w budynku było zimno jak w grobie. Cztery ściany działały niczym tafle lodu. Nie mogąc dłużej wytrzymać mrozu, wybiegłem z powrotem na dwór. Kiedy znów usiadłem pod

drzewem, zrobiło mi się cieplej, ale ciągle cały dygotałem. Przygryzłem wargi, żeby nie otwierać ust, ale dzwoniłem zębami i nie potrafiłem tego opanować.

Jeszcze bardziej przerażająca niż chłód była perspektywa kolejnej samotnej nocy na powietrzu. Spojrzałem w niebo z obawą, że wkrótce znowu się ściemni. Nagle cała ta szeroka połać nieboskłonu zatrzęsła się, bo nieomal runąłem na ziemię. Musiałem zwymiotować, chociaż miałem pusty żołądek. Gdy usiadłem, czułem, że moje ciało coraz głębiej zapada się w ziemię, a kiedy wstałem, chwiało się na boki jak na huśtawce.

Z całych sił próbowałem wybrać kolejny krok, ale mózg nie potrafił skoncentrować się na decyzji. Mimo determinacji, żeby skupić myśli, wciąż miałem pustkę w głowie. Świadomość, że od kilku dni nic nie jadłem, była zbyt bolesna, by ją roztrząsać, naraz jednak opanowało mnie nagłe pragnienie, żeby znaleźć jakąś stajnię i żuć siano. Gdy uświadomiłem sobie ten dziwny impuls, przypomniał mi się jeden z moich wierszy. Był oparty na historii, którą opowiedziała mi mała żebraczka w Korei Północnej. Spotkałem ją na ulicy, idąc przez Pjongjang. Wiedziałem, że nieopodal jest stragan z żywnością, więc zapytałem, co najbardziej chciałaby zjeść, czym mogłaby się podzielić z rodzeństwem. Kiedy szliśmy w stronę kramu, dziewczynka z płaczem opowiedziała mi swoją historię.

NAJSMACZNIEJSZA RZECZ NA ŚWIECIE

Trzy miesiące temu mój brat powiedział,
Że najsmaczniejsza rzecz na świecie
To ciepła kolba kukurydzy;

Dwa miesiące temu mój brat powiedział,
Że najsmaczniejsza rzecz na świecie
To pieczony konik polny;

Miesiąc temu mój brat powiedział,
Że najsmaczniejsza rzecz na świecie

To sen, który zjadł zeszłej nocy.

Gdyby mój brat dzisiaj żył,
Co nazwałby w tym miesiącu, i w następnym,
Najsmaczniejszą rzeczą na świecie?

Po napisaniu wiersza zgasiłem lampę na stole i płakałem. Chociaż sam tego nie widziałem, to nadzieje dziewczynki i przerażenie w jej oczach budziły tak wielką litość, że trudno było stawić im czoło nawet w formie słów na kartce. Nie mogłem znieść myśli o głodzie tej małej i jej brata. Było mi wstyd. Ale kiedy sam znalazłem się w sytuacji bohaterki wiersza, nie czułem takich emocji jak wtedy, gdy go napisałem. To było coś odległego i bezsilnego. Zdawało się, że moje zmysły, dawniej wyczulone na najdrobniejszy szelest liści, uschły i rozpadły się na zimnym wietrze. W głodzie nie ma poezji. Korea Północna to naród bez poezji. W mojej głowie pozostały już tylko te myśli, moje ciało było coraz cięższe. Usiadłem wyczerpany, tępo wpatrując się w niebo.

Zaskoczyła mnie przechodząca staruszka.

– Jeśli przyszedłeś z Korei Północnej, to nie zostawaj tutaj – powiedziała. – Wczoraj władze przeczesały tę wioskę.

Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć jej słowa, bo moje otępiałe zmysły błądziły bez celu w ciasnej klatce rozpaczy. Kiedy usiłowałem skupić umysł, wyróżniało się jedno słowo. Wczoraj – czy to właśnie wtedy, gdy nocował tutaj Young Min? Czy został złapany? Ale staruszka nie wspomniała o żadnych aresztowaniach. Young Min uciekłby, nie oglądając się za siebie. Może zbiegł za daleko, zgubił się, a teraz szukał drogi powrotnej. Albo wybrał się na poszukiwania pana Shina. Centrum Yanji było niedaleko stąd.

Postanowiłem, że muszę zadzwonić do Shina, który był naszym jedynym wspólnym punktem kontaktowym. Dręczyła mnie myśl, ukryta gdzieś w zakamarkach mózgu, że wiem coś istotnego. Żeby przebudzić zmysły, ugryzłem się w język. Z pulsującego bólu wreszcie wyłonił się obraz: dom tego starca

w Longjingu, który dał nam nie tylko wodę do umycia twarzy, ale i jedzenie. Ten człowiek na pewno pomoże mi raz jeszcze.

Pośpiesznie spróbowałem się podnieść, bo bardzo chciałem dotrzeć tam przed zmierzchem. Zrobiłem jednak krok, zanim złapałem równowagę, i runąłem do przodu. Moje nogi nie były stabilne, nie panowałem już nad stopami. Gdy znów dźwignąłem się z ziemi, nogi drżały mi tak, jakbym próbował podtrzymać niebiosa. Długości każdego kroku nie odmierzała moja wola. Czy to ze względu na ciemną noc, czy dlatego, że przyciąganie ziemskie ustało, chwilami miałem wrażenie, że biegnę, kiedy indziej – że drepczę w miejscu.

Mimo niepokoju, który towarzyszył mi podczas trzygodzinnego marszu, dom staruszka znalazłem bez większego trudu. Gnany przekonaniem, że muszę zapukać do jego drzwi, zanim położy się spać, powlokłem się do progu i runąłem tam wyczerpany.

– Proszę pana! – W moich dłoniach, bębniących w grubą, twardą deskę u podstawy drzwi, nie było czucia.

Gdzieś w środku zabrzmiał cichy dzwonek. Kiedy staruszek otworzył drzwi i znalazł mnie na ziemi, schylił się, żeby mnie podnieść i wprowadzić do swojego domu. To było jak czułe objęcie.

– Gdzie twój przyjaciel? Ten młody człowiek, z którym byłeś? – zapytał starzec.

– Zgubiliśmy się – odparłem, pełznąc w stronę kuchni i ciepła.

Z początku go nie czułem, ale stopniowo zaczęło mnie zalewać. Potem poczułem, jak w moich żyłach krąży krew rozcieńczona chłodem, jak wpływa aż do czubków palców u nóg. Widząc mój stan, starzec zrozumiał, że nie ma już o co pytać, więc poszedł do kuchni. Wrócił z miską pełną ryżu, talerzem kiszonej kapusty i pięcioma gotowanymi ziemniakami. Kiedy zawrócił, żeby przynieść mi łyżkę, powiedziałem do jego pleców: „Dziękuję panu”, ale może byłem już całkiem pusty, bo z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Patrzył, jak jem, jak ładuję do ust kolejne łyżki ryżu. Palił papierosa za papierosem. Jedząc, nie mogłem odezwać się ani słowem. Nie ze względu na pośpiech zaspokojenia głodu po wielu dniach niejedzenia, ale dlatego, że zalewałem się łzami. Byłem niezmiernie wdzięczny za życzliwość staruszka, ale wyrażałem ją tylko płaczem.

– Ziemniaków mamy pod dostatkiem – powiedział. – Powiedz, gdybyś chciał jeszcze. Miło byłoby znowu zobaczyć twojego przyjaciela.

Na te słowa nagle odzyskałem przytomność umysłu.

– Proszę pana, czy mogę skorzystać z telefonu? Znamy pewnego człowieka, którego numer mam i ja, i on. Chcę go zapytać, gdzie jest mój przyjaciel.

Starzec kiwnął głową i wskazał mi aparat. Był to telefon starego typu z obrotową tarczą, na której cyfry wytarły się od zużycia. Wybierałem numer w takim pośpiechu, że musiałem zacząć od początku. Mocno przycisnąłem słuchawkę do ucha z gorącą nadzieją, że zamiast pana Shina odezwie się Young Min. Ale po drugiej stronie słyszałem tylko chiński. Staruszek wziął ode mnie słuchawkę, a potem powiedział, że numer został odłączony. W ciągu następnej godziny opowiedziałem mu, co się wydarzyło, odkąd opuściliśmy jego domostwo. Potem znowu spróbowałem zadzwonić. Odzywało się to samo nagranie.

Gdy starzec usłyszał, że ludzie w kościele w Yanji chcieli donieść na nas władzom, wpadł we wściekłość, jakby to jego znieważono. Bardzo mnie przepraszał, mówił, że to jego wina, bo polecił nam to miejsce. Siedzieliśmy w milczeniu. Od kilku lat mieszkał sam. Wskazał zdjęcie żony na ścianie, starą fotografię uśmiechniętej kobiety po pięćdziesiątce. Poniżej stał mały telewizor oraz telefon. Przez rozsunięte drzwi sąsiedniego pokoju widziałem tradycyjne drewniane meble i maszynę do szycia. Jak mówił staruszek, dom nie zmienił się ani trochę od śmierci jego żony.

– Zostań u mnie, dopóki nie skontaktujesz się z przyjacielem – zaproponował mężczyzna. – Skoro ty tu dotarłeś, to pewnie

i jemu się uda. Wtedy znów będziecie razem.

– Dziękuję. Na pewno odnajdziemy się za dzień albo dwa. Do tego czasu chciałbym pomóc panu w domu. Może pan prosić o wszystko.

Nazajutrz tuż po przebudzeniu znów spróbowałem zadzwonić do pana Shina. Ku mojej wielkiej uldze w słuchawce zamiast nagrania usłyszałem sygnał.

Telefon odebrał pan Shin.

– Halo?

– Halo, to ja. Dzwonię, bo rozdzieliliśmy się z Young Minem.

– Tylko szybko. Gdzie teraz jesteś?

Nie rozumiałem, dlaczego pan Shin mówi w tak niecierpliwy sposób.

– W Longjingu. Wie pan, czy…

Przerwał mi.

– Posłuchaj mnie. Musisz stamtąd natychmiast zjeżdżać.

– Dlaczego? Czy Young Minowi coś się stało?

– Zaufaj mi. Jeżeli jesteś w tym domu, w którym wcześniej byliście z Young Minem, to rozłącz się i zadzwoń z innego miejsca.

– Nie mogę, bo nie mam monet. Proszę mi powiedzieć, co się stało. Muszę to wiedzieć, zanim spróbuję radzić sobie sam.

– Young Min był u mnie dwa dni temu rano – wyjaśnił pan Shin. – Pewnie parę godzin po tym, jak się rozstaliście. Nagle pojawiły się władze i zaczęły przeszukiwać wioskę, więc musiał uciekać. Przyszedł aż do Yanji i wiesz, co powiedział? Nie uwierzysz. Poprosił, żeby zabrać go do domu kuzyna!

– Więc pan odmówił, prawda? – zapytałem. – Gdzie jest teraz ten głupek?

– Musiałem zabrać go do siebie, bo mówił, że do mnie zadzwonisz. Cały czas się domagał, żebym zaprowadził go do kuzyna. W końcu udało mi się skontaktować z jego wujem za pośrednictwem znajomego, który pracuje w telewizji. Wuj okazał

się o wiele bardziej wyrozumiały od kuzyna, może ze względu na bliższe pokrewieństwo. Powiedział, że jego siostrzeniec nigdy nikogo by nie zabił i że bardzo chce się z nim zobaczyć. Gdy tylko Young Min to usłyszał, wyszedł z domu i nie wrócił nawet po zmroku. A potem, wczoraj koło czwartej po południu, zadzwoniła do mnie żona wuja Chang Yonga. Powiedziała, że przyszły władze i go zabrały. Funkcjonariusze mówili, że właśnie was aresztowano. Przestraszyłem się, więc wyłączyłem telefon, a potem zacząłem się pakować. Jesteśmy gotowi do przeprowadzki. Na chwilę włączyłem telefon dziś rano i akurat zadzwoniłeś. Musisz stamtąd uciekać. Jeżeli rzeczywiście aresztowali Young Mina, to tylko kwestia czasu, zanim ustalą, gdzie jesteś.

Kiedy odkładałem słuchawkę, ręce miałem mokre od potu. Byłem pewien, że lada moment gwałtownie otworzą się drzwi i wpadną tu żołnierze. To był ten sam strach, który mi towarzyszył, gdy ukrywaliśmy się razem z Young Minem.

Promienie porannego słońca przeszywały szyby ostro niczym srebrne noże. Dokąd mogłem się udać? Skończyły mi się pieniądze, a śnieg na dworze sięgał po kostki. Poza wioską nie miałem szans na przeżycie. Przez moment bałem się nawet otworzyć oczy, myślałem, że najlepiej będzie się poddać. Otworzyłem je, kiedy do głowy przyszedł mi pewien pomysł: Chang Yong dostał od nas siedemset dolarów. Dałem mu te pieniądze nie tylko dlatego, że przewiózł nas parę kilometrów, ale – gdyż sądziłem, że po dotarciu do miasta droga do Korei Południowej będzie już prosta. Oczywiście wstyd prosić kogoś o zwrot pieniędzy, które mu się dało, ale jakie to miało znaczenie w mojej obecnej sytuacji?

Najpierw zadzwoniłem do pana Shina, żeby poprosić o numer jego wuja.

– Halo – powiedziałem, gdy żona Chang Yonga odebrała telefon. – Czy mąż już wrócił?

Najpierw przerażonym głosem zapytała, kto mówi. Kiedy wyjaśniłem, że jestem tym człowiekiem, który dał mu siedemset

dolarów, zaczęła się skarżyć, prawie płakać.

– Co się dzieje? – pytała. – Funkcjonariusze mówili, że do rana wróci, a ciągle go nie ma. Skoro chcieliście uciec, to trzeba było wynieść się jak najdalej. Co wam przyszło do głowy, żeby siedzieć w Yanji?

– Czy naprawdę powiedzieli, że mój przyjaciel też został aresztowany?

– Tak mówili wczoraj. Dlaczego zabrali mojego biednego męża, nie mając żadnych dowodów? W porządku, niech go przesłuchają, ale jak dostanie grzywnę, to już po nas! Każą nam zapłacić dwadzieścia razy tyle, ile dostaliśmy. Trafimy na ulicę bez grosza przy duszy!

Chciałem ją przekląć. Tak bardzo przejmowała się grzywną, która mogła jej grozić, że ani słowem nie wyraziła troski o mojego przyjaciela, którego życiu groziło niebezpieczeństwo. Z trudem nad sobą panując, uświadomiłem sobie, że mam wymówkę, żeby upaść tak nisko, jak się da: uciec się do szantażu, żeby przeżyć.

– Proszę mnie teraz posłuchać – powiedziałem. – Mój przyjaciel nie wie, że pani mąż dostał pieniądze, bo to ja mu je dałem. Więc nie ma się pani czym martwić. Ale gdyby to mnie złapali, nie mogę gwarantować, że się nie wygadam. Żebym mógł uciec daleko stąd, proszę mi obiecać, że przekaże pani sto dolarów panu Shinowi. Niech mu pani powie, że niezwłocznie przekaże mu pani pieniądze.

Nie wahała się ani przez chwilę i obiecała, że natychmiast zrobi, o co proszę. Gdy upewniałem się po raz trzeci, że na pewno dotrzyma słowa, przysięgła na cały majątek rodziny, na który składały się dwa woły. To mi wystarczyło.

– Proszę pana, jeżeli dotrę do Korei Południowej, wrócę, żeby się panu odwdzięczyć – powiedziałem do staruszka, kiedy odprowadzał mnie na drogę z wioski. Potem znów włożyłem okulary przeciwsłoneczne.

Kilka godzin później spotkałem się z panem Shinem na dworcu w Yanji. Wręczył mi osiemset yuanów, równowartość

około stu dwudziestu dolarów amerykańskich. Nie byłem pewien, ile są warte dwa woły, ale żona Chang Yonga dotrzymała słowa. Spojrzał na mnie zakłopotany i powiedział:

– Dobrze znam mojego wuja i jego żonę. To nie jest kobieta, która tak po prostu oddałaby taką dużą sumę. Wiesz, od małego miewam dobre przeczucia. Mam pewność, że dotrzesz do Korei Południowej.

Schowałem do kieszeni czterysta yuanów, a resztę włożyłem mu do ręki.

– Jeżeli Young Min do pana wróci – powiedziałem – niech mu pan da te pieniądze. I niech pan nie wyłącza telefonu!

Wsiadłem do autobusu do Shenyangu i runąłem na fotel na samym końcu. Autobus był w połowie pełny, ale większość pasażerów siedziała z przodu. W tak krótkim czasie wydarzyło się tyle rzeczy. Chciałem zamknąć oczy, żeby na kilka minut dać odpoczynek umysłowi, ale gwałtownie powróciło wszystko, co widziałem i słyszałem przez ostatnie dni. Najsilniejszym obrazem była twarz Young Mina. Zupełnie mnie zaskoczyła. Dlaczego zamierzałem uciec, skoro mojego przyjaciela pojmano? Razem przebyliśmy rzekę i postanowiliśmy, że się zabijemy, gdyby groziła nam repatriacja. Co poszło nie tak? Dlaczego Young Min tak bardzo się uparł, żeby iść do kuzyna, skoro wiedział, że dom jest otoczony?

Powtórzyłem sobie wszystko, co powiedział mi pan Shin. Chang Yonga zabrali funkcjonariusze, którzy twierdzili, że nas obu już aresztowano. Powiedzieli, że wróci po nocnym przesłuchaniu. Nie żądali jednak zapłacenia grzywny, choć nie mogli mieć silniejszych podstaw do zatrzymania niż właśnie wiedza o pieniądzach. Ba, żona Chang Yonga zwróciła mi sto dolarów, żeby tajemnica pozostałych sześciuset odjechała daleko od niej oraz jej męża. Poza tym miałem pewność, że Young Min nie byłby tak lekkomyślny, żeby iść wprost do domu kuzyna. Obserwowałby go z daleka – cechowała go taka właśnie cierpliwość introwertyka.

Z okna autobusu widziałem olbrzymie pola, a tu i ówdzie wysokie stosy zboża. Ilekroć je mijaliśmy, powtarzałem sobie, że wszystko dobrze się skończy i że znowu się spotkamy. Gdy autobus przejechał szeroką rzekę, przestałem powtarzać swą mantrę i na moment doznałem ulgi. Spojrzałem w górę na błękitne niebo, na którym dostrzegłem kształt ptaka. Na widok tej ciemnej kropki bardzo pożałowałem, że nie mam jego oczu i serca, tak by ze wzgardą i obojętnością spojrzeć z góry na ziemię i wszystkie jej trywialne cierpienia, a potem dalej szybować w powietrzu.

Dopiero wtedy zaciekawiło mnie, co jest w torbie, którą dał mi na pożegnanie staruszek w Longjingu. Okazało się, że to sześć pszenicznych bułek. Uznałem, że pustka w żołądku tylko spotęguje nerwowość, więc ugryzłem kawałek pieczywa i postanowiłem nie wydawać reszty pieniędzy, które zostały po zakupie biletu. Jak długo przetrwam o pięciu bułkach? Może tydzień. Żeby przeżyć, w tym czasie musiałem dotrzeć do Korei Południowej. A w tym celu musiałem się przespać.

Kiedy obudził mnie donośny chiński głos brzmiący w głośnikach autobusu, byłem w szoku, ponieważ znalazłem się na zupełnie innej planecie. Za oknem rozciągało się morze miejskich świateł. Ten świat, opromieniony elektrycznym blaskiem, kazał mi się zastanowić nad tupetem ludzkości, która oparła się mrokowi. W czarnej Korei Północnej jedyne miejsca, gdzie elektryczność dociera przez całą dobę, to okolice pomników Kim Il Songa.

W Korei Północnej światło to siła, a ów pokaz siły najwyraźniejszy był nocą. Changwang-dong w pjongjańskiej dzielnicy Joong-gu, gdzie pracowałem, a także budynki wojskowe i rezydencje na Seokchong-dong w dzielnicy Seoseong były dosłownie latarniami miasta: jeśli pozostawały nieoświetlone przez ponad trzy godziny, wówczas następnej nocy reszta rejonów Pjongjangu nie mogła liczyć na elektryczność. Nie

potrafiłem zrozumieć, jakim cudem chińskie reformy sprawiły, że kraj rozkwita z dnia na dzień, skoro nawet energię tak ewidentnie tutaj marnują. Wobec tego przytłaczającego świata iluminacji odnosiłem wrażenie, że mam przed oczami cały ogrom bogactwa Chin.

Jadąc prędko w kierunku centrum, czułem ekscytację, jakbym wkraczał w nowy, wspaniały świat. Zarazem jednak żałowałem, że nie poczekałem na Young Mina trochę dłużej, tak aby mógł podziwiać te światła razem ze mną. Ten żal we mnie pulsował.

Kiedy autobus zatrzymał się w mieście, bardzo wyraźnie przypomniałem sobie o policji, która na pewno patroluje ulice. Ze strachem myślałem o wyjściu z pojazdu, więc wyjrzałem przez brudne okno, żeby się upewnić, że nie czekają na mnie funkcjonariusze.

Duży zegar na dworcu autobusowym wskazywał, że właśnie minęła północ, podróż trwała zatem sześć godzin. Schodząc po schodkach, rozprostowałem zdrętwiałe ramiona. W wiosce, z której wyruszałem, i niebo, i ziemia były czarne niczym smoła, ale w tym mieście nawet noc wyglądała jak dzień. Czułem, że wszędzie mogę szukać schronienia.

Jednak policja również tu była, grupa ludzi ubrana w mundury w kolorze wojskowej zieleni. Opuściłem wyciągnięte ręce i szybko odszedłem. Pierwszy jasno oświetlony sklep, do którego wszedłem, okazał się dużą salą pełną komputerów. Odetchnąłem z ulgą, bo wszyscy wpatrywali się w ekrany i wcale mnie nie zauważyli. Zostało kilka wolnych miejsc, więc usiadłem w kącie naprzeciw wygaszonego ekranu. Nieobecnym wzrokiem przyglądałem się innym ludziom, a potem zasnąłem.

Chyba nie spałem długo, gdy nagle ktoś mocno mną potrząsnął. Ocknąwszy się, z zaskoczeniem zobaczyłem kobietę o wściekle różowych włosach. Krzyczała coś i cofała się ode mnie, bo zobaczyła, że kiedy spałem, pięć bułek spadło mi z kolan na ziemię. Od tych bułek zależało moje życie, ale ona patrzyła na nie z obrzydzeniem jak na kawałki gówna. Gdy

schyliłem się, by je pozbierać, złorzeczyła na mnie po chińsku. Nie śmiałem odpowiedzieć, ale mruknąłem pod nosem:

– W Korei Północnej dziewczynę taką jak ty zaciągnęliby do obozu koncentracyjnego za sam kolor włosów!

Wytoczyłem się na ulicę w otępieniu. Wydawało mi się, że w sklepie spędziłem tylko chwilę, ale na dworze było już jasno. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na szyld dziwnego sklepu. Widniały na nim angielskie litery: „PC". Pomyślałem, że kiedy znów będę szukał noclegu, rozejrzę się za innym sklepem „PC" – ale takim bez groźnych różowowłosych kobiet.

Gdy szedłem ulicami, moje kroki wydawały się znacznie lżejsze niż w Yanji. Kręciło się tu sporo ludzi i miałem wrażenie, że w pojedynkę nie zwracam na siebie uwagi. Przed olbrzymimi billboardami stanąłem jak wryty. Rozciągał się przede mną najbardziej egzotyczny widok, jaki w życiu widziałem. W Korei Północnej byłoby nie do pomyślenia, żeby cokolwiek przyćmiło rozmiarami ikonografię kultu Kimów. Każdą wolną przestrzeń zajmują tam murale z Kimami albo slogany sławiące lojalność wobec wodza. Wzrok nie ma na czym odpocząć.

To było pierwsze większe chińskie miasto, w jakim się znalazłem. Jego rozmiar i ekstrawagancja zatykały dech w piersiach. Jeden z billboardów przedstawiał całującą się parę. W rękach mieli drinki. Na innym widniała kobieta w samej bieliźnie. Jednak zapuściwszy się w część miasta z mniejszymi reklamami, poczułem niepokój. W pobliżu dworca autobusowego tu i ówdzie trafiały się szyldy po koreańsku, ale im dalej, tym widziałem ich mniej. Kiedy otaczał mnie już tylko chiński, stanąłem. Byłem w szoku, gdy mijający mnie etniczny Koreańczyk oznajmił, że przybyłem nie do Shenyangu, ale do Changchunu. Nie wiedziałem, że tu należy się przesiąść do innego autobusu.

Podziękowałem mężczyźnie, który życzliwie wskazał mi drogę powrotną na dworzec, a potem ruszyłem w tamtym kierunku. Coś mi świtało, że pan Shin wspominał o przesiadce

w Changchunie. Wtedy jednak przede wszystkim martwiłem się o Young Mina i nic innego się nie liczyło.

Zadzwoniłem do pana Shina z budki telefonicznej.

– Halo! Jestem w Changchunie. Są jakieś wieści o Young Minie albo Chang Yongu?

– No, gratulacje, że dotarłeś tam samodzielnie! O wuja Chang Yonga się nie martw. Wrócił do domu cały i zdrowy. Pamiętasz tę Chinkę, którą spotkaliście tuż za rzeką? Przesłuchiwali go tylko dlatego, że na niego doniosła, nic więcej. Z tego, co mówił, Young Mina chyba jeszcze nie złapali. Tak czy inaczej, Changchun to wciąż dość blisko, więc lepiej jedź dalej. W Shengyangu będzie bezpieczniej. Jeśli zadzwoni twój przyjaciel, skieruję go tam.

Myślałem, że czterysta yuanów to duża suma, ale okazało się, że po nabyciu biletu z Yangji do Changchunu, a stamtąd do Shenyangu, zostały mi tylko trzy yuany. Uznałem, że na szczęście starczyło mi przynajmniej na autobus do Shenyangu, i próbowałem się tym pocieszyć. Niczego nie pragnąłem bardziej, niż żeby Young Min również tam dotarł. Może pojawi się przy mnie nazajutrz.

Postanowiłem zbadać los rzutem monetą. Jeśli wypadnie reszka, to znaczy, że Young Min do jutra tu dotrze. Podrzuciłem i złapałem monetę; zanim ją odkryłem, ciążyła mi w dłoni, bo przecież mieściła się w niej nasza przyszłość. Błagam, niech to będzie reszka, modliłem się, przyciskając ją do czoła. Ale gdy na nią spojrzałem, zobaczyłem rewers. Spróbowałem jeszcze kilka razy, ale nie znalazłem pocieszenia.

Schowałem ją z powrotem do kieszeni. Pomyślałem o tym wszystkim, co nie potoczyło się tak, jak sądziłem, tylko lepiej. Może odwrotna strona monety zwiastowała to samo. Więcej nią nie rzucałem ze strachu, że gdybym jej dotknął, zburzyłbym tę moc.

Gdy zająłem miejsce w autobusie do Shenyangu, nie posiadałem się z podniecenia na myśl o tym, że Young Min może być bezpieczny. Nawet ubrany na beżowo mężczyzna, który siedział przede mną, z tyłu go przypominał. W napływie

optymizmu uznałem, że mogę zjeść jeszcze dwie bułki. Spojrzałem na trzy pozostałe i powiedziałem sobie, że teraz zostało już mniej dni do chwili, kiedy znowu zobaczę przyjaciela.

W zamyśleniu udawałem, że gram na fortepianie na oparciu pustego siedzenia przede mną. Nagle moje palce zamarły. W siatkowej kieszeni zobaczyłem ulotkę turystyczną po koreańsku. Przejrzałem ją i o mało nie krzyknąłem na widok numeru telefonu do konsulatu Korei Południowej w Shenyangu. Spojrzałem raz jeszcze, uważnie skupiając wzrok. Tak, to naprawdę numer do konsulatu. Czyżby dotarcie do Korei Południowej było aż tak proste?

Miałem wrażenie, że z podniecenia zaraz eksploduję. Ścisnąłem dłonie najmocniej, jak mogłem, żeby pozbyć się nadmiaru energii. Dlaczego pan Shin nie podał nam tego numeru, skoro jest publicznie dostępny? Jasne, Shin to tylko facet z prowincji, ale dlaczego my, wyrobieni chłopcy z Pjongjangu, sami na to nie wpadliśmy? Nie mogłem się doczekać, kiedy wysiądę z autobusu. W przeciwieństwie do podróży do Changchunu ta niemiłosiernie się dłużyła.

Odnalezienie konsulatu w Shenyangu nie mogło być trudne, nie widziałem więc powodu, żeby oszczędzać resztę bułek. Zjadłem wszystkie. Gdy zmiąłem w dłoni plastikową torbę, byłem szczęśliwy. Całe to cierpienie, które nosiłem ze sobą, stało się trywialne. Cztery koła autobusu powoli obracały się po twardej ziemi, a moje myśli wyrywały do przodu.

Autobus wtoczył się na dworzec w Shenyangu dopiero po zmroku. Na szczęście kierowca otworzył drzwi, gdy tylko się zatrzymaliśmy. Wysiadłem pierwszy, bo już kiedy zwalniał, przeszedłem na przód. Pognałem na poszukiwanie budki telefonicznej. Zdawało się, że odkąd przekroczyliśmy rzekę, cały czas jestem w biegu, lecz dopiero teraz czułem, że sam kieruję swoimi krokami.

Gdy znalazłem budkę i zamknąłem za sobą drzwi, wypełnił ją odgłos mojego oddechu. Wrzuciłem monetę i wybrałem numer. Potwornie drżały mi dłonie. Po wciśnięciu ostatniej cyfry

w słuchawce zabrzmiał sygnał. Czułem, że po drugiej stronie ktoś czeka na mój telefon.

– Halo? – odezwał się mężczyzna po koreańsku. Wstrzymałem oddech.

– Halo? Dodzwoniłem się do konsulatu Korei Południowej, prawda?

– Tak, kto mówi?

– Dziękuję, dziękuję. – Jak we śnie skłoniłem się aparatowi, oszołomiony, że w konsulacie odebrano mój telefon.

– Kto mówi? – powtórzył mężczyzna.

Głęboko odetchnąłem, a potem, tak podniośle, jakbym stał przed ich flagą narodową, oznajmiłem:

– Przybyłem z Korei Północnej. Towarzyszył mi przyjaciel. Chcę prosić o azyl w Korei Południowej.

Nie otrzymałem odpowiedzi i zrozumiałem, że połączenie się zerwało.

Parę razy uderzyłem w słuchawkę. Głupi telefon postanowił się zepsuć w najważniejszym momencie, więc czym prędzej pognałem na poszukiwanie innej budki. Łzy spływały mi po policzkach. Korea Południowa właśnie usłyszała moją prośbę o azyl. Dotarłem do końca mojej podróży. Otarłem twarz pięściami. Przy głównej ulicy, która odchodziła od dworca, zauważyłem trzy budki telefoniczne. Pierwsza wyglądała na sfatygowaną, więc wybrałem najnowszą.

– Halo! – Tym razem to ja odezwałem się pierwszy.

– Tak, z kim rozmawiam?

– To ja dzwoniłem przed chwilą. Chcę prosić o azyl w Korei Południowej. Mam przy sobie dokumenty tożsamości. Władze wrobiły nas w morderstwo i jesteśmy poszukiwani. Ale nikogo nie zabiliśmy.

– Proszę posłuchać, ten telefon nie jest bezpieczny, rozumie pan? – Rozejrzałem się dokoła. – Stąd trudno się dostać do Korei Południowej – mówił dalej głos. – Chiny nie pozwalają udzielać wiz uchodźcom z Korei Północnej w konsulacie w Shenyangu.

Żeby wyjechać do Korei Południowej, musi pan dotrzeć do ambasady w Pekinie. Tutaj nie możemy panu pomóc.

„Tutaj nie możemy panu pomóc”.

Ale przecież obaj byliśmy Koreańczykami, i on, i ja!

– Jak znajdę ambasadę w Pekinie? Proszę mi pomóc, bo nie wiem, dokąd jechać – błagałem. – W Yanji został mój przyjaciel, który też musi uciekać.

– Wszyscy uchodźcy radzą sobie sami. Chyba pan nie sądzi, że pomogę panu w tak podstawowych sprawach? Nie mogę rozmawiać dłużej, muszę się rozłączyć.

Po tych słowach połączenie zostało przerwane. Ciągły sygnał brzmiał jak świst kuli, która zaraz wbije mi się w czaszkę. Przez moment stałem jak wryty, trzymając słuchawkę, niezdolny odwiesić ją na widełki. Z całą pewnością rozmawiałem z pracownikiem konsulatu południowokoreańskiego, mówiłem z nim w naszym języku. Czy to możliwe, że źle mnie zrozumiał? Może tłumaczyłem zbyt pośpiesznie. Czyżbym wszystko zawalił, chociaż dotarłem już tak daleko?

Szukałem w kieszeni kolejnej monety. Spanikowałem, że nic mi już nie zostało, ale znalazłem jeszcze jednego yuana. To była nie tylko moja ostatnia moneta, ale i ostatnia szansa na przeżycie.

Zadzwoniłem ponownie. Tym razem wyjaśnię sytuację szczegółowo. Będę mówił powoli, żeby mężczyzna po drugiej stronie dokładnie mnie zrozumiał. Telefon dzwonił dziesięć razy, ale nikt nie odbierał. Kiedy sygnał zamilkł, próbowałem odebrać monetę, ale nawet aparat okazał się obojętny i nie chciał mi jej oddać.

Osunąłem się na ziemię. Objąłem kolana ramionami, pochyliłem się i ukryłem twarz w dłoniach. Czułem pod palcami, jak krew mocno pulsuje mi w skroniach. Kiedy oparłem dłonie na ziemi, żeby się podźwignąć, straciłem ostrość widzenia. Chociaż wytężałem wzrok i otwierałem oczy jak najszerzej, widziałem tylko ciemność.

Uklęknąłem i oddychałem głęboko. Gdy stopniowo zacząłem odzyskiwać wzrok, wokół mnie wirowały niezliczone plamki światła. Bolesne, mdlące wirowanie stopniowo zwolniło i obraz stał się klarowny. Ostrożnie wstałem.

Opuszczając budkę telefoniczną, pogodziłem się ze swym żałosnym końcem. Byłem gotów czekać, aż zostanę zepchnięty z krawędzi świata. Nie miałem już łez. Wiedziałem, że one pojawiają się tylko wówczas, gdy może je otrzeć cudza dłoń.

Oszołomiony w mroku nocy byłem ledwie pyłkiem kurzu, który frunie pod obcym niebem. Zubożałą Koreę Północną, egzystującą dzięki chińskiej pomocy, stać było na wysłanie agentów w pościg ramię w ramię z chińskimi służbami. Natomiast Korea Południowa, gospodarczy sojusznik Chin, który inwestował w tutejsze reformy, zdawał się nie mieć ani woli, ani możliwości uratowania rodaka. Czy w ogóle miałem jeszcze jakąś ojczyznę?

Obejrzałem się na budkę. Musiałem przynajmniej skupić na niej bezproduktywne spojrzenie, bo inaczej zarówno moje ciało, jak i moje nadzieje zapadłyby się w nicość. Poprosiłem o azyl, a pracownik powiedział, że linia nie jest bezpieczna. Tak, na pewno celowo okazał mi chłód, wiedząc, że nas podsłuchują.

Mówił, że muszę się udać do ambasady w Pekinie. Samodzielnie dotarłem aż do Shenyangu, więc oczywiście dojadę i tam. Gdy tylko znowu spotkam się z Young Minem, wyruszymy prosto do Pekinu. Powiedziałem sobie, że choć nie mam już grosza przy duszy, to jestem w mieście, a nie w zapadłej wiosce na prowincji. Jedzenia musiało być tu więcej niż na wsi. Z pewnością zdołam również pożyczyć od kogoś telefon, żeby raz po raz dzwonić do pana Shina. Rozejrzałem się za szyldem „PC", jaki pamiętałem z Changchunu, i pierwszą noc w Shenyangu spędziłem w kafejce internetowej.

Nazajutrz rano, na nowo zdeterminowany, wyruszyłem na poszukiwania jakiegoś miejsca, z którego mógłbym zadzwonić, nie płacąc. Musiałem sprawiać dobre wrażenie, a ponieważ nie znajdowałem się już tak blisko granicy, uznałem, że okulary

przeciwsłoneczne nie są mi potrzebne. Pan Shin chyba miał rację: wyglądałbym w nich dziwnie. Znalezienie darmowego telefonu okazało się jednak trudniejsze, niż myślałem. W zreformowanej chińskiej gospodarce wszystko wymagało pieniędzy. Zauważyłem kilka osób pobierających opłaty za skorzystanie na ulicy z ich stacjonarnych aparatów, ale nie odważyłem się do nich podejść. Uznałem, że podobnie jak w Yanji i Longjingu, najbezpieczniej będzie znaleźć kogoś, kto mówi po koreańsku. Gdzie zacząć poszukiwania? Niełatwo odróżnić etnicznych Koreańczyków od Chińczyków.

Wybrałem się na dość ruchliwą ulicę. Okazało się, że to wejście na bazar. Po mojej prawej ręce stały stragany z odzieżą, a po lewej ciągnął się rząd małych restauracji. Panował zbyt duży tłok i stojąc tam, czułem się nieswojo, więc udałem się w miejsce, gdzie było trochę luźniej.

Potem po cichu zwracałem się do każdego przechodzącego. Kiedy mijał mnie mężczyzna, mówiłem po koreańsku: „Proszę pana!”. Kiedy kobieta: „Proszę pani!”. Chińczycy powinni mnie zignorować, ale osoby znające koreański na pewno się obejrzą, żeby sprawdzić, kto ich woła.

Przez resztę poranka stałem na tej uliczce i zagadywałem każdego przechodnia. Nie poddawałem się, zwracałem się do nich uprzejmie, chociaż moje ciało było bliskie omdlenia z głodu. Około szesnastej ogarnął mnie niepokój. Jeśli znów zajdzie słońce, a ja wciąż nic nie osiągnę, w ciemności osłabnę jeszcze bardziej.

2

Pamiętne spotkanie z Wang Cho Rin

Podniosłem wzrok. Dwadzieścia metrów dalej szła w moim kierunku młoda kobieta. Jej fryzurę w rodzimych stronach nazwalibyśmy: „pod garnek”, bo wyglądała tak, jakby fryzjer włożył jej garnek na głowę i ostrzygł dookoła. W Korei Północnej kobietom nie wolno było nosić długich włosów ani ich rozpuszczać, bo symbolizowały zepsucie społeczeństwa kapitalistycznego. Tolerowane były tylko u tancerek, ponieważ to element tradycyjnego wyglądu. Jednak nawet one na co dzień musiały je wiązać. Wiele kobiet robiło sobie trwałą, bo dzięki temu krótkie włosy lepiej wyglądają. Reszta nosiła je proste.

Idąca w moją stronę kobieta z fryzurą pod garnek była średniego wzrostu. Miała wysokie skórzane buty, żółtą kurtkę z czarnym paskiem na ramionach oraz brązową torebkę z tkaniny w kratę. Pod względem ubioru, a nawet torebki, nie różniła się niczym od setek innych młodych Chinek, które mijały mnie, nawet się nie oglądając.

Tak jak przy każdym poprzednim powitaniu obiecałem sobie, że to będzie ostatnie. Poczekałem na nią. Gdy się odzywałem, kiedy przechodzień znajdował się przede mną, to nawet jeśli mnie nie rozumiał, zwykle reagował choćby po to, żeby upewnić się, co właśnie usłyszał. Dlatego zwróciłem się do niej, gdy tylko była już blisko.

– Proszę pani!

Młoda kobieta zatrzymała się i popatrzyła na mnie. Zamrugała, jakby pytając, czy to do niej mówiłem.

– Potrzebuje pan pomocy? – zapytała, z całą pewnością po koreańsku.

Choć był to język, który rozpaczliwie pragnąłem usłyszeć, w pierwszej chwili nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Czy potrzebuje pan pomocy? – powtórzyła.

– Tak, tak! – odpowiedziałem nieco zbyt gorliwie.

– To w czym mogę pomóc? – Zrobiła nawet kilka kroków w moją stronę. Gdy się zbliżyła, zalała mnie fala wdzięczności. Już sam fakt, że była gotowa mi pomóc, potwierdzał, że mimo wszystko jestem człowiekiem. – Wskazać panu drogę? – zapytała.

Gdy stanęła naprzeciwko mnie, przeraziłem się, że wystraszy ją mój smród. Nie myłem się od wielu dni.

– Błagam, niech pani obieca, że wysłucha mnie pani do końca – powiedziałem. Zawahała się i zmarszczyła czoło. Czy żałowała, że się zbliżyła? Prędko zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby zaraz miała odejść. – Nie jestem dziwakiem. Po prostu nie mówię po chińsku, więc szukałem właśnie kogoś takiego jak pani. – Gdybym się nie pilnował, mógłbym ją nazwać „towarzyszką”. – Czy poświęci pani pięć minut, żeby mnie wysłuchać?

Zerknęła na zegarek, jakby chciała powiedzieć, że daje mi dokładnie tyle czasu.

– Proszę – odparła. – Słucham.

Wyjaśniłem, że przedostałem się przez granicę z Korei Północnej i że uciekam przed władzami. Pominąłem sprawę domniemanego morderstwa. Opisałem historię rozstania z Young Minem, a w końcu poprosiłem, żeby wyjaśniła, jak dojść piechotą do ambasady południowokoreańskiej w Pekinie.

– Piechotą? Przecież do Pekinu jeżdżą autobusy! – Była zaskoczona, ale z mojego wyglądu wywnioskowała, w jakiej jestem sytuacji, więc dodała: – Nie da się dojść pieszo do Pekinu! To za daleko.

– Czy istnieje inny sposób, żeby się dostać do Korei Południowej?

Postąpiła krok naprzód i zaczęła tłumaczyć, jakby chciała mnie nagrodzić, że zaufałem w jej szlachetność. Powiedziała, że większość Koreańczyków z Północy udaje się do ambasady

w Pekinie, a nie do konsulatu w Shenyangu. Wytłumaczyła, że jeśli pojadę przez miasto Dalian, podróż powinna być łatwiejsza, bo wiele osób mówi tam po koreańsku. Gdybym w Dalianie zarobił trochę pieniędzy, może zdołałbym kupić podrabiany chiński paszport i z nim dostałbym się do Korei Południowej.

– Skąd pani to wszystko wie? – zapytałem oszołomiony.

– Mój ojciec, który mieszka w Helongu, pomógł wielu takim jak pan.

Słysząc to, opowiedziałem jej o ludziach, których spotkałem między Yanji a Shenyangiem: o Chang Yongu, panu Shinie i staruszku z Longjingu. Kobieta podeszła jeszcze bliżej.

– Ma pan rodzinę w Shenyangu? – spytała. Uśmiechnąłem się niezręcznie i pokręciłem głową. – To gdzie pan będzie nocował? Jadł pan coś?

Nie byłem w stanie powiedzieć, że tak, choć z drugiej strony nie umiałem przyznać się kobiecie, że nie jadłem nic od dwóch dni. Zacząłem gestykulować, szukając wymówki, ale ona już wyjęła komórkę. Czy zamierzała donieść na mnie władzom? Patrzyłem na jej telefon i słuchałem z niepokojem, jak prędko mówi po chińsku. Nie rozumiałem ani słowa.

Kiedy zamknęła klapkę aparatu, rozpogodziła się.

– Mam dwa kupony do motelu z sauną. Mieliśmy się tam wybrać z moim narzeczonym, ale właśnie do niego zadzwoniłam i bardzo chętnie je panu odda. Chce pan tam dziś zanocować? To niedaleko. – Zatopiony w myśli, że stojąca przede mną dziewczyna ma równie dobre serce jak ojciec, o którym wspomniała, nie odpowiedziałem. – Może się pan tam umyć i przespać. Jak mówiłam, to niedaleko.

Odwróciła się w stronę drogi, jakby chciała powiedzieć: „Chodźmy”. Poczułem się skrępowany, gdy znalazła się tak blisko, że musiała poczuć mój smród uchodźcy. Szliśmy powoli, ponieważ usiłowałem trzymać się krok za nią, a ona zwalniała, żebym dotrzymał jej tempa.

– Dziękuję, że tak mi pani pomaga – powiedziałem. – Czy mogę o coś zapytać?

– Tak.

– Mówiła pani, że ma dwa kupony do sauny. Miała tam pani iść ze swoim „narzeczonym”. Tak się nazywa pani przyjaciel?

– Ojej, mój narzeczony! – Uśmiechnęła się. – To znaczy, że jesteśmy zaręczeni. Weźmiemy ślub. Tu, w Chinach, osoba, którą poślubimy, to nasz „narzeczony”. To chyba odpowiednik północnokoreańskiego… hmm! Sama nie wiem. – Choć byłem pisarzem, który żył w świecie słów, nigdy nie przyszło mi do głowy, że w koreańskim może istnieć specjalny wyraz określający osobę, z którą weźmiemy ślub. – Tak czy inaczej – ciągnęła – powiedział, żeby wziął pan oba kupony. Może pan tam zostać przez dwa dni. Prawda, że jest cudowny?

Miałem ochotę powiedzieć, że oboje są cudowni.

– To wielki człowiek! Dziękuję! Proszę mu przekazać moje uszanowanie. Czy mogę spytać, jak się pani nazywa? Chcę zapamiętać, co pani dla mnie zrobiła.

– Ja? Wang Cho Rin.

– Wang Cho Ing?

Zaśmiała się, gdy usiłowałem wymówić jej nazwisko. Powoli powtórzyła każdą sylabę, a potem znów się roześmiała. Znalazłem oazę zrozumiałego języka i dziękowałem za to losowi, ale ona nie dostrzegła mojego oszołomienia i mówiła po koreańsku, jakby w Chinach była to najzwyklejsza rzecz pod słońcem. Chciałem powiedzieć coś, co sprawi jej przyjemność.

– Zgadnę, ile pani ma lat. Na pewno trafię.

– Tak pan myśli? – odparła. Wskazała uliczny stragan z żywnością i rzekła: – Jeśli pan zgadnie, kupię panu szaszłyk z jagnięciny.

Spoważniałem. To pierwszy i jedyny przypadek w moim życiu, gdy chciałem odgadnąć wiek kobiety w zamian za jedzenie. Chyba bardzo o nim marzyłem, bo zamierzałem powiedzieć: „dwadzieścia sześć”, a mruknąłem: „jagnięcina”. Zaczerwieniłem się. Chociaż miała tylko lekki makijaż, to jej skóra lśniła promiennie, więc domyślałem się, że ma dwadzieścia parę lat.

– Dwadzieścia pięć.
– Hmm… Tak pan myśli?
– A ile?
– Dwadzieścia siedem.

Byłem załamany, ale Cho Rin miała dobre serce. W nagrodę za to, że ją odmłodziłem, ruszyła do stoiska i kupiła nie jeden, ale cztery szaszłyki. Jeden zostawiła sobie, a pozostałe trzy mi oddała. Oszołomiła mnie woń pieczonego mięsa.

Życzliwość Cho Rin zbudziła we mnie przekonanie, że nawet gdy tracimy silną wolę, wciąż mamy prawo do życia. W świecie takim jak ten żadne nieszczęście nie może być przypadkowe. A dzięki kuponom, które od niej dostałem, tego wieczoru mogłem się umyć w ciepłej wodzie.

Siedząc w wannie z gorącą wodą, zastanawiałem się, gdzie może się teraz podziewać Young Min. Jakże pragnąłem, żeby był tu ze mną. Wanny były znacznie większe i było tu więcej osób niż w łaźni, do której pan Shin zabrał nas w Yanji. Niektórzy, przechadzając się, jedli, a głośny gwar rozmów i szum wody sprawiały, że nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Zdrapując z siebie brud uchodźcy mydłem o zapachu pomarańczy, rozmyślałem o wszystkim, o czym rozmawiałem z Cho Rin. Najbardziej utkwiło mi w pamięci to, że mężczyznę, za którego miała wyjść, nazwała swoim narzeczonym. W zinstytucjonalizowanej rzeczywistości Korei Północnej do każdej osoby starszej od nas lub zajmującej wyższe stanowisko w pracy mówiło się *dongji* (towarzyszu), a do wszystkich innych, równych nam – *dongmu* (towarzyszu-przyjacielu). Osoby te były naszymi towarzyszami w lojalnym posłuszeństwie. Jako że hierarchia szacunku oparta na wieku i starszeństwie stała się w codziennym życiu tak jednoznaczna, lojalność i posłuszeństwo wobec Przywódcy wydawały się naturalną formą oddania czci, a nie czymś unormowanym politycznie czy prawnie.

Nawet wśród zakochanych obowiązywało to samo. Kobiety zwracały się do wszystkich mężczyzn *dongji*, a mężczyźni do wszystkich kobiet – *dongmu*. Mówienie do ukochanej osoby przy

użyciu innego tytułu, tak jak robiono to tutaj w Chinach, uznawano za postawę wywrotową. Bezwarunkowa miłość zarezerwowana była dla Kim Il Songa i Kim Dzong Ila, których podobizny widniały na odznakach noszonych przez każdego obywatela. Gdyby ktoś w jakikolwiek sposób postawił innego człowieka ponad Kimami, zostaliby zredukowani do drugiego stopnia ważności. Choć ludziom z zewnątrz może się to wydać dziwne, było dla nas niewyobrażalne, że kogokolwiek moglibyśmy kochać bardziej niż Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Żyłem w zgodzie z totalitarnym leksykonem despoty dbającego o własne interesy, który wdarł się w nasze najbardziej intymne emocje, żeby je wydrzeć jednostce. Dlatego nie przestawałem zachwycać się pięknem słowa „narzeczony”, którego nauczyła mnie Cho Rin.

Po kąpieli otworzyłem szafkę, by zabrać ubranie. Kiedy mój wzrok padł na bezcenne zawiniątko z odręcznie pisanymi wierszami z Pjongjangu, które Young Min uratował dla mnie z szopy przed domem teściowej Chang Yonga, poczułem się podle, że uciekłem do Shenyangu, myśląc wyłącznie o własnym przetrwaniu.

Krążyłem po motelu w poszukiwaniu telefonu. Był to dzień, w którym przypadkowo poznana kobieta z ulicy dała mi dwudniowy nocleg, więc zastanawiałem się, czy poszczęści mi się raz jeszcze. Może jeśli zadzwonię do pana Shina, będzie miał dla mnie dobrą wiadomość. W rogu motelowego holu wisiały dwa automaty. Usiadłem pod nimi, jakby moneta jednoyuanowa miała mi nagle spaść z nieba, i w końcu zasnąłem z głową na kolanach.

– Halo!

Kiedy się obudziłem, był już poranek. Ktoś szturchał mnie lekko, więc jeszcze mocniej zacisnąłem powieki. Nie miałem odwagi ich otworzyć z obawy, że znajdę się w rękach władz. Gdy

jednak zorientowałem się, że głos należy do kobiety, pocieszyłem się, że to pewnie pracownica motelu, więc usiadłem.

Wciąż za to nie śmiałem obrócić głowy w stronę tej osoby. Odkąd przekroczyłem Tumen, nigdy jako pierwszy nie nawiązywałem kontaktu wzrokowego.

– To pana spotkałam wczoraj, prawda?

Podniosłem głowę i nie wierzyłem własnym oczom. To ona, Wang Cho Rin, której nie spodziewałem się już nigdy zobaczyć. Wyglądała, jakby właśnie wzięła kąpiel, miała jeszcze mokre włosy.

– Jak mnie pani znalazła?! – zawołałem.

Rozradowany niespodziewanym spotkaniem z przyjazną osobą na chińskiej ziemi, nie zdawałem sobie sprawy, że głośno krzyczę z wyraźnym pjongjańskim akcentem.

– Czary mary! – oznajmiła z uśmiechem, po czym otworzyła plastikowe pudełko pełne gorących bułeczek, ale w tej chwili naprawdę bardziej się cieszyłem, że widzę ją, a nie jedzenie.

– Jak mnie pani znalazła? – powtórzyłem. – Czy przyszła pani ze swoim… narzeczonym?

– Nie, jest zajęty innymi sprawami. Przyszłam, żeby przynieść panu coś do jedzenia. Tak czy inaczej tędy przechodziłam, więc pomyślałam, że jeśli nic panu nie dam, to pewnie cały dzień będzie pan głodny. Dobrze zrobiłam, prawda? – Wręczyła mi bułkę, a ja chciałem dać jej coś w zamian. Ogromnie brakowało mi pieniędzy z plecaka, który zabrały władze, kiedy ukrywaliśmy się w pobliżu domu teściowej Chang Yonga. – Wszystko mu powiedziałam – ciągnęła. – Pochwaliłam się, że mogłam pomóc komuś takiemu jak pan.

Kiedy to usłyszałem, zaniepokoiłem się, co oznacza „wszystko”. Podniosłem wzrok i dostrzegłem żyły na jej bladej szyi. Delikatna skóra zdawała się półprzejrzysta, była niczym tafla szkła odsłaniająca jej życzliwość. Ilekroć Cho Rin się uśmiechała, zamykała oczy. Przybierały wtedy kształt dwóch małych półksiężyców i wyglądały jak kwintesencja niewinności. Ale zadarty nos na jej drobnej twarzy wskazywał, że w środku

kryje niepokorny charakter, więc jeśli ktoś ją sprowokuje, potrafi uciąć jak osa.

– Co powiedział pani narzeczony? Czy jest Chińczykiem? – zapytałem.

Machnięciem ręki wskazała pudełko bułek.

– Ja już jadłam, więc może pan wziąć wszystkie. Zaraz, o co pan pytał? Tak, to Chińczyk Han. Powiedział, że bardzo dobrze zrobiłam, pomagając panu, więc w niedzielę weźmie mnie na zakupy! On też nienawidzi Kim Dzong Ila. Chyba większość Chińczyków go nienawidzi, choćby za to jego brzuszysko.

Roześmiałem się. Zainteresowała mnie jej relacja z narzeczonym.

– Czy wielu Chińczyków Han żeni się z etnicznymi Koreankami?

– Tak, czemu nie? Oni są tu dominującą grupą etniczną, a my tylko jedną z pięćdziesięciu sześciu mniejszości, za to należymy do najpracowitszych. Poza tym, dzięki coraz silniejszym kontaktom z Koreą Południową, wielu z nas się wzbogaciło. Ale muszę przyznać, że Chinki Han znacznie rzadziej wychodzą za etnicznych Koreańczyków, bo takiemu mężczyźnie trudniej sobie wyrobić pozycję na nowej drabinie społecznej. Natomiast w drugą stronę zdarza się to często. Bo wie pan co? My, Koreanki, umiemy zajmować się domem i Chińczycy Han dobrze o tym wiedzą!

Byłem jej wdzięczny za jedzenie, lecz jeszcze bardziej za towarzystwo. Chciałem coś dla niej zrobić, więc rozejrzałem się, czy mogę przynieść jej wody. Ubiegła mnie.

– Oj, poszukam panu czegoś do picia – powiedziała.

Kiedy patrzyłem, jak biegnie po wodę, nabrałem przekonania, że już wkrótce znowu czeka mnie zwykłe, codzienne życie. Po chwili wróciła, niosąc ostrożnie dwa papierowe kubki. Zerwałem się na nogi. Znaleźliśmy ławkę, usiadłem, Cho Rin otarła mokrą rękę o szorty, a potem zajęła miejsce obok mnie.

Gdy się pochyliła, zobaczyłem jej blady dekolt i prędko odwróciłem wzrok. Poczułem, że zrobiłem coś obraźliwego

wobec osoby, która mi pomogła. Już miałem ugryźć bułkę, lecz opuściłem rękę. Nieco się uspokoiłem, słysząc, że Cho Rin wciska guziki w komórce, ale wciąż nie potrafiłem spojrzeć jej w oczy.

– Niech pan je bułkę, bo wystygnie – powiedziała, a potem dodała pogodniej: – Mogę pana o coś zapytać? Słyszałam, że w Korei Północnej z powodu głodu panuje kanibalizm. Czy to prawda?

– Czasem krążyły takie pogłoski, ale ani ja, ani moi znajomi nie spotkaliśmy się z czymś takim. Natomiast raz widziałem, jak matka próbowała sprzedać córkę na targu.

– Naprawdę? Córkę? Widział to pan na własne oczy?

Był 1999 rok. Dzień zaczął się tak jak każdy inny. Szedłem w jakimś celu przez dzielnicę Dongdaewon. Choć znajdowała się w Pjongjangu, była zubożała i mieszkali tam najbiedniejsi ludzie w mieście. Targ miała nędzniejszy niż w innych miejscach, a handlarze, których nie było stać na placowe, desperacko zaczepiali przechodniów. Jedna z takich kobiet podeszła do mnie, podtykając mi pieczywo.

– Proszę, niech pan kupi paczkę pieczywa za sto wonów. Błagam, niech mi pan pomoże!

Jej pomarszczona dłoń była spuchnięta i popękana w wielu miejscach. Trzymała w niej opakowanie z pięcioma małymi bułkami wielkości niemowlęcych piąstek. Chciałem jej po prostu dać te sto wonów (warte około dziesięciu centów amerykańskich) i nie brać paczki, ale uświadomiłem sobie, że mój portfel został w drugiej kurtce.

– Przykro mi, zostawiłem portfel w domu. Naprawdę.

Może chciała mnie ponownie błagać, ale zamiast tego tylko pokręciła głową i z pogardą zmierzyła mnie wzrokiem, patrząc, jak dobrze jestem ubrany. Bynajmniej nie pomagało, że miałem na sobie oficjalny garnitur i krawat.

Pragnąłem czym prędzej uciec od tej krępującej sytuacji, ale właśnie wtedy przebiegło obok mnie kilka osób, a jedna mnie

potrąciła. Ku mojej irytacji nieco dalej na mej drodze zebrał się tłumek. Chciałem szybko przeciąć targowisko, bo odrzucał mnie jego charakterystyczny zapach. Na straganach wciąż wystawiano mięso i ryby, które zdążyły zepsuć się w upale, a handlarze usiłowali odganiać muchy packami. Podłoże było niebrukowane, dlatego odpadki i ścieki zbierały się w błotnistych kałużach. Do tych wszystkich woni dochodził smród potu i ludzkich odchodów, więc musiałem się powstrzymywać przed zwymiotowaniem.

– Przepraszam, czy mogę przejść? Bardzo się śpieszę.

Usiłowałem się przecisnąć, ale zbiorowisko gęstniało i miałem wrażenie, że z każdym krokiem pcham przed sobą cały tłum. Gdy dotarłem do miejsca, gdzie przynajmniej widziałem grunt pod nogami, nie zdążyłem otrzeć potu z czoła, bo mój wzrok spoczął na scenie przede mną.

Na placu, zwykle gromadzącym handlarzy i kupców, stała kobieta z małą dziewczynką niczym para skazańców, którzy zaraz zostaną straceni w publicznej egzekucji. Zdrętwiałem z obrzydzenia, kiedy ujrzałem napis na kartce wiszącej na szyi około siedmioletniej dziewczynki. Brzmiał on: „Sprzedam córkę za 100 wonów”.

Kobieta obok niej, chyba matka, stała ze spuszczoną głową. Często słyszałem o matkach, które porzucają lub oddają swoje dzieci, ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś sprzedawał dziecko za ledwie sto wonów.

Reszta gapiów, którzy wyraźnie myśleli to samo, obrzucała ją wyzwiskami.

– Oszalała, wywłoka jedna!

– Ty kurwo! Choćbyś umierała z głodu, jak możesz sprzedać własną córkę?

– Ładna jak dziwka, ale serce ma zgniłe.

– Co za szumowiny chodzą dziś po świecie.

Starszy mężczyzna głośno zwrócił się do dziewczynki:

– Dziecko, czy ta kobieta naprawdę jest twoją matką? Możesz nam powiedzieć prawdę, chcemy ci pomóc? Czy to naprawdę

twoja matka?

Patrzyłem na usta małej. Gdy się wahała, tu i ówdzie rozległy się okrzyki.

– Ludzie, uciszcie się! – zawołał ktoś w tłumie. – Chcemy usłyszeć, co powie!

Wówczas nawet stojący obok mnie mężczyzna w średnim wieku, który drapał się w coraz to inne miejsca, przerwał to, co robił. Dziewczynka wymamrotała odpowiedź, uwieszona ubrania kobiety:

– To naprawdę moja matka.

Jej matka? Matka, która sprzedaje córkę za sto wonów? Pierścień gapiów znowu się ożywił.

– No, no! Biedne dziecko!

– Ej, szmato, jak sprzedajesz dziecko, to je przynajmniej dobrze wyceń!

– Nawet psy idą po trzy tysiące wonów! Czy twoja córka jest mniej warta?

– Kto kupi dziewczynkę, skoro każdy sam ledwo ma co do ust włożyć?

– Właśnie. Może gdyby kogo ubłagała, żeby wziął małą, toby się zlitował.

– Głupia kobieto! Co ty zrobisz ze stoma wonami?

Kobieta, o dziwo, nie reagowała. Ani drgnęła i wciąż patrzyła w ziemię. To jeszcze bardziej rozzłościło tłum, aż w końcu ktoś zawołał:

– Powiedz coś, głupia zdziro! Ej, głucha jesteś czy co?

Wyzwiska prędko przerodziły się w szepty:

– Ona jest głucha?

– Ludzie, ona jest głucha!

Mnie również się wydawało, że jest z nią coś nie tak. W tłumie odezwał się ktoś inny, pytając, czy mała ma ojca, jakby pogodził się z faktem, że nie ma sensu złorzeczyć na głuchoniemą kobietę.

– Nie, już nie mam ojca. Nie miał dość jedzenia… – Dziewczynka znów wymamrotała odpowiedź, a potem nagle podniosła głowę i krzyknęła: – Przestańcie źle mówić o mojej

matce! Powiedzieli, że zostało jej tylko parę dni życia! Ona umiera!

Wrzask małej przeszył powietrze. Ktoś zaczął cmokać, jakby przyznając, że czekanie na pewną śmierć jest jeszcze gorsze od samej śmierci. Patrząc na matkę i córkę, byłem pewien, że żyjemy w czasach ostatecznych. Obok mnie rozpłakała się jakaś staruszka. Ocierając łzy, powiedziała, że gdyby przynajmniej matka miała głos, mogłaby rozpaczać i dzielić swój ból z innymi.

Niema kobieta miała woskowatą skórę, jakby już teraz nie żyła, a w jej trupio chudych dłoniach zdawała się nie płynąć krew. Na rękawach bluzki i nogawkach spodni, grubo watowanych, było mnóstwo łat. Wzorowy ścieg nici stanowił żałosny ślad butnej walki człowieka z ubóstwem.

Przypomniało mi się powiedzenie, że niepełnosprawni ludzie często mają zręczne dłonie. Dziewczynka odziedziczyła po matce urodę. Co prawda sterczały jej kości policzkowe, ale widać było, że gdyby nabrała trochę ciała, stałaby się atrakcyjna. Na brodzie tuż pod wargą miała pieprzyk. W mojej rodzinie starsi mówili, że dziewczynce pieprzyk w widocznym miejscu przynosi pecha. W tym przypadku wyraźnie się to sprawdziło.

Teraz już nikt nie ciskał w kobietę wyzwiskami. Słychać było tylko zatroskane pomruki.

– Jak sobie poradzi mała po śmierci matki?

– Gdyby tylko dało się obie utrzymać przy życiu…

– Może dziewczynkę przygarnie jakiś krewny?

Jedna z handlarek, która wyglądała tak, jakby nie była w stanie dłużej ustać na nogach, wyciągnęła dwieście wonów i podała matce.

– Ej, paniusiu, my tu wszyscy ledwo wiążemy koniec z końcem – powiedziała. – Nikt nie weźmie twojego dziecka. Masz, trzymaj.

Poparli ją inni ludzie.

– Dobrze gada, weź pieniądze.

– No już, bo jak zostaniesz na ulicy, to tylko szybciej umrzesz. Musisz przeżyć ze względu na córkę.

Nie wiadomo, czy dlatego, że nie rozumiała, czy że czuła się urażona tą jałmużną, kobieta nadal zaciskała dłonie i nie chciała przyjąć pieniędzy. Handlarka próbowała jej pokazać, że dwieście wonów to więcej niż sto, ale matka nie ustępowała. Gdy zaś przekupka postanowiła dać pieniądze dziecku, kobieta ze złością wyrwała je małej i wepchnęła tamtej z powrotem do kieszeni.

Potem zdjęła kartkę z szyi córki i powiesiła na swojej.

– Z drogi! Z drogi! – Zbliżały się surowe pokrzykiwania oraz dźwięki gwizdka. To agent służby bezpieczeństwa w wojskowym mundurze. Może ktoś go powiadomił. Podszedł wprost do matki i uderzył ją w ramię otwartą dłonią. – Oszalałaś, do kurwy nędzy? Myślisz, że tu jest zepsuty kapitalistyczny kraj, w którym ludzi się kupuje i sprzedaje jak niewolników? Wypierdalaj stąd! I zabierz tę kartkę!

Zerwał jej z szyi tabliczkę i porwał ją na kawałki. Gdy strzępy papieru spadły na ziemię, tłum znowu się ożywił.

– Ej, ty, ona jest śmiertelnie chora! – zawołał ktoś. – Dowiedz się przynajmniej, o co chodzi!

Zachęcił tym innych, wzmagając ich gniew. Zaczęły się odzywać drwiące głosy:

– Myślisz, że tu rządzisz, bo jesteś z zasranej bezpieki? Po coś jej porwał kartkę?

– Patrzcie na gnoja, wygląda jak pieprzony szczur.

– Taki sukinsyn to własną żonę by sprzedał.

Rozjuszony agent odwrócił się, by odnaleźć źródło tych wyzwisk. Odezwał się ktoś inny:

– Co, nie widzisz nas? Otwórz, kurwa, oczy!

Nagle cały plac parsknął śmiechem. Agent, czerwony z wściekłości, zaczął wyładowywać gniew na głuchej kobiecie.

– Pójdziesz ze mną, kurwo! – ryknął. – Jak śmiesz handlować córką i znieważać socjalizm? Kochasz pieniądze? Promujesz kapitalizm? Spróbuj żreć ryż z fasolą, kurwo.

Dziewczynka się rozpłakała, ale on szarpał jej matkę za ramię, jakby chciał je urwać. Kobieta zatoczyła się, usiłując ustać w miejscu. Gniew tłumu osiągnął apogeum, nikt jednak nie śmiał

ruszyć do człowieka w wojskowym mundurze. Wreszcie ktoś do niego podszedł i złapał go za ramię. Był to oficer z pagonami porucznika.

– Ja wezmę dziewczynkę. To rozwiąże sprawę, prawda?

– Co? – Agent służby bezpieczeństwa obrócił się w kierunku głosu z zamiarem uderzenia mówiącego, ale powstrzymał się, gdy tylko dostrzegł rangę oficera.

Porucznik odciągnął go od kobiety. Wyglądał na bardzo silnego.

– Otrzymuję od państwa wojskowe racje – wyjaśnił. – Jestem pewien, że mogę wziąć odpowiedzialność za małą. Więc proszę, oto sto wonów za nią.

Słowa oficera pokazywały, że nie kupuje po prostu dziewczynki za sto wonów, ale przejmuje rolę matki. Aby pokazać to kobiecie, wziął małą na ręce.

Matka zareagowała zupełnie niespodziewanie. Przyjąwszy od porucznika banknot stuwonowy, wahała się przez moment. Potem rzuciła się biegiem przez tłum i zniknęła. Zdezorientowany oficer wciąż stał z dziewczynką w ramionach. Czy matka uciekła ze strachu, że zmieni zdanie? Jeśli tak, z pewnością postąpiła głupio. Ale może była chora psychicznie, co tłumaczyłoby, dlaczego próbowała sprzedać córkę.

Gapie zgadywali, co się stało. Nagle ktoś zawołał z tyłu:

– Wraca! Rozsuńcie się! Matka wróciła!

Tłum utworzył wąskie przejście dla powracającej kobiety, która potykała się zdyszana. Niosła pieczywo, dokładnie takie, jakie sprzedawano tuż pod targowiskiem.

Czy zdecydowała się na swój okropny czyn dla żałosnej paczki pieczywa? Czy nie mogła nawet dać córce stu wonów na posiłek w ostatnim akcie macierzyństwa?

Ku mojemu oszołomieniu matka otworzyła usta i zaczęła zawodzić:

– Wybacz mi! Wybacz swojej matce! Podła ze mnie matka! Tylko tyle mogę ci dać, zanim odejdę. – Uklękła przed córką, zanosząc się płaczem, i wtykała kawałki bułki do ust małej.

– Ona wcale nie jest głuchoniema!

– Cały czas nas słyszała!

– Jakże ona musi cierpieć!

Niektórzy w tłumie zaczęli łkać. Stałem pośród nich i płakałem razem z nimi.

3

Jak zostałem nauczycielem muzyki

Skończyłem mówić, ale Cho Rin wciąż dygotała. Wytarła mokre dłonie w szlafrok i znów podniosła je do oczu, żeby otrzeć nowe łzy.

– Jak Kim Dzong Il może nazywać siebie wielkim przywódcą? To zły człowiek. – Wypiła trochę wody i wydmuchnęła nos. – Dobrze pan zrobił, opuszczając ten kraj. Po co tam zostawać? – Odwróciła się do mnie i zawstydzona poklepała się po policzkach. – Ja nigdy nie płaczę. Naprawdę, nigdy. – Trochę się opanowała, a potem znów się odezwała: – Jak pan się dostanie do Korei Południowej? Nawet Koreańczycy z Północy, którzy dotrą aż do ambasady w Pekinie, są aresztowani pod bramą. Często mówią o tym w wiadomościach. Trzeba znaleźć panu bezpieczniejszą trasę.

Zawinęła włosy za uszy. Postanowiła, że tą sprawą musimy zająć się wspólnie. Powiedziała, że sama skontaktuje się z panem Shinem, żeby ustalić, gdzie jest Young Min, ale najbardziej palący problem to moje bezpieczeństwo. Nie mogłem wiecznie mieszkać w motelu z sauną, a każdy posiłek sam w sobie stanowił trudność. Cho Rin nie była samotną kobietą, miała narzeczonego i nie mogła cały czas przebywać ze mną. Tak znalezieniu schronienia, jak i podróży do Korei Południowej na przeszkodzie stał brak pieniędzy. Nagle podniosła głowę i spytała:

– Czy umie pan coś, czym można zarabiać?

Odparłem drwiąco, że odkąd przekroczyłem Tumen, jedynym, co ćwiczyłem, było ukrywanie się i wypatrywanie policji. Dodałem, że umiem grać na fortepianie, lecz to się w niczym nie przyda. Ale Cho Rin z zachwytem klasnęła w dłonie.

– Naprawdę? Tak, wie pan, oburącz?

Widząc, że wymachuje rękami, jakby tonęła, uśmiechnąłem się szeroko.

– No, tak. Nie jestem zawodowcem, ale grywałem dla przyjaciół.

Cho Rin znów klasnęła w dłonie, a potem spojrzała na mnie z taką miną, jakby coś jej nagle przyszło do głowy. Wyjaśniła, że jej wujek mieszka w pobliskiej dzielnicy Xita, gdzie żyje wielu etnicznych Koreańczyków. Tak się składało, że szukał dla syna nauczyciela gry na pianinie. Był dość zamożny, więc gdybym zaczął uczyć chłopaka, miałbym gdzie mieszkać i zarobiłbym jeszcze trochę pieniędzy. Propozycja brzmiała sensownie. Pobyt w Xita, znanej jako „koreańskie miasteczko" w Shenyangu, oprócz zarobku na pewno da mi szansę znalezienia drogi do Korei Południowej.

Cho Rin wyjęła komórkę i natychmiast wybrała numer wujka. Rozmawiała z nim przez ponad pół godziny. Wyrzucała z siebie całe zdania po chińsku, ilekroć rozmowa robiła się napięta. Kiedy wreszcie zamknęła aparat, uspokajająco pomachałem rękami i powiedziałem:

– Jeśli się nie zgadza, to nie ma sprawy. I tak muszę jak najszybciej opuścić Chiny.

– Nie, wszystko w porządku! Mam przyprowadzić pana dziś wieczorem do jego domu.

Przez kilka godzin, które pozostały do spotkania, kilkakrotnie próbowałem zadzwonić do pana Shina za pieniądze od Cho Rin. Korzystałem z publicznych automatów, bo jeśli chińskie władze podsłuchiwały telefon Shina, to nie chciałem, żeby zarejestrowały jej numer. Około dziewiętnastej wreszcie się połączyłem.

Pan Shin powiedział, że wciąż nie ma wieści od Young Mina. Gdyby mój przyjaciel wreszcie się odezwał, poprosiłem o przekazanie, że ma nie wracać do domu kuzyna, ale jechać do Shenyangu. Pan Shin podał mi numer komórki żony na wypadek, gdybym nie mógł się do niego dodzwonić. Miałem dać im znać,

kiedy znajdę bezpieczną drogę do Korei Południowej, a wtedy jego żona do mnie dołączy. Prosiłem, żeby nie wyłączał telefonu, bo wiedziałem, że Young Min będzie do niego dzwonił.

Wieczorem wraz z Cho Rin udaliśmy się taksówką do domu jej wuja. Zamiast głównymi drogami jechaliśmy bocznymi uliczkami. Cho Rin wyjaśniła, że są godziny szczytu, więc kierowca skraca sobie drogę, ale jazda i tak trwała ponad dwadzieścia minut. Na końcu zapłaciła. Chyba fortunę: dwadzieścia pięć yuanów.

Mieszkanie znajdowało się na ósmym piętrze. Tak jak mówiła Cho Rin, wujek rzeczywiście okazał się zamożnym człowiekiem. Dom był kosztownie wyposażony i umeblowany. W przeciwieństwie do mieszkania pana Shina, gdzie podgrzewaną podłogę przykrywało staromodne linoleum, tu posadzkę wykonano z marmuru i obłożono mięciutkimi dywanami. To dopiero drugi prywatny dom z marmurową podłogą, jaki w życiu widziałem.

W Korei Północnej najbardziej luksusowe domy znajdowały się w osiedlu Eundok we wschodnim Pjongjangu, gdzie mieszkali najbliżsi współpracownicy Kim Dzong Ila. Okolicę pięknie zaprojektowano, rosło tam mnóstwo drzew, a w pobliżu przepływała rzeka Daedong. Ponieważ ta dzielnica mieszkaniowa powstała ponoć w ramach szczególnego prezentu od Kim Dzong Ila, nazwano ją „Eundok” (po koreańsku „prezent”).

Mieszkał tam dyrektor Im i często mnie do siebie zapraszał. Eundok otoczono ogrodzeniem pod wysokim napięciem, patrolowali go uzbrojeni strażnicy. Na terenie stało sześć budynków. Kompleks posiadał własny generator napędzany silnikiem wysokoprężnym, zapewniający mieszkańcom nieprzerwaną dostawę prądu. Każdy z sześciu domów miał cztery kondygnacje, jednakową wielkość i taki sam prostokątny kształt. Na parterze znajdowały się garaże, a mieszkania zaczynały się od pierwszego piętra. Na każdej kondygnacji mieszkało tylko jedno pokolenie rodziny. Windy wykonała

w Japonii firma Mitsubishi. Lokal dyrektora Ima był na drugim piętrze.

Z windy wchodziło się bezpośrednio do jego mieszkania. W korytarzu stało mnóstwo rowerów, rakiet tenisowych i przeróżnych pudeł. Przed wejściem do części mieszkalnej zdejmowało się obuwie i wstawiało do szafki na buty, która ciągnęła się od ziemi aż do wysokiego sufitu. Główny korytarz mieścił się pośrodku mieszkania, a drzwi do pokoi po obu stronach znajdowały się naprzeciw siebie. Pierwszym dużym pomieszczeniem był salon, a kuchnię ulokowano na końcu. Dom miał dwie łazienki oraz dziesięć innych pokoi.

Salon zdobiły fotografie dyrektora Ima w towarzystwie Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Pod jedną ścianą stały trzy duże mahoniowe gabloty. Wystawiono w nich państwowe odznaczenia, złote zegarki i inne wyjątkowe podarki, a także kieliszki, do których wino nalali mu Kim Il Song i Kim Dzong Il. Jednym z przedmiotów, które zaciekawiły mnie najbardziej w jego prywatnym gabinecie, był telefon: czarny aparat z czerwonym emblematem Partii Pracy pośrodku obrotowej tarczy. Dyrektor Im wyjaśnił, że zwykłe telefony nie są tak solidne, a poza tym mogą być na podsłuchu. Jego bezpośrednia linia łączności z Kim Dzong Ilem, wytłumaczył, to staromodny aparat specjalnie zbudowany w tym celu. Z tyłu znajdowała się mała antena oraz czerwona dioda, która zapalała się, kiedy dzwonił Kim Dzong Il.

Mieszkania rzeczywiście mogły powstać tylko jako „prezent" od Kima. Nawet w kuchni wisiał – zupełnie tam niepasujący – wielki żyrandol połyskujący niezliczonymi kryształami. Dyrektor Im objaśnił, że jest to model najwyższej jakości specjalnie sprowadzony z Niemiec. Każdy kryształ miał trzysta dwadzieścia ścianek i, tak jak w przypadku diamentów, sposób obróbki wpływał decydująco na sposób odbijania się światła.

Mnie jednak najbardziej w całym mieszkaniu uderzyła marmurowa posadzka. W zwyczajnych północnokoreańskich domach podłogę zazwyczaj przykrywało coś w rodzaju niewiele

grubszej wersji tapety. Ludzie, którym lepiej się powodziło, kładli ozdabiane linoleum albo deski importowane z Chin lub Japonii. Ale nie dlatego zaskoczyła mnie marmurowa posadzka. Przed wizytą u dyrektora Ima sądziłem, że to element wykończeniowy pierwszej klasy, zarezerwowany dla uświęconych budynków bezpośrednio związanych z Kim Il Songiem i Kim Dzong Ilem, takich jak Sale Rewolucyjne przylegające do wszystkich szkół i miejsc pracy. W Salach poddawano uczniów indoktrynacji ideologicznej dostosowanej do ich wieku, tak by przez wszystkie lata, od żłobka aż po koniec studiów, stopniowo poznali cały okres, w którym ukształtowały się osobowości Kim Il Songa i Kim Dzong Ila. Pracujący dorośli odbywali w Salach różne sesje polityczne oraz poświęcone samokrytyce. Obiekty w zakładach pracy pokryte były fotografiami Kim Dzong Ila składającego wizytę gospodarską odpowiednią do branży. Sale Rewolucyjne należało uaktualniać co najmniej raz na trzy lata, na co odkładano specjalne fundusze na rzecz utrzymania kultu Kimów. Gdy spytałem dyrektora Ima o posadzkę, przykucnął i zastukał w nią palcami. Wyjaśnił, że jest wykonana z włoskiego różowego marmuru. Chociaż wuj Cho Rin również miał w mieszkaniu podłogę z marmuru, była żółtawa i wyglądała tak, jakby straciła swój pierwotny kolor. Z kolei zamiast fotografii z Kim Il Songiem i Kim Dzong Ilem w salonie wisiały trzy obrazy. Co prawda nie widziałem pieca, ale w domu rozchodziło się przyjemne ciepło. W każdym z czterech kątów salonu stała tradycyjna chińska waza wysokości dorosłego mężczyzny, kryta czerwoną glazurą. W olbrzymich oknach wisiały ciemnobrązowe zasłony. Utonąłem w miękkości czarnej skórzanej kanapy.

– Miło pana poznać – powiedział wuj.

Był mężczyzną tuż po pięćdziesiątce, ubranym w rozpinany brązowy sweter. Miał łagodne spojrzenie i pulchne wargi. Jego akcent przypominał akcent pana Shina. Ponieważ Cho Rin opowiedziała mu moją historię, nie interesowały go dalsze szczegóły. Odetchnąłem z ulgą.

– A więc był pan pianistą? – spytał.

– Tak. – Jak nalegała wcześniej Cho Rin, chciałem ograniczyć się do krótkiej odpowiedzi, ale czułem się nieswojo, wyolbrzymiając moje umiejętności, więc uznałem, że muszę rozwinąć wyjaśnienie: – Moim nauczycielem muzyki był słynny skrzypek. Zanim podczas rewolucji kulturalnej w Chinach przeniósł się do Korei Północnej, grał w Szanghajskiej Orkiestrze Symfonicznej. Nigdy nie szkoliłem się na zawodowego pianistę, ale trochę się od niego nauczyłem.

Wuj spojrzał na Cho Rin.

– Tak, to prawda – powiedziała. – Jego nauczyciel był słynnym muzykiem. Czyż to nie wspaniałe? To tak jak ty, wuju, masz powodzenie w interesach, ale szczerze mówiąc, nie nazwałbyś się światowej klasy ekspertem biznesowym, prawda? – Mówiła to, patrząc na swoje dłonie, i wyglądała na trochę skrępowaną.

– Tak, tak, Cho Rin – odparł wuj – już to słyszałem. No cóż, coś nam pan zagra?

Wstał z kanapy, a Cho Rin zbliżyła się do mnie.

– Jak sądzisz, możesz grać? Nic ci nie jest w ręce? Wuju, nie możesz uwierzyć mi na słowo?

– Nie, nie mogę.

Cho Rin przybrała drwiąco gniewny wyraz twarzy. Widać, że byli sobie bardzo bliscy, bo wuj roześmiał się na widok jej niby naburmuszonej minki.

Minęliśmy korytarz biegnący na prawo od salonu i weszliśmy do pokoju z czarnym pianinem Yamaha. Wyglądało dużo bardziej imponująco niż to, które mieliśmy w domu w Korei Północnej. Sprawdziłem pedały. Mojej stopy nie powitał łagodny opór, ale jakiś zgrzyt. Tego instrumentu chyba nikt nigdy nie używał.

Zagrałem gamę od niskich do wysokich tonów. Na szczęście pianino było niezbyt rozstrojone, choć miałem prawie pewność, że od czasu kupna nikt nawet go nie tknął. Wyjaśniłem, że jest to żywy organizm. Jeśli nie zapewni mu się właściwej opieki, zmiany pogody wpłyną na jego brzmienie. Widziałem, że Cho Rin

uśmiecha się szeroko, zadowolona z mojego popisu fachowej wiedzy.

– Niech pan nam coś zagra! – nalegała.

Co mogłem zagrać? Wybrałem łatwy utwór, *Jesienne szepty* Richarda Claydermana, który znałem na pamięć. Zalały mnie wspomnienia z domu i zwłaszcza jedno wywołało uśmiech na mojej twarzy. Pewnego razu, w święto państwowe, zagrałem *Jesienne szepty* na moim minikoncercie w naszym mieszkaniu. Przerwał go agent służby bezpieczeństwa odpowiedzialny za moje osiedle, któremu chyba ktoś zgłosił skargę. W Korei Północnej nie wolno było dzielić się utworami zagranicznej kultury, chyba że wydano zgodę na występ, jak na przykład w przypadku studentów uczących się muzyki zachodniej na poziomie uniwersyteckim. Ale nawet w ich przypadku miał to być ograniczony przywilej. Występy dla zwykłych ludzi takie jak ten mój prywatny koncert były ściśle zakazane.

Agent nalegał, żebym przerwał. Powiedział, że w inne święto państwowe dałby mi grać dalej, ale to urodziny Generała. Nie mógł ryzykować, że inni dowiedzą się o naszym koncercie w taki dzień. Ktoś ze słuchaczy poczęstował go kieliszkiem wina, więc agent w końcu ustąpił i zajął miejsce wśród gości. Po wysłuchaniu jednego utworu to właśnie on prawił mi najbardziej entuzjastyczne komplementy. Mówił, że mój fortepian ma piękne brzmienie.

Twarze tamtych słuchaczy, za którymi tęskniłem, jedna po drugiej stawały mi przed oczami. Z każdą zagraną frazą przypominałem sobie w myślach ich imiona. Kątem oka widziałem, że Cho Rin zaciska dłonie.

Pod wpływem tego jesiennego utworu pogrążyłem się we wspomnieniach o rodzinie pozostawionej w domu. Widziałem kanapę, na której siadała matka, żeby słuchać, jak ćwiczę, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Dym z papierosa ojca, który przysiadał obok niej i zamykał oczy. A potem, gdy starsze siostry odwiedzały nas z mężami – maleńkie rączki mojego nowo narodzonego siostrzeńca, który ssał pierś siostry, i lśniące oczy

innych moich siostrzeńców i siostrzenic rzucających się w ramiona swego wujka.

Szybsze tempo melodii w interludium przywołało obraz zmąconego spokoju, niewypowiedzianych pożegnań, przerażenia. Dzwonienie w uszach i tupot stóp, gdy biegłem przez rzekę Tumen, ścigany przez stukot żołnierskich butów. Kiedy podczas kody powróciłem na jesienne pola, niebo miało surowo błękitną barwę. Chcąc, żeby ostatnia, dźwięczna nuta wybrzmiewała dłużej, powoli zdjąłem stopę z pedału. Poczekałem, aż czubki moich palców uniosą się i oderwą od delikatnych klawiszy, a potem łagodnie złożyłem je na kolanach.

Kiedy ucichła muzyka, usłyszałam, że Cho Rin pociąga nosem.

– Jak to możliwe, że ktoś tak utalentowany tak bardzo cierpiał? Głodowałeś. Spałeś, gdzie popadnie. Och, nie wiem, co więcej powiedzieć. Przepraszam, że ciągle płaczę.

Wuj nic nie powiedział, ale stanął obok mnie i położył mi dłoń na ramieniu. Po powrocie do salonu usiadł na kanapie i wyjął z kieszeni papierosa tylko po to, żeby schować go z powrotem. Nadal milczał, obracając w palcach zapalniczkę. Kiedy wreszcie zapalił papierosa i wydmuchnął dym, odezwał się serdecznie i z przejęciem.

– Szczerze mówiąc, zgodziłem się, żeby Cho Rin pana tu przyprowadziła, tylko dlatego, że bardzo nalegała. Przed pańskim przyjściem zasięgnąłem języka. Wciąż trwa ostre polowanie na północnokoreańskich uchodźców. Podobno w ostatnich dniach jeszcze bardziej się nasiliło.

– Wuju, jak można cofnąć dane słowo? – przerwała mu Cho Rin.

– Wiele w życiu widziałem. Nie sądzę, żeby pan był z tych, którzy uciekli ze względu na głód. Mam rację?

– Do mojej ucieczki doprowadziły pewne okoliczności – odpowiedziałem.

– Oczywiście, ale w takim razie ani Korea Północna, ani nasze władze tu w Chinach, łatwo nie zrezygnują z poszukiwań. – Spuściłem głowę, milcząco przyznając mu rację. – Czy ma pan

jakieś kontakty w Korei Południowej? – zapytał. – Co pana sprowadziło aż do Shenyangu?

– Tak naprawdę przekroczyłem rzekę z przyjacielem. Ale rozdzieliliśmy się w Yanji. Nie mieliśmy tego w planie.

– Dlaczego? Razem uciekliście z Korei Północnej?

Streściłem przebieg wydarzeń od chwili przebycia granicy.

Wuj Cho Rin strząsnął popiół do popielniczki, a potem złożył mi propozycję.

– Oto, co zrobimy – powiedział. – Nie wiem, kiedy pojawi się pański przyjaciel, ale do tego czasu może pan tu mieszkać. Jednak proszę obiecać mi dwie rzeczy. Po pierwsze, nie będzie pan wychodził z domu. Tu, w Xita, policjantów jest więcej niż karaluchów. Po drugie, nie mogę trzymać was obu. Gdy tylko przyjedzie pański przyjaciel, będzie pan musiał odejść.

Cho Rin pociągnęła wuja za rękaw.

– Wujku, czy obaj nie mogliby tu mieszkać tak długo, jak trzeba, jeżeli będzie uczył gry na pianinie? – zapytała.

– Prawdę mówiąc, ten mój syn nie ma za grosz talentu do muzyki. W ogóle jej nie lubi. Kupiłem pianino tylko dlatego, że chciałem go ucywilizować. Poza tym musi pan na siebie zarobić. Dopóki nie przyjedzie pański przyjaciel, może pan uczyć chłopaka. Ale nie będzie to łatwe. Jest jak nieujeżdżony koń. – Westchnął, a potem mówił dalej: – Może pan mieszkać w pokoju gościnnym. Dam panu pościel. Za lekcje muzyki będę płacił oddzielnie, więc kiedy znowu spotka się pan z przyjacielem, stać was będzie na wspólną podróż do Pekinu. Ja natomiast rozpytam się wśród Południowokoreańczyków. Co pan na to? Może być?

– Dziękuję, dziękuję! – Zerwałem się z miejsca i głęboko skłoniłem.

Z pogodnym uśmiechem poprosił, żebym usiadł z powrotem. Potem spochmurniał i spytał, jak moim zdaniem lekcje muzyki mogą wpłynąć na poprawę zachowania jego syna.

– Po pierwsze dobrze mu zrobi zapoznanie się z brzmieniem fortepianu – powiedziałem. – Mam nadzieję, że kiedy już będzie

umiał odróżnić harmonię od dysonansu, zacznie uważniej postrzegać otaczający go świat.

Mężczyzna klepnął dłonią w stolik, a potem odezwał się po chińsku do Cho Rin, która wyglądała na rozradowaną. Nagle zaskoczył nas głośny huk. Do pokoju wpadł mały chłopiec, niemalże wyrywając drzwi z zawiasów. Choć wuj Cho Rin krzyknął na niego po chińsku, malec go zignorował. Ganiał po salonie, czegoś szukając, i rozrzucał, co tylko się dało. Wreszcie wyciągnął spod stołu miecz zabawkę. Potem wybiegł pędem i zatrzasnął za sobą drzwi z taką siłą, jakby chciał rozbić framugę, tak samo jak przy wejściu. Wszystko wydarzyło się niezwykle szybko, jak gdyby przez salon przeszło tornado, a nie dziesięciolatek.

– Jak ma na imię? – zapytałem, wciąż szeroko się uśmiechając, wstrząśnięty i zaskoczony energią chłopca.

– Wang Hou. – Ojciec małego spojrzał na mnie z rozpaczą. – W Chinach wolno mieć tylko jedno dziecko, a kiedy się urodził, żona i ja byliśmy już w średnim wieku. Nazwaliśmy go „Hou”, czyli tygrys, żeby rósł silny i niezależny. Może dzieciom jest pisane przypominać nie swoich rodziców, ale imię, które im nadano…

Rzeczywiście chłopiec był dzikszy, niż mogłem przypuszczać. Jak wyjaśnił ojciec, nikt w rodzinie nie wiedział, skąd bierze się jego energia. Od świtu do nocy albo ganiał po domu, albo robił awantury. Nie interesował go fast food i inne takie, miał natomiast obsesję na punkcie filmów historycznych w telewizji, a jedynymi zabawkami, jakie uznawał, były plastikowe miecze. Pod ścianą w jego pokoju stał ich cały rządek, a każdy miecz inny. Już widziałem, że czeka mnie nie lada starcie.

Był styczeń i chłopak miał ferie zimowe. Lekcje muzyki zaplanowaliśmy codziennie od dziewiątej do dziesiątej i od piętnastej do siedemnastej. Cho Rin została naszą tłumaczką.

Zwykle pracowała w firmie wuja jako księgowa, ale dostawała trochę wolnego, żeby siedzieć z nami w domu.

Podczas pierwszej lekcji musiałem pogodzić się z porażką. Rankiem zadzwoniłem do żony pana Shina, by podać jej adres domu, w którym mieszkałem. Myśl o ponownym spotkaniu z Young Minem pozwoliła pozytywnie zacząć dzień, ale chłopak zupełnie mnie nie słuchał.

Kiedy Cho Rin przekazała mu moje polecania, Wang Hou je zlekceważył. Dalej dziwnie podskakiwał i poruszał się niczym wojownik z telewizji uprawiający dawne sztuki walki. Usiłował nawet wleźć jej na plecy, jakby była koniem. Gdy straciłem cierpliwość i zabębniłem w klawisze, żeby zwrócić jego uwagę, nie okazał strachu. Usiadł na stołku i zaczął robić jeszcze więcej hałasu, waląc w klawisze piętami. Zrobiłem ruch, żeby zamknąć klapę, a wtedy rozdarł się wniebogłosy.

Zrozpaczona matka usiłowała wymusić na nim posłuszeństwo, w jednej ręce trzymając kij, a w drugiej nóż kuchenny. Widząc moje zdziwienie, Cho Rin wyjaśniła, że kiedy matka brała tylko kij, mały w odpowiedzi biegł po nóż do kuchni. Raz nawet zranił ją w nogę, więc od tamtej pory brała ten nóż sama. Nikt nie wiedział, co z nim począć.

Zrozumiałem, że muszę znaleźć własny sposób, żeby do niego dotrzeć. Zdeterminowany odczekałem do piętnastej. Gdy zegar zabił trzy razy, wziąłem nóż z kuchni i zapukałem do drzwi pokoju chłopca. Nie było odpowiedzi, więc zapukałem ponownie. Z drugiej strony usłyszałem łomot. Ja stukałem ręką, a on plastikowym mieczem.

– Cho Rin, powiedz mu, że nauczyciel muzyki go szuka – poprosiłem.

Gdy przetłumaczyła, mały wykrzyczał coś w odpowiedzi. Gwałtownie wciągnęła powietrze i domyśliłem się, że użył brzydkich słów. Schowałem nóż kuchenny za plecami, a potem otworzyłem drzwi i wszedłem do jego pokoju.

– Powiedz mu, że jestem najstraszniejszym nauczycielem muzyki na świecie i nie będę miał dla niego litości.

Kiedy Cho Rin huknęła, chłopak wziął się pod boki i zarechotał. Podniosłem miecz z jego kolekcji, po czym powolnym, rozważnym krokiem ruszyłem do salonu. Upewniwszy się, że mały patrzy, uniosłem nóż kuchenny nad plastikowym mieczem. Potem mocno uderzyłem. Zabawka z trzaskiem rozpadła się na dwie części, które bezdźwięcznie opadły na miękki dywan. Chłopiec wrzasnął. Jego matka i kuzynka milczały oszołomione, jakby po raz pierwszy w życiu widziały u niego strach przed kimś dorosłym.

Wskazałem pokój z pianinem i powiedziałem:

– Idź tam usiąść.

Mały z wściekłością zacisnął pięści, ale nie ruszył się z miejsca, dając do zrozumienia, że nie ustąpi. Ponownie udałem się do jego pokoju i tym razem wróciłem z całym naręczem zabawkowych mieczy. Rozsypałem je na dywanie, a potem znów wskazałem w stronę pokoju muzycznego.

– Idź tam usiąść.

Zanim dokończyłem to krótkie zdanie, chłopiec splunął na dywan. Rozpłatałem drugi plastikowy miecz, a wtedy zaczęły mu drżeć wargi.

– Powiedz – zwróciłem się do Cho Rin – że chętnie przetnę następny. Każ mu usiąść przy pianinie. Powiedz, że nie jestem jego ojcem ani matką. Cho Rin, słyszysz mnie?

Wypowiadając te słowa, czułem się dziwną karykaturą dorosłego. Przypomniałem sobie, jak bardzo bałem się Choi Lianga, gdy uczył mnie muzyki w Sariwonie. Wreszcie zrozumiałem, co znaczy być nauczycielem, który dyscyplinuje ucznia. Oczyma wyobraźni widziałem głębokie zmarszczki na czole Choi Lianga.

Cho Rin przetłumaczyła mój komunikat, ale bez przekonania. Wtedy stało się coś cudownego. Powłócząc nogami, chłopiec niechętnie ruszył do pokoju muzycznego. Nerwowo spojrzał na mnie i na nóż, który trzymałem w ręku, jakby mnie błagał, żebym oszczędził resztę jego zabawek. Oddałem nóż matce i puściłem do niej oko. Spojrzała mi w oczy z zadziwieniem. Do

tej pory czułem się w jej domu jak nieproszony gość. Celowo unikała kontaktu wzrokowego.

Gdy wróciłem do pokoju, chłopiec w milczeniu stał przy pianinie. Wskazałem na stołek.

– Chodź, Wang Hou. Usiądź.

Chociaż mówiłem po koreańsku, zrozumiał i zastosował się bez wahania. Słyszałem, że w kuchni jego matka podniecona rozmawia z mężem przez telefon. Cho Rin wzięła od niej telefon i mówiła coś ze śmiechem. Dorosłym dopisywał świetny humor, a mały był tak przybity, że zrobiło mi się go żal. Tego wieczoru, być może wyczerpany pierwszą porażką w życiu, położył się do łóżka znacznie wcześniej niż zwykle. Gdy oszołomiony ojciec wrócił do domu, długo siedział przy swoim śpiącym synu.

4

Strategia Kim Dzong Ila

Napijmy się.

Po obiedzie wuj Cho Rin postawił na stole butelkę wina Shaoxing. Sądziłem, że wszystkie chińskie wina są białe, ale to było bladoczerwone. Wyjaśnił, że to jedno z dziesięciu najsłynniejszych win w Chinach, ponoć ulubione przez Czang Kaj-szeka, przywódcę chińskich nacjonalistów, który zbiegł na Tajwan po przegranej z komunistami. Ludzie żyjący na północy, w chłodniejszym klimacie, preferują wino białe, zaś południowcy rzekomo czerwone. Powiedział, że shaoxing jest jednym z najlepszych. Wyznałem, że alkohol niezbyt mi służy. Odparł, że ze względu na lekkość to wino chętnie piją kobiety, po czym nalał mi go bardzo dużo do kieliszka.

Myślałem, że chińskie wina są równie mocne jak wysokoprocentowy alkohol, ale shaoxing okazało się inne, niż oczekiwałem. Po obiedzie matka Wang Hou położyła się do łóżka, ale Cho Rin i jej wuj zostali przy stole, żeby się ze mną napić. Ja i ona piliśmy shaoxing, a wuj wybrał kaoliang. Gdy odrobinę się wstawiliśmy, zapalił kolejnego papierosa i zadał mi pytanie:

– Wiesz, widząc cię tutaj, odnoszę wrażenie, że w Koreańczykach z Północy musi być jakiś duch buntu. Proszę, nawet taki potężny kraj jak Ameryka jest na łasce Kim Dzong Ila. Mimo że wasze państwo jest biedne niczym mysz! Zawsze mnie to ciekawiło: gdzie tkwi tajemnica? Jak wam się to udaje?

– To proste – odparłem. – Dla Amerykanów negocjacje to dyplomacja. Szukają punktów wspólnych. Ale kiedy do stołu siada Korea Północna, to operacja kontrwywiadowcza. Innymi słowy, Korea wykorzystuje dialog jako narzędzie oszustwa, a nie

negocjacji. Celem jest utrzymanie źle ulokowanego zaufania drugiej strony. No bo czemu nie? Brak przejrzystości to największa siła Korei Północnej. Pozwala robić wszystko po swojemu, podczas gdy reszta świata wciąż bierze to, co mówi Korea, za dobrą monetę. Kim Dzong Il ustanowił wręcz trzy zasady, które są podstawą zaangażowania dyplomatycznego: „Stany Zjednoczone łykną każde kłamstwo, pod warunkiem że logicznie przedstawione", „Japonia jest podatna na manipulację emocjonalną" i „Koreę Południową można lekceważyć bądź szantażować".

Wuj Cho Rin się roześmiał.

– Więc najbardziej żałosna jest Korea Południowa, co? Ale jak to możliwe, że Północ lekceważy jej żądania? Nie potrzebuje współpracy?

– Potrzebuje, ale umiemy do niej doprowadzić na własnych warunkach.

Kiedy uciekłem, tajną bronią dyplomatyczną Korei Północnej przeciwko Korei Południowej była strategia Północnej Linii Granicznej (NLL – Northern Limit Line). Do dziś jest to wrażliwa kwestia.

NLL to linia demarkacyjna na Morzu Żółtym przyjęta przez ONZ – i kwestionowana przez Koreę Północną – po zawieszeniu broni zawartym przez dowództwo sił ONZ, Koreę Północną i Chiny na zakończenie wojny koreańskiej. Stała się centralnym punktem prowokacji wojskowych Północy przeciwko Południu w erze słonecznej polityki.

W lutym 1998 roku, kiedy do władzy doszła lewicowa administracja ówczesnego prezydenta Kim Dae Junga, Korea Południowa przystąpiła do polityki zagranicznej opartej na ocieplaniu relacji z Północą i łagodzeniu tamtejszego wizerunku Południa jako wroga. To była tak zwana słoneczna polityka. Określenie wzięło się z bajki Ezopa, w której silny wiatr (bezkompromisowa polityka) nie zdołał zerwać z człowieka okrycia, ale słońce (polityka pojednawcza) osiągnęło to swym zbawiennym ciepłem. Jak na ironię, ten rodzaj polityki tylko

umocnił słabnącą władzę Kim Dzong Ila, pozwolił partii na konsolidację oraz dostosowanie swej mocy politycznej i gospodarczej do nowej ery.

Z nadejściem 1999 roku północnokoreański system pilnie wymagał ratowania na płaszczyźnie wewnętrznej, ponieważ był to piąty kolejny rok bez dystrybucji państwowych racji żywnościowych. Masowy głód i wynikające z niego trudności gospodarcze sprawiały, że lojalność wobec partii wśród ludności topniała w alarmującym tempie. Nie licząc kluczowych instytucji centralnych w Pjongjangu, wiele organizacji doznało paraliżu na poziomie oddziałów i regionów. Coraz częściej zdarzało się, że przetrwanie własne oraz personelu przedkładano tam nad powinność względem partii. Sytuacja była niebezpieczna: Kim Dzong Il zapędził się w kozi róg, nie potrafił znaleźć wyjścia i lud wymykał mu się z żelaznego uścisku. Właśnie wtedy – ku olbrzymiej uldze partii – z pomocą nieświadomie przyszła słoneczna polityka Korei Południowej.

Z początku Korea Północna krytykowała tę politykę, twierdząc, że w rzeczywistości ma na celu doprowadzenie do upadku systemu za pośrednictwem łagodnej taktyki. Jednakże w połowie 1998 roku Kim Dzong Il zlecił Departamentowi Zjednoczonego Frontu opracowanie strategii słonecznej eksploatacji, która pozwoliłaby partii na czerpanie z Korei Południowej upragnionych korzyści gospodarczych przy minimum ustępstw.

Realizacji tej misji poświęcono w DZF wszystkie dostępne środki. Aby zachęcić południowokoreańskie firmy do inwestycji we wspólne przedsięwzięcia, Departament opracował strategie pojednania i negocjacji. W czerwcu i październiku wielkim osiągnięciem były wizyty prezesa południowokoreańskiego konglomeratu Hyundai Jung Joo Younga, które pomogły w legitymizacji nowego status quo „współpracy” między obiema Koreami. Gdy do systemu wpłynęła międzynarodowa i południowokoreańska pomoc żywnościowa, partia zdołała

częściowo wznowić dystrybucję racji, co pozwoliło znów silniej egzekwować posłuszeństwo ludności.

Dla partii priorytetem było w owym czasie zdobycie minimum środków niezbędnych do odzyskania słabnącej kontroli nad narodem. Jednakże tak jak dziś priorytetem jest zaspokojenie gospodarczych potrzeb kraju na możliwie najniższym poziomie zapewniającym stabilność władzy, a także dopilnowanie, żeby dostęp do wszelkich korzyści odbywał się kanałami uznanymi przez partię, tak wówczas, po odzyskaniu pewnego stopnia kontroli, Kim Dzong Il musiał się skupić na kolejnej palącej kwestii: należało zagwarantować bezwarunkową pomoc oraz wspólne przedsięwzięcia gospodarcze, tak aby Północ nie musiała się odwzajemniać ani akceptować żądań świata zewnętrznego.

Pierwszym krokiem słonecznej polityki ze strony południowokoreańskiej administracji Kim Dae Junga była propozycja zezwolenia na połączenie rodzin z obu Korei w zamian za transport nawozu z Południa. Ówczesna opozycja w Korei Południowej, konserwatyści, krytykowała słoneczną politykę, uważając ją za wlewanie środków w studnię bez dna. Twierdziła, że zamiast tego należy ustanowić zasadę wymagającą od Północy konkretnych kompromisów w zamian za tę pomoc, na przykład redukcji wydatków zbrojeniowych czy wprowadzenia reform.

– Może mieli rację? – zasugerował wuj Cho Rin.

– Może – odparłem cierpko.

Aby powstrzymać upadek kontroli nad państwem, który rozpoczął się w latach głodu, Kim Dzong Il pilnie potrzebował pomocy i inwestycji Korei Południowej. Gdyby jednak administracja Kim Dae Junga ugięła się pod presją opozycji i zastosowała zasadę wzajemności, Kim Dzong Il zostałby zmuszony do odrzucenia pomocy, co zaowocowałoby dalszą decentralizacją władzy.

Ziszczeniu się takiego scenariusza mogły zapobiec akty wojskowej prowokacji, ponieważ propozycja ich zaprzestania

stanowiłaby dla Korei Północnej awaryjną kartę przetargową. Co więcej, gdyby doszło do wzajemnych ustępstw, nie tylko umocniłaby się nasza pozycja, ale również, wraz z przypływem bezwarunkowej pomocy w ramach słonecznej polityki, czyhające zagrożenie konfrontacją zbrojną zapewniłoby tej polityce trwałość. Podczas gdy Południe proponowało pieniądze, których bardzo potrzebowała Północ, ta ze swej strony miała do zaoferowania pokój, którego Południe potrzebowało równie mocno, a może nawet bardziej. Logika była prosta: Korea Południowa musiała nadal dostarczać bezwarunkową pomoc, nie mieszając jej z kwestiami politycznymi, albo znów utracić pokój.

– Zaraz – przerwała Cho Rin. – Korea Północna chciała czerpać korzyści ze słonecznej polityki, a jednocześnie była gotowa na działania zbrojne przeciwko Korei Południowej? Przecież to szaleństwo.

Wzruszyłem ramionami. Takie rozumowanie nie było dla mnie niczym nowym. Na początku lutego 1999 roku Kim Dzong Il nakazał DZF przygotowanie pierwszej prowokacji wojskowej wymierzonej w Koreę Południową. W tym czasie na zaproszenie dyrektora Ima mieszkałem w domu gościnnym Ui-am, gdzie kończyłem poemat *Wiosna spoczywa na lufie karabinu Pana*. Dom gościnny znajdował się niedaleko domu dyrektora Ima na osiedlu Eundok i służył mu za centrum dowodzenia, skąd sterował strategią słonecznej eksploatacji oraz strategią prowokacji wojskowych. W domu gościnnym DZF zebrano pracowników z różnych działów, którzy mieli wkład w te prace, więc obserwowałem postępy z bliska i przez długi czas. Wciąż pamiętam wiele rozmów, które odbyły się w mojej obecności, na przykład następującą wymianę zdań między dyrektorem do spraw polityki Chae Chang Gukiem a dyrektorem Imem:

– Kiedy prezes Hyundai Jung Joo Young odwiedził nas w zeszłym roku, już wcześniej ustaliliśmy plany inwestycyjne. I tak ledwo dajemy sobie radę z pojednaniem i negocjacjami, które mają zapewnić współpracę południowokoreańskich firm.

Jakże mamy pogodzić prowokacje wojskowe ze strategią słonecznej eksploatacji? – pytał dyrektora Ima wyraźnie zrozpaczony Chae Chang Guk.

Dyrektor Im zacisnął grube wargi, lecz nie od razu odpowiedział. Jego milczenie było w tym wypadku oznaką posłuszeństwa właściwego najpotężniejszym ludziom w Korei Północnej, którzy dysponowali olbrzymią władzą, ale właśnie dlatego nie mogli kwestionować poleceń zatwierdzonych przez Kim Dzong Ila. Jego wzrok spoczął na Chae Chang Guku, jakby zazdrościł podwładnemu swobody wyrażania skarg, choćby najbardziej trywialnych.

Po chwili milczenia rzekł:

– Dajcie spokój, Chae Chang Guk. Wykombinujcie coś. Wybierzcie do tej roboty, kogo tylko wam potrzeba. Dajcie z siebie wszystko.

Tydzień po tej rozmowie w DZF zaczęła krystalizować się strategia zakładająca, że na lądzie Korea Północna nadal będzie się skupiać na współpracy gospodarczej i przyjmowaniu pomocy z Południa, za to na morzu – i tylko na morzu – rozpocznie wojskowe prowokacje. Ten układ, godzący strategię słonecznej eksploatacji z prowokacjami zbrojnymi, był starannie opracowaną odpowiedzią Korei Północnej na południowokoreańską słoneczną politykę. W kontaktach ze światem zewnętrznym nasze stanowisko określaliśmy mianem polityki *Uriminzokkiri*, tj. „między nami Koreańczykami”, podkreślając w ten sposób, że weszliśmy w nową erę relacji „dobrej woli” z Koreą Południową. Wewnętrznie natomiast przyjęliśmy nazwę Strategia Północnej Linii Granicznej – NLL.

Kiedy DZF przedstawił tę strategię Kim Dzong Ilowi, ten był ogromnie zadowolony.

Aby ją wesprzeć, partyjna gazeta „Rodong Sinmun” publikowała coraz więcej artykułów sugerujących, że morską siłę Korei Północnej można zwiększyć, wykorzystując na naszą korzyść charakterystyczny kształt linii brzegowej Półwyspu Koreańskiego. W tekstach pojawiały się również bardziej jawne

deklaracje: stwierdzano, że granica wojskowa między Koreami nie ogranicza się do Strefy Zdemilitaryzowanej, ale sięga Północnej Linii Granicznej na morzu.

Pierwszym ważnym starciem w rejonie NLL była bitwa przy wyspie Yeonpyeong piętnastego czerwca 1999 roku. Przedstawiona przez Północ jako prowokacja Południa, w rzeczywistości została zlecona przez samego Kim Dzong Ila, zaplanowana przez DZF i przeprowadzona przez dowództwo marynarki wojennej. Konfrontacja rozpoczęła się od staranowania południowokoreańskich statków przez jednostki Północy, a zakończyła jednoznaczną porażką Korei Północnej.

Choć nie ulegało wątpliwości, że Korea Południowa została sprowokowana przez Północ, administracja Kim Dae Junga umniejszyła znaczenie tego zajścia i nie eskalowała konfliktu. DZF, który dotąd wstrzymywał oddech, przyjął ten rezultat z dużą ulgą, oznaczał on bowiem, że mogliśmy kontynuować Strategię NLL. Co więcej, Korea Północna, zachęcona cierpliwymi wysiłkami pokojowymi ze strony Południa, postanowiła skoncentrować się na prowokacjach wojskowych jako podstawie długofalowej polityki zagranicznej, opartej na trójetapowym modelu: prowokacji, zaznaczenia pozycji i utrzymania. Zamierzano ją realizować przez rozwój programu broni jądrowej na poziomie międzynarodowym i przez prowokacje morskie na poziomie koreańskim.

Na datę drugiej prowokacji w rejonie NLL nie bez powodu DZF wybrał czerwiec 2002 roku, kiedy w Seulu rozgrywano Mistrzostwa Świata. Celem było przeniesienie sporu terytorialnego ze wstępnego etapu prowokacji do drugiego, zaznaczenia pozycji, przez upublicznienie sprawy na arenie międzynarodowej. Zgodnie z instrukcjami Departamentu dowódca marynarki wojennej Kim Yoon Sim pokierował drugą bitwą przy wyspie Yeonpyeong, w której doszło do wymiany ognia i ofiar śmiertelnych po obu stronach. Kim Yoon Sim wcześniej był dowódcą Zachodnich Sił Morskich, zanim w kwietniu 2002 roku awansował na stanowisko dowódcy

marynarki wojennej, zastępując na nim dyrektora sił zbrojnych Kim Il Chula.

Pierwszego maja 2002 roku Kim Dzong Il odstąpił od swego zwyczaju składania w Międzynarodowy Dzień Pracy wizyt gospodarskich w fabrykach. Zamiast tego udał się na inspekcję dowództwa marynarki wojennej oraz obiektów związanych z działaniami na Morzu Żółtym. Zdjęcia opublikowane w „Rodong Sinmun" drugiego maja 2002 roku pokazują Kim Dzong Ila w towarzystwie wojskowych. Większość z nich uczestniczyła w działaniach morskich. Dwudziestego dziewiątego czerwca 2002 roku, w dzień meczu o trzecie miejsce piłkarskich Mistrzostw Świata między Koreą Południową a Turcją, Korea Północna rozpoczęła prowokacje, które doprowadziły do drugiej dużej konfrontacji w rejonie NLL. DZF dołożył wszelkich starań, żeby szczegóły planu pozostały w tajemnicy, tak aby starcie sprawiało wrażenie przypadkowej eskalacji. Kapitan misji otrzymał instrukcje dopiero po wezwaniu go do prywatnego gabinetu Kim Yoon Sima. Chciano w ten sposób uniknąć podsłuchania przez koalicję sił amerykańsko-południowokoreańskich.

W grudniu 2003 roku, podczas spotkania zamykającego rok w DZF, na którym omawialiśmy plany na rok przyszły, w swoim przemówieniu dyrektor Im ogłosił, co następuje:

– Nasze cele pozostają jasne. Kompleks Przemysłowy Kaesong to ważne źródło przychodów w walucie obcej. Te prace należy kontynuować, ale jedynie w strefach współpracy północno-południowej na lądzie. Jednocześnie na morzu musimy nadal prowadzić systematyczne prowokacje przeciwko Korei Południowej.

Wyjaśniłem to wszystko moim towarzyszom przy stole. Dopiero później, kiedy moja ucieczka do świata zewnętrznego dobiegła końca, miałem okazję zrozumieć – widząc stan relacji międzykoreańskich oraz to, jak są postrzegane na Południu – że skoordynowana reakcja DZF na słoneczną politykę odniosła fenomenalny sukces.

Gdy zakończyłem swą długą odpowiedź, Cho Rin i jej wujek milczeli. Myślałem, że Cho Rin nie zainteresują takie polityczne szczegóły, lecz i ona wyglądała na oszołomioną. Wuj dopił wino i podetknął jej kieliszek, żeby go napełniła, ale ona była zbyt zamyślona, by to zauważyć.

– Myślałam, że Kim Dzong Il to tylko głupi człowiek, który nie potrafi nakarmić swoich ludzi – powiedziała. – Nie miałam pojęcia, że Korea Północna wkłada tyle wysiłku w kształtowanie polityki.

Jej wujek podniósł wzrok, jakby przerwała mu rozmyślania, a potem sięgnął po butelkę. Nalał sobie wina i zapalił kolejnego papierosa.

– Chyba nigdy nie spotkam drugiej osoby podobnej do ciebie. Korea Północna to bardzo ciekawe miejsce. Co myśli się tam o Chinach? To chyba wasz jedyny sojusznik.

Minęła już północ, ale bardzo chciałem im powiedzieć prawdę o relacjach między tymi krajami.

– Chiny to kraj, którego Kim Dzong Il nienawidzi najbardziej na świecie – odparłem.

Cho Rin i jej wujek nagle jakby otrzeźwieli.

– Jak to? Korea Północna nie jest wdzięczna Chinom za wsparcie? Jak Kim Dzong Il może ich nienawidzić? – zapytał wuj Cho Rin.

Przyczyna jego zdziwienia, i wiele innych rzeczy w Korei Północnej niepojętych dla ludzi z zewnątrz, ma korzenie w kulcie Kimów wykraczającym poza zwykłą ideologię czy politykę. Jest takie koreańskie powiedzenie, że jeśli jakieś kłamstwo powtórzy się sto razy, to każdy, kto je wymyślił, w końcu zacznie w nie wierzyć. Ustanowiwszy wśród Koreańczyków z Północy kult wszechmocnego Przywódcy, Kim Dzong Il sam zaczął wierzyć w swą władzę absolutną. Chiny bardziej niż cokolwiek na świecie były mu solą w oku.

Stany Zjednoczone łatwo pokazać jako ucieleśnienie imperializmu i zepsutego kapitalizmu, co pozwalało Korei Północnej postawić się w roli dzielnego małego kraju, który nie

chce się ugiąć przed supermocarstwem. Chiny natomiast, jako socjalistyczny sojusznik stojący po tej samej stronie co Korea Północna, stanowiły źródło niezliczonych wyzwań dla autorytetu Kim Dzong Ila. Nawet na płaszczyźnie ideologicznej uważano je za groźnego wroga dżucze, ideologii samodzielności, ponieważ stale zza granicy kusiły odciętych od świata mieszkańców Korei Północnej owocami reform i otwartości.

Przede wszystkim Kim Dzong Il czuł się dotkliwie zdradzony dążeniami Komunistycznej Partii Chin do nawiązania relacji gospodarczych z Koreą Południową. Gdy południowokoreańskie korporacje weszły na rynek trzech prowincji w północno-wschodnich Chinach, tamtejsza opinia publiczna zaczęła życzliwiej patrzeć na Koreę Południową. Nie poprawiło się natomiast zdanie o Korei Północnej. Coraz większy napływ północnokoreańskich uchodźców do Chin tylko pogarszał sprawę, a w 1997 roku Kim Dzong Il ogłosił wewnątrzpartyjne obwieszczenie o następującej treści: „Granica Chin z KRLD jest granicą ideologiczną tak samo jak trzydziesty ósmy równoleżnik".

Trzydziesty ósmy równoleżnik to linia na Półwyspie Koreańskim, wzdłuż której ZSRR i Stany Zjednoczone zgodziły się wytyczyć granicę wpływów po zakończeniu drugiej wojny światowej. Poprzez swe obwieszczenie z 1997 roku Kim Dzong Il uznał granicę chińsko-północnokoreańską za ideologiczną linię demarkacyjną, tak samo jak trzydziesty ósmy równoleżnik stanowi granicę między komunizmem a kapitalizmem.

To właśnie wtedy oddziały straży granicznej patrolujące granicę Chin z KRLD awansowały z roli tylnej straży i uzyskały status jednostek wojskowych, co miało odzwierciedlać znaczenie ich pracy. Agenci, których aktywność dotąd koncentrowała się na Stanach Zjednoczonych, Korei Południowej i Japonii, coraz częściej przerzucali zainteresowanie na Chiny. Kilku kolegów z DZF, którzy działali za pośrednictwem Jochongryon (Stowarzyszenia Koreańskich Rezydentów w Japonii), poproszono o utworzenie analogicznej instytucji w Chinach.

Ponieważ to właśnie ci członkowie aktywu dysponowali najszerszym doświadczeniem w zakresie współpracy z Koreańczykami za granicą, mieli oni wykorzystać swą wiedzę w nowym kontekście. Pamiętam rozmowę z jednym z nich, moim dawnym kolegą z roku na Uniwersytecie Kim Il Songa, który pewnego zakrapianego wieczoru u mnie w domu dał upust swojej frustracji.

– Koreańczycy w Japonii są nam życzliwi i mają wolne pieniądze, ale etniczni Koreańczycy w Chinach to biedny motłoch. Myślą tylko o tym, jak zarobić na Południowej Korei, więc dlaczego mieliby się z nami zadawać? Nawet gdyby dysponowali informacjami na sprzedaż, to czym my im zapłacimy? Nie wiem, czy będę w stanie zarabiać tyle, co do tej pory.

Podobnie jak DZF, również Biuro 35, odpowiedzialne za zagraniczne operacje wywiadowcze, zostało poproszone o skoncentrowanie uwagi na Chinach. Kim Dzong Il bardziej obawiał się intencji swego sojusznika niż zaprzysięgłych wrogów. O ile kierunek polityki Stanów Zjednoczonych i innych państw zachodnich dość otwarcie opisywała tamtejsza prasa, skalę wiedzy Chin na temat Korei Północnej trudniej było oszacować. Kiedy chińska gospodarka kwitła, lojalni członkowie aktywu zakładali tam liczne firmy będące przykrywkami ich aktywności w trzech północno-wschodnich prowincjach.

Dobrze znałem to tło z pracy w DZF, ale powód wizyt Kim Dzong Ila w Chinach w maju 2000 roku i w styczniu 2001 roku pozostawał dla mnie tajemnicą. Poprosiłem o wytłumaczenie mojego kolegę ze studiów, który w owym czasie prowadził tam już dobrze ugruntowaną działalność.

– Ptaki podsłuchują rozmowy za dnia, a myszy nocą – wymamrotał stare powiedzenie, sprawdzając, czy okna pokoju są zamknięte. Kiedy miał pewność, że nikt nas nie usłyszy, rozpoczął wyjaśnienia: – Pamiętasz, kiedy nasz Generał odwiedził ambasadę Chin tu, w Pjongjangu? To było piątego marca dwutysięcznego roku. Pojechał tam z dyrektorem

Generalnego Biura Politycznego Cho Myong Rokiem, szefem Sztabu Wojskowego Kim Yong Chunem i dyrektorem Ludowych Sił Zbrojnych Kim Il Chulem. Wiesz, po co tam pojechał? Żeby się chełpić zdobyciem dokumentu na temat aktualnego stanowiska Chin w sprawie paktu antyamerykańskiego i propółnocnokoreańskiego zawartego między Chinami a Koreą Północną w latach pięćdziesiątych. W tym dokumencie są cytaty z wypowiedzi wysoko postawionych członków chińskiego aktywu, którzy twierdzą, że Chiny powinny wykreślić z paktu klauzulę automatycznie angażującą ich wojsko w przypadku wybuchu wojny na Półwyspie Koreańskim. Niektórzy mówią nawet, że Chiny muszą domagać się od Pjongjangu reparacji za wsparcie Północy w wojnie koreańskiej. Nikt w Chinach nie został o tym powiadomiony, zanim nasz Generał udał się do ich ambasady, a nasza państwowa agencja prasowa ogłosiła to publicznie, wcześniej nie informując Chin. To była dla nich dyplomatyczna zniewaga. Kiedy nasz Generał spotkał się w Pjongjangu z chińskim ambasadorem Wan Yongxiangiem, oznajmił, że wie o proponowanych w Chinach poprawkach do paktu i o zamiarach żądania reparacji za wojnę koreańską. Nasz Generał zagroził, że jeśli Chiny podejmą takie działania, Korea Północna zacznie sprzedawać broń Tajwanowi. Ambasador próbował tłumaczyć, że poglądy wyrażone w dokumencie nie odzwierciedlają oficjalnego stanowiska chińskich władz, a wyłącznie opinie konkretnych osób. Nie masz pojęcia, jak to wszystko odbiło się czkawką. Chińskie władze natychmiast zdymisjonowały Wana, żeby dać wyraz niezadowoleniu z jego słabej riposty wobec Kim Dzong Ila. Termin nominacji nowego ambasadora w Pjongjangu i tak minął już cztery miesiące wcześniej, ale odłożono ją, ponieważ Wan Yongxiang miał dobre relacje z Kim Dzong Ilem. Teraz jednak wybrano twardogłowego Wang Guozhanga. O gwałtownej decyzji Chin powiadomiono naszego Generała jeszcze tego samego dnia. Nazajutrz, jak wiesz, przekazano wiadomość członkom aktywu centrali partyjnej. W odpowiedzi nasz Generał wydał wewnętrzną dyspozycję

personelowi ambasady w Pekinie, żeby szykował się do wyjazdu. Wszyscy spakowali manatki. Ale dam głowę, że to był pierwszy i ostatni raz, kiedy nasz Generał spróbował z Chinami takich gierek, jakie uskutecznia z Ameryką. Wszyscy wiemy, że jeśli oni nas przycisną, to jesteśmy martwi. Dwa miesiące później, między dwudziestym dziewiątym a trzydziestym pierwszym maja, Pekin zaprosił Kim Dzong Ila do złożenia nieformalnej wizyty. Nasz Generał pewnie musiał tam wysłuchać wykładów o reformach gospodarczych albo czegoś podobnego. Tak czy inaczej, na pewno było to coś bardzo złego, bo potem mieliśmy ten cholerny incydent w Shenyangu.

Incydent w Shenyangu był kryzysem, który nastąpił, kiedy członków aktywu z północnokoreańskiego Biura 35 przyłapano na szkoleniu członków Komunistycznej Partii Chin z lokalnego samorządu, policji i straży granicznej. W związku z incydentem chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego aresztowało ponad sześćdziesiąt osób. Ostatecznie, o ile właścicielowi może ujść na sucho kopnięcie psa, to psu – w tym przypadku Korei Północnej – nie wybacza się tak łatwo ugryzienia właściciela.

Mój dawny kolega ze studiów kontynuował:

– Chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego i tak miało na nas oko, żeby pokazać Korei Południowej, że jest zdecydowane chronić ich inwestycje w regionie północno-wschodnim. Dotąd Chińczycy praktycznie nas nie tknęli, ale tym razem naprawdę chcieli nam dać nauczkę. Poza dokonaniem aresztowań wstrzymali nawet pomoc materialną dla Korei Północnej. W odwecie nasz Generał mógł tylko nakazać egzekucję kilku członków aktywu partyjnego, którzy studiowali w Chinach, i dokonać czystki wśród tak zwanych zwolenników reform w stylu chińskim. Co jeszcze mógł zrobić w obliczu gniewu Chin? Jeśli postanowią, że nasz reżim musi upaść, to upadnie. Gdy w styczniu dwa tysiące pierwszego roku nasz

Generał został ponownie wezwany do Pekinu, nie miał wyboru, znowu musiał tam jechać. Kazali mu czekać pod miastem razem z resztą delegacji przez parę dni, chociaż sami wystosowali zaproszenie. W końcu nasz Generał nie miał wyjścia: musiał się płaszczyć, zwiedzić specjalną strefę ekonomiczną Pudong w Szanghaju i wyrazić „podziw” dla chińskich przemian gospodarczych. Potem wszystkie media donosiły, że tą wizytą nasz Generał okazał zainteresowanie reformami w stylu chińskim. Oni wiedzą, jak posypać rany solą! Wiesz, co mówią nasi, którzy pracują dla niego w Chinach? Nasz Wielki Generał raz triumfalnie wkroczył do chińskiej ambasady, a za karę dwa razy zaciągnęli go do Chin.

Znajomi tacy jak my mogli wymieniać między sobą tak niebezpieczne informacje, ponieważ w Korei Północnej rozmowa między dwoma członkami aktywu, choćby nie wiem jak zdradziecka, nie może być wykorzystana jako podstawa oskarżenia, o ile nie istnieją niezależne dowody potwierdzające, że się odbyła. Partia wprowadziła tę wewnętrzną zasadę w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego, żeby osobiste wendety wśród wpływowych działaczy przestały wymykać się spod kontroli, co wcześniej się zdarzało. Ten właśnie przepis jest także kruczkiem prawnym wykorzystywanym wśród północnokoreańskiej elity do zdobycia wzajemnego zaufania i nawiązywania sojuszy. Nie istnieje bowiem bardziej wartościowy mandat zaufania niż wymiana prawd kryjących się za oficjalną narracją; w systemie, w którym lojalnie staliśmy na straży sztucznego kultu Kimów ze strachu przed karą za zdradę stanu, nie znaliśmy cenniejszej oznaki wiary w drugiego człowieka.

W 2002 roku, w celu zmniejszenia zależności obywateli od Chin, Kim Dzong Il nakazał przerwanie działalności w tym kraju północnokoreańskim firmom działającym pod auspicjami partii. Jednakże koreańska gospodarka, poza wszystkim innym, już teraz była zbyt zależna od tanich produktów importowanych z Chin. Wytępienie chińskich dóbr na targach wywołałoby tylko

wzrost cen i umocnienie czarnego rynku. Ponieważ ekonomiczna decentralizacja poskutkowałaby utratą kontroli społecznej i politycznej, Kim Dzong Il uchylił nakaz po zaledwie trzech miesiącach.

Kiedy skończyłem wyjaśnienie, wuj Cho Rin wolno pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Czy to wszystko prawda? – zapytał. Mruknąwszy, że o takich rzeczach może wiedzieć tylko ktoś z samego serca zepsutego reżimu, wypił ostatni łyk wina z kieliszka, a potem kilka razy powtórzył liczbę „trzy”, jakby przepowiadał, że obecny północnokoreański reżim nie przetrwa dłużej niż przez trzy pokolenia. – Coś ci powiem – stwierdził. – Może i należę do mniejszości etnicznej, ale i tak się cieszę, nie, wręcz dziękuję opatrzności, że urodziłem się jako obywatel Chin, a nie Korei Północnej.

5
Spotkanie z wybrankiem Cho Rin

Po tej rozmowie wuj Cho Rin traktował mnie z olbrzymim szacunkiem. Wychodząc rano do pracy, zawsze stukał do moich drzwi, żeby się pożegnać. Co najmniej dwa razy dziennie dzwonił z pytaniem, czy chcę, żeby przyniósł do domu jakiś smakołyk. Cho Rin zawsze wykorzystywała tę okazję, żeby prosić o różne pyszności, na które sama miała ochotę.

Tak oto przyjemnie spędziłem trzy zbytkowne dni. Mimo to co rano w pierwszej kolejności dzwoniłem do pana Shina. Wciąż mnie uspokajał, że na moją korzyść przemawia szczęście, ale im częściej to słyszałem, tym bardziej bałem się o Young Mina. A jeśli wskutek jakiegoś wstrząsającego przeżycia zapomniał numer telefonu pana Shina? Napomknąłem o tym w okrężny sposób. Pan Shin odparł, że większym niebezpieczeństwem jest to, że Young Min mógł wydać ten numer podczas przesłuchania, bo wtedy namierzono by nas obu.

Rozumiałem ten niepokój. Jego żona również była uchodźczynią z Korei Północnej. Kiedy spytałem, czy ktoś nie mógłby znowu zajrzeć do domu krewnych Young Mina, pan Shin wymówił się tym, że jest bardzo zajęty. Cho Rin, która stała obok mnie, poprosiła, żebym przekazał jej słuchawkę. Zastanawiałem się, czy wpadła na jakiś doskonały pomysł, który nie przyszedłby do głowy mężczyźnie.

– Halo! – Jej głos był radosny jak zawsze. – Proszę, niech pan pomoże jego przyjacielowi. Przecież tylko miejscowi tacy jak my mogą coś zrobić, bo znamy język i okolicę. I niech pan przyjedzie z nim do Shenyangu. Zaproszę was wszystkich na pyszny posiłek.

– Już miała mi oddać słuchawkę, ale zawahała się, wzięła ją z powrotem i dodała: – To na razie, do widzenia!

Pan Shin bardzo się zaciekawił. Czy to moja dziewczyna? Jak to się stało, że przebywamy w jednym domu? Stwierdził, że Cho Rin ma bardzo szczególny sposób mówienia, pełen uczucia, a potem, nie dając mi nic wytłumaczyć, dodał: „Gratulacje!". Następnie obiecał, powtarzając to kilka razy, że jeszcze tego dnia wyśle kogoś do domu krewnych Young Mina.

Również jeśli chodzi o lekcje muzyki kuzyna, Cho Rin była o krok przede mną. Jeśli ja grałem tyrana wymachującego przed dzieckiem nożem kuchennym, ona torowała drogę empatią. Kiedy mały już miał stracić panowanie nad sobą, bo nie potrafił właściwie rozpoznać dźwięku, odpowiadała za niego, żeby jego duma nie została urażona. W reakcji na jego marudzenie odwoływała się do więzi rodzinnych, które ich łączyły. Raz po raz udawała zrozpaczoną, jakby miała się rozpłakać, i mówiła, że jeśli Wang Hou nie przestanie być niegrzeczny, narobi jej kłopotów u srogiego nauczyciela muzyki – choć ja oczywiście wcale nie miałem groźnych zamiarów. Trik jednak działał i dziki tygrys znowu stawał się dziesięcioletnim chłopcem.

Raz mały wybiegł z pokoju, mówiąc, że jest zmęczony. Kiedy słowa nie nakłoniły go do powrotu, Cho Rin wypróbowała nową taktykę. Żeby wzbudzić w nim zazdrość, usiadła obok mnie na stołku przy pianinie. Musiało go zdenerwować, że go ignorujemy, bo krzyknął z drugiego pokoju, że jeśli Cho Rin natychmiast nie wstanie ze stołka, to on wyrzuci go przez okno. Tłumacząc mi jego słowa, położyła głowę na moim ramieniu.

Wypełniła mnie cytrynowa woń jej włosów. W jednej chwili zapomniałem o chłopcu. Kiedy znowu krzyknął, Cho Rin poszła w przedstawieniu o krok dalej: położyła dłoń na mej dłoni, opartej o klawisze pianina, a potem ją podniosła, tak żebym objął ją ramieniem. Ogarnęło mnie poczucie wielkiej intymności. W Korei Północnej żaden mężczyzna nie śmiałby nawiązać kontaktu cielesnego z kobietą przeznaczoną innemu, a kobieta w taki sposób nie wzięłaby inicjatywy w swoje ręce. Co więcej, od

Pjongjangu po Shenyang cały czas dotykałem tylko szorstkich rzeczy. Nawet kiedy brałem za rękę Young Mina, odpowiadało mi drżenie, czułem byt, który ledwie wisi na włosku. Ciepło dłoni Cho Rin rozbudziło we mnie życie. Skoncentrowałem się na swym oddechu i bałem się, że najdrobniejszy ruch zmąci ciszę tej chwili. Kiedy Cho Rin znów uniosła głowę, zastanawiałem się, czy i ona czuła, że czas zatrzymał się tylko dla nas.

Starała się ukoić napad złości kuzyna, a ja tymczasem poszedłem do łazienki i chlusnąłem sobie na twarz zimną wodę. Chciałem zmyć swoją bezwstydność. Jednak kiedy wytarłem się ręcznikiem, nadal czułem to samo. Obejrzałem się w lustrze. Zobaczyłem wiele warstw, które ukrywały przed światem moje prawdziwe ja.

Powiedziałem sobie, że za postępowaniem Cho Rin nic się nie kryje. Naprawdę chciała mi pomóc i to jej wystarczało. Gdyby było inaczej, nie śmiałaby się ze mną wciąż tak jak wtedy, gdy się poznaliśmy. Ani nie położyłaby mi głowy na ramieniu i nie wzięła za rękę w ramach podstępnego fortelu, by zirytować chłopca. Nie miałem prawa oczekiwać od niej uczuć, jakimi darzyła narzeczonego. Byłem jej ogromnie wdzięczny za niezliczone przysługi i czułem się zobowiązany odpłacić za nie w taki sposób, żebym nigdy tego nie żałował.

Nagle usłyszałem krzyk Cho Rin z sąsiedniego pokoju. Ten dźwięk był tym bardziej wstrząsający, że rozległ się akurat wtedy, gdy zgłębiałem swoje uczucia wobec niej i ogarniała mnie skrucha. Kiedy wybiegłem z łazienki, zobaczyłem, że pod moją nieobecność chłopiec dopuścił się nowej zniewagi. Cho Rin się opierała, a on usiłował włożyć jej ręce pod bluzkę.

Próbowała go odepchnąć, ale nic sobie z tego nie robił. Nie miała dość siły, żeby powstrzymać go przed łapaniem ją za piersi. Skoczyłem, żeby chwycić go od tyłu i oderwać od Cho Rin. Wrzasnąłem tak głośno, że cały zadrżał mi w rękach. Widząc, że Cho Rin jest bliska łez, dałem mu mocnego klapsa w tyłek, a potem odciągnąłem go od niej z całej siły. Już zaczynałem się wydzierać, gdy w zaciśniętych rękach małego spostrzegłem

stanik i kawałek bluzki. W tej samej chwili Cho Rin krzyknęła. Natychmiast zamknąłem oczy. Stała tam prawie naga, zakrywając biust.

Obróciłem chłopca tak, żeby na mnie spojrzał, a jednocześnie mi ją zasłonił. Usłyszałem, że Cho Rin wybiega z pokoju. Mały szarpał mi się w ramionach, a ja w tym momencie czułem do niego nienawiść. Złapałem go mocno za nadgarstek i zaciągnąłem do jego pokoju. Chciałem uwięzić tam jego energię do czasu, aż chłopak przeprosi.

Choć nie mówiłem po chińsku, musiał rozumieć moją determinację.

– Siadaj! – rozkazałem.

Zastosował się do polecenia wydanego po koreańsku i objął kolana ramionami. Raz, kiedy w dzieciństwie zrobiłem awanturę, ojciec zamknął mnie w moim pokoju. Gdy usłyszałem, jak matka z nim dyskutuje, mówiąc, że powinien wypuścić mnie na obiad z rodziną, jej głos był najmilszym głosem na świecie. Ojciec obstawał jednak przy tym, że dyscyplina jest ważniejsza niż obiad, więc wypuszczono mnie dopiero po jedzeniu. To pewnie wtedy po raz pierwszy w życiu pomyślałem, że prawo człowieka do posiłku to coś ważnego.

Pochyliłem się nad chłopcem i wycelowałem w niego palec.

– Ani mi się waż stąd ruszyć.

Po tych słowach wyszedłem z pokoju. Ale w salonie niezręczność sytuacji nadal wisiała w powietrzu. Było tak cicho, że gdy usiadłem na kanapie, wzdrygnąłem się na dźwięk skóry, która pode mną zaskrzypiała. Z początku martwiłem się tym, jak zdenerwowany musi być chłopiec. Z upływem minut coraz więcej jednak myślałem o Cho Rin. Czy siedziała teraz w drugim pokoju, czy stała? Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Po może dwudziestu minutach usłyszałem, że otwierają się drzwi sypialni chłopca.

Zostawiłem go w pokoju, żeby się uspokoił, ale przez ten czas jeszcze bardziej rozpalił się w nim gniew. Nie miałem już siły się

nim zająć, kiedy pobiegł do drzwi wejściowych. Wziął buty, żeby je włożyć, a potem odwrócił się do mnie i krzyknął:

– *Shabi zai zi!* – Otworzył drzwi i zawołał: – *Shabi, wo da si ni!*

Zatrzasnął je za sobą, a mnie wciąż dźwięczały w uszach jego słowa. Nie wiedząc, co znaczą, mamrotałem pod nosem:

– *Shabi zai zi, shabi, wo da si ni.*

W zamyśleniu podniosłem wzrok i zobaczyłem Cho Rin.

Stała na drugim końcu salonu. Wydawała się niezdolna, żeby do mnie podejść lub choćby na mnie spojrzeć. Nawet jej dłoń, którą dotknęła najpierw brwi, a potem ust, poruszała się nienaturalnie. Cho Rin z roztargnieniem skubała rąbek nowej bluzki, jakby źle na niej leżała. Kiedy złapałem się na tym, że stoję w oszołomieniu, również poczułem się skrępowany. Potem nasze spojrzenia się spotkały i oboje się zaczerwieniliśmy. Ona była dziewczyną, której skromność została narażona na szwank, a ja chłopcem, którego to zawstydziło.

Uciekłem do pokoju muzycznego. Ta część domu podnosiła mnie na duchu jak żadna inna. Usiadłem na stołku i podniosłem klapę. Czarne i białe klawisze patrzyły na mnie niczym czarne źrenice na białkach oczu i wszystkie zaglądały mi w serce.

– Zagraj mi coś, proszę.

Za moimi plecami głos Cho Rin wydał się bardzo bliski, jakby potwierdzając, że w tej części domu istniejemy tylko my dwoje. Czułem, że jej głosu nie prześcignie żadna muzyka, ale co mogłem zagrać?

Chciałem, żeby to było coś krótkiego i prostego, co zostanie na dłużej. Przypomniałem sobie słowa mojego nauczyciela Choi Lianga, które często powtarzał na naszych lekcjach muzyki: „Przez całe życie Beethoven komponował muzykę mroczną. Wśród wszystkich jego utworów był jeden pogodny, który napisał dla ukochanej: *Dla Elizy*". Zacząłem grać go dla Cho Rin. Ta nader znajoma melodia chyba sprawiła jej przyjemność, ale dla mnie tym razem brzmiała inaczej. Z każdą frazą odczuwałem los Beethovena, który utracił w życiu miłość, ale swą muzykę pozostawił na wieczność.

Po około półgodzinie do mieszkania weszli razem wuj i ciotka Cho Rin. Ojciec zawołał syna, zanim jeszcze zdążył zdjąć buty. Słysząc to, Cho Rin zmarszczyła czoło i pobiegła przywitać wujka. Brzmiało to tak, jakby długo się skarżyła. Matka powiedziała, że poszuka chłopca, który pewnie siedzi teraz w pobliskim salonie gier. Ojciec odparł jednak rozdrażnionym tonem, żeby nie zawracała sobie głowy. Gdy podała herbatę, zawołał mnie do salonu. Usiadłem, a wtedy poprosił, żebym dokładnie powtórzył, co powiedział jego syn. Nie znając kontekstu, spełniłem prośbę:

– *Shabi, wo da si ni! Shabi zai zi!*

Jego żona cmoknęła z dezaprobatą, a Cho Rin odezwała się wzburzona:

– Widzicie? On potrafi powiedzieć wszystko!

Byłem ciekaw, co oznaczają te słowa, ale milczałem na widok poważnej miny ojca.

– No dobrze – rzekł w końcu mężczyzna, masując skronie. – Masz jakieś wiadomości o przyjacielu? – spytał życzliwym tonem, może po to, żeby zmienić temat.

– Jeszcze nie. Rano zadzwoniłem do tego znajomego z Yanji. Powiedział, że wyśle kogoś do domu jego krewnych.

– To dobrze. Ja też wykorzystywałem znajomości, żeby znaleźć drogę za pośrednictwem południowokoreańskich firm, więc może wkrótce doczekamy się dobrych wieści. Za tobą długi dzień. Mam coś dla ciebie. – Wyjął z portfela trzysta pięćdziesiąt yuanów, a potem mówił dalej: – Odkąd u nas zamieszkałeś, ani razu nie wyszedłeś z domu. Idź dziś na miasto. Dziś wieczorem wyjątkowo na to pozwolę. Cho Rin, oprowadź go!

– Doskonały pomysł, wujku! Mój narzeczony wrócił dziś z podróży służbowej do Szanghaju, więc i tak mieliśmy gdzieś iść. – Potem prędko obróciła się do mnie i powiedziała: – Chodźmy razem. Mój narzeczony chce cię poznać. Jest bogatszy ode mnie, więc może postawić kolację. Co ty na to?

Trochę się zawstydziłem. Było mi wręcz bardzo niezręcznie, że tak ekscytowała ją perspektywa wspólnego wyjścia. Kotłowały się we mnie emocje na myśl, że miałbym spędzić cały wieczór

z nią i jej narzeczonym. Wymówiłem się nie najlepszym samopoczuciem, żeby mogli pobyć trochę beze mnie. Cho Rin nic nie powiedziała, ale bardzo wolno zapinała guziki płaszcza. Jej wuj i ciotka nalegali, żebym poszedł. Chowając pieniądze do kieszeni, postanowiłem, że tak zrobię, bo nareszcie w ten czy inny sposób mogłem odpłacić Cho Rin za życzliwość. Poświęciła czas i wysiłek, żeby mi pomóc, chociaż nie mogłem zaoferować nic w zamian. Ale teraz coś miałem. Nie chodziło nawet o pieniądze jako takie, ale o to, że dzięki nim odzyskałem godność, którą straciłem podczas ucieczki bez żadnego dobytku z wyjątkiem poszarpanego pęku wierszy.

– Dobrze, Cho Rin, pójdę z wami na kolację.

Była podekscytowana, że zobaczy się z narzeczonym, a ja, skoro już postanowiłem im towarzyszyć – że po raz pierwszy opuszczę dom. Oboje chcieliśmy czym prędzej wyjść. Kiedy ciotka kazała jej uważać i nie zwracać na siebie uwagi władz, Cho Rin machnęła ręką i wyszła jako pierwsza. Pięć minut później zadzwoniła na domowy telefon, że już mogę schodzić. Przed budynkiem zastałem czekającą taksówkę. Cho Rin pomachała mi przez okno i kazała się pośpieszyć. Na rękach miała wełniane rękawiczki z jednym palcem. Pomyślałem, że mogę jej kupić skórzane.

Gdy wyglądałem przez okno samochodu, tłumy ludzi na ulicach oszałamiały mnie jeszcze bardziej niż jasne latarnie i oślepiające neony.

– Czy dziś w Chinach jest święto narodowe? – spytałem.

– Nie, dlaczego pytasz?

– To dokąd wszyscy idą? Ogłoszono masową mobilizację?

– W Chinach nie mamy takich głupstw! Tak jest codziennie. Dziś z powodu mrozu wydaje się nawet trochę luźniej niż zwykle.

Nadal wydawało mi się to bez sensu. W Pjongjangu najbardziej ruchliwą porą była wieczorna godzina szczytu między dziewiętnastą a dwudziestą. Po godzinie, góra dwóch, ulice pustoszały niczym wskutek odpływu. Ponieważ w Korei

Północnej wszystko odbywało się zgodnie ze scentralizowanym systemem, nie można było tak po prostu iść coś zjeść, bo miało się na to ochotę. Nawet słynną pjongjańską restaurację Okryugwan z makaronem na zimno zamykano o dwudziestej i nie przyjmowano tam gotówki. Żeby wejść do restauracji, należało mieć specjalny kupon wydany przez Sekcję Przemysłu Lekkiego Partii Pracy. System kuponów pojawił się około 1992 roku, kiedy zaczęły się kurczyć racje żywnościowe. Wprowadzono go, chcąc ratować integralność państwowych cen, będących dumą północnokoreańskiego socjalizmu. Jednak począwszy od 1994 roku, gdy całkowicie załamał się system dystrybucji racji żywnościowych, zaczęto zamykać wiele państwowych sklepów i restauracji, które akceptowały specjalne kupony i stosowały państwowe ceny.

Kiedy gospodarkę zdominowały ceny określone przez rynek, wypierając te państwowe, upadła koncepcja, że państwowa pensja gwarantuje utrzymanie. Średnia miesięczna płaca w wysokości stu pięćdziesięciu wonów stała się tak bezwartościowa, że człowiek nie mógł się za nią wyżywić nawet przez jeden dzień, nie mówiąc już o całym miesiącu. Ponieważ nie potrafiła zatroszczyć się o obywateli, partia nie miała wyboru: musiała przymknąć oko na nielegalny handel i targowiska, które wyrosły w całym kraju jak grzyby po deszczu. Jednakże w miarę szybkiego rozwoju tej szarej strefy zwyczajni mieszkańcy Korei Północnej, zmuszeni sami dbać o siebie, przestali przychodzić do pracy na państwowych posadach. Okoliczności zaczęły przypominać czarną dziurę pochłaniającą zdolność partii do zapanowania nad ludnością swojego kraju.

Pierwszego lipca 2000 roku Korea Północna ogłosiła Kroki 1 Lipca będące desperacką próbą odzyskania monopolu władzy w obliczu mnożących się w niekontrolowanym tempie sposobów zarobkowania. Jak na ironię, społeczność międzynarodowa z zadowoleniem przyjęła te kroki, widząc w nich dowód północnokoreańskiej gotowości podjęcia reform. W rzeczywistości partia wypowiedziała wojnę gospodarce

niekontrolowanej przez państwo. Batalia trwa do dziś; partia usiłuje utrzymać monopol władzy w zderzeniu z nieoczekiwanymi siłami rynku.

Kroki 1 Lipca pośrednio potwierdziły istnienie rozbieżności między cenami państwowymi a rynkowymi, bo średnią państwową płacę podniesiono ze stu pięćdziesięciu do dwóch tysięcy wonów. Partia nakłaniała ludzi do powrotu na państwowe posady, zapowiadając czynny nadzór nad regulacją cen rynkowych. Jednakże toksyczna mieszanka nagłego wzrostu pensji i surowej walki z cenami rynkowymi poskutkowała gwałtowną inflacją. Wraz ze skokiem zarobków ceny poszybowały w górę i państwowa pensja starczała na zakup pięciu jajek. W końcu jedynym sposobem zapanowania przez partię nad targowiskami była legalizacja części z nich, zmiana wysokości placowego i ograniczenie godzin otwarcia.

W Pjongjangu, bastionie władzy partii, żadnej osoby zastanej na ulicy w ciemną noc nie można by pomylić z przechodniem, który wybrał się na miasto korzystać z wieczornych rozrywek. Wszyscy – w tym także dzieci, studenci i żołnierze – to obywatele zmobilizowani na uroczystości polityczne albo ćwiczenia takie jak pjongjańskie Zgromadzenie Miliona, Masowe Igrzyska Arirang czy Przegląd Wojsk. Oglądając ruchliwe ulice Shenyangu, podziwiając światła oraz tłumy ludzi, zachodziłem w głowę, jak to możliwe, że tak wygląda zwykły dzień, a nie wyjątkowe święto. Jakim cudem ci wszyscy ludzie zarabiają tyle pieniędzy, że ich na to stać? Dlaczego Komunistyczna Partia Chin to toleruje? Było to dla mnie zdumiewające.

Pogrążony w myślach, zbyt późno spostrzegłem, że przyjechaliśmy na miejsce, a Cho Rin wręcza należność taksówkarzowi. Powiedziałem sobie, że jeśli ona będzie dziś płaciła za drobne rzeczy, to ja zapłacę za duże.

– Cho Rin, o której spotykamy się z twoim narzeczonym? – zapytałem.

– O wpół do ósmej. Mamy jeszcze trochę czasu.

– Czy jest tu w pobliżu dom towarowy?

– A co? Chciałbyś tam zajrzeć?

– Tak. Mówiłaś, że mamy czas.

Dom towarowy znajdował się bardzo blisko, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od nas. Okolicę rozświetlała duża reklama Coca-Coli na ścianie budynku. Do środka wchodziło się przez drzwi obrotowe. Podniecony ruszyłem przodem, lecz zaraz spanikowałem i z powrotem wyszedłem na ulicę. O mało nie wpadłem w ramiona uzbrojonego policjanta, który pilnował wejścia. Cho Rin spojrzała na mnie zdziwiona, a potem wesoło szturchnęła mnie w ramię i zachichotała.

– To nie jest prawdziwy policjant, głuptasie! To tylko ochroniarz! Pewnie zamiast pistoletu też ma atrapę, tak na pokaz.

Byłem zażenowany, bałem się, że teraz Cho Rin uzna mnie za tchórza. Znowu ruszyłem przodem. W Pjongjangu także istniały domy towarowe z importowanymi produktami, ale przyjmowano w nich wyłącznie waluty obce, a większość zwykłych ludzi nie mogła tam robić zakupów. W pierwszym domu towarowym, jaki zobaczyłem w Shenyangu, było więcej artykułów niż w tych pjongjańskich, ale rozczarowało mnie, że nie pochodzą z importu, lecz z Chin. Zauważyłem stoisko z rękawiczkami, więc szybko do niego podszedłem. Żeby zrehabilitować się po tym, jak dałem się nabrać na fałszywego policjanta, wybrałem parę takich z prawdziwej skóry. Pokazałem je Cho Rin.

– Proszę, przymierz.

– Dlaczego? – spytała.

Kiedy wyjaśniłem, że chcę je dla niej kupić, pokręciła głową i odparła, żebym się nie wygłupiał. Powiedziała, że ma w domu kilka par, a poza tym nie mogę marnować pieniędzy na bzdury. Gdy spojrzałem na metkę z ceną, uszło ze mnie powietrze. Czterysta yuanów za rękawiczki? Ponownie zażenowany, mogłem tylko potulnie wyjść za Cho Rin ze sklepu. Poganiała mnie, mówiąc, że teraz to się spóźnimy.

Tuż przy wyjściu spostrzegłem stoisko z zabawkami. Wybrałem z wystawy dwa zabawkowe miecze, nowoczesne, z bateriami w rękojeściach, migające różnymi kolorami po naciśnięciu przycisku. Wyobraziłem sobie, że kiedy kuzyn Cho Rin je zobaczy, będzie zachwycony i wreszcie się pogodzimy. Po chwili obok mnie pojawiła się Cho Rin. Uszczypnęła mnie w ramię i powiedziała, że wyszła na dwór i wpadła w panikę, bo już myślała, że jej się zgubiłem. Potem, kiedy zobaczyła, co kupiłem, zwymyślała mnie i kazała mi poprosić o zwrot pieniędzy. Przekonałem ją, tłumacząc, że to element mojej metody wychowawczej.

Po wyjściu ze sklepu Cho Rin była jeszcze bardziej podekscytowana ode mnie. Uśmiechała się od ucha do ucha, wywijając mieczem esy-floresy w powietrzu. Ilekroć miecz świecił, wyglądała jeszcze piękniej.

Umówiła się z narzeczonym w drogiej restauracji, gdzie kelnerzy powitali nas w długim korytarzu. Byłem zaskoczony, że się nam kłaniają, bo wyglądali tak, jakby się przed nami płaszczyli. Dwie kelnerki zaprowadziły nas do stolika. Okazało się, że narzeczony Cho Rin czeka w prywatnej salce. Już na pierwszy rzut oka robił wrażenie dobrego człowieka. Nazywał się – stosując koreańską wymowę – Ju Yun Bal. Cho Rin przedstawiła nas sobie, dodając, że tak samo nazywa się słynny chiński aktor. Podobał mi się jego uśmiech, a przystojne, młodzieńcze rysy zdawały się potwierdzać, że w pary często dobierają się podobni ludzie. Chociaż jedyne zdanie po chińsku, jakie zdążyłem podchwycić, to powitanie „*Ni hao!*”, chyba bardzo go ucieszyło. Był dobrze wychowany, pomógł Cho Rin zdjąć płaszcz, a zanim go powiesił, wygładził mu ramiona. Nie ulegało wątpliwości, że będzie wspaniałym mężem.

Kiedy kelner przyniósł menu, Cho Rin zerknęła na nie, a potem podała je mnie. Zamierzałem zapłacić za kolację, więc z zadowoleniem zacząłem kartkować jadłospis. Nie potrafiłem odczytać chińskich napisów, ale wpadłem w rozpacz, widząc liczby przy każdej pozycji – ceny przystawek zaczynały się od

pięćdziesięciu yuanów. Po zakupie zabawkowych mieczy zostało mi trzysta czterdzieści.

Podałem menu narzeczonemu Cho Rin, który przywołał kelnera i zaczął zamawiać potrawę za potrawą. Zwróciłem się do Cho Rin po koreańsku:

– Chciałem zapłacić za kolację, ale mam tylko tyle. Co możemy zamówić?

– Nie zawracaj głowy – odparła. – Nie po to wzięłam cię na miasto.

Potem zmieniła temat, jakby chciała mnie ostrzec, żebym przestał mówić o pieniądzach. Wyjaśniła, że w Chinach zamawianie jedzenia pod wieloma względami jest na pokaz. Na przykład jeśli poprosi się o piwo, zrozumieją, że chodzi nie o jedną butelkę, ale o skrzynkę z dziesięcioma. Zastanawiałem się, czy ma to związek z rozmiarem Chin, czy też może jest wynikiem reform gospodarczych, które sprawiły, że demonstracja siły nabywczej to oznaka statusu.

Wkrótce nasz wielki okrągły stół zapełnił się najróżniejszymi potrawami. Było ich zdecydowanie za dużo dla nas trojga, starczyłoby pewnie dla dziewięciu osób. Domyślałem się, że rachunek przekroczy tysiąc pięćset yuanów. I rzeczywiście przynieśli skrzynkę dziesięciu butelek piwa, tak jak mówiła Cho Rin.

Przeprosiłem, mówiąc, że muszę iść do łazienki, po czym wstałem od stołu. Pamiętałem, że wchodząc do restauracji, minęliśmy gablotę z winami. Chociaż nie było mnie stać na jedzenie, chciałem im kupić przynajmniej butelkę dobrego wina, zwłaszcza po tym, jak Ju Yun Bal złożył takie szczodre zamówienie, nawet jeśli rzeczywiście na pokaz. Pokazałem kelnerowi pieniądze i choć zobaczył, że mam o dziesięć yuanów za mało, na szczęście przyjął banknoty, po czym z uśmiechem wręczył mi butelkę.

Przypomniałem sobie moją kłótnię z Young Minem w bocznej uliczce w Yanji o nędzne dziesięć yuanów i poczułem wyrzuty sumienia, że wydaję taką sumę na wino, podczas gdy on być

może włóczy się po ulicach wygłodniały. Kiedy znowu się spotkamy i dowie się, jak radziłem sobie bez niego, na pewno poczuje się zdradzony przez przyjaciela. W myślach poprosiłem opatrzność, żeby dotarło do niego te czterysta yuanów, które zostawiłem u pana Shina w Yanji, i żeby za te pieniądze przybył do Shenyangu. Kiedy porównałem tę kwotę z ceną wina, butelka wydała mi się jeszcze bardziej wartościowa. Mimo to przypomniałem sobie, że gdy poznałem Cho Rin, nie miałem grosza przy duszy, byłem więc dumny, że stać mnie przynajmniej na to, żeby w podzięce kupić jej to wino.

Gdy wróciłem do stolika, Cho Rin, która właśnie piła wodę, uderzyła szklanką w stół tak głośno, że aż stuknęło. Stwierdziłem, że przewidziałem jej reakcję, ale już za późno, bo butelka została otwarta. Kiedy spojrzała na etykietę, nieoczekiwanie ustąpiła, mówiąc, że to bardzo smaczne wino. Podała butelkę narzeczonemu, a potem rzuciła mi spojrzenie i groźnym tonem oznajmiła, że poprosi wuja o zwrot pieniędzy, które na nich zmarnowałem.

Potem odstawiliśmy na bok kufle do piwa i od tej pory wznosiliśmy toasty kieliszkami z winem. Byłem oszołomiony, słysząc, że przy toaście w Chinach mówi się „*Gunbae!*” tak samo jak w Korei Północnej. Właśnie rozmawialiśmy o pochodzeniu tego słowa, kiedy zadzwonił telefon narzeczonego Cho Rin.

Dolałem wina jej i sobie.

– Cho Rin, mogę cię o coś spytać?

– O co tylko chcesz.

– Pamiętasz, co krzyczał do mnie twój kuzyn? Co to znaczy? Wiesz, *shabi zai zi*.

– Ćśś! – syknęła i ruchem głowy wskazała narzeczonego. – Bo cię usłyszy.

– Co to znaczy?

– Jest takie powiedzenie: nie pożyjesz długo, jeśli poznasz wszystkie odpowiedzi w życiu!

– No to spytam Ju Yun Bala.

– Nie rób tego! Powiem ci. Cicho.

– No dobrze. *Shabi?*

– Skur…wysyn.

– A to gnojek! *Wo da si ni?*

– Zatłukę cię na śmierć.

– O rany. A *zai zi?*

– Nie musisz tego wiedzieć.

– W takim razie zapytam twojego narzeczonego.

– Nie, powiem ci. – Zawahała się, a potem powiedziała: – To znaczy „fiut”.

Nie rozumiałem.

– Jak to?

– No wiesz, męski narząd.

Może dlatego, że trochę już wypiła, Cho Rin zaczerwieniła się aż po czubki uszu. Kiedy powiedziałem, że zanim dam jej kuzynowi zabawki, zażądam, żeby przeprosił za to, że mnie obraził, a ją zaatakował, uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie. Skończywszy rozmowę, jej narzeczony zapytał, o czym mówimy.

– Co mu powiedzieć? – spytała Cho Rin z psotną miną.

– Że jeśli kiedyś doprowadzi cię do łez, to zaczniesz do niego mówić tak jak twój kuzyn.

Odchyliła głowę i parsknęła śmiechem. Teraz jej narzeczony jeszcze bardziej się zaciekawił i bałem się, że Cho Rin wiernie przetłumaczy moje słowa. Kiedy pokazał uniesione kciuki, odetchnąłem z ulgą, lecz byłem zdezorientowany. Cho Rin wyjaśniła, co mu powiedziała: że teraz jego kolej, żeby kupić wino. Na nowo się nauczyłem, że relacje między ludźmi buduje się na ostrożnie dobranych słowach.

Po kolacji poszliśmy na spacer. Nie padał śnieg, więc był piękny zimowy wieczór. Cho Rin szła pośrodku, trzymając nas obu pod ramię. Miałem ochotę iść tak aż do Xita, ale mijająca nas taksówka zwolniła, choć wcale jej nie zatrzymywaliśmy. Postanowiliśmy z niej skorzystać. Gdy dojechaliśmy do Xita, Cho Rin wysiadła jako ostatnia. Narzeczony zrugał ją, że nie zostawiła kierowcy napiwku. Kiedy ruszył przodem, odpowiedziała mu wzburzona, a potem wsunęła dłoń do kieszeni mojej kurtki.

Rozgięła mi palce zaciśniętej pięści i włożyła do ręki resztę z opłaty za taksówkę. Chciałem wyjąć pieniądze, ale Cho Rin przytrzymała mi dłoń. Spróbowałem ponownie, a wtedy mnie uszczypnęła. Poddałem się, więc pogłaskała moją dłoń palcami, jakby chciała ją nagrodzić za dobre sprawowanie.

Przy wejściu do budynku narzeczony Cho Rin o mało nie wywrócił się na śliskim lodzie. Kiedy oboje rzuciliśmy się, żeby go przytrzymać, wszyscy straciliśmy równowagę i parsknęliśmy śmiechem. Cho Rin, rozweselona winem, uparła się, że pójdziemy schodami, więc wspięliśmy się na ósme piętro, zamiast jechać windą. Nie miałem nic przeciwko temu, lecz gdy dotarliśmy do mieszkania, czułem, że nasz wspólny wieczór skończył się za szybko.

Cho Rin zadzwoniła do drzwi, a potem zastukała niecierpliwie, ośmielona towarzystwem dwóch mężczyzn. Wszyscy byliśmy w dobrym nastroju, ale cofnęliśmy się, gdy w drzwiach ukazał się ponury policjant. Zaraz za nim stał drugi.

6

Zbrodniczy reżim

Policjant, który otworzył drzwi, stanął za nami. Serce biło mi szybko, ale ze zdziwieniem odkryłem, że nie jest tak źle, jak wcześniej w trudnych chwilach. Kiedy weszliśmy do salonu, wuj Cho Rin błyskawicznie wyjaśnił po koreańsku:

– Rozmawiałem o tobie z żoną i dzieciak musiał to usłyszeć. Zaczął zadawać pytania. Żona parę razy kazała mu obiecać, że nikomu nie powie, że mieszka u nas Koreańczyk z Północy, ale on nie jest z tych, co się słuchają. Wrócił z tymi ludźmi, którym doniósł, że cię ukrywamy. – Przez zaciśnięte zęby dodał: – Dzisiaj w nocy połamię mu nogi. Ale spokojnie, powiedziałem im, że jesteś z Południa.

Jeden z policjantów gestem nakazał wujowi milczenie, a potem wskazał kanapę, na której siedział chłopiec. Kiedy go przywołał, mały podskoczył ochoczo, co sprawiło, że poczułem się nieswojo. Ton, jakim Cho Rin coś do niego powiedziała, kazał mi podejrzewać, że sprawy źle się skończą. Potwierdziło się to, kiedy Wang Hou podszedł do mnie zawadiackim krokiem dużego chłopca. Wycelował we mnie palec i kilka razy dźgnął mnie w brzuch.

Moje dłonie, dotychczas nerwowo zaciśnięte, rozluźniły się i torba z plastikowymi mieczami upadła na ziemię. Gdy mały je zobaczył, oczy zaświeciły mu się z radości. Spojrzał na mnie, żeby się upewnić, że go nie powstrzymam, a potem złapał zabawki i pobiegł z nimi na kanapę. Dwaj policjanci pewnym krokiem ruszyli w moją stronę.

– Mówią, że masz im pokazać paszport. Powiedz coś po koreańsku. Przetłumaczę na chiński, że zgubiłeś torbę –

poinstruowała mnie błyskawicznie Cho Rin i wzięła mnie pod rękę, jakbyśmy byli parą.

Dwujęzyczna rozmowa z mężczyznami trwała przez jakiś czas. Raz po raz chłopiec przerywał z zaciekłym uporem, być może chcąc pokazać, że kłamiemy. Wreszcie ojciec trzepnął go w tył głowy, żeby się zamknął. Mały wrzasnął, pobiegł do swojego pokoju i bardzo głośno trzasnął drzwiami.

Narzeczony Cho Rin, który dotąd milczał, krzyknął na policjantów. Jeden go popchnął, żeby go zastraszyć. Ju Yun Bal się nie zląkł i krzyknął ponownie. Cho Rin stanęła między nami, a wtedy drugi z mężczyzn połączył się z kimś przez telefon. Na sekundę wszyscy zamilkli, a Cho Rin śmiertelnie zbladła.

– Musisz uciekać. Właśnie wezwali wsparcie.

Policjant schował telefon do kieszeni, a potem od pasa odpiął kajdanki. Te chińskie były nowe i błyszczące, dokładnie jak opisała je jedna z dziewcząt u pana Shina. Starając się zachować opanowany ton, odezwałem się do Cho Rin:

– Zyskaj dla mnie trochę czasu.

Ruszyłem przez salon, udając obojętność, i o dziwo nikt mnie nie zatrzymał. Wszedłem do pokoju muzycznego po rękopisy wierszy, dokumenty potwierdzające moją prawdziwą tożsamość oraz okulary przeciwsłoneczne.

Zawróciłem i skierowałem się do drzwi frontowych, ale mężczyźni zastąpili mi drogę. Cho Rin pisnęła, a jej narzeczony w tej samej chwili rzucił się na jednego z policjantów, chwytając go w pasie. Cho Rin ruszyła na tego drugiego, krzycząc:

– Uciekaj! Szybko!

Nie przystając, żeby się rozejrzeć, pobiegłem po schodach, zeskakując po kilka stopni. Gnałem z półpiętra na półpiętro, za mną rozległy się okrzyki, potem wrzask Cho Rin, a potem głośny łomot ciała upadającego na podłogę. Usłyszałem odgłosy dalszej szamotaniny i trzask drzwi o ścianę. Nagle klatkę schodową wypełniło dudnienie ciężkich butów.

Wybiegając z budynku, potknąłem się o schodek i prawie się przewróciłem. Później skręciłem w zaułek obok bloku

i schowałem się wśród śmietników. Wcześniej czy później policjanci wyjdą, a wtedy będę mógł się pożegnać z Cho Rin, Ju Yun Balem i rodziną jej wuja. Miałem nadzieję, że Cho Rin zdoła się wymknąć, żebym powiedział jej do widzenia.

Ale sytuacja tylko się pogarszała. W holu budynku rozległ się tupot butów, a potem na dwór wybiegł policjant. Był bez czapki, miał porozpinane guziki koszuli. Na górze musiało dojść do gwałtownej szarpaniny. Zawyły syreny i pod domem pojawił się radiowóz. Za nim nadjechały jeszcze dwie furgonetki, z pojazdów wysiadło ośmiu funkcjonariuszy. Zgromadzili się wokół policjanta bez czapki, wysłuchali jego poleceń, a potem ruszyli, żeby je wykonać. Czterech wróciło do budynku, a reszta rozeszła się w różnych kierunkach.

Dwaj zdążali w moją stronę. Dzieliło nas tylko dziesięć metrów. Gdybym dłużej tam został, na pewno by mnie złapali. Pochyliłem głowę i zacząłem biec.

– *Zhan zhu! Zhan zhu!*

Jeden mnie dostrzegł i zaczął krzyczeć. Pędziłem ile sił. Zewsząd dobiegały przerażające okrzyki i wyobrażałem sobie, że lada chwila szorstka dłoń złapie mnie za kołnierz. Nogi trzęsły się pode mną tak jak wtedy, gdy przekraczałem Tumen. Ciężko dyszałem, ściskało mnie w piersiach. Skręciłem w uliczkę, która biegła między wysokimi ścianami. Echo policyjnych butów otaczało mnie z każdej strony.

Przestraszyłem się, że to ślepy zaułek, i wpadłem w panikę. Zorientowałem się, że ulice są tu inne niż w Yanji, gdzie drogi były otwarte. Brakło mi tchu i wiedziałem, że dłużej nie wytrzymam tego sprintu. Nogi tak bardzo mi ciążyły, iż miałem wrażenie, że z każdym krokiem ciągnę je po ziemi. Rozważyłem, czy się nie poddać.

Widząc przed sobą blaszany bęben, z całej siły cisnąłem go w tył. Usłyszałem krzyki policjantów, kiedy wylądował na ich drodze – dla moich wyczulonych uszu była to piękna muzyka. Odgłos pościgu chyba ucichł. Nie, znów słyszałem stuk butów. Ten człowiek zdawał się silniejszy od tamtego, który upadł,

i coraz bardziej się zbliżał. Dwadzieścia metrów, piętnaście, dziesięć… Musiałem podjąć decyzję. Chwyciłem kawał metalowej rury, a potem wydzierając się wniebogłosy, odwróciłem się do nadciągającego policjanta.

Zesztywniał, stanął jak wryty i o mało nie runął na twarz. Chociaż było ciemno, znajdował się tak blisko, że widziałem jego rzęsy. Uniosłem rurę wysoko nad głową. Otarła się o jedną z cementowych ścian, które wznosiły się po obu stronach, i głośno zgrzytnęła. Nabrawszy pewności siebie, zamachnąłem się raz jeszcze, znów ocierając metalem o mur najmocniej, jak potrafiłem. Z końca rury błysnęły iskry. Niczym smok ziejący ogniem wrzasnąłem:

– *Shabi, wo da si ni! Shabi zai zi!*

Ponownie wzniosłem rurę nad głowę i ruszyłem na policjanta. Zrobił kilka kroków do tyłu, po czym odwrócił się i zaczął uciekać. Goniłem go przez kilka metrów, a potem dostrzegłem zaułek odbijający w prawo. Po raz kolejny skrobnąłem metalem po cemencie, żeby dać tamtemu do zrozumienia, że zamierzam dalej za nim biec. Na wszelki wypadek, gdyby chciał zmienić zdanie i zacząć mnie gonić, znowu krzyknąłem: „*Shabi, wo da si ni! Shabi zai zi!*”. Potem czmychnąłem w zaułek.

Biegłem uliczkami przez może dziesięć minut. Kiedy znalazłem się w opustoszałej okolicy, zwolniłem, ale szedłem dalej. Dawno odrzuciłem rurę i nie miałem czucia w ręce od dłoni aż po ramię. Gdy obmacałem ją drugą ręką, nie poczułem absolutnie nic, jakbym dotykał obcego przedmiotu. Drżały mi czubki palców.

Sprawdziłem kieszenie – moje wiersze wciąż były bezpieczne. Albo może raczej to właśnie one, mój szczęśliwy talizman, dawały mi bezpieczeństwo. Ilekroć się z nimi rozstawałem, działo się coś złego. W Yanji przyniósł mi je Young Min, a w Shenyangu Cho Rin dała mi dość czasu, żebym po nie poszedł. Skrzyżowałem ramiona na piersiach i powiedziałem sobie, że już nigdy nie wyjmę mojego rękopisu z kieszeni kurtki.

Co spotkało Cho Rin? Ona, jej narzeczony, wuj i ciotka – ależ musieli być wstrząśnięci! Bałem się, że władze nałożą na nich surowe kary. Uciekłem tak daleko na obrzeża, że otaczała mnie tylko ciemność. W oddali widziałem skupisko jasnych świateł miasta. Może to blask policyjnych kogutów wokół domu wuja Cho Rin.

Jej kuzyn wpadł w poważne tarapaty. Cho Rin i jej wuj mu nie darują. Potem przypomniałem sobie zabawkowe miecze. Gdzie je zostawiłem? Czy wniosłem je do mieszkania? Tak. Pamiętałem, że wziął je Wang Hou. Miały być prezentem, a okazały się nagrodą za to, że doniósł na mnie władzom. Ależ wyszedłem na głupca! Zacząłem się śmiać jak szalony, ale zrozumiałem, że w pewnym sensie mały mi pomógł. Zdobyłem się na odwagę, żeby wymachiwać policjantowi metalową rurą przed twarzą, bo naśladowałem zachowanie chłopca. Lekcja chińskiego również okazała się nadzwyczaj pomocna: *Shabi, wo da si ni! Shabi zai zi!*

Powtarzałem sobie te słowa, kiedy dotarłem do okolicy oświetlonej latarniami. Cho Rin bardzo się ucieszy, gdy się dowie, że jestem cały i zdrowy. Jeżeli ją jeszcze spotkam, opiszę jej swój wyczyn z zakresu sztuk walki polegający na przegnaniu policjanta metalową rurą. Pogłaszcze mnie po głowie jak matka. A widząc, że nic mi się nie stało, rodzice wybaczą małemu.

Ruszyłem szybszym krokiem. Jeżeli jeszcze spotkam Cho Rin, będziemy musieli się pożegnać, a potem wyjadę do Pekinu. Nie byłem pewien, czy kiedy ją znowu zobaczę, zdołam powstrzymać potok łez.

Idąc dalej, mimowolnie zacząłem się trząść. Zorientowałem się, że jestem zlany potem. Nie mogłem uwierzyć, że kiedyś spędziłem dwie noce w górach niedaleko Yanji i nie zamarzłem na śmierć.

Gdy tu i ówdzie zacząłem napotykać napisy po koreańsku, zrozumiałem, że wróciłem do dzielnicy Xita. Jeśli pójdę jeszcze trochę dalej, może dotrę do znajomego bloku i może będzie tam czekać Cho Rin. Może policja już sobie pojechała i zdołam zakraść się do mieszkania? Gwałtownie rosła we mnie nadzieja.

Zupełnie tak, jakby moje myśli stawały się rzeczywistością, zobaczyłem znajomą reklamę Coca-Coli. To była ta sama reklama, którą widziałem na ścianie domu towarowego. Ale dlaczego przeniosła się na mur innego budynku? Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że to nie dom towarowy, lecz restauracja.

Nieco dalej napotkałem kolejną reklamę, dokładnie taką samą, tańczącą w blasku neonów. Znajdowałem się na nieznanej ulicy. Wszędzie chodzili ludzie, nie przejmując się tym, czy idą chodnikiem, czy jezdnią. Przytłaczający chaos przechodniów i hałas aut, który napływał ze wszystkich stron, sprawiały, że jeszcze trudniej było mi odzyskać orientację.

Ogarnęła mnie panika. Dziś po raz pierwszy wyszedłem z domu. Kiedy przybyliśmy do mieszkania wuja Cho Rin i gdy poszliśmy do restauracji z jej narzeczonym, korzystaliśmy z taksówek. Uświadomiłem sobie, że nie jestem w stanie znaleźć drogi.

Hurkot pociągu w oddali przypomniał mi, że z okna mieszkania wuja Cho Rin widziałem nad dachami niskich budynków wiele przecinających się torów kolejowych. Pomyślałem, że gdybym dotarł do tej krzyżówki, może zorientowałbym się, dokąd iść.

Szedłem przez ponad pół godziny, ale zrozumiałem, że całkiem zabłądziłem. Znalazłem się w podupadłej okolicy. Za estakadami splątanymi nade mną niczym węże wszystkie bloki mieszkalne wydawały mi się jednakowe. Próbowałem sobie przypomnieć, gdzie trafiłem po ucieczce przed policją, ale nic to nie dało. Gdy, jak mi się zdawało, wróciłem do centrum Xita, ulice już opustoszały, było mniej ludzi i samochodów.

Wściekałem się sam na siebie. Mieszkając u wuja Cho Rin, straciłem czujność. Jakiż byłem nieostrożny, że nie pomyślałem o przygotowaniu się na ewentualną konfrontację. Jak mogłem liczyć, że uda mi się pokonać długą i niebezpieczną drogę do Korei Południowej? Jak? Jak? Jak?

Tamtą noc przespałem na klatce jakiegoś bloku, skulony przed zimnem, z twarzą wtuloną w podciągnięte kolana. Ta pozycja chyba nie była dobra dla krążenia, bo kiedy się obudziłem, miałem wrażenie, że w moim organizmie zaczął zamarzać lód. Nie mogłem opanować szczękania zębów. Gdy rozprostowałem kończyny, wydawało mi się, że słyszę trzask pękających sopli. Bolała mnie każda część ciała – ból pulsował w rękach, nogach, plecach. Bałem się, że coś sobie złamałem. Ucieczka bez planu już sama w sobie była wystarczająco trudna, ale jeśli dojdzie do tego jakiś uraz, to koniec. Na widok sińców po wczorajszym biegu na oślep odetchnąłem z ulgą, bo to one były źródłem bólu.

Patrząc, jak z nadejściem świtu niebo zalewa się kolorem, na moment nabrałem poczucia, że błyskawicznie znajdę drogę powrotną. Miasto okazało się jednak dużo bardziej zawiłe, niż to widziałem po ciemku. Wpadłem w rozpacz, gdy mapa znajomych miejsc, którą tak starannie ułożyłem w myślach, rozpadła się na kawałki i zastąpił ją chaos nieprzystępnej metropolii.

Kiedy nadeszło popołudnie, zaczęło mi burczeć w brzuchu. Dopiero gdy pomyślałem o jedzeniu, uświadomiłem sobie, że znowu jestem bez grosza przy duszy. Przez kilka sekund w panice chciałem zawrócić, myśląc, że moje trzysta pięćdziesiąt yuanów upadło gdzieś na ziemię. Uśmiechnąłem się smętnie, przypomniawszy sobie, że przecież wydałem je na butelkę wina do kolacji, a widząc etykietę, Cho Rin pochwaliła mój wybór. To dobre wspomnienie poddało mi pewien pomysł. Mogłem zadzwonić do pana Shina; jego żona w pamięci komórki miała domowy numer wuja Cho Rin. Wystarczyło, że go dostanę, a będę mógł zobaczyć Cho Rin jeszcze ten jeden, ostatni raz.

W pierwszej chwili, podekscytowany, ruszyłem szybkim krokiem, ale zwolniłem, rozmyślając, jak zdobędę pieniądze na telefon. Wystarczył jeden yuan. Przypomniałem sobie, że Cho Rin mówiła coś o kościele w Xita. Podobno wielu północnokoreańskich uchodźców szukało tam pomocy, a Koreańczycy z Południa wpłacali pieniądze na ich wsparcie.

Pewien uchodźca dostał dość środków, żeby kupić podrabiany paszport i polecieć do Korei Południowej. Postanowiłem udać się do tego kościoła. Nie zamierzałem błagać o pomoc w całej ucieczce. Chciałem tylko odwołać się do współczucia i poprosić o jednego yuana. Każdy przecież mógłby się znaleźć w takiej sytuacji, a jeden yuan to niewielka darowizna. Włożyłem okulary przeciwsłoneczne i stanąłem na skrzyżowaniu.

Zauważyłem tablicę z koreańskim napisem „Pawilon Gyeonghoe”. Ta nazwa była mi znajoma, zetknąłem się z nią w DZF, kiedy czytałem o Seulu. Gyeonghoe odnosiło się do szlachetnego spotkania pana i sługi, miano to nosiła wieża zbudowana w pobliżu pałacu Gyeongbok w Seulu przez króla Chosunu w czternastym wieku. Rozmiary restauracji odpowiadały świetności historii jej nazwy. Kiedy wszedłem do środka, zastałem tam tylko jedną sprzątaczkę, ponieważ skończono już serwować lunch. Na szczęście znała koreański. Uprzejmie wskazała mi drogę do kościoła w Xita, a nawet narysowała mapkę.

Kościół znalazłem bez większego trudu po około piętnastu minutach marszu. Przed wejściem stało kilka grupek ludzi zajętych rozmową. Zbliżając się, słyszałem skrawki zdań po koreańsku. Rozpoznawszy rodzimy język, rozpaczliwie zapragnąłem się dołączyć i zostać jednym z nich. Ci Koreańczycy odróżniali się od Chińczyków nawet ubiorem, mieli własny, odrębny styl. Pewien młody człowiek nosił jasną marynarkę i spodnie oraz elegancką białą koszulę. Nieopodal rozmawiała wysoka para w długich stylowych czarnych płaszczach. Rozpierała mnie duma, że moi rodacy, Koreańczycy, tak dobrze wyglądają, i już czułem się jednym z nich, jak równy z równymi. Może dlatego nie mogłem znieść myśli, że miałbym wśród nich żebrać. Choć potrzebowałem tylko jednego yuana, nie potrafiłem zmusić się do prośby o gotówkę. Pamiętałem, co mówili rodzice, kiedy byłem młodszy: że nigdy nie wolno wyciągać pieniędzy od innych. Już prędzej poprosiłbym o bezpieczny przewóz do Korei Południowej.

Gdy z tą myślą zbliżałem się do drzwi, dwaj mężczyźni zagrodzili mi drogę.

– Czego tu szukasz?

– Mam sprawę do załatwienia w środku.

– Nie wyglądasz na członka naszego zgromadzenia.

– Nie, przybyłem z Korei Północnej. Muszę pomówić o czymś bardzo ważnym. Tu, na zewnątrz, jest niebezpiecznie, naprawdę muszę wejść…

Zanim zdążyłem dokończyć, jeden z mężczyzn złapał mnie za rękę, żebym nie mógł sięgnąć do klamki, a drugi odepchnął mnie do tyłu.

– Wróć w niedzielę. Może wtedy damy ci pieniądze. Ale nie dziś.

– Nie przyszedłem błagać o pieniądze – odparłem natychmiast. – Uwierzcie. Nie proszę o pieniądze. Nie jestem z takich.

– To nie miejsce dla uchodźców z Korei Północnej! I na co ci te ciemne okulary? Zjeżdżaj stąd. Poszukaj konsulatu albo ambasady, zasrańcu. To dlatego, że przychodzi tu taka hołota jak ty, władze nie dają nam spokoju. Słyszałeś? Wynocha, ale już!

Wycofałem się. Gdy prędko się oddalałem, wydawało mi się, że słyszę za sobą stukot wojskowych butów. Twarz płonęła mi z upokorzenia, wzbierał we mnie gniew, kiedy wyobrażałem sobie tłum ludzi przed budynkiem drwiący ze mnie za moimi plecami. Zwolniłem i dalej szedłem już buńczucznie raźnym krokiem, chcąc zachować godność, ale w duchu krzyczałem: Czyż nie proszę o pomoc w zrozumiałym języku? Czy nie jesteśmy wszyscy istotami ludzkimi, nie posługujemy się tą samą mową?

Usiadłem na ławce w parku niedaleko kościoła. Nawet gdy podniosłem wzrok, żeby spojrzeć w bezkres nieba, nie było na nim ani skrawka, który mógłbym nazwać moim własnym. Kiedyś wyobrażałem sobie, że wolność pod niebem wielkim niczym wszechświat pozwoli mi samodzielnie wybrać swoją przyszłość. Ona okazała się jednak zaledwie kurczącą się, zimną dziurą. Czy

nie każdy człowiek może być wolny? Czy wolność to z góry ustalony los, do którego nie miałem prawa?

Przypomniałem sobie, że kiedy wyrzucono nas z kościoła w Yanji, Young Min powiedział, że nigdy nie dotrzemy do Korei Południowej. Może słusznie postąpił, kupując brzytwę za nasze ostatnie dziesięć yuanów. Zdesperowany wierciłem się, otwierałem i zaciskałem dłonie w kieszeniach. Moje palce znalazły tam małą kulkę zmiętego papieru. Wyciągnąłem ją i rzuciłem na ziemię. Patrzyłem na nią otępiałym wzrokiem, aż wreszcie zrozumiałem, że to nie śmieć, ale bezcenne pieniądze. Podniosłem je: dwa banknoty jednoyuanowe. Dar niebios?

Skąd się wzięły? Byłem tak otumaniony, że dopiero po chwili przed oczami stanęła mi twarz Cho Rin. To reszta z należności za wspólną podróż taksówką.

Głośno wykrzyknąłem jej imię:

– Cho Rin!

Zerwałem się z ławki i ruszyłem biegiem w poszukiwaniu najbliższej budki telefonicznej. Zamiast niej znalazłem jednak na ulicy starszą kobietę, która odpłatnie udostępniała swój domowy aparat. Wręczyłem jej pieniądze, a drugą ręką podniosłem słuchawkę. Po wybraniu numeru odezwał się sygnał, a ja przez krótką chwilę, zanim pan Shin odebrał telefon, w myślach zobaczyłem twarz Cho Rin.

– Halo? – odezwał się Shin.

– Dzień dobry, to ja. Zna pan ten numer, z którego dzwoniłem na komórkę pańskiej żony? – zapytałem od razu. Chciałem zakończyć rozmowę jak najprędzej, żebym zdążył zadzwonić jeszcze do Cho Rin. – Nie mam więcej pieniędzy, więc muszę się śpieszyć. Zna pan ten numer, z którego dzwoniłem? Może mi go pan przeczytać? Oddzwonię niedługo!

– O czym ty, u licha, mówisz? – odparł pan Shin. Poirytowany zacząłem od początku, ale mi przerwał. – Twój przyjaciel nie żyje. Co ty wygadujesz?

Nie odpowiedziałem.

– Słyszysz mnie? – mówił dalej pan Shin. – Twój przyjaciel Young Min nie żyje.

Nie wierzyłem, że to, co właśnie usłyszałem, wypowiedział rzeczywisty głos, więc upewniłem się, czy nadal trzymam słuchawkę.

– Co? Co pan powiedział? – zdołałem wydukać. Słuchawka trzęsła mi się w dłoni.

– Spokojnie. Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Wczoraj zadzwonił do mnie wuj Young Mina. Pilnie chciał się ze mną zobaczyć. Nie zdradził, o co chodzi. Kiedy się spotkaliśmy, był tak zdenerwowany, że ledwo mówił. Potem zalał się łzami. Powiedział, że jego krewny nie żyje i że spotkał go straszny koniec. Young Mina zabrały samochodem chińskie władze. Kiedy jechali przez górską przełęcz, podobno poprosił, żeby zatrzymali się na poboczu, bo chciał się załatwić. Wykorzystał okazję, żeby się zabić, skacząc z urwiska. Żył na ulicach przez tydzień, zanim złapali go w pobliżu domu. Wuja poproszono o zidentyfikowanie zwłok. Zrobił to.

Nie słyszałem, co jeszcze powiedział pan Shin. Opuściłem słuchawkę. Nawet kiedy staruszka zabrała mi telefon, narzekając, że przekroczyłem czas, nie czułem nic.

Szklane budynki dokoła odbijały wieczorne promienie słońca. Świat tonął w powodzi czerwieni, a ja byłem pewien, że już kiedyś widziałem takie niebo. To taki sam zachód słońca, jaki widzieliśmy z Young Minem owej pierwszej nocy w drodze do teściowej Chang Yonga. Wówczas był piękny, pełen nadziei. Wspominając to dalekie miejsce, poczułem bliską obecność Young Mina. Kiedy w myślach wyraźnie go zobaczyłem, oczy zaszły mi mgłą. Young Min nie mógł zginąć. To nie mogła być prawda, nawet gdyby ciało zidentyfikował jego rodzony ojciec. Jak to możliwe, że nie ma go już ze mną na tym świecie? Przygryzłem wargę, żeby powstrzymać się od płaczu. Gdybym się rozpłakał, przypieczętowałbym prawdę o jego śmierci. Ale wiedziałem, że jeśli powstrzymam łzy, to jeszcze do mnie wróci.

Przeszedłem kilka kroków, ale upadłem na kolana, gdy przypomniałem sobie, jak Young Min rozpaczliwie chciał kupić alkohol na targu w Yanji. Pragnął tylko na chwilę się zapomnieć podczas naszej ucieczki przed prześladowcami. A ja odmówiłem mu nawet tego ostatniego, skromnego pocieszenia. Choćby to miało oznaczać porzucenie marzeń o wolności, choćby to miało oznaczać, że się poddajemy, nadaremno żałowałem, że nie spędziliśmy jeszcze tej jednej nocy na pijaństwie.

Pełen żalu i goryczy klęczałem na chodniku i płakałem. Nie zostałem przy nim do końca. Rzucił się z urwiska, bo mnie tam nie było i nie mogłem wziąć go za rękę. Jaki czuł ból, kiedy już wiedział, że spadnie? O co mój drogi przyjaciel modlił się w tych ostatnich chwilach? Jęczałem, a łzy wciąż płynęły. Co robiłem, kiedy Young Min się zabił? Grałem na fortepianie, tworzyłem muzykę, choć tak naprawdę ta muzyka należała do niego.

Płakałem z tym większą rozpaczą, że nie zostało mi już nic, nie mogłem się nawet napić, żeby uczcić pamięć przyjaciela. Nie miałem grosza przy duszy. Duchowi Young Mina mogłem złożyć w ofierze tylko moje żałosne łzy.

7

Niech żyje wolność!

Nadszedł świt. Nowy dzień przynosił mi wyzwanie. Złamałem mostek okularów przeciwsłonecznych, rzuciłem obie połówki na ziemię i rozgniotłem butem. Po tym jak Young Min sam stawił czoło śmierci, nie mogłem dłużej usprawiedliwiać własnej nieśmiałości, nie mogłem chować się przed światem za ciemnymi szkłami. Gdybym nie przestał się ukrywać, Young Min drwiłby ze mnie z góry. Wstydziłem się, że pozostałem przy życiu bez niego, a trwanie w tchórzostwie byłoby jeszcze większą zdradą.

Od tej chwili nie byłem już zbiegiem. Nie uciekałem ze strachu, ale walczyłem o wolność, żeby obnażyć kłamstwa Kim Dzong Ila. Nie bałem się śmierci, o ile umrę jako wolny człowiek, i to wyzwoliło mnie od strachu. Przechodząc obok policjanta, nawet się nie wzdrygnąłem. Jeśli się okaże, że muszę iść śladami Young Mina, niech i tak będzie. W myślach urągałem każdemu mijanemu funkcjonariuszowi: *Shabi, wo da si ni! Shabi zai zi!*

Miałem do wyboru dwie drogi. Nie tę, którą przybyłem, i tę, którą odejdę, ale znaną i nieznaną. Chciałem stawić czoło tej drugiej, zamierzałem znaleźć szlak do Pekinu. Kiedy znów napotkałem szyld restauracji Pawilon Gyeonghoe, postanowiłem sprostać wszystkiemu, co stanie mi na drodze.

Po otwarciu drzwi dostrzegłem kobietę, od której dzień wcześniej dowiedziałem się, jak dojść do kościoła w Xita.

– Proszę wejść – powiedziała. Poznała mnie i spytała, czy znalazłem kościół.

– Tak. Była pani dla mnie bardzo miła. Dziękuję.

Na mój komplement odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem.

– Co panu podać?

– Dziękuję, nie będę jadł. Czy może pani poprosić właściciela restauracji?

– Zna go pan?

– Proszę mu powiedzieć, że ktoś chce się z nim spotkać. Dziękuję!

– Szefie! Szefie! – Jej głos cichł, kiedy pobiegła po właściciela.

Nie nadeszła jeszcze pora lunchu, więc w lokalu nie było innych klientów. Spojrzałem na swoje odbicie w oknie i przygładziłem włosy. Na ile mogłem, strzepałem z ramion brud i pył. W materiał kurtki wtarłem ślinę, żeby przyciemnić plamy.

– Zejdzie za pięć minut. Właśnie myje zęby. Niech pan usiądzie i zaczeka. – Kobieta wskazała krzesło, a potem weszła do kuchni. Może sama chciała coś zjeść, zanim pojawią się klienci.

Przygotowywałem się, żeby zrobić dobre wrażenie na właścicielu restauracji. Chociaż wyglądałem nędznie, chciałem wykazać się grzecznością i powagą, tak aby widział we mnie drugiego człowieka. Czy powinienem siedzieć wyprostowany, okazując pewność siebie? Czy może skromniej, ale z podniesioną głową? Kiedy próbowałem różnych pozycji, na sąsiednim stoliku dostrzegłem gazetę. Uznałem, że kiedy się czeka, trudno o postawę bardziej naturalną niż właśnie z otwartą gazetą w dłoni. Oparłem się na krześle i założyłem nogę na nogę, ale natychmiast się wyprostowałem, widząc, co mam w rękach. Był to południowokoreański dziennik, który w kraju lubiłem czytać dzięki przepustce DZF.

Departament pozyskiwał południowokoreańskie gazety z Chin, więc kiedy do nas docierały, zawsze były nieaktualne, sprzed co najmniej trzech dni. Ale oto czytałem dzisiejsze wydanie! Poczułem się tak, jakbym już zadomowił się w świecie wolności. Ponieważ była to prasa z miejsca, do którego chciałem dotrzeć, nie mogłem jej tak po prostu kartkować. Nie chciałem przegapić żadnego artykułu.

Znalazłem numer telefonu, pod który mogli dzwonić czytelnicy pragnący podsunąć redakcji jakieś tropy. Zanim

przełożyłem stronę, jeszcze raz spojrzałem na ten numer. Jak mógłbym go wykorzystać? To telefon do zbierania gorących tematów, a nie infolinia dla poszukujących azylu. Skoro nawet konsulat Korei Południowej w Shenyangu nie był zainteresowany moją sytuacją, to dlaczego miałaby ona obchodzić dziennikarza? Poza tym gdybym podał im jakieś informacje, naraziłbym się na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Reporterzy nie mieli nic wspólnego ze szpiegami. Ale może ci pracujący dla wolnej prasy gotowi byliby zaryzykować własne bezpieczeństwo, żeby obnażyć kłamstwo. Gdybym spotkał jakiegoś osobiście, może by mnie wysłuchał. Teraz jednak najważniejsze było zdobycie pieniędzy na podróż do Pekinu.

– To mnie pan szukał? – Przede mną stanął mężczyzna po czterdziestce.

Widząc jego zaciśnięte wargi, zrozumiałem, że jeśli teraz mi się nie uda, to koniec.

– Tak, przyszedłem coś panu powiedzieć. To zajmie tylko pięć minut.

– Przynieście mi tu dwie filiżanki herbaty! – zawołał, odwracając się w stronę kuchni.

Sięgnął po gazetę, którą czytałem, zwinął ją w rulon i zabił nim muchę na krawędzi stolika. Potem wrzucił gazetę do kosza i znowu spojrzał na mnie. Jego sposób bycia kazał mi myśleć, że nie zainteresuje go to, co mam mu do powiedzenia. Chociaż targały mną wyrzuty sumienia, postanowiłem, że muszę zmyślić historyjkę.

– Przybyłem z Korei Północnej – zacząłem.

Właściciel, który siedział wygodnie na krześle, znowu obrócił się w kierunku kuchni.

– Śniadanie dla tego pana!

Burczało mi w brzuchu, odkąd tylko wszedłem do restauracji, ale udałem konsternację ofertą śniadania.

– Nie przyszedłem tu po darmowy posiłek! – wykrzyknąłem. – Chcę z panem o czymś porozmawiać.

Mężczyzna spojrzał na mnie pytająco, a potem znowu krzyknął do kuchni:

– Odwołuję to śniadanie!

Byłem rozczarowany, lecz próbowałem tego nie okazywać.

– Czy słyszał pan o firmie Ace Bed Company, południowokoreańskim gigancie przemysłu meblarskiego?

– Nie mam powiązań z takimi korporacjami i nie jestem tym zainteresowany. O co chodzi?

– Prezes Ace Bed, Ahn Yoo Su, pochodzi z Korei Północnej.

Znałem przeszłość prezesa Ahna z mojej pracy w DZF. Tworzyliśmy obszerne profile szefów południowokoreańskich przedsiębiorstw, żeby manipulacją móc skłaniać tamtejsze konglomeraty do udzielenia nam pomocy. Ahn Yoo Su przyszedł mi do głowy pierwszy, ponieważ tak jak ja urodził się w Sariwonie w prowincji Hwanghae Północne. Uciekł na południe podczas wojny koreańskiej, zaczął od zera i zbudował największą firmę meblarską w Korei Południowej. Główne drogi w Sariwonie wyasfaltowano dzięki przekazanym przez niego funduszom.

Wyrecytowałem wiele szczegółów osobistych, żeby restaurator nie zlekceważył mnie jako zdesperowanego uchodźcy, który zmyśla na poczekaniu. Przerwałem na chwilę, a potem wymówiłem następne zdanie ze szczególnym naciskiem:

– Jestem bratankiem prezesa Ahna. – Mężczyzna podniósł na mnie wzrok. Do tej pory wpatrywał się we wzorek na filiżance. – Mój wuj ma filię w Pekinie – mówiłem dalej. – Gdy tylko przeprawiłem się przez rzekę z Korei Północnej i dotarłem do Yanji, zadzwoniłem do tamtejszego dyrektora zarządzającego. Powiedział, że przekaże moją wiadomość prezesowi i że będzie na mnie czekał w biurze. Proszę tylko o pieniądze na bilet do Pekinu. Przysięgam, że zwrócę. Wuj również będzie dozgonnie wdzięczny.

To wszystko nie miało za grosz sensu. Dlaczego bratankowi potentata nie starczyłoby na autobus? A nawet jeśli tak, to dlaczego dyrektor zarządzający z Pekinu czekałby w biurze,

zamiast wysłać samochód? Byłem idiotą. Zimny pot spływał mi po plecach.

– Nie jestem jedynym Koreańczykiem w tej części miasta. Dlaczego to właśnie do mnie przyszedł pan po pieniądze na bilet?

Nie znalazłem żadnej odpowiedzi na to pytanie. Myślałem, że mężczyzna każe mi wyjść. Nic by go nie obchodziło, nawet gdybym rzeczywiście był biednym bratankiem bogatego wuja. Na moment zapanowało między nami milczenie. Otworzyłem usta, żeby się odezwać, licząc na to, że serce pokieruje moimi słowami.

– Bo jest pan właścicielem Pawilonu Gyeonghoe, bo kieruje pan największą koreańską restauracją w Shenyangu i bo wiedziałem, że mogę panu zaufać.

Przynajmniej to powiedziałem szczerze.

Kiedy się tak otworzyłem, pomyślałem, że nie pozostaje mi już nic innego jak wyjść z restauracji i przed drzwiami poczekać na jego werdykt. Nic nie powiedział, siedział tylko, wpatrując się we mnie, i gładził policzek swą olbrzymią dłonią. Potem przechylił się na bok, jakby zamierzał wstać z krzesła. Zanim jednak zdążyłem z przerażeniem zamknąć oczy, z tylnej kieszeni wyciągnął portfel.

– Bilet do Pekinu kosztuje dwieście pięćdziesiąt yuanów. Sam pan powiedział, jestem właścicielem Pawilonu Gyeonghoe, więc dam panu jeszcze sto. Proszę zjeść coś po drodze. Ma pan spękane usta. – Zbierające we mnie łzy rozpaczy przerodziły się we łzy wdzięczności. Ściekały mi po policzkach i skapywały na dłonie. Właściciel restauracji udał, że tego nie widzi, i wstał. – Nie musi mi pan zwracać pieniędzy – powiedział życzliwie. – Teraz stać pana na autobus. Przed wyjściem niech pan zje śniadanie. – Znowu przybrał szorstki ton szefa, wołając w stronę kuchni: – Śniadanie dla tego pana!

Żeby ukryć łzy, wstając, skłoniłem głowę. Nie potrafiłem spojrzeć mu w oczy, więc zgiąłem się jeszcze niżej.

– Dziękuję. Odpłacę panu za tę szlachetność. Niech mnie pan zapamięta, moją twarz i mój głos. Odpłacę panu. – Znowu się

skłoniłem, a potem odwróciłem się i wyszedłem.

– Halo! – zawołał za mną. – Niech pan zje śniadanie!

Wybiegłem na ulicę, ale nie zabrnąłem daleko, bo odwróciłem się, żeby spojrzeć na szyld: Pawilon Gye-ong-hoe. Zachowam te trzy sylaby w sercu do końca życia. Teraz mogłem dotrzeć do Pekinu, do ambasady Korei Południowej.

Ruszyłem wprost na dworzec autobusowy. Po drodze zatrzymałem się, żeby zadzwonić do pana Shina. Chciałem dać mu słowo – i dać je Cho Rin – że jeśli dostanę azyl w Korei Południowej, wrócę, żeby ich odwiedzić. Ale telefon pana Shina był wyłączony, komórka jego żony także.

Dzwoniłem z dworca kilkakrotnie, lecz nie mogłem się połączyć. Martwiłem się, że władze, pojmawszy Young Mina, zatrzymały również pana Shina. Postanowiłem, że ponownie spróbuję z Pekinu.

Czekając na autobus, przypomniałem sobie numer koreańskiej gazety, którą czytałem w restauracji. Złe doświadczenia z konsulatem Korei Południowej w Shenyangu kazały mi spróbować zupełnie innego podejścia w rozmowie z kobietą, która odebrała telefon.

– Halo, w czym mogę pomóc? – zapytała z werwą.

– Halo! Pod tym numerem zbieracie gorące tematy, prawda? – Mówiłem tak spokojnie, jak tylko umiałem.

– Tak. Czy mogę poprosić o pańskie nazwisko i adres?

– Przyjechałem z Korei Północnej.

– Słucham?

– Nie dzwonię, żeby prosić o azyl. Zajmuję się stosunkami międzykoreańskimi w Departamencie Zjednoczonego Frontu. Przyjechałem do Chin służbowo. Dzwonię, żeby zaproponować państwa gazecie wywiad na wyłączność.

– Powiedział pan: w Departamencie Zjednoczonego Frontu? Stosunki międzykoreańskie? Tak, proszę chwilę poczekać. – Zawołała do kogoś w swoim biurze: – Szefie, szefie, ma pan moment?

Wyobraziłem sobie, jak odkłada telefon i biegnie po redaktora. Kilka sekund później odezwał się przejęty głos mężczyzny.

– Halo? Dzień dobry! Bardzo panu dziękuję za telefon, na pewno nie było łatwo. Gdzie pan teraz dokładnie jest? Departament Zjednoczonego Frontu? Czy to ten dział zajmujący się kontaktami z Koreą Południową?

– Tak – odparłem.

– Rozumiem! Rozmowa z panem to zaszczyt. Czy mógłby pan opisać swoje stanowisko w Departamencie?

– Nie mogę długo zostać na linii. Proszę to zrozumieć.

– Oczywiście, rozumiem doskonale. Czy mógłby pan coś powiedzieć o informacjach, które chce nam pan przekazać? Jeśli chodzi o szczegóły, to nie ma pośpiechu.

– Mam przy sobie północnokoreańskie dokumenty tożsamości. Ale jak może mi pan zaufać, że mówię prawdę, po samej rozmowie przez telefon?

– Spokojnie, ufam panu. Kiedy usłyszałem, pański głos, od razu…

– Przepraszam, muszę to powiedzieć szybko: proszę podać mi numer telefonu waszego korespondenta w Pekinie. Nie biurowy, tylko na komórkę. I to koniecznie prywatną, żeby nie miała podsłuchu.

– Tak, proszę chwilę poczekać. Bardzo przepraszam, to naprawdę potrwa tylko chwilę.

Południowokoreańscy dziennikarze nie marnowali czasu. Redaktor prędko wrócił na linię i podał mi prywatny numer pekińskiego korespondenta. Poprosił, żebym zaczekał dziesięć minut, zanim do niego zadzwonię, bo jak tylko się rozłączymy, uprzedzi go o moim telefonie.

Przez te dziesięć minut z najwyższą koncentracją właściwą przy pisaniu wiersza obmyślałem, co powiem, kiedy połączę się z korespondentem. Miałem tylko tę jedną rozmowę, żeby go do siebie przekonać.

Gdy zadzwoniłem, odebrał natychmiast.

– Dzień dobry – zacząłem. – W przeszłości pracowałem w Departamencie Zjednoczonego Frontu Partii Pracy. – Dzwoniąc na prywatny numer, czułem, że mogę mówić otwarcie. Aby przekonać go do autentyczności mojej tożsamości, wyjaśniłem, dlaczego opuściłem Koreę Północną, powiedziałem, jakie informacje mogę przedstawić, i poinformowałem, że wrobiono mnie w morderstwo. Skupiłem się na najważniejszych kwestiach i mówiłem tak zwięźle, jak tylko się dało. Potem szczerym tonem powiedziałem: – Jeśli postanowi się pan ze mną spotkać, musi pan być świadom ryzyka. Chętnie powiem wszystko, co wiem, ale nie mogę zagwarantować panu bezpieczeństwa, nie mówiąc już o swoim własnym. Jeżeli dotrę do Korei Południowej, obiecuję, że odwdzięczę się wieloma informacjami na wyłączność. Proszę, niech mi pan pomoże.

– Czego pan potrzebuje?

– Niech mnie pan skontaktuje z południowokoreańskim szpiegiem w Pekinie.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Nie znam żadnych szpiegów.

– Nie jestem głupi. Jest pan dziennikarzem w kraju takim jak Chiny, gdzie północnokoreańscy agenci działają swobodnie. Nawet jeśli rzeczywiście nie ma pan takich kontaktów, to może pan zadzwonić do kogoś, kto nimi dysponuje. Proszę postawić się w mojej sytuacji. Gdy się pan rozłączy, wróci pan do zwykłego życia, ale moim jedynym wyjściem jest samobójstwo.

Przez chwilę w telefonie słyszałem tylko szum zakłóceń. Myślałem, że dziennikarz rozłączy się tak samo jak pracownik południowokoreańskiego konsulatu.

– Mówił pan, że znajduje się teraz w Shenyangu?

Byłem szczęśliwy, że znowu słyszę jego głos.

– Tak, na dworcu autobusowym – powiedziałem czym prędzej. – Już kupiłem bilet, wyjeżdżam do Pekinu o dwunastej.

Poprosił, żebym zadzwonił do niego, gdy tylko dotrę na miejsce. Obiecał, że przez ten czas spróbuje znaleźć pomoc.

Droga do Pekinu zajęła długie osiem godzin. Przez każdą chwilę podróży odtwarzałem w myślach szczegóły rozmowy z pekińskim korespondentem. Każde słowo, to, jak jego oddech wieńczył każde zdanie – przeanalizowałem każdy detal. W końcu trochę się odprężyłem, bo przecież nie rozmawiałem ze zwykłym miejscowym, ale z korespondentem dużej południowokoreańskiej gazety, który obiecał zrobić, co w jego mocy. Teraz nie zostało mi nic innego, niż mu zaufać.

Gdy tylko wysiadłem w Pekinie, rozejrzałem się za budką telefoniczną. Dworzec autobusowy był nieporównywalnie większy od tego w Shenyangu. Olbrzymi zegar pokazywał, że jest dziesięć po dziewiątej. Na prawo od niego znajdował się telefon. Wybierając numer, modliłem się, żeby korespondent odebrał. Teraz nic mnie już nie obchodziło, czy odmówi mi chłodnym tonem – byleby tylko się odezwał.

– Halo?

Odetchnąłem z ulgą.

– Właśnie dotarłem do Pekinu.

– Przeczytam panu numer – powiedział. – Proszę go nie zapisywać, tylko zapamiętać. Niech pan tam zadzwoni, jak tylko się rozłączymy. Ktoś będzie czekał na pana telefon. Uprzedzam, że nie jest z południowokoreańskiego wywiadu, ale pomoże panu dostać się do ambasady Korei Południowej. – Następnie kazał mi powtórzyć numer i zakończył rozmowę.

Gdy wciskałem kolejne cyfry, drżały mi palce. Sygnał odezwał się tylko raz, a potem ktoś odebrał.

– Halo, dzień dobry panu – powiedział.

– Tak! Halo! Jestem…

Przerwał mi:

– Proszę, żeby na razie nic pan nie mówił, tylko posłuchał mnie uważnie. Na pańskiej dziesiątej godzinie stoi drzewo. Czy widzi pan śmietnik obok niego?

Rzeczywiście na dziesiątej godzinie miałem drzewo, a przy nim znajdował się kosz. Ktoś mnie obserwował! Gdy tylko to sobie uświadomiłem, moją głowę wypełniły wizje

północnokoreańskich agentów, więc rozejrzałem się w panice. Aby się uspokoić, rozumowałem, że agenci z Korei Południowej już by się na mnie rzucili. Skupiłem wzrok na drzewie i śmietniku.

– Tak, widzę je – potwierdziłem.

– W śmietniku znajdzie pan czarną plastikową torbę. Jest w niej telefon komórkowy. Kontynuujmy rozmowę za jego pośrednictwem.

Zanim zdążyłem zadać jakieś pytanie, połączenie się urwało. Podszedłem do kosza i zajrzałem do środka. Było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć, więc włożyłem rękę i usiłowałem namacać plastikową torbę. Najpierw wyciągnąłem rozdarty trampek. Spróbowałem ponownie i poczułem coś plastikowego. Wyjąłem torbę, a potem ją otworzyłem. Znalazłem w niej telefon komórkowy oraz jeszcze jakiś przedmiot, gruby, ściśle owinięty papierem.

Otworzyłem i włączyłem komórkę. Ręce potwornie mi się trzęsły. Czułem, jak w szyi tętni mi krew.

Telefon zadzwonił natychmiast. Odebrałem.

– Znalazłem!

– Tak, proszę pana. Jest mi bardzo miło pana poznać. Już wiemy, kim pan jest.

– My? To znaczy południowokoreańscy szpiedzy? Czy dziennikarze?

– Usiłowaliśmy do pana dotrzeć. Cudownie wreszcie z panem rozmawiać. Proszę posłuchać mnie teraz uważnie. Grozi panu ogromne niebezpieczeństwo. Chińskie władze nie tylko wysłały straż graniczą i policję, ale zmobilizowały agentów Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. A agenci północnokoreańscy dotarli do swojej ambasady tu, w Pekinie, przed kilkoma dniami.
– Chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego? To ich tajna policja. Jakie przestępstwo popełniłem przeciwko Komunistycznej Partii Chin? – Dlatego w interesie bezpieczeństwa nas wszystkich musi pan zrobić dokładnie to, o co poproszę.

– Tak, rozumiem.

– Najpierw chcę pana o coś spytać. Czy kiedy był pan w Shenyangu, przekazał pan południowokoreańskiemu dziennikarzowi jakiekolwiek informacje w postaci dokumentów?

– Nie, rozmawialiśmy tylko przez telefon.

– Rozumiem. To dobrze. Proszę szybko udać się na główną ulicę i złapać taksówkę. Niech pan oddzwoni do mnie z samochodu. Powiem kierowcy, dokąd ma jechać.

Postąpiłem tak, jak polecił. Wyszedłem na główną ulicę i pomachałem ręką do nadjeżdżającej taksówki z włączoną lampką. Przez chwilę myślałem, że kierowca mnie nie zauważył. Potem zatrzymał się może dziesięć metrów od miejsca, w którym stałem, i cofnął się, tak by stanąć dokładnie przede mną. Kiedy wsiadłem, powiedział coś po chińsku, ale dałem znak, żeby poczekał, i zadzwoniłem do mężczyzny, z którym wcześniej rozmawiałem.

– Halo? Jestem w taksówce – powiedziałem.

– Dobrze. Proszę podać telefon kierowcy.

Może taksówkarza zirytował łagodny cudzoziemski głos w słuchawce, bo odpowiedział szorstko. Oddając mi komórkę, nawet się nie obejrzał, a potem błyskawicznie ruszył przed siebie.

Jechaliśmy w nieznanym mi kierunku. Cały czas oglądałem się za siebie. Nie tyle bałem się, że ktoś patrzy na mnie z ukrycia, co – że pędząc w zawrotnym tempie, zostawimy w tyle mego opiekuna. Siedziałem spięty, pokazałem nawet kierowcy, żeby zwolnił, ale on przyśpieszył tak bardzo, że źle się z tym czułem.

Znowu zadzwonił telefon.

– W plastikowej torbie są dwa tysiące yuanów – powiedział głos.

– Gdzie? – Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że tym drugim przedmiotem w torbie był plik pieniędzy.

– Wysiadając, proszę dać kierowcy sto yuanów. Niech zachowa resztę. Taksówka skręci w następną ulicę, a potem się zatrzyma.

Gdy auto stanęło, spostrzegłem, że dojechaliśmy do jakiegoś hotelu, ale nie zdążyłem dostrzec nazwy. Głos w słuchawce pokierował mnie wprost do kawiarni w holu. Kazał zamówić kawę, a nawet poinstruował, jak mam usiąść.

– To wszystko z naszej strony – zakończył. – Za pięć minut dosiądzie się do pana mężczyzna. Od tej pory wystarczy, że będzie pan robił wszystko, co powie. Do widzenia.

Wraz z końcem rozmowy znikła moja ostatnia deska ratunku, a telefon komórkowy znów stał się zwykłym przedmiotem. Czułem, że nadciąga katastrofa. Bałem, się że słowa tego człowieka, „od tej pory", to sygnał, że mam zacząć nowe życie jako zbieg z 1850 yuanami, które zostały mi po odliczeniu kosztu taksówki i kawy. W przeciwnym razie po co daliby mi tyle pieniędzy?

Z każdą minutą upływającą na maleńkim ekranie komórki, oddychałem coraz głośniej. Gdy brakowało mi yuana na telefon albo dziesięciu, żeby napić się z Young Minem, doświadczyłem rozpaczy, której wcześniej nie potrafiłbym sobie wyobrazić. Jednak mając ich 1850, wcale nie czułem się lepiej. Pieniądze ciążyły mi w dłoniach. Ściskałem je mocno, bo nie zostało mi nic innego.

– Pan Jang?

Wzdrygnąłem się, słysząc męski głos za plecami. Chciałem się podnieść, ale poczułem rękę na ramieniu. Przybycie mężczyzny dokładnie po pięciu minutach zdawało się potwierdzać jego wiarygodność, a kiedy wreszcie stanął przede mną, okazał się wielki jak góra. Był szykownym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce, w eleganckim, świeżo wyprasowanym garniturze i lśniących okularach.

– Dziękuję! Tak bardzo panu dziękuję, że pan przyszedł – powiedziałem.

– Proszę przestać się rozglądać. Niech pan patrzy tylko na mnie – mruknął cicho, wyjmując papierosa z czerwonej paczki. – Panie Jang, chciałem poznać pana osobiście – ciągnął – więc

poprosiłem przyjaciela, żeby tu pana poprowadził. Bardzo mi ulżyło, że zdołaliście porozumieć się na dworcu.

– Dziękuję, że pan to zaaranżował. Dotarłem bez trudu.

Skinął głową.

– Mam znajomego w chińskich władzach. Wspomniał o panu mniej więcej dwa tygodnie temu. Przekroczył pan rzekę z przyjacielem, prawda?

– Tak.

– Dlaczego się rozdzieliliście?

– Szukaliśmy miejsca na nocleg i pomyśleliśmy, że nikt nie wpuści do siebie dwóch mężczyzn.

– Rozumiem. Gwoli rutynowej weryfikacji, czy ma pan przy sobie dokumenty tożsamości?

– Mam.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni, ale zawahałem się, zanim je wyjąłem. Powoli położyłem na stole pustą dłoń. To samo zrobiłem z drugą, którą przed chwilą pocierałem kolano.

– A jeśli nie mam dokumentów, to co? – usłyszałem własny głos. Mężczyzna wzdrygnął się, a w jego oczach zobaczyłem coś, co nie pasowało do wytwornej fasady. Spojrzałem w nie, wypowiadając następne zdanie: – Czy jeśli nie mam dokumentów tożsamości, to nie otrzymam azylu? W tej chwili mówię po koreańsku. Czy to niewystarczający dowód, że jestem jednym z was? Powiedział pan, że dowiedział się o mojej sytuacji od znajomego w chińskich władzach. Od tamtej pory, zaledwie kilka dni temu, mój przyjaciel popełnił samobójstwo. On i ja to niejedyni obywatele Korei Północnej ścigani na terytorium Chin. Są nas tu tysiące uciekinierów. Czy jeśli nie mamy dokumentów, wszyscy musimy umrzeć tak jak on?

Uniosłem głos. Mężczyzna prędko rozejrzał się po kawiarni, a potem powiedział cicho:

– Gdyby pański przyjaciel nie podjął takiej decyzji, uratowalibyśmy go w ten czy inny sposób. Jeśli mam być szczery, mnie i moim kolegom jest bardzo przykro z powodu jego śmierci.

Panie Jang, rozumiem, przez co pan przeszedł, i więcej nie poproszę pana o dokumenty tożsamości. Już czas. Chodźmy.

Zaskoczyła mnie jego łagodna reakcja na mój wybuch. Zadał sobie nawet trud, żeby mi przypomnieć, abym nie zapomniał pliku pieniędzy, bo rzeczywiście zupełnie przestałem o nich myśleć.

Wyszliśmy z hotelu głównymi drzwiami. Natychmiast zatrzymał się przed nami czarny sedan. Mężczyzna otworzył mi tylne drzwi, a sam usiadł z przodu obok kierowcy. Jechaliśmy nie dłużej niż dwie minuty, bo potem auto stanęło w bocznej uliczce. Zanim spostrzegłem, co się dzieje, otworzyły się tylne drzwi po obu stronach i usiedli obok mnie dwaj mężczyźni, przyszpilając mnie pośrodku kanapy.

Ich surowa siła pasowała do agentów północnokoreańskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, których stale się bałem, odkąd tylko przekroczyłem Tumen. Nagle przypomniałem sobie ostrzeżenie kilkakrotnie powtarzane przez pana Shina, gdy wyjeżdżaliśmy z Yanji. Wyjaśnił, że w dużych chińskich miastach nieraz można spotkać pośrednika z kontaktami w Korei Północnej, który zdradzi polegającego na nim uchodźcę.

Z moich ust wydobył się cichy jęk. Zakasłałem, żeby go zamaskować. Czy naprawdę południowokoreańscy szpiedzy cały czas wiedzieli w szczegółach o mojej ucieczce z Young Minem, a nawet o jego samobójstwie? Dlaczego tak łatwo zaufałem tym ludziom? Z żalu boleśnie ścisnęło mnie w piersi.

Dwaj wielcy mężczyźni obok mnie zapewne postępowali zgodnie z procedurą stosowaną przez agentów Korei Północnej przy eskortowaniu przestępców. Lekko nachyliłem się do tego po lewej, chcąc wyczuć jakiś charakterystycznie północnokoreański zapach, na przykład tamtejszych papierosów albo wody kolońskiej. Postanowiłem, że jeśli rozpoznam coś takiego, zacznę stawiać opór. Jednak ani on, ani mężczyzna z drugiej strony nie pachnęli niczym. Na kolanie tego po prawej dostrzegłem otarcie. Pomyślałem, że człowiek z kraju tak rozwiniętego jak Korea

Południowa nie nosiłby wytartych spodni, i z rozpaczy zamknąłem oczy.

Przypomniałem sobie coś, co powiedział mi znajomy, którego ojciec pracował w północnokoreańskim Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego. Podobno kiedy agenci przywozili z zagranicy przestępcę, którego podejrzewali o chęć ucieczki, łamali mu kończyny, a na czas transportu przez granicę ładowali go do trumny. Zacząłem wierzyć, że ten samochód jedzie nie do ambasady Korei Południowej, lecz Północnej. Na miejscu ci dwaj połamią mi ręce i nogi, a potem moje bezsilne ciało przewiozą do kraju w trumnie. Zaczęły mnie boleć stawy. Zazdrościłem nawet Young Minowi, który miał możliwość zabić się szybko. Podczas gdy auto pędziło – byłem tego pewien – w kierunku piekła, zastanawiałem się, czy zdołam popełnić samobójstwo, odgryzając sobie język i wykrwawiając się na śmierć.

Może po kwadransie jeden z mężczyzn odezwał się do mnie:

– Jest pan już bezpieczny, proszę pana. Może się pan uśmiechnąć. Niech pan spojrzy na tę flagę. To flaga Korei Południowej.

Popatrzyłem na niego nieobecnym wzrokiem, a potem schyliłem głowę, żeby spojrzeć tam, gdzie wskazywał. To była flaga państwowa Korei Południowej. Widziałem ją, jej biały materiał, na tle błękitniejącego nieba. Powiewała na dachu południowokoreańskiej ambasady.

Spojrzałem z niedowierzaniem na ludzi w samochodzie. Wszyscy szeroko się uśmiechali.

Nie mogę opisać w tym miejscu, w jaki sposób bezpiecznie dostałem się na teren ambasady. Nie mogę także wyjaśnić, jak, nie mając paszportu, przekroczyłem bramę, której strzegli chińscy funkcjonariusze. W istocie jest wiele rzeczy, których na razie nie mogę wytłumaczyć w tej książce w trosce o wszystkich mieszkańców Korei Północnej, którzy tak jak ja szukają wolności.

Ale to, co czułem, kiedy stanąłem na terenie ambasady, jest doświadczeniem, którym nie mogę cieszyć się sam. Należy do wolności i przez wzgląd na wolność muszę się nim podzielić.

– Panie Jang, stoi pan na południowokoreańskiej ziemi. Od tej pory jest pan wolnym człowiekiem.

Potem urzędnik ambasady objął mnie ramieniem, a ja poprosiłem, żeby powtórzył te słowa. Usłyszawszy je po raz drugi, poprosiłem raz jeszcze. Nigdy wcześniej nie czułem desperacji tak ogromnej jak wówczas, zanim się upewniłem, że naprawdę mi się udało.

Kiedy stałem w miejscu, nerwowo oglądając się na chińskich funkcjonariuszy tuż za bramą, urzędnik ambasady przytulił mnie mocno i powtórzył:

– To południowokoreańska ziemia, panie Jang. Stoi pan na południowokoreańskiej ziemi.

Dopiero wtedy, gdy już wiedziałem, że to koniec mojej ucieczki i początek życia wolnego człowieka, zalałem się łzami. Nie miałem słów, tylko niekończące się łzy, w imieniu swoim i Young Mina.

Urzędnik ambasady próbował mnie uspokoić i poklepał mnie po plecach. Ale to nie były tylko moje łzy i nie miałem prawa ich powstrzymywać. W milczeniu wołałem z głębi serca: Niech żyje wolność! Niech żyje wolność! Niech żyje wolność!

Epilog

Dziś żyję jako obywatel Korei Południowej. Nie było łatwo przenieść się tutaj ze świata odgórnego dyktatu, zinstytucjonalizowanego pod każdym względem.

Kiedy oficjalnie poinformowano mnie, że jestem obywatelem Korei Południowej, myślałem, że serce pęknie mi z radości, bo uznano mnie za członka narodu równych ludzi, a nie poddanego, który służył wyłącznie jednemu człowiekowi. W Korei Północnej lojalność była sensem życia. Nieposłuszeństwo wiodło do śmierci. To wszystko.

Mam wyraźnie w pamięci swój pierwszy dzień wolności. Osiem miesięcy spędziłem na zeznaniach w tajnym mieszkaniu w Seulu. Samodzielnie wyszedłem stamtąd jako obywatel Korei Południowej siedemnastego grudnia 2004 roku. Tamtej nocy do białego rana krążyłem po ulicach miasta, rozkoszując się nowo zdobytą wolnością.

A potem nagle z piskiem opon zatrzymał się przede mną samochód, a kierowca zwyzywał mnie przez okno: „Patrz, gdzie leziesz, skurwysynu!”. To taksówkarz, który musiał ostro zahamować, bo wyszedłem na jezdnię na czerwonym świetle. Blask wolności, w którym się pławiłem, w jednej chwili prysnął. Kierowca jeszcze przez chwilę złorzeczył i gestykulował, a potem pojechał dalej. Kiedy minął szok, nie mogłem powstrzymać uśmiechu, bo uświadomiłem sobie, że oto przypieczętował się mój status wolnego człowieka, ani lepszego, ani gorszego niż wszyscy inni. Owej pierwszej nocy próbowałem dodzwonić się do pana Shina, ale jego numer już nie istniał. Nie mogłem się z nim porozumieć od razu po przybyciu do Korei Południowej,

bo przebywałem w ukryciu. Nie dysponowałem namiarami innymi niż ten numer, ale widocznie ponowne spotkanie było nam pisane, bo trzy lata później niespodziewanie natknąłem się na niego w łaźni publicznej w północnej dzielnicy Seulu. Kiedy jego północnokoreańska żona dostała azyl w Korei Południowej, jemu również pozwolono się tu osiedlić. Zakwaterowano go wraz z żoną i dwoma synami w finansowanym przez państwo mieszkaniu. On, etniczny Koreańczyk z Chin, i ja, były obywatel Korei Północnej, staliśmy się bardzo sobie bliscy. Serdeczna przyjaźń łączy nas do dziś, bo obaj mieszkamy bez dalszej rodziny w obcym kraju.

Pan Shin nie miał już numeru Cho Rin. Chociaż w tej sprawie nie mógł mi pomóc, to podzielił się dobrą wieścią o swym wuju Chang Yongu. Za te siedemset dolarów (minus sto, które odebrałem jego żonie) nie kupił co prawda kultywatora, o którym mówił z takim podnieceniem, ale dwie dorodne krowy.

Kiedy rok później otrzymałem paszport, wybrałem się znowu do Shenyangu, gdzie wszystko zmieniło się nie do poznania. Nie zdołałem odnaleźć Cho Rin, jej wuja ani narzeczonego, żeby podziękować im za pomoc. Spotkałem się za to z właścicielem Pawilonu Gyeonghoe i nie tylko oddałem mu pieniądze za bilet, ale stosownie odwdzięczyłem się za życzliwość. Wróciłem także do domu staruszka w Longjingu, ale na tamtym miejscu stał już całkiem nowy budynek, w którym mieszkała inna rodzina. Odbyłem również miłe spotkanie z pekińskim korespondentem południowokoreańskiej gazety. Wspominając tamte wydarzenia, powiedział, że nigdy nawet nie marzył o tym, że w taki sposób skontaktuje się z nim zbieg z Korei Północnej. Zażartowałem, że gazeta wykazała się dużą naiwnością.

W styczniu 2005 roku zostałem starszym analitykiem w Krajowym Instytucie Badań nad Bezpieczeństwem w Seulu, który podlega Krajowej Służbie Wywiadowczej. Jako były specjalista od Południa w Korei Północnej teraz pełniłem odwrotną funkcję.

Choć zawodowo zajmowałem się działalnością wywiadowczą, w 2008 roku postanowiłem wznowić swą karierę poetycką. Tym razem jednak byłem wolnym człowiekiem i poetą na wygnaniu, a nie na usługach państwa. Najpierw opublikowałem tom poezji pod tytułem *Sprzedaję córkę za sto wonów* pod pseudonimem literackim Jang Jin Song. Podstawę zbioru stanowił rękopis, który zabrałem z Pjongjangu. Może dzięki temu, że Young Min uratował go i ochronił podczas naszej ucieczki z Korei Północnej, książka natychmiast stała się bestsellerem. Zajęła pierwsze miejsce na listach sprzedaży wszystkich ważnych księgarni. Tytułowy wiersz zaadaptowano na potrzeby telewizji, powstała na jego podstawie piosenka, a także sztuka, którą wystawiono na scenie Seulskiego Centrum Sztuki, największego teatru w Korei Południowej.

Niedawno, latem 2012 roku, otrzymałem zaproszenie do udziału w festiwalu Poetry Parnassus organizowanym przez Southbank Centre w ramach letnich igrzysk olimpijskich w Londynie. Zaproszono po jednym poecie z każdego państwa uczestniczącego w olimpiadzie, a ja, jako jeden z kilku poetów na wygnaniu na tym festiwalu, reprezentowałem Koreę Północną. Spotkania z pisarzami podobne do tego utwierdziły mnie w przekonaniu, że kraj nie może poczynić prawdziwego postępu w dziedzinie praw człowieka bez postępów w dziedzinie wolności słowa, co z kolei umocniło moją determinację, żeby głosić prawdę o Korei Północnej za pośrednictwem słowa pisanego.

W 2010 roku odszedłem ze stanowiska, a tym samym na dobre opuściłem instytucjonalny świat. Miałem więcej czasu na pisanie, a całą odprawę przeznaczyłem na założenie w 2011 roku New Focus, pierwszej agencji informacyjnej prowadzonej przez uchodźców z Korei Północnej. Nazwałem ją tak z dwóch powodów: żeby wyrazić nadzieję, że Korea Północna zacznie realizować nową wizję, a także po to, aby pokazać światu zewnętrznemu, że istnieje inny sposób na zrozumienie tego państwa niż ten, na który dotąd pozwalały istniejące modele

interpretacyjne i rządowe plany. Chciałem, żeby poważnie uwzględniono wiedzę i doświadczenie Koreańczyków z Północy. W kwietniu 2013 roku w komentarzu dla „New York Timesa” napisałem:

> [W mojej ojczyźnie] istnieją dwie Koree Północne: ta prawdziwa oraz fikcja wykreowana przez reżim. Dopiero po ucieczce (…) odkryłem istnienie trzeciej Korei Północnej: teoretycznej.
>
> Jest to wyobrażenie Korei Północnej skonstruowane przez świat zewnętrzny (…).

Po przekroczeniu rzeki Tumen uciekałem przed władzami Chin i Korei Północnej przez trzydzieści pięć dni. To niewiele ponad miesiąc mojego życia, a jednak ból, który towarzyszył temu doświadczeniu, można porównać z porodem. Bo dlaczego miałoby nie boleć? Wolność otrzymuje za darmo każdy, kto urodził się w wolnym kraju, inni jednak muszą dla niej ryzykować życie. Bywa, że w wolnym państwie wolność to słowo nader powszechne i puste; ale mój przyjaciel Young Min marzył o niej, kiedy rzucił się z urwiska.

Po dziś dzień partia urządza swoim poddanym pranie mózgu, wmawiając im, że sedno ich tożsamości opiera się na życiu w „ojczyźnie Kim Il Songa” i bycie „ludem Kim Dzong Ila”. Mój mentor Kim Sang O zastąpił kraj osobą, wychwalając Kim Il Songa jako „Moją Ojczyznę”, ale ja nie mogłem pójść w jego ślady. Dla mnie ojczyzną nie był kraj, w którym się urodziłem, ani człowiek, któremu byłem posłuszny, ale świat, w którym chciałem zostać pochowany; dlatego uciekłem przed systemem tolerującym jedynie literaturę w służbie dziedzictwa jednego człowieka.

Opisując swą ucieczkę, wołałem z głębi serca: „Wolność jest moją ojczyzną”. Nie byłem jedynym autorem tej książki, bo podróż odbyłem z Young Minem. Nie jestem również jej jedynym bohaterem. To także historia mojego przyjaciela, który dał świadectwo desperacji napędzającej miliony mieszkańców Korei Północnej stających, w przeszłości i obecnie, na skraju urwiska

i niemających innej drogi niż w przepaść. To także hołd dla tych, którzy pomogli mi w podróży, pomogli mi przeżyć, bo byli lojalni nie wobec władzy, ale wobec naszego wspólnego człowieczeństwa.

Dziś w Korei Południowej żyje ponad dwadzieścia pięć tysięcy Koreańczyków z Północy. Niektórzy latami musieli ukrywać się w jaskiniach. Innych pojmano i odesłano z powrotem do Korei Północnej tylko po to, by dokonali kolejnej cudownej ucieczki. Gdyby dało się opisać słowami historie ich wszystkich, moje życie zajęłoby w takiej książce tylko jedną stronę.

Pewien północnokoreański dyplomata złapany za granicą przez północnokoreańskich agentów miał szczęście w nieszczęściu, bo przydarzył mu się wypadek samochodowy – zdołał uciec z wraku auta i zwrócił się o azyl do lokalnych władz. Inny, skuty kajdanami, wyskoczył z pociągu, który wiózł go do Pjongjangu, i przeczołgał się przez zamarznięty Tumen. W jego przypadku, żeby zdobyć wolność, nie wystarczyło zaryzykować życie raz, podobnie jak w przypadku wielu innych, których trzykrotnie poddawano „repatriacji" i trzykrotnie uciekali. Są ludzie, którzy – niewinni żadnej zbrodni oprócz tego, że byli dziećmi swoich rodziców – zostali zesłani do obozów koncentracyjnych, nigdy nie otrzymawszy nazwiska, a mimo to zdołali zbiec.

Ilu bezimiennych mieszkańców Korei Północnej błąkało się po obcych ziemiach i straciło życie? Znamy tragedię małżeństwa, które po przebyciu pieszo całych Chin dotarło do Azji Południowo-Wschodniej, ale przeprawiając się przez Mekong, powierzyło los całej rodziny pływającej dętce. Przeżyło tylko dziecko. W innym przypadku matkę i córkę rozdzielono na progu konsulatu Korei Południowej. Jedną złapali chińscy funkcjonariusze, podczas gdy druga zdołała uciec ku strasznej wolności.

W taki sposób my, uchodźcy, musieliśmy nie tylko uciec przed systemem, ale również, ryzykując śmierć, zrezygnować z poczucia, że mamy prawo do życia. To dlatego, tak jak wielu

innym, po osiedleniu się w Korei Południowej przez lata towarzyszyły mi koszmary. Nocą przejmują nad nami władzę nasze strachy, wracamy w szpony opresyjnej inwigilacji albo aresztuje nas tajna policja i wywozi do obozu koncentracyjnego. Mówimy między sobą, że tak naprawdę wydostajemy się z Korei Północnej dopiero wtedy, gdy nasze sny zadomowią się w bezpiecznej rzeczywistości naszej nowej ojczyzny. Nawet za dnia, zwłaszcza w święta wyznaczające upływ czasu, takie jak Nowy Rok albo rocznice, targają nami przytłaczające emocje, które nas paraliżują i nie potrafimy się od nich uwolnić.

Emigranci z Korei Północnej to żywy dowód na to, że istnieje różnica między wolnością a tyranią. Ich historie nie są jedynie narzędziem wzbudzania współczucia. Ci ludzie wołają o sprawiedliwość w imieniu tych wszystkich, którzy umarli, nie mając własnego głosu, a świat był niemym świadkiem ich pogrzebu. Ich stanowcze głosy to triumf człowieczeństwa, bo przeżyli brutalną walkę z despotą.

Kim Dzong Il powiedział, że w jego słowniku słowo „niemożliwe” nie istnieje. Oto skala zepsucia władzy dyktatora, dla którego deklaracja, że dzierży broń, jest równie skuteczna, jakby rzeczywiście ją dzierżył. Dla mnie także słowo „niemożliwe” nie istnieje – ale dla mnie jako jednostki. Ceną mojego przeżycia było to, że na zawsze utraciłem najbliższych, a najbliżsi utracili mnie. Bez względu na to, jakie jeszcze czekają mnie trudy, nigdy nie zaznam większego bólu i rozpaczy. Przede wszystkim jednak teraz jestem świadom swego prawa do wolności, której nigdy nie oddam. To daje mi siłę, żeby podnieść się po tysiąckroć na każde sto upadków.

Reżim północnokoreański nie przestał mnie prześladować. Nie tylko podejmuje potajemne próby odnalezienia mnie i wyrządzenia mi fizycznej krzywdy, ale także otwarcie grozi mi w mediach. Na przykład w czerwcu 2013 roku Ministerstwo Bezpieczeństwa Ludowego wydało za pośrednictwem państwowej agencji informacyjnej KCNA oficjalne oświadczenie,

że „wyeliminuje moje istnienie z wszechświata”. Tymczasem tyranię Kimów kontynuuje trzecie pokolenie.

To dlatego mój spokój wymaga, abym prowadził wojnę z despotyzmem aż do wyzwolenia naszego ludu. Inaczej mój przywilej wolności byłby czczym egoizmem. O ile jednak arsenał, którym dysponuje reżim, to morderstwo, oszustwo i bomby jądrowe, moją bronią jest prawda.

Wolność dała mi również szczęście osobiste. Ze względu na to, że ze strony Korei Północnej stale grozi mi zamach, zawsze towarzyszy mi policyjna eskorta, ale kobiecie, która została moją żoną, nie przeszkadzały barczyste przyzwoitki asystujące nam przez trzy lata spotkań. Kiedy powiedziałem, że powinniśmy skończyć z randkami, i wręczyłem jej pierścionek zaręczynowy, byłem szczęśliwy, że zgodziła się bez wahania. W zeszłym roku urodził nam się zdrowy i śliczny chłopczyk. Choć półwysep wciąż podzielony jest na Północ i Południe, małżeństwo mężczyzny z Pjongjangu z kobietą z Seulu wydało na świat dziecko zjednoczonej Korei.

Ilekroć zmywam naczynia, żona klepie mnie po plecach i mówi: „Kochanie, świetnie się adaptujesz w wolnym i demokratycznym świecie. Jeśli nie dasz za wygraną, to na pewno ci się uda”. Unoszę wtedy ręce i wyznaję: „Oto mój los niewolnika. W Korei Północnej rządził mną dyktator, a teraz na Południu rządzi mną żona!”.

Posłowie
Przyszłość Korei Północnej

Świat zewnętrzny patrzy na Koreę Północną oczami ludzi z zewnątrz. Kiedy po śmierci ojca władzę przejął Kim Dzong Un, wielu starało się zinterpretować hierarchię władzy nowego reżimu na podstawie tożsamości siedmiu żałobników najbardziej widocznych podczas pogrzebu Kim Dzong Ila. W rzeczywistości jednak żadna z tych siedmiu osób nie dysponowała władzą usankcjonowaną przez Departament Organizacji i Przywództwa partii.

Wśród północnokoreańskiej elity prawdziwa cześć i władza płynie wyłącznie z lojalnego posłuszeństwa Wielkiemu Wodzowi – egzekwowanego przez DOP – i nie objawia się w postaci formalnych stanowisk, lecz uzyskiwana jest dzięki pokorze wobec takiego przywództwa. Jak na ironię, potwierdzeniem tego faktu może być to, że od tamtej pory pięciu z owych siedmiu żałobników, których świat miał za rozdających karty na szczytach władzy, w tym Jang Song Thaek, zostało usuniętych przez DOP. Dwaj, którzy pozostali – przewodniczący Najwyższego Zgromadzenia Ludowego Choe Tae Bok i sekretarz Departamentu Propagandy i Agitacji Kim Ki Nam – to figuranci, których życie lub śmierć z punktu widzenia partii nie ma żadnego znaczenia.

Żeby zrozumieć, jak działa Korea Północna, świat musi zajrzeć pod powierzchnię. Pomimo cywilnej i dyplomatycznej fasady DZF jest wysoce ukierunkowaną organizacją operacyjną, specjalizującą się w kontrwywiadzie i prowadzeniu wojny

psychologicznej, a zniekształcający rzeczywistość wpływ DOP to fundament licznych rozbieżności między pozornymi przejawami władzy a jej faktycznymi mechanizmami. Podobnie jak krwawa historia Jang Song Thaeka w końcu zemściła się na nim w 2013 roku, tak Kim Dzong Un znalazł się w strukturze kontrolowanej przez ludzi jego ojca z DOP. Nawet północnokoreańskie wojsko to ramię partii, absolutnie niezdolne do mianowania własnej kadry ani wydawania rozkazów.

Egzekucja Jang Song Thaeka była okazją dla New Focus International, organizacji, którą założyłem, żeby po raz pierwszy zademonstrować światu rzeczywiste działanie i zasięg DOP. Choć przed nami jeszcze wiele pracy, od samego początku kierujemy się następującą zasadą przewodnią: „Nie martw się o to, żeby być szybszym od tych, którzy mieli przewagę na starcie; martw się tylko o to, żeby być uczciwszym". Być może minie dużo czasu, zanim prawda wyjdzie na jaw, ale pozostanie znana jeszcze długo po tym, kiedy znikną kłamstwa.

Najpotężniejsza instytucja w Korei Północnej nie została rozpoznana jako taka ani przez świat zewnętrzny, ani przez zwyczajnych obywateli tego kraju, ponieważ rzeczywistość DOP splata się z tajną historią dojścia Kim Dzong Ila do władzy. Kim Dzong Il zbudował cały system, w którym sekretarz DOP – czyli on – stał się potężniejszy od samego Wielkiego Wodza, co dawało Kim Il Songowi wyłącznie symboliczny autorytet. Departament musi trwać w ukryciu, ponieważ jest instytucją, która zniszczyła Kim Il Songa, jednocześnie z pozoru kultywując najświętszą prawowitość władzy Wielkiego Wodza.

DOP to silnik władzy w Korei Północnej. Może być ukryty, niemniej to właśnie on napędza machinę. Podobnie jak związek Departamentu z zakulisowym dojściem Kim Dzong Ila do władzy pozostaje niejawny, tak samo tajność działań skrywa jego absolutną władzę. Świat wierzy, że sukcesję Kim Dzong Ila umożliwił Kim Il Song; w rzeczywistości jednak Kim Dzong Il nie zdobyłby władzy bez DOP, a Kim Dzong Un nie mógłby jej utrzymać. Wskutek całkowitej, drobiazgowej kontroli procesu

weryfikacji personelu oraz inwigilacji nawet wojsko – nie wspominając o pojedynczych osobach w siłach zbrojnych – nie jest w stanie wydrzeć wpływów Departamentowi. Taka sama sytuacja panuje w sferze autoryzowanego handlu czy dyplomacji. Co więcej, DOP nie tylko za pośrednictwem Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego kieruje tajną policją i obozami koncentracyjnymi, ale dowodzi również ochroniarzami rządzącego Kima oraz, jak zostało to opisane w innym miejscu książki, zatwierdza każdą propozycję polityki państwa.

Stanowiska wobec północnokoreańskiego reżimu często koncentrują się na tym, w jaki sposób mógłby się on stać narzędziem reform. Dlatego z jednej strony stosuje się sankcje, z drugiej zaś prowadzi zabiegi dyplomatyczne, dokonuje inwestycji i oficjalnego przepływu dóbr. Jednakże to właśnie uwolnienie oddolnych, nieregulowanych sił rynkowych, które spowodowały nasilenie nieoficjalnego przepływu dóbr, osłabiło totalitarną władzę DOP bardziej niż cokolwiek innego w historii. Może z punktu widzenia świata zewnętrznego krajem rządzi groźny reżim, ale lokalnie ów reżim nie jest już w stanie ustalić ceny jednego jajka. Należy pamiętać o tych realiach – a także o realiach władzy w Korei Północnej – myśląc o jej przyszłości; co prawda DOP nigdy z własnej woli nie zrezygnuje z wpływów, ale będą one słabnąć tak długo, jak długo ludzie szukają szans na utrzymanie w obszarach poza zasięgiem Departamentu. Musimy pokładać wiarę w ludność Korei Północnej, a nie w system, który ją więzi.

Słowniczek

Biuro 101 – dział DZF odpowiedzialny za kształtowanie polityki.
boczna gałąź – członek rodziny Kimów, którego należy „przyciąć”, aby drzewo rosło wysokie i silne.
Chosun – miano, którym w Korei Północnej określa się ten kraj.
DMZ – Koreańska Strefa Zdemilitaryzowana, linia zawieszenia broni, która od 1953 roku dzieli Półwysep Koreański.
DOP – Departament Organizacji i Przywództwa, ramię wykonawcze Partii Pracy.
Dopuszczeni – maleńki, elitarny krąg osób, które osobiście wezwał do siebie Kim Dzong Il i które spędziły z nim ponad dwadzieścia minut za zamkniętymi drzwiami.
DPA – Departament Propagandy i Agitacji.
Drogi Przywódca – Kim Dzong Il.
DZF – Departament Zjednoczonego Frontu, kluczowa sekcja Partii Pracy odpowiedzialna za szpiegostwo międzykoreańskie, kształtowanie polityki i dyplomację.
dżucze – obowiązująca w Korei Północnej polityka oparta na zasadzie samodzielności.
Generał – Kim Dzong Il.
Wielki Przywódca – Kim Il Song lub Kim Dzong Il.
Gukgun – armia narodowa Korei Południowej.
Jochongryon – Stowarzyszenie Koreańskich Rezydentów w Japonii, organizacja zarządzana przez DZF, reprezentująca osoby pochodzenia koreańskiego w Japonii.
KAL – Koreańska Armia Ludowa (w Korei Północnej).
KRLD – Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna (Korea Północna).
lokalizacja – polityka DZF polegająca na przyjmowaniu południowokoreańskiego sposobu myślenia, aby wpłynąć na Koreę Południową.
lustracja – północnokoreański termin to *shimhwajo*, co można dosłownie przetłumaczyć jako „intensyfikację lustracji (dokumentów tożsamości)”.
NLL – Północna Linia Graniczna (Northern Limit Line), linia demarkacyjna między Koreą Północną a Południową na wodach terytorialnych Morza Żółtego.
Partia Pracy – oficjalna partia rządząca Korei Północnej.
południowy Chosun – północnokoreańskie określenie Korei Południowej.

PSD – Publiczny System Dystrybucji, który w Korei Północnej określa przydział wszystkich produktów niezbędnych do życia.

„Rodong Sinmun” – oficjalny organ prasowy Partii Pracy.

Sekcja 5 – sekcja DOP odpowiedzialna za osobiste potrzeby Kim Dzong Ila.

słoneczna polityka – polityka zagraniczna Korei Południowej wobec Korei Północnej, w 2010 roku uznana przez Koreę Południową za porażkę.

Songun – północnokoreańska polityka prymatu wojska.

Strategia Niesienia Ziaren – północnokoreańska strategia porywania obcokrajowców, głównie obywateli Japonii.

Wielki Wódz – Kim Il Song.

Suryong – Wielki Wódz.

Żmudny Marsz – oficjalna północnokoreańska nazwa stanu klęski żywnościowej między 1995 a 1998 rokiem.